

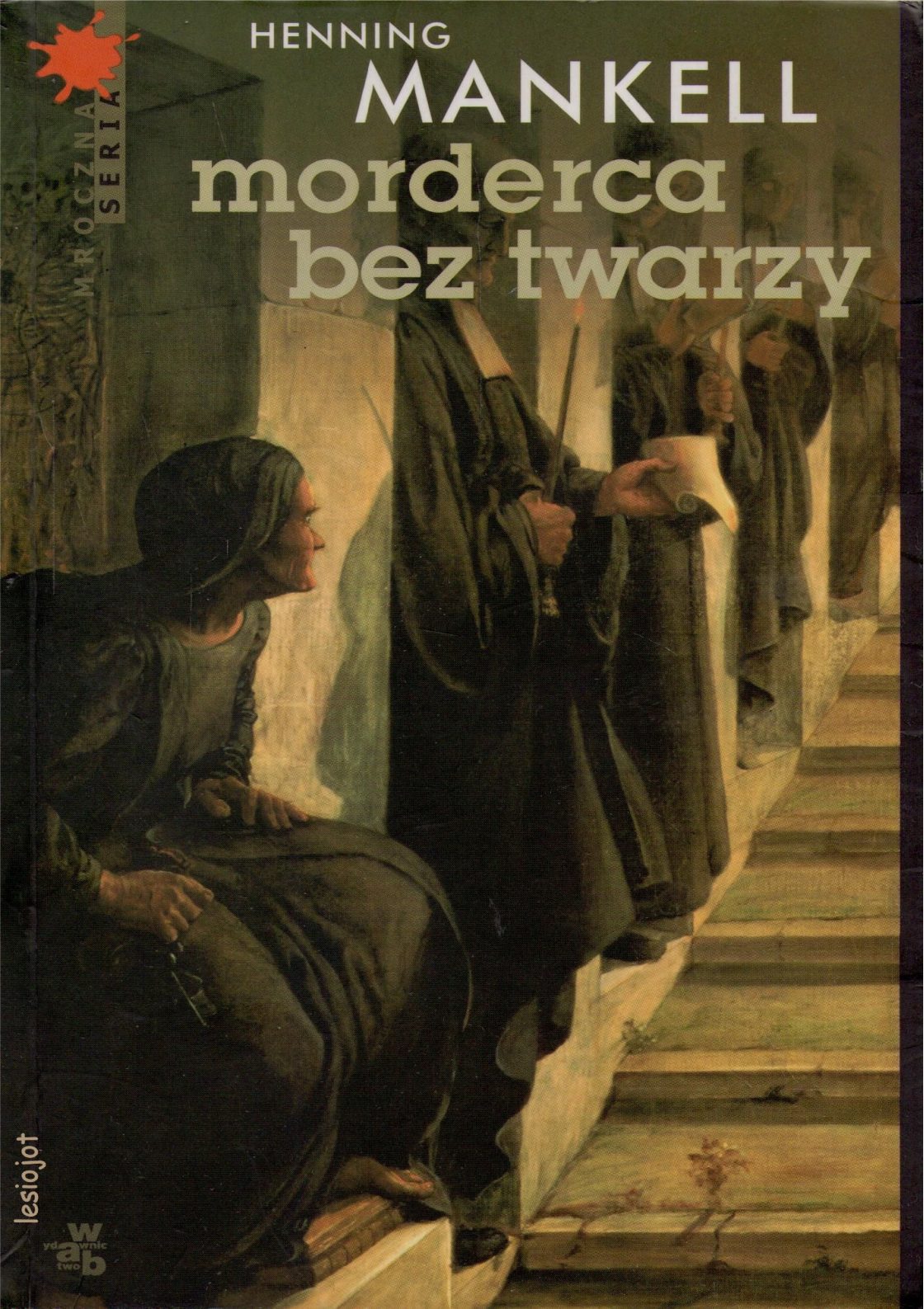


M. R. O. C. Z. N. A.
SERIA

HENNING

MANSELL

morderca
bez twarzy



lesiojot

w
ab
yda
wntic
two

MRO CZNA
SERIA

HENNING

MANSELL

morderca
bez twarzy

przełożyła ANNA MARCINIĄKÓWNA

O czymś zapomniał, budzi się i wie to z całą pewnością. Zapomniał o czymś, co mu się w nocy śniło. O czymś, co powinien pamiętać.

Próbuje sobie przypomnieć. Ale sen jest jak czarna dziura. Jak studnia, która nie ujawnia swojej zawartości.

Na pewno jednak nie śniłem o bykach, myśli. Bo byłbym taki spocony, jakby mnie w nocy trawiła gorączka. Tej nocy byki zostawiły mnie w spokoju.

Leży bez ruchu w ciemnościach i nasłuchuje. Oddech żony u jego boku jest tak słaby, że ledwie go wyczuwa.

Ktoregoś ranka będzie przy mnie leżeć martwa, a ja nawet tego nie zauważę, myśli. Albo ja będę leżeć martwy. Jedno z nas umrze wcześniej niż drugie. Któryś brzask będzie oznaczał, że jedno z nas zostało samo.

Patrzy na zegar stojący na stoliku przy łóżku. Świecące wskazówki informują go, że jest za kwadrans piąta.

Dlaczego się obudziłem, myśli. Zwykle śpię do wpół do szóstej. Dzieje się tak od ponad czterdziestu lat. Dlaczego w takim razie teraz nie śpię?

Nasłuchuje w ciemnościach i nagle jest kompletnie rozbudzony.

Coś jest inaczej. Coś się zmieniło.

Ostrożnie, po omacku, przysuwa jedną rękę do twarzy żony. Wyczuwa palcami ciepło. A zatem nie umarła. Zatem jeszcze żadne z nich nie zostało samo.

Wciąż nasłuchuje w ciemnościach.

Koń, przychodzi mu do głowy. Koń nie rży. To dlatego się obudziłem. Kobyła ma zwyczaj hałasować po nocy. Słyszę to przez sen, nie budzi mnie, moja podświadomość wie, że mogę spać dalej.

Ostrożnie podnosi się na skrzypiącym łóżku. Mają to łóżko od czterdziestu lat. To jedyne mebel, jaki kupili po ślubie. I jest to jedyne łóżko, jakie będą mieć w tym życiu.

Czuje rwący ból w lewym kolanie, kiedy idzie po drewnianej podłodze prosto do okna.

Jestem stary, myśli. Stary i zużyty. Każdego ranka, gdy otwieram oczy, jestem tak samo przerażony tym, że już skończyłem siedemdziesiąt lat.

Wygląda na dwór w zimową noc. Jest 8 stycznia 1990 roku i tej zimy w Skanii nie spadło jeszcze ani trochę śniegu. Lampa przed wejściowymi drzwiami rzuca blask na ogród, na przemarznięty kasztan i leżące za ogrodzeniem pola. Mężczyzna mruży oczy i spogląda w stronę sąsiedniej zagrody, gdzie mieszkają Lövgrenowie. Biały, długi a niski dom spowijają ciemności. Nad czarnymi drzwiami do stajni, ustawionej pod kątem prostym do domu mieszkalnego, świeci się bladożółta lampa. To tam kobyła stoi w swoim boksie i to stamtąd po nocach dochodzi jej niespokojne rżenie.

Stary człowiek wciąż nasłuchuje w ciemnościach.

Łóżko za jego plecami skrzypi.

– Co ty robisz? – mamrocze żona.

– Śpij – odpowiada. – Chciałem rozprostować nogi.

– Bołą cię? – Nie.

– No to śpij! Nie wystawaj na zimnie, bo się przeziębisz.

Słyszysz, jak żona odwraca się na drugi bok.

Był czas, kiedyśmy się kochali, myśli. Ale broni się przed tym. To zbyt piękne słowo.

Kochać. To nie jest słowo dla takich jak my. Człowiek, który przez ponad czterdzieści lat był chłopem i pochylał się w znoju nad ciężką, gliniastą skańską ziemią, nie wypowiada takich słów, kiedy mówi o swojej żonie. W naszym życiu miłość zawsze była czymś innym...

Przygląda się domowi sąsiadów, mruży oczy, próbuje przebić się wzrokiem przez mrok zimowej nocy.

Rzyj, myśli. Rzyj w tym swoim boksie, żebym wiedział, że wszystko jest jak zawsze. I żebym mógł się jeszcze na chwilę położyć pod ciepłą kołdrą. Dzień emerytowanego rolnika i tak jest wystarczająco długi i beznadziejny.

Raptem zdaje sobie sprawę, że obserwuje kuchenne okno sąsiadów. Coś tam jest nie tak. Przez te wszystkie lata spoglądał

codziennie na okna swoich sąsiadów. I teraz nagle coś tam wygląda zupełnie inaczej. A może to tylko ciemność go zwodzi? Przymyka oczy i liczy do dwudziestu, by wzrok odpoczął. Potem znowu spogląda na okno i teraz nie ma już wątpliwości, że jest ono otwarte. Okno, które zawsze w nocy było zamknięte, teraz jest otwarte. I kobyła nie rżała...

Kobyła nie rżała, ponieważ stary Lövgren nie odbył swojego zwykłego nocnego spaceru do stajni, kiedy dała o sobie znać prostata i wygoniła go z ciepłego łóżka...

To przywidzenie, powiada sam do siebie. Wzrok mam zmałowany, wszystko jest jak zawsze. Co by się właściwie mogło tutaj stać? W tej małej wiosce Lenarp, trochę na północ od Kadesjö, po drodze do pięknego Krageholmssjön, w samym sercu Skanii? Tutaj nic się nie dzieje. Czas stanął w miejscu w tej wiosce, w której życie toczy się niczym strumyk pozbawiony energii i woli. Mieszka tu kilku starych gospodarzy, którzy swoją ziemię sprzedali albo wydzierżawili innym. Żyjemy sobie tutaj i czekamy na to, co nieuniknione...

Ponownie spogląda na kuchenne okno i myśli, że ani Maria, ani Johannes Lövgren nie zapomnieliby go zamknąć. Z wiekiem rozrasta się też w człowieku podstępny strach, zamków wciąż przybywa, i nikt nie zapomina pozamykać okien przed zapadnięciem nocy. Starość oznacza też strach. Ów strach przed czającymi się gdzieś zagrożeniami, który odczuwało się jako dziecko, powraca, kiedy człowiek się starzeje...

Mógłbym się ubrać i wyjść, myśli. Pokuśtykać przez ogród, czując na twarzy podmuchy zimowego wiatru, podejść do płotu dzielącego nasze zagrody. Przekonać się na własne oczy, że to przywidzenie.

Postanawia jednak zostać w domu. Wkrótce Johannes wstanie z łóżka i zacznie gotować poranną kawę. Najpierw zapali lampę w toalecie, a potem lampę w kuchni. Wszystko odbędzie się tak jak zawsze...

Stoi przy oknie i czuje, że marznie. Starczy chłód, który podpełza do człowieka nawet w najcieplejszym ze wszystkich pokoi. A on wciąż myśli o Marii i Johannesie. Z nimi też

właściwie żyliśmy jak w małżeństwie, myśli, i jako sąsiedzi, i jako rolnicy. Pomagaliśmy sobie nawzajem, dzieliliśmy troski w najtrudniejsze lata. Ale dzieliliśmy ze sobą również to dobre życie. Wspólnie obchodziliśmy noce świętojańskie i wspólnie jadaliśmy kolacje wigilijne. Nasze dzieci biegały między obiema zagrodami, jakby były wspólne. A teraz dzielimy naszą długą, niekończącą się starość.

Nie bardzo wiedząc, dlaczego to robi, otwiera okno. Ostrożnie, by nie obudzić śpiącej Hanny. Mocno zaciska palce na haczyku, bojąc się, by podmuch zimowego wiatru nie wyrwał mu okna z ręki. Ale na zewnątrz jest cicho i teraz przypomina sobie, że w radiu nic nie wspominali o niepogodzie nad skańskimi równinami.

Wygwieżdzone niebo wznosi się nad ziemią czyste, jest bardzo zimno. Już ma zamknąć okno, kiedy wydaje mu się, że słyszy jakiś dźwięk. Nasłuchuje, odwraca się tak, by lewe ucho znalazło się od strony okna. Jego dobre ucho, w przeciwieństwie do prawego, w którym utracił słuch w ciągu tych wszystkich lat spędzonych w dusznych kabinach hałaśliwych traktorów.

Jakiś ptak, myśli. To krzyczy jakiś nocny ptak.

Potem ogarnia go strach. Lęk pojawia się nie wiadomo skąd i wprawia go w drżenie.

Bo wydaje się, jakby wołał człowiek. Człowiek, który w rozpaczach pragnie dotrzeć do innych ludzi.

Głos, który wie, że musi się przedrzeć przez grube kamienne ściany, by wzbudzić uwagę sąsiadów...

Przywidziało mi się, myśli znowu. Przecież nikt nie woła. Zresztą kto by to miał być?

Zamyka okno tak gwałtownie, że jedna z doniczek spada na podłogę i Hanna się budzi.

– Co ty wyprawiasz? – pyta, a on słyszy, że jest zirytowana.

Kiedy musi jej odpowiedzieć, nagle nabiera pewności.

– Kobyła nie rzy – mówi, siadając na brzegu łóżka. – A kuchenne okno u Lövgrenów jest otwarte. I ktoś woła.

Hanna siada na posłaniu.

– Co ty wygadujesz?

On nie chciałby odpowiadać, ale teraz jest już pewien, że to, co słyszał, to nie był krzyk ptaka.

– To Johannes albo Maria – mówi. – To któreś z nich wzywa pomocy.

Hanna wstaje z łóżka, podchodzi do okna, wysoka i tęga stoi w swojej białej nocnej koszuli i patrzy w ciemność.

– Kuchenne okno nie jest otwarte – mówi szeptem. – Ono jest wybite.

Mąż podchodzi do niej, teraz marznie tak, że cały się trzęsie.

– Ktoś wzywa pomocy – mówi Hanna drżącym głosem.

– Co robić? – pyta jej mąż.

– Musisz tam iść – odpowiada Hanna. – Pospiesz się!

– Ale jeżeli to coś niebezpiecznego?

– Mamy nie pomóc naszym najlepszym przyjaciółom, jeżeli coś się stało?

Stary ubiera się pospiesznie. Bierze latarkę, która stoi na półce obok bezpieczników i puszek z kawą. Gliniasta ziemia pod jego stopami jest zamrznięta. Kiedy się odwraca, w oknie widzi Hanę.

Koło płotu przystaje. Wokół panuje kompletna cisza. Widzi już wyraźnie, że okno kuchenne zostało wybite. Ostrożnie przechodzi przez niski płot i zbliża się do białego domu. Ale teraz żaden głos nie woła.

Przywidziało mi się, myśli znowu. Jestem stary dziad, który już nie rozróżnia, co się dzieje naprawdę, a co mu się tylko wydaje. A może jednak byki mi się śniły dzisiejszej nocy? Ten dawny sen o bykach biegnących prosto na mnie, który mi uświadomił, że kiedyś będę musiał umrzeć...

Wtedy ponownie słyszy wołanie. Jest słabe, bardziej jęk niż krzyk. To Maria.

Podchodzi więc do okna sypialni i zagląda ostrożnie przez szczelinę między firanką a okienną ramą.

Nagle wie, że Johannes nie żyje. Kieruje do wnętrza światło latarki, a sam mruga kilkakrotnie, zanim zdobywa się na odwagę, by spojrzeć w głąb pokoju.

Maria siedzi na podłodze, mocno przywiązana do krzesła. Ma zakrwawioną twarz, a jej sztuczna szczeka, połamana, leży na

zabrudzonej nocnej koszuli.

Później dostrzega jedną stopę Johannesesa. Widzi tylko tę stopę. Resztę ciała zasłania firanka.

Odwraca się i kuśtyka z powrotem do płotu. Kolano rwie okropnie, bo nieostrożnie potknął się na jakiejś grudzie.

Najpierw dzwoni na policję.

Potem z szafy, w której pachnie naftaliną, wyjmuje łom.

– Zostań – mówi do Hanny. – Nie powinnaś tego oglądać.

– Ale co się tam stało? – pyta kobieta, bliska płaczu z przerażenia.

– Jeszcze nie wiem – odpowiada mąż. – Ale obudziłem się, bo kobyła dzisiejszej nocy nie rżała. To wiem z całą pewnością.

Jest 8 stycznia 1990 roku. Jeszcze nie zaczęło świtać.

2

Zgłoszenie telefoniczne zostało zarejestrowane na policji w Ystad o godzinie piątej trzynastie. Przyjął je wymęczony policjant, który pełnił służbę niemal nieprzerwanie od sylwestra. Słuchał jękającego się głosu i myślał, że to pewnie jakiś starzec z zaburzeniami umysłowymi. Mimo to coś jednak przykuło jego uwagę. Zaczął zadawać pytania. Kiedy rozmowa dobiegła końca, zastanawiał się tylko przez moment, nim ponownie uniósł słuchawkę i wykręcił numer, który znał na pamięć.

Kurt Wallander spał. Minionego wieczora siedział zbyt długo i słuchał nagrań Marii Callas, które znajomy przysłał mu z Bułgarii. Raz po raz wracał do jej Trauiały i gdy się w końcu położył, dochodziła druga. Kiedy teraz dzwonek telefonu wyrwał go ze snu, zatopiony był głęboko w erotycznych marzeniach. By się przekonać, że to wszystko mu się tylko śniło, wyciągnął rękę i poklepał koldrę obok siebie. Niestety, znajdował się w łóżku sam. Nie było przy nim ani żony, która opuściła go trzy miesiące temu, ani tej ciemnoskórej kobiety, z którą przed chwilą we śnie miał odbyć namiętny stosunek.

W tym samym momencie, gdy wyciągał rękę po słuchawkę telefonu, spojrzął na zegarek. Wypadek samochodowy,

pomyślał. Gołoledź i ktoś, kto pędził za szybko po E-14, wylądował w rowie. Albo awantura z uchodźcami, którzy przybyli do Szwecji porannym promem z Polski.

Uniósł się na posłaniu i przycisnął słuchawkę do piekącego pod zarostem policzka.

– Wallander!

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłem?

– Nie, do cholery. Nie śpię.

Dlaczego człowiek kłamie? Zastanawiał się. Dlaczego nie mówię tak, jak jest. Że najchętniej wróciłbym do przerwane go snu i próbował pograć się znowu w tamtym marzeniu o nagiej kobiecie?

– Pomyślałem, że powinienem zadzwonić do ciebie.

– Wypadek samochodowy?

– No, nie, nie całkiem. Telefonował jakiś stary gospodarz, który mówił, że nazywa się Nyström i mieszka w Lenarp. Opowiadał, że jego sąsiadka siedzi związana na podłodze i że ktoś nie żyje.

Wallander intensywnie myślał, gdzie może być to Lenarp. Gdzieś w pobliżu Marsvinsholm, w niebywale jak na Skanię pofałdowanej okolicy.

– To brzmi poważnie. Pomyślałem, że najlepiej będzie zadzwonić prosto do ciebie.

– Kogo masz teraz w komendzie?

– Peters i Noren są na mieście, szukają kogoś, kto wybił okno w Continentalu. Mam ich odwołać?

– Powiedz im, żeby jechali do skrzyżowania między Kadesjö i Katslösa i niech tam czekają. Daj im adres. Kiedy było to zgłoszenie?

– Parę minut temu.

– Ten, który dzwonił, na pewno nie był pijany?

– Nie wyglądało na to.

– No dobra.

Ubrał się, nie biorąc prysznic, wypił filiżankę letniej kawy, która została w termosie od wczoraj. Wyglądał przy tym przez okno. Mieszkał na Mariagatan, w centrum Ystad, fasada domu naprzeciwko była szara i popękana. Zastanawiał się przez

chwilę, czy też śnieg spadnie tej zimy w Skanii. Miał nadzieję, że nie. Śnieżne zadymki w Skanii zawsze oznaczają niekończący się nawał roboty. Wypadki samochodowe, odcięte od świata kobiety, które zaczynają rodzić, samotni staruszkowie, do których nie można dojechać, i różni połamańcy, których trzeba zbierać ze śliskich ulic. Śnieżne zamiecie oznaczają chaos, a Wallander czuł, że tej zimy jest raczej kiepsko przygotowany na spotkanie z czymś takim. Poczucie klęski po odejściu żony wciąż jeszcze paliło w piersiach.

Jechał Regementsgatan, dotarł do Österleden. Przy Dragongatan trafił na czerwone światło i włączył radio, by wysłuchać wiadomości. Czyjś podniecony głos opowiadał o samolocie, który rozbił się nad odległym kontynentem.

Jest czas życia i czas śmierci, pomyślał, próbując zetrzeć z oczu resztki snu. To było zaklęcie, które ułożył sobie wiele lat temu. Był wtedy młodym policjantem i patrolował ulice w rodzinnym Malmö. Któregoś dnia pijany mężczyzna, którego próbowali usunąć z parku Pildamm, nagle wyciągnął wielki rzeźnicki nóż. Wallander otrzymał głęboki cios tuż obok serca. Zaledwie parę milimetrów dzieliło go od nieoczekiwanej śmierci. Miał wówczas dwadzieścia trzy lata i było to pierwsze poważne ostrzeżenie, co to znaczy być policjantem. Od tamtej pory zaklęcie stanowiło jego obronę przed niepotrzebnymi wspomnieniami.

Wydostał się z miasta, minął nowo zbudowany wielki dom meblowy przy wjeździe i dostrzegł morze, rozciągające się daleko przed nim. Morze było szare i niebywale spokojne jak na środek skańskiej zimy. W oddali na horyzoncie rysowała się sylwetka statku, zdążającego na wschód.

Śnieżne zadymki jednak nadejdą, pomyślał.

Prędzej czy później będziemy je tu mieć.

Wyłączył samochodowe radio i próbował skupić się na tym, co go czeka.

Co właściwie wiedział?

Stara kobieta, związana, na podłodze? Jakiś człowiek, który twierdzi, że widział ją przez okno? Mijając zjazd w stronę

Bjaresjö, przyspieszył i uznał, że to chyba jednak jakiś starzec, któremu nagle skleroza ożywiła wyobraźnię. W ciągu wielu lat swojej policyjnej kariery nieraz miał okazję się dowiedzieć, do czego starzy, żyjący w izolacji ludzie mogą używać policji, jako ostatniego wołania o pomoc.

Policyjny samochód czekał na niego przy bocznej drodze na Kadesjö.

Peters wysiadł i obserwował zająca, który spokojnie kicał sobie po polu.

Kiedy Peters zobaczył Wallandera, zbliżającego się swoim niebieskim peugeotem, uniósł rękę na powitanie i wrócił za kierownicę.

Przemarznięta, pokryta grudami ziemia chrzęściła pod kołami. Kurt Wallander jechał za samochodem policyjnym. Minęli rozjazd na Trunnerup, pokonali parę stromych wzniesień i znaleźli się w Lenarp. Skręcili w wąską polną drogę, niewiele szerszą niż zwyczajny ślad traktora. Przejechali jeszcze kilometr i byli na miejscu. Dwie zagrody, jedna obok drugiej, dwa bielone wapnem zabudowania w otoczeniu wypielęgowanych ogródków.

Starszy mężczyzna szedł im pospiesznie na spotkanie. Kurt Wallander zauważył, że stary utyka, jakby mu dokuczał ból kolana.

Kiedy wysiadł z samochodu, stwierdził, że zaczęło wiać. Może mimo wszystko nadciąga śnieżycyca?

Gdy tylko zobaczył tamtego człowieka, wiedział, że czeka go coś naprawdę strasznego. Z oczu mężczyzny wyzierała trwoga, której nie można sobie wyobrazić.

– Wyważyłem drzwi – powtarzał niespokojnie, raz za razem.
– Wyłamałem drzwi, bo przecież musiałem zobaczyć. Ale ona wkrótce umrze, ona też umrze...

Weszli przez te wyważone drzwi. Cierpki zapach starych ludzi uderzał w nozdrza. Tapety były bardzo zniszczone, Kurt Wallander musiał mrużyć oczy, by coś widzieć w mroku.

– No to co się tutaj stało? – spytał.
– Tam, w środku – odpowiedział mężczyzna. A potem zaczął płakać.

Trzej policjanci spoglądali po sobie w milczeniu.

Kurt Wallander pchnął drzwi czubkiem buta.

Było gorzej, niż sobie wyobrażał. Dużo gorzej. Później Kurt Wallander będzie opowiadał, że to najgorsze, co kiedykolwiek widział. A przecież widział sporo.

Sypialnia była dosłownie zalana krwią. Nawet porcelanowa lampa wisząca u sufitu została obryzgana. Na łóżku,

głową naprzód, leżał stary mężczyzna z nagim torsem i w ściągniętych częściowo długich kalesonach. Twarz była zmasakrowana nie do poznania. Zupełnie, jakby ktoś chciał mu odciąć nos. Ręce miał związane na plecach, lewe udo złamane. Z krwawej masy sterczała biała kość.

– O, do diabła – jęknął Noren za plecami Wallandera, a on sam poczuł, że robi mu się niedobrze.

– Ambulans – wykrztusił, z trudem przełykając ślinę. – Szybko! Jak najszybciej...

Potem pochylił się nad kobietą, półleżącą na podłodze, przywiązaną do krzesła. Ten, kto ją wiązał, zacisnął na jej chudej szyi pętlę. Biedaczka ledwo mogła oddychać i Kurt Wallander zawołał do Petersa, by znalazł czym prędzej jakiś nóż. Poprzecinali cienki sznur, który wpił się głęboko w jej nadgarstki i szyję, a potem ostrożnie ułożyli kobietę na podłodze. Kurt Wallander trzymał jej głowę na kolanach.

Popatrzył na Petersa i stwierdził, że obaj myślą o tym samym: Kto mógł być aż tak okrutny, żeby zrobić coś podobnego? Zacisnąć pętlę na szyi starej bezbronnej kobiety?

– Niech pan zaczeka na dworze – powiedział Wallander do płaczącego mężczyzny, który wciąż stał na progu. – Niech pan tam zaczeka i niczego nie rusza.

Stwierdził, że nie mówi, ale krzyczy.

Zawsze krzyczę, kiedy się boję, pomyślał. Na jakim świecie my żyjemy?

Minęło niemal dwadzieścia minut, zanim przyjechało pogotowie. Oddech kobiety stawał się coraz bardziej nieregularny i Kurt Wallander zaczynał się obawiać, że na pomoc może być za późno.

Poznał kierowcę ambulansu, Antonsona, natomiast

sanitariusz był młodym mężczyzną, którego nigdy przedtem nie widział.

– Cześć! – przywitał się Wallander. – Mężczyzna nie żyje, ale ona jeszcze oddycha. Spróbujcie podtrzymać ją przy życiu.

– A co tu się stało? – spytał Antonson.

– Mam nadzieję, że ona będzie nam mogła odpowiedzieć, jeśli przeżyje. A teraz się pospieszcie!

Kiedy ambulans zniknął na zwirowej drodze, Kurt Wallander i Peters wyszli na dwór. Noren ocierał twarz chusteczką do nosa. Świt z wolna podpełzał do zabudowań. Kurt Wallander spojrzął na zegarek. Za dwie wpół do ósmej.

– To po prostu rzeźnia – jęknął Peters.

– Gorzej – powiedział Wallander. – Zadzwoni i wezwij tu całą ekipę. Powiedz Norenowi, żeby zamknął dom. Ja tymczasem pójdę porozmawiać z tym sąsiadem, który ich znalazł.

Dokładnie w chwili, gdy wymawiał ostatnie słowo, usłyszał coś, co zabrzmiało jak krzyk. Drgnął, a wtedy krzyk się powtórzył.

Wallander zdał sobie sprawę, że to rzenie konia.

Poszedł do stajni i otworzył drzwi. W mrocznym wnętrzu koń wiercił się niespokojnie w swoim boksie. Pachniało ciepłym nawozem i uryną.

– Daj koniowi siana i wody – powiedział Wallander. – W obejściu są pewnie jeszcze jakieś inne zwierzęta.

Kiedy wyszedł ze stajni, przeniknął go dreszcz. Czarne ptaki wrzeszczały na samotnym drzewie, daleko stąd, na polu. Wciągnął głęboko do płuc lodowate powietrze i stwierdził, że wiatr przybiera na sile.

– Pan się nazywa Nyström? – zwrócił się do starego, który już przestał płakać. – Teraz musi pan opowiedzieć, co się tutaj stało. Jeśli dobrze rozumiem, mieszka pan tutaj, po sąsiedzku?

Tamten potwierdził skinieniem głowy.

– I co to się stało? – spytał drżącym głosem.

– Mam nadzieję, że pan mi to powie – powtórzył Kurt Wallander. – Może moglibyśmy pójść do pana do mieszkania?

W kuchni na krzeselku siedziała skulona kobieta w staroświeckim szlafroku. Ale gdy tylko Kurt Wallander się

przedstawił, wstała i zaczęła gotować kawę. Obaj mężczyźni usiedli przy kuchennym stole. Wallander patrzył na świąteczne ozdoby, które wciąż jeszcze wisiały w oknie. Na parapecie leżał stary kot i nie spuszczał oka z gościem. Wallander wyciągnął rękę, żeby go pogłaskać.

– On gryzie – ostrzegł gospodarz. – Nie przywykł do ludzi. Widuje tylko mnie i Hannę.

Kurt Wallander pomyślał o żonie, która go opuściła, i zastanawiał się, od czego tu zacząć. Bestialskie morderstwo, myślał. A jeśli szczęście nam nie dopisze, to wkrótce będziemy mieć podwójne bestialskie morderstwo.

Nagle zaczął się nad czymś zastanawiać. Zastukał w szybę do stojącego na zewnątrz Norena.

– Przepraszam na moment – rzekł do gospodarza i wstał.

– Koń nakarmiony – raportował Noren. – Innych zwierząt nie znalazłem.

– Załatw, żeby ktoś pojechał do szpitala – powiedział Kurt Wallander. – Na wypadek gdyby ona odzyskała przytomność. Na wypadek gdyby coś mówiła. Musiała przecież widzieć.

Noren kiwnął głową.

– Poślij kogoś z dobrym słuchem – dodał Wallander. – I najlepiej żeby czytał z ruchu warg.

Kiedy wrócił, zdjął kurtkę i położył ją na kuchennej leżance.

– No to proszę opowiadać – rzekł. – Proszę opowiadać i niczego nie pomijać. Mamy czas, nie trzeba się spieszyć.

Po dwóch filiżankach słabej kawy pojął, że ani Nyström, ani jego żona nie mają niczego ważnego do powiedzenia. Poznał jedynie historię życia poszkodowanego małżeństwa i dowiedział się, o której godzinie coś zaniepokoiło sąsiadów.

Pozostały jeszcze dwa pytania.

– Nic państwu nie wiadomo, czy oni nie przechowywali w domu jakiejś większej sumy pieniędzy? – spytał.

– Nie – zaprzeczył Nyström. – Wszystko wkładali do banku. Emerytury też. Kiedy sprzedali ziemię, zwierzęta i maszyny, pieniądze oddali dzieciom.

Drugie pytanie wydało mu się bez sensu. Mimo to je zadał, w tej sytuacji nie miał wyboru.

– Nie wiecie państwo, czy mieli jakichś wrogów?

– Wrogów?

– No, kogoś takiego, kogo można by podejrzewać, że to zrobił. Wyglądało na to, że gospodarze nie do końca rozumieją, o co chodzi.

Wallander powtórzył więc pytanie.

Tamci wciąż spoglądali na niego zdezorientowani.

– Tacy jak my nie mają wrogów – odpowiedział mężczyzna. Wallander odniósł wrażenie, że starszy człowiek poczuł się urażony. – Zdarza się czasem, że się przemówimy. O utrzymanie drogi albo o granice pastwiska. Ale nie mordujemy się nawzajem.

Wallander skinął głową.

– Wkrótce znowu się odezwę – rzekł i wstał z płaszczem w ręce. – Gdyby któreś z państwa przypomniało sobie coś więcej, proszę zadzwonić na policję. Pytajcie o mnie. Nazywam się Kurt Wallander.

– A jeżeli oni wrócą...? – wyjąkała kobieta. Wallander pokręcił głową.

– To na pewno byli rabusie, a tacy nie wracają. Nie trzeba się obawiać.

Czuł, że powinien powiedzieć coś więcej, żeby ich uspokoić. Ale co by to miało być? Jakie poczucie bezpieczeństwa mógłby ofiarować ludziom, którzy właśnie się dowiedzieli, że ich najbliższy sąsiad został brutalnie zamordowany? I którzy musieli liczyć się z tym, że wkrótce może także umrzeć jego żona?

– Jest jeszcze koń – rzekł. – Kto będzie go karmił?

– My – odpowiedział stary. – Kobyła dostanie wszystko, czego potrzebuje.

Wallander wyszedł na dwór, w przejmujący chłód wczesnego poranka. Wiatr wciąż się wzmagał i Wallander musiał się pochylać, kiedy szedł do samochodu. Właściwie powinien jeszcze zostać i przywitać się z technikami. Był jednak przemarznięty, czuł się marnie, nie chciał tu siedzieć dłużej niż to konieczne. Poza tym widział przez okno, że z technikami przyjechał Rydberg, a to oznacza, że nie zakończą pracy,

dopóki nie obróćą na wszystkie strony i nie zbadają każdej, najmniejszej nawet grudki gliniastej ziemi na miejscu przestępstwa. Rydberg, który za parę lat miał odejść na emeryturę, był policjantem traktującym swój zawód z wielką pasją. Choć mógłby sprawiać wrażenie człowieka przesadnie pedantycznego i powolnego, zawsze dawał gwarancję, że miejsce przestępstwa zostanie zbadane ściśle według planu.

Rydberg cierpiał na reumatyzm i chodził z laską. Teraz, kuśtykając, szedł przez podwórze na spotkanie Wallandera.

– Nie wygląda to dobrze – powiedział. – Wnętrze domu to prawdziwa rzeźnia.

– Nie ty pierwszy to mówisz – odparł Kurt Wallander. Rydberg miał poważny wyraz twarzy.

– Macie jakiś punkt zaczepienia? Kurt Wallander potrząsnął głową.

– Zupełnie nic? – W głosie Rydberga brzmiała jakby prośba.

– Sąsiedzi niczego nie widzieli ani nie słyszeli. Myślę, że to zwyczajni włamywacze.

– Nazywasz to obłąkane okrucieństwo zwyczajnym? Rydberg był poruszony i Kurt Wallander pożałował swoich słów.

– Nie, uważam naturalnie, że to jakieś potworne typy grasowały tu dzisiejszej nocy. W rodzaju tych, co to zajmują się wyszukiwaniem samotnych obejść, gdzie mieszkają samotni starzy ludzie.

– Musimy ich dopaść – powiedział Rydberg. – Zanim znowu uderzą.

– Tak – zgodził się Kurt Wallander. – Nawet gdybyśmy w tym roku nie mieli złapać żadnych innych przestępców, to tych tutaj musimy dopaść.

Wsiadł do samochodu i odjechał z tego okropnego miejsca. Na wąskiej polnej drodze o mało się nie zderzył z innym samochodem, który z wielką szybkością jechał z naprzeciwka. Wallander rozpoznał kierowcę. To dziennikarz pracujący dla dużej gazety o krajowym zasięgu, który ruszał do boju, gdy tylko w okolicach Ystad wydarzyło się coś interesującego dla szerszej publiczności.

Wallander przejechał kilka razy tam i z powrotem przez

Lenarp. W oknach paliły się światła, ale ludzi na dworze nie było.

Co też oni sobie pomyślą, kiedy się dowiedzą? – zastanawiał się.

Czuł się okropnie. Widok starej kobiety z pętlą na szyi całkowicie zburzył jego spokój. Niepojęte okrucieństwo. Kto mógł zrobić coś takiego? Dlaczego nie uderzył kobiety siekierą w głowę, żeby w jednej chwili było po wszystkim? Po co te tortury?

Wolno jechał przez niewielką wieś i próbował sobie jakoś poukładać w głowie plan czynności śledczych. Przy skrzyżowaniu na Blentarp zatrzymał się, włączył ogrzewanie, bo marzył coraz bardziej, a potem siedział bez ruchu i wpatrywał się w horyzont.

To on będzie kierował dochodzeniem, tego był pewien. Nic innego nie wchodzi w rachubę. Po Rydbergu to on, mimo swoich zaledwie czterdziestu dwóch lat, ma w policji kryminalnej w Ystad najdłuższy staż.

Znaczna część czynności śledczych opierać się musi na rutynie. Badanie miejsca przestępstwa, przesłuchania ludzi mieszkających w Lenarp i przy drogach, którymi przypuszczalnie uciekali napastnicy. Czy ktoś widział coś podejrzanego? Coś niezwykłego? Już brzmiały mu w głowie te wszystkie pytania.

Kurt Wallander wiedział jednak z doświadczenia, że napady rabunkowe na wsi często bywają trudne do wyjaśnienia.

Jedyne, na co miał nadzieję, to że stara kobieta przeżyje.

Ona widziała. Ona wie.

Jeśli jednak umrze, podwójny mord będzie bardzo trudno wyjaśnić.

Wallandera przepelniał niepokój.

Zazwyczaj wzburzenie wyzwało w nim wielką energię i chęć działania. A ponieważ jest to warunek wszelkiej pracy policyjnej, Wallander uważał, że jest dobrym policjantem. Teraz jednak czuł się zmęczony i niepewny.

Zmusił się do włączenia pierwszego biegu. Samochód toczył się kilka metrów. Potem znowu się zatrzymał.

Jakby dopiero teraz dotarło do niego, co przeżył w ten wczesny zimowy poranek.

Ów bezsensowny, potworny napad na bezbronnych starych ludzi napęlił go przerażeniem.

Stało się coś, co w żadnym razie nie powinno było się tutaj zdarzyć.

Wyjrzał przez okno. Wiatr szarpał drzwiami wozu i gwizdał w szczelinach.

Teraz muszę zacząć, pomyślał.

Jest dokładnie tak, jak mówi Rydberg.

Musimy dopaść tych, którzy to zrobili.

Pojechał prosto do szpitala w Ystad i wszedł do windy, żeby dostać się na oddział intensywnej opieki medycznej. Na korytarzu natychmiast zauważył młodego aspiranta Martinssona, który siedział na krześle przy jakichś drzwiach.

Kurt Wallander skrzywił się zirytowany.

Czy naprawdę nie mogli już przysłać do szpitala nikogo innego, tylko takiego niedoświadczzonego młodzika? I dlaczego on siedzi za drzwiami? Dlaczego nie tkwi przy łóżku chorej, gotów zarejestrować każdy szept wydobywający się z jej zmasakrowanych warg?

– Hej – powiedział Kurt Wallander. – Co słyhać?

– Kobieta jest nieprzytomna – odparł Martinsson. – Lekarze nie mają chyba wielkich nadziei.

– Dlaczego siedzisz tutaj? Dlaczego nie na sali?

– Powiedzą mi, jakby się coś działo.

Wallander zauważył, że Martinsson czuje się niepewnie.

Zachowuję się jak stary, zgorzkniały nauczyciel, pomyślał.

Ostrożnie uchylił drzwi i zajrzał do środka. W przedsionku śmierci szumiały i błyskały liczne maszyny. Węże zwisały ze ścian niczym przezroczyste wielkie glisty. Kiedy wsunął głowę, pielęgniarka odczytywała jakieś diagramy.

– Tu nie wolno wchodzić – powiedziała ostro.

– Jestem policjantem – wyjaśnił pojednawczo. – Chciałem się tylko dowiedzieć, co z nią.

– Powiedziano wam, że macie czekać na zewnątrz – nie ustępowała pielęgniarka.

Zanim Kurt Wallander zdążył odpowiedzieć, do pokoju pospiesznie wszedł lekarz. Zdaniem Wallandera wyglądał niepokojąco młodo.

– Nie życzymy sobie tu nikogo postronnego – oznajmił na widok Kurta Wallandera.

– Zaraz sobie pójdę. Chciałem się tylko dowiedzieć, jak ona się czuje. Nazywam się Kurt Wallander i jestem policjantem. Z policji kryminalnej – uściślił, choć nie był pewien, czy stanowi to jakąś różnicę. – To ja nadzoruję śledztwo w sprawie tego, czy tych, którzy to zrobili. Co z nią?

– Zdumiewające, że ona w ogóle jeszcze żyje – powiedział lekarz i gestem przywołał Wallandera bliżej łóżka. – Szczerze mówiąc, nie potrafimy określić, jakie i jak głębokie są obrażenia. Najpierw musimy się zatroszczyć, żeby przeżyła. Ale gardło jest strasznie zdeformowane. Wygląda tak, jakby ktoś chciał ją udusić.

– Tak właśnie było – westchnął Kurt Wallander, przyglądając się chudej twarzy, ledwo widocznej spod bandaży i różnych rurek.

– Aż dziw, że nie umarła – powtórzył lekarz.

– Mam nadzieję, że przeżyje – rzekł Kurt Wallander.

– My zawsze mamy nadzieję, że wszyscy nasi pacjenci przeżyją – powiedział lekarz i zaczął studiować ekran, na którym zielone linie nieprzerwanie układały się w faliste wzory.

Kurt Wallander opuścił salę, kiedy lekarz oznajmił, że nic więcej powiedzieć nie może. Rokowania są niepewne. Maria Lövgren może umrzeć, nie odzyskawszy przytomności. Trudno cokolwiek przewidzieć.

– Umiesz czytać z ruchu warg? – zapytał Martinssona.

– Nie – odparł tamten, spłoszony.

– Szkoda – rzekł Kurt Wallander i wyszedł.

Ze szpitala pojechał prosto do brązowego budynku policji, położonego we wschodniej części miasta.

Usiadł przy biurku i patrzył przez okno na widoczną stąd starą czerwoną wieżę wodociągową.

Być może nasze czasy wymagają całkiem innych policjantów, myślał. Policjantów, którzy nie reagują tak gwałtownie, kiedy

się ich w mroźny styczniowy poranek wyciąga z łóżka i każe wejść do rzeźni w jednej ze skańskich wsi, gdzie zaszlachtowano ludzi. Wymagają policjantów, którzy nie przeżywają takich katuszy niepewności jak ja?

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu.

To ze szpitala, przyszło mu natychmiast do głowy.

Dzwonią, żeby powiedzieć, że Maria Lövgren umarła.

No a jeśli się ocknęła? Jeśli coś powiedziała?

Wpatrywał się w aparat, który ciągle dzwonił.

Do diabła, pomyślał. Do diabła.

Wszystko, tylko nie to.

Kiedy jednak podniósł słuchawkę, usłyszał głos córki.

Podskoczył tak, że omal nie stracił aparatu na podłogę.

– Tata – powiedziała i rozległ się brzęk monety.

– Cześć – odparł. – Skąd dzwonicz?

Żeby to tylko nie była Lima, pomyślał. Albo Katmandu czy inna Kinszasa.

– Jestem w Ystad.

To go ucieszyło. Bo to znaczy, że będzie mógł ją zobaczyć.

– Przyjechałam cię odwiedzić – mówiła córka – ale zmieniłam zdanie. Teraz jestem na dworcu, zaraz wyjeżdżam.

Chciałam ci tylko powiedzieć, że mimo wszystko miałam zamiar się z tobą spotkać.

Rozmowa została przerwana, a on siedział ze słuchawką w dłoni.

Miał wrażenie, że jest martwa, jakby trzymał w ręce coś, co zostało odcięte.

Cholerny bachor, pomyślał. Dlaczego ona się tak zachowuje?

Jego jedyna córka, imieniem Linda, miała dziewiętnaście lat. Dopóki nie skończyła piętnastu, mieli bardzo dobry kontakt. To do niego, a nie do mamy przychodziła zawsze z problemami, albo jeśli czegoś bardzo chciała, a nie miała odwagi poprosić matki. Patrzył, jak się zmienia z kanciastego podlotka w młodą kobietę o wyzywającej urodzie. Dopóki nie skończyła piętnastego roku życia, nie dawała po sobie poznać, że nosi w duszy tajemnicze demony, które kiedyś zawiodą ją na pełne zagadek manowce.

Pewnego wiosennego dnia, wkrótce po piętnastych urodzinach, nagle, bez ostrzeżenia, próbowała popełnić samobójstwo. Zdarzyło się to w którąś sobotę po południu. Kurt Wallander naprawiał jedno z ogrodowych krzeseł, a jego żona myła okno. On odłożył młotek i wszedł do domu, ogarnięty nagłym niepokojem. Linda leżała na łóżku w swoim pokoju, żyłką podcięła sobie nadgarstki i gardło. Potem, kiedy już najgorsze minęło, lekarze powiedzieli mu, że byłaby umarła, gdyby nie wszedł wtedy do domu i nie zachował na tyle zimnej krwi, by założyć jej opatrunki uciskowe.

Szok właściwie nigdy nie minął. Kontakt między nim a Lindą został zerwany. Ona jakby się wycofała, a on nigdy nie zdołał pojąć, co mogło ją pchnąć do próby samobójczej. Linda skończyła szkołę, podejmowała jakieś przypadkowe prace, ale zdarzało się, że znikwała na długie okresy. W dwóch przypadkach żona zmusiła go, by zgłosił córkę jako zaginioną. Koledzy mogli widzieć jego ból, kiedy córka stała się obiektem poszukiwań. Pewnego dnia jednak wracała i wystarczyło ukradkiem przeszukać jej kieszenie i obejrzyć paszport, by odtworzyć trasę podróży, które odbyła.

Do cholery, myślał. Dlaczego się nie zatrzymasz? Dlaczego nie zmienisz trybu życia?

Telefon zadzwonił ponownie i Kurt Wallander chwycił słuchawkę.

– Tu tata – powiedział bez zastanowienia.

– O co ci chodzi? – usłyszał głos swego ojca. – Dlaczego przedstawiasz się jako tata? Myślałem, że jesteś policjantem.

– Akurat teraz nie mogę rozmawiać. Mógłbyś zadzwonić później?

– Ach tak? Nie możesz? A co ci w tym przeszkadza?

– Dzisiaj rano stało się coś bardzo poważnego. Ja sam niedługo do ciebie zatelefonuję.

– I co takiego się stało?

Jego sędziwy ojciec telefonował do niego niemal codziennie. Wielokrotnie Kurt Wallander zostawiał w centrali wiadomość, żeby nie łączyć rozmów ojca. Starszy pan zdołał go jednak przejrzeć, przedstawiał się jako ktoś inny albo zmieniał głos,

żeby oszukać telefonistki.

Kurt Wallander widział tylko jedną możliwość, by uniknąć rozmowy z ojcem.

– Będę u ciebie dzisiaj wieczorem – powiedział. – Wtedy pogadamy.

Ojciec bardzo niechętnie dał się spławić.

– W takim razie o siódmej – mruknął. – Wtedy będę miał czas, żeby cię przyjąć.

– Przyjadę o siódmej. Cześć.

Odłożył słuchawkę i zablokował telefon, żeby nie łączono już więcej rozmów.

Zaniepokojony pomyślał, że powinien wziąć samochód i pojechać na dworzec poszukać córki. Powinien z nią porozmawiać, spróbować nawiązać ponownie kontakt zerwany w tak niezrozumiały sposób. Ale z drugiej strony wiedział też, że lepiej tego nie robić. Nie mógł ryzykować, że córka ucieknie od niego na zawsze.

Drzwi się otworzyły i Naslund wsunął głowę do pokoju.

– Hej – powiedział. – Czy mogę go teraz przyprowadzić?

– Przyprowadzić kogo? Naslund spojrział na zegarek.

– Jest dziewiąta – odparł. – Wczoraj mówiłeś, że o tej porze chciałbyś mieć Klasa Mansona na przesłuchanie.

– Jakiego Mansona?

Naslund przyglądał mu się zdumiony.

– Tego, co okradł sklep przy Österleden. Zapomniałeś o nim?

W tej chwili sobie przypomniał, a jednocześnie zdał sobie sprawę z tego, że Naslund jeszcze nie wie o morderstwie, którego dokonano w nocy.

– Będziesz musiał przejąć tego Mansona – powiedział.

– Dzisiaj w nocy w Lenarp mieliśmy morderstwo. Może nawet podwójne. Starsze małżeństwo. Będziesz musiał przejąć Mansona. Ale teraz odłóż tę sprawę. Przede wszystkim trzeba się skoncentrować na dochodzeniu w Lenarp.

– Adwokat Mansona już przyszedł – westchnął Naslund.

– Jeżeli go odprawię, narobi wrzasku.

– No to przeprowadź jakieś wstępne przesłuchanie. Jeśli adwokat się wścieknie, to trudno. Zwołaj na dziesiątą zebranie

w moim pokoju. Wszyscy mają być obecni.

Uprzątnął z biurka stopy papierów, podał kilka kuponów totolotka, których jeszcze nie zdążył wypełnić, poszedł do pokoju jadalnego i nalał sobie kubek kawy.

O dziesiątej wszyscy spotkali się w jego pokoju. Rydberg, wezwany z miejsca przestępstwa, siedział na chwiejnym krześle przy oknie. Stojący i siedzący policjanci wypełnili pomieszczenie, w sumie było ich siedmiu. Wallander dzwonił do szpitala i dowiedział się, że stan starej kobiety jest wciąż krytyczny.

Potem przedstawił zebrany, co się stało.

– To wyglądało dużo gorzej, niż moglibyście sobie wyobrazić, prawda, Rydberg?

– Zgadza się – odparł tamten. – Jak w amerykańskim filmie. Nawet czuć było zapach krwi, choć przecież na ogół tak nie bywa.

– Musimy złapać tych, którzy to zrobili – zakończył Kurt Wallander swoje wystąpienie. – Nie wolno dopuścić, by tacy dranie chodzili na wolności.

W pokoju panowała cisza. Rydberg bębnił palcami po oparciu krzesła. Na korytarzu za drzwiami rozległ się śmiech kobiety.

Kurt Wallander rozejrzał się po pokoju. Znajdowali się tu wszyscy jego współpracownicy. Nikt z nich nie był mu szczególnie bliski. Ale stanowili zespół.

– No – powiedział. – To co robimy? Powinniśmy zaczynać.

Było za dwadzieścia jedenasta.

3

Za piętnaście czwarta Kurt Wallander zdał sobie sprawę, że jest głodny. Lunchu w ciągu dnia zjeść nie zdążył. Po zakończeniu zebrania zajął się organizowaniem pościgu za mordercami z Lenarp. Wciąż myślał o mordercach w liczbie mnogiej; miał przeczucie, że było ich więcej niż jeden. Nie potrafił sobie wyobrazić, że jeden człowiek mógłby urządzić taką krwawą łaźnię.

Na dworze było już ciemno, kiedy usiadł w fotelu przy swoim

biurku, by podjąć próbę sformułowania komunikatu dla prasy. Na blacie biurka znajdowało się mnóstwo kartek informujących o telefonach, które przyniosła tu jedna z pracownic centrali. Po bezskutecznym poszukiwaniu wiadomości od córki zgarnął wszystkie kartki i włożył do pojemnika z przychodzącą pocztą. Chciał uniknąć stania twarzą w twarz z dziennikarzami i kamerami telewizyjnymi po to tylko, by powiedzieć, że policja nie natrafiła dotąd na ślad przestępców, którzy dokonali brutalnego morderstwa na starym rolniku, scedował więc ten obowiązek na Rydberga. Komunikat dla prasy musiał jednak napisać sam. Wyjął z szuflady biurka kilka arkuszy papieru. Ale co takiego miał napisać? Rezultatem pracy całego dnia było mnóstwo znaków zapytania.

Był to również dzień oczekiwania. Na oddziale intensywnej opieki medycznej leżała stara kobieta, która przetrwała duszenie sznurem i teraz walczyła o życie.

Czy kiedykolwiek się dowiedzą, co nieszczęsna kobieta widziała tej strasznej nocy w samotnej zagrodzie? Czy też umrze, zanim zdąży cokolwiek wyznać?

Kurt Wallander patrzył przez okno, w ciemność.

Zamiast komunikatu dla prasy zaczął pisać podsumowanie, co udało im się zrobić w ciągu dnia i na czym policja mogłaby się w dalszej pracy opierać.

Nic takiego nie ma, pomyślał, kiedy skończył. Dwoje starych ludzi, niemających wrogów, nieposiadających żadnych schowanych pieniędzy, zostało brutalnie napadniętych, poddanych torturom. Sąsiedzi nie słyszeli nic. Dopiero kiedy napastnicy już się oddalili, zorientowali się, że okno w kuchni zostało wybite, i usłyszeli wołania staruszki o pomoc. Rydberg na razie żadnych śladów na miejscu zbrodni nie znalazł. To wszystko.

Starzy ludzie mieszkający w położonych na uboczu zagrodach zawsze są narażeni na napady rabunkowe. Bywają wiązani, bici, niekiedy mordowani.

Ale tutaj mamy do czynienia z czymś innym, myślał Kurt Wallander. Ta pętla na szyi opowiada ponurą historię

o stawianiu oporu i o nienawiści, może też o zemście.

W tym zajściu było coś, co odróżniało je od innych.

A teraz pozostawało tylko mieć nadzieję. Liczne patrole policyjne przepytwały przez cały dzień mieszkańców Lenarp. Może ktoś coś widział? Często napady na starych ludzi mieszkających samotnie poprzedzane są przez przestępców rozpoznaniem terenu. Może więc Rydberg mimo wszystko znajdzie jakieś wskazówki na miejscu przestępstwa?

Kurt Wallander spojrział na zegarek.

Kiedy telefonował po raz ostatni do szpitala? Czterdzieści pięć minut temu? Godzinę?

Postanowił zaczekać, aż skończy ten nieszczęsny komunikat dla prasy.

Włożył na uszy słuchawki swojego małego magnetofonu i włączył kasetę z Jussi Björling. Trzeszczące dźwięki nagrania z lat trzydziestych nie zdołały zagłuszyć świetnej muzyki Rigioletta.

Komunikat dla prasy zawierał osiem linijek tekstu. Kurt Wallander poszedł do jednej z sekretarek, poprosił ją, by przepisała to na maszynie i skopiowała w odpowiedniej liczbie egzemplarzy. Przy okazji przeczytał ankietę, która miała być rozesłana do mieszkańców Lenarp i okolicy. Czy widziano coś niezwykłego? Coś, co można by łączyć z brutalnym napadem? Nie miał wielkiego zaufania do takich ankiet, raczej nie wierzył, by na podstawie odpowiedzi dało się sformułować jakieś wnioski. Wiedział natomiast, że telefony będą dzwonić nieprzerwanie i że dwóch policjantów będzie musiało przez cały dzień wysłuchiwać informacji pozbawionych znaczenia.

Mimo wszystko trzeba to zrobić, myślał. Mimo wszystko musimy się dowiedzieć, czy nikt niczego nie widział.

Wrócił do swojego pokoju i ponownie zadzwonił do szpitala. Tam jednak nic nie uległo zmianie. Stara kobieta wciąż walczyła o życie.

Właśnie odłożył słuchawkę, gdy do pokoju wszedł Naslund.

– Miałem rację – powiedział.

– Rację?

– Adwokat Mansona był wściekły. Kurt Wallander wzruszył

ramionami.

– Przeżyjemy to.

Naslund potarł czoło i zapytał, jak się sprawy mają.

– Na razie nic. Ruszyliśmy ze śledztwem, to wszystko.

– Widziałem, że przyszedł protokół z medycyny sądowej.

Wallander zmarszczył brwi.

– Dlaczego ja go nie dostałem?

– Leży u Hanssona.

– Do diabła, przecież nie powinien tam leżeć!

Kurt Wallander wstał i wyszedł na korytarz. Zawsze to samo, myślał. Papier nigdy nie trafia tam, gdzie powinien. Mimo że coraz staranniej notowano wszystko z datami i godzinami, to i tak ważne papiery miały zwyczaj trafiać nie tam, gdzie trzeba.

Hansson rozmawiał przez telefon, kiedy Wallander zapukał i wszedł. Spostrzegł, że biurko Hanssona zasłane jest źle ukrywanymi kuponami wyścigowymi i programami gonitw w całym kraju. W siedzibie policji było tajemnicą poliszynela, że Hansson większość czasu pracy spędza na dzwonieniu do różnych trenerów koni wyścigowych w kraju i wybłagiwaniu informacji, które konie należy obstawiać. Wieczory natomiast poświęcał na wymyślanie przebiegłych systemów typowania, które miałyby mu gwarantować wielkie wygrane. Krążyły też pogłoski, że w kilku przypadkach rzeczywiście zgarnął sporą sumę. Nic pewnego jednak nikt nie wiedział. A Hansson raczej nie prowadził życia na szerokiej stopie.

Kiedy Kurt Wallander wszedł, Hansson zasłonił słuchawkę ręką.

– Protokół z medycyny sądowej – powiedział Wallander.

– Masz go?

Hansson starał się schować program wyścigów w Jagersro.

– Właśnie miałem ci go przynieść.

– Numer cztery w siódmej gonitwie to pewny zwycięzca – powiedział Kurt Wallander, biorąc z biurka plastikową teczkę.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Właśnie to. Że to pewny zwycięzca.

Zostawiając Hanssona z rozdziawionymi ustami, Wallander wyszedł. Na korytarzu spojrzął na zegar i stwierdził,

że do spotkania z prasą pozostało jeszcze pół godziny. Wrócił więc do swojego pokoju i dokładnie przeczytał protokół lekarski.

Brutalność morderstwa stała się, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej szokująca niż rankiem, kiedy przyjechał do Lenarp.

Przy wstępnym badaniu lekarz nie potrafił stwierdzić, co było bezpośrednią przyczyną śmierci.

Miał po prostu zbyt wiele możliwości do wyboru.

Na ciele znajdowało się osiem głębokich cięć czy też ran kłutych, zadanych jakimś ostrym narzędziem. Lekarz skłonny był przypuszczać, że to rany kłute. Ponadto prawa kość udowa została złamana. Podobnie lewe ramię i nadgarstek. Ciało nosiło ślady oparzeń, jądra były opuchnięte, a kość czołowa wgnieciona. Bezpośredniej przyczyny śmierci jeszcze nie ustalono.

Do oficjalnego protokołu lekarz dołączył notatkę.

„To jakieś szaleństwo – pisał. – Ten człowiek został poddany takiej przemocy, że wystarczyłoby na odebranie życia czterem lub pięciu osobom”.

Kurt Wallander odłożył protokół.

Czuł się okropnie.

Coś mu się w tym nie zgadzało.

Włamywacze napadający na starsze osoby na ogół nie kierują się nienawiścią. Oni szukają pieniędzy.

Skąd ta potworna przemoc?

Kiedy stwierdził, że sam sobie nie potrafi udzielić na to odpowiedzi, jeszcze raz przeczytał podsumowanie, które dopiero co napisał. Czy o czymś nie zapomniał? Czy nie przeoczył jakiegoś szczegółu, który potem może się okazać istotny? Nawet jeśli dochodzenie policyjne jest przeważnie cierpliwym szukaniem faktów, które dadzą się ze sobą połączyć, to on wiedział z doświadczenia, że pierwsze wrażenie z miejsca przestępstwa również bywa ważne. Zwłaszcza jeśli policjant znalazł się tam jako jeden z pierwszych i niedługo po popełnieniu przestępstwa.

W podsumowaniu, które napisał, było coś, co kazało mu się zastanowić: czy mimo wszystko nie zapomniał o jakimś detalu?

Długo tak siedział, nie mając pojęcia, co by to mogło być.

Maszynistka przyniosła przepisana na czysto i skopiowaną notatkę. W drodze na konferencję prasową wstąpił do toalety i tam spojrzął na siebie w lustrze. Stwierdził, że powinien się ostrzyć. Ciemne włosy zaczynały mu opadać na uszy. I powinien trochę schudnąć. W ciągu tych trzech miesięcy, od kiedy nagle opuściła go żona, przytył siedem kilogramów. W swojej nieznośnej samotności jadał wyłącznie w barach szybkiej obsługi, przeważnie pizzę, tłuste hamburgery i drożdżówki.

– Ty tłusty idioto – powiedział głośno sam do siebie. – Naprawdę chcesz wyglądać jak zgnuśniały stary dziad?

Postanowił natychmiast zmienić zwyczaje żywieniowe. Gdyby to było konieczne dla odzyskania figury, gotów był również rozważyć, czyby nie wrócić do papierosów.

Zastanawiał się, jak to się dzieje, że praktycznie wszyscy policjanci są rozwiedzeni. Że żony policjantów porzucają swoich mężów. Kiedyś, czytając jakiś kryminał, stwierdził z westchnieniem, że wszędzie jest tak samo źle.

Policjanci są rozwodnikami. Koniec kropka...

Pokój, w którym miała się odbyć konferencja prasowa, był pełen ludzi. Większość to znajomi dziennikarze. Zauważył jednak również kilka obcych twarzy, a jakaś dziewczyna z pryszczami na policzkach, ustawiając swój skrzeczący magnetofon, rzucała mu kokieteryjne spojrzenia.

Kurt Wallander rozdał swój lakoniczny komunikat i usiadł na niewielkim podwyższeniu. Właściwie komendant policji w Ystad też powinien być tu obecny, on jednak znajdował się właśnie na urlopie w Hiszpanii. Rydberg obiecał, że przyjdzie, jak tylko skończy z telewizją. Tymczasem jednak Kurt Wallander był sam.

– Komunikat państwo otrzymali – zaczął. – I w tej chwili nie mam wiele więcej do powiedzenia.

– Można jedno pytanie? – zgłosił się dziennikarz, w którym Kurt Wallander rozpoznał lokalnego korespondenta gazety

„Arbetet”.

– Po to tu jestem – odparł.

– Jeśli miałbym szczerze wyrazić, co o tym myślę, tobym powiedział, że to jest po prostu bardzo kiepski komunikat – oznajmił dziennikarz. – Musi nam pan jednak powiedzieć coś więcej.

– Nie natrafiliśmy na żaden ślad przestępców – odparł Kurt Wallander.

– A zatem jest ich więcej niż jeden?

– Prawdopodobnie.

– Dlaczego tak uważacie?

– Tak uważamy. Ale nie wiemy tego na pewno. Dziennikarz skrzywił się, a Kurt Wallander skinął głową do innego, którego również znał.

– Jak ten człowiek został uśmiercony?

– W wyniku przemocy z zewnątrz.

– To może oznaczać mnóstwo różnych rzeczy.

– Wciąż nie wiemy nic pewnego. Lekarze sądowi nie zakończyli jeszcze badania. To może potrwać kilka dni.

Dziennikarz miał jeszcze wiele pytań, ale przerwała mu pryszczata dziewczyna z magnetofonem. Nalepka na mikrofonie informowała, że dziewczyna reprezentuje lokalne radio.

– Co napastnicy zabrali?

– Jeszcze nie wiemy – odparł Kurt Wallander. – Nie wiemy nawet, czy to był napad rabunkowy.

– A co innego mogłoby to być?

– Tego nie wiemy.

– Czy jest coś, co mogłoby świadczyć, że to nie był napad rabunkowy?

– Nie.

Wallander zdał sobie sprawę, że się poci w tym zatłoczonym pomieszczeniu. Przypomniawszy sobie, jak marzył jako młody policjant o tym, by prowadzić konferencje prasowe. Ale w jego marzeniach nigdy nie było tak tłoczno, żeby musiał się pocić.

– Zadałem panu pytanie – usłyszał głos jednego z dziennikarzy stojących z tyłu.

– Ale ja nie usłyszałem – powiedział Kurt Wallander.
– Czy policja przywiązuje dużą wagę do tego przestępstwa? – spytał dziennikarz.

Wallander był zaskoczony pytaniem.

– Naturalnie, że zależy nam na ustaleniu, kto i dlaczego dopuścił się tego morderstwa – odpowiedział. – Dlaczego miałyby być inaczej?

– Czy zażądacie specjalnych środków?

– Za wcześniej o tym mówić. Mamy, rzecz jasna, nadzieję na szybkie wyjaśnienie sprawy. W dalszym ciągu nie bardzo rozumiem pytanie.

Dziennikarz, bardzo młody człowiek w grubych okularach, przycisnął się do przodu. Kurt Wallander nigdy przedtem go nie widział.

– Chciałem tylko wyjaśnić, że moim zdaniem dzisiaj w Szwecji nikt się już nie troszczy o starych ludzi.

– Owszem, my się troszczymy – odparł Kurt Wallander. – I zrobimy wszystko, by złapać morderców. W Skanii żyje wielu starych samotnych ludzi w zagrodach położonych na uboczu. Przynajmniej oni powinni być pewni, że robimy, co w naszej mocy.

Wstał.

– Będziemy państwa informować, jak zdobędziemy więcej danych – dodał. – Dziękuję za przybycie.

Dziewczyna z lokalnego radia zastąpiła mu drogę do drzwi.

– Nie mam nic więcej do dodania – rzekł.

– Ja znam pańską córkę, Lindę – powiedziała dziewczyna. Kurt Wallander się zatrzymał.

– Naprawdę? – spytał. – Skąd?

– Czasami się spotykaliśmy. To tu, to tam.

Kurt Wallander próbował sobie przypomnieć, czy już ją kiedyś widział. Może chodziła z Lindą do szkoły? Potrząsnęła głową, jakby czytała w jego myślach.

– Myśmy się nigdy nie spotkali. Nie może mnie pan znać. My z Lindą wpadliśmy na siebie w Malmö.

– Ach, tak – powiedział Wallander. – No to bardzo mi miło.

– Ja ją strasznie lubię. Czy mogę panu teraz zadać parę

pytań?

Kurt Wallander powtórzył do jej mikrofonu to, co już przedtem mówił. Najchętniej porozmawiałby z nią o Lindzie, ale nie zdobył się na tyle odwagi.

– Proszę ją ode mnie pozdrowić – powiedziała dziennikarka, pakując swój magnetofon. – Od Cathrin. Albo od Cattis.

– Dziękuję – odparł Kurt Wallander. – Pozdrowię. Na pewno.

Kiedy wrócił do swojego pokoju, poczuł, że go ssie w żołądku. Nie wiedział tylko, czy to głód, czy zdenerwowanie.

Powinienem przyhamować, pomyślał. Muszę przyjąć do wiadomości, że żona mnie rzuciła. Muszę przyjąć do wiadomości, że mogę jedynie czekać, aż Linda sama nawiąże ze mną kontakt, nic innego zrobić nie mogę. Muszę w końcu przyjąć do wiadomości, że życie jest takie, jakie jest...

Krótko po szóstej policjanci zebrali się ponownie. Ze szpitala żadnych nowych wiadomości nie było. Kurt Wallander pospiesznie ustalił plan nocnych dyżurów przy chorej.

– Czy to konieczne? – spytał Hansson. – Zostaw tam po prostu dobry magnetofon, a każda pielęgniarka go włączy, gdyby babcia się obudziła.

– To jest konieczne – burknął Kurt Wallander. – Ja sam biorę zmianę od północy do szóstej. Są ochotnicy na wcześniejszą?

Zgłosił się Rydberg.

– Mogę równie dobrze siedzieć w szpitalu jak gdzie indziej – powiedział.

Kurt Wallander rozejrzał się wokół. W świetle neonowej lampy pod sufitem wszyscy wyglądali anemicznie.

– Doszliśmy do czegoś? – spytał.

– Zakończyliśmy przesłuchania w Lenarp – poinformował Peters, kierujący tymi pracami. – Wszyscy mieszkańcy twierdzą, że niczego nie widzieli. Ale zwykle trwa parę dni, zanim ludzie się namyślą. To w ogóle cholernie nieprzyjemna sytuacja. Prawie sami starcy. I jedna przerażona młoda rodzina polska, która najwyraźniej przebywa tu nielegalnie. Na razie dałem im spokój, pogadamy jutro.

Kurt Wallander skinął głową i spojrzał na Rydberga.

– Znaleźliśmy mnóstwo odcisków palców – powiedział

Rydberg. – Może to coś da. Chociaż wątpię. Najbardziej z tego wszystkiego interesuje mnie węzeł.

Kurt Wallander przyjrzał mu się badawczo.

– Węzeł?

– Tak. Węzeł na pętli.

– A co w nim szczególnego?

– No więc jest jakiś dziwny. Nigdy przedtem takiego węzła nie widziałem.

– A widziałeś już kiedyś pętlę? – spytał Hansson, który niecierpliwie przestępował przy drzwiach z nogi na nogę, bo chciał jak najprędzej wyjść.

– Widziałem – odparł Rydberg. – Pewnie, że widziałem. Zobaczymy, co nam ten węzeł da.

Kurt Wallander wiedział, że Rydberg więcej wyjawić nie chce. Skoro jednak węzeł go interesuje, to z pewnością może mieć znaczenie.

– Jutro wcześniej rano jeszcze raz pojedę do sąsiadów – poinformował Wallander. – A właśnie, czy skontaktowaliśmy się już z dziećmi Lövgrenów?

– Martinsson próbuje – odparł Hansson.

– Przecież Martinsson był w szpitalu! – zdziwił się Wallander.

– Svedberg go zmienił.

– To gdzie, u diabła, podziewa się teraz Martinsson?

Tego akurat nikt nie wiedział. Kurt Wallander zadzwonił do dyżurnego i uzyskał informację, że Martinsson wyszedł godzinę temu.

– Dzwoncie do domu – polecił Wallander. Potem spojrzął na zegarek.

– Kolejne zebranie jutro o wpół do dziesiątej – powiedział. – A tymczasem dziękuję za dzisiaj i do zobaczenia.

Był już od jakiegoś czasu sam w pokoju, gdy dyżurny połączył go z Martinssonem.

– Przepraszam – tłumaczył się policjant. – Ale zapomniałem, że mieliśmy się spotkać.

– Jak tam z dziećmi?

– Diabli wiedzą, czy Rickard nie ma ospy.

– Ale ja się pytam o dzieci Lövgrenów. Ich dwie córki.

Martinsson odpowiedział zdumiony:

- Nie dostałeś mojego meldunku?
- Niczego nie dostałem.
- Zostawiłem jednej z dziewczyn w centrali telefonicznej.
- Zaraz sprawdzę, ale najpierw mi powiedz.

– Jedna z córek ma pięćdziesiąt lat i mieszka w Kanadzie. Gdzieś w Winnipeg. Całkiem zapomniałem, że u nich jest środek nocy, kiedy dzwoniłem. Nie chciała mi uwierzyć. Dopiero gdy jej mąż podszedł do telefonu, dotarło do nich, co się stało. Zresztą jej mąż też jest policjantem. Taki prawdziwy kanadyjski policjant, jeżdżący konno. Jutro mamy się jeszcze raz porozumieć, ale ona naturalnie przyleci tutaj jak najszybciej. Z drugą córką było więcej kłopotu, chociaż mieszka w Szwecji. Ma czterdzieści siedem lat i jest bufetową w Goteborgu, w Rubinie. Właśnie teraz trenuje drużynę piłki ręcznej i jest z nimi w Skien, w Norwegii. W tym Rubinie obiecali mi jednak, że ją zawiadomią, co się stało. Informację o innych krewnych Lövgrenów zostawiłem w centrali. Jest ich naprawdę dużo, przeważnie mieszkają w Skanii. Większość pewnie odezwie się jutro, jak przeczytają w gazetach.

– W porządku – powiedział Kurt Wallander. – Czy mógłbyś mnie zmienić w szpitalu, jutro o szóstej rano? Jeśli ona do tego czasu nie umrze.

– Przyjadę – zapewnił Martinsson. – Ale czy to na pewno dobrze, że będziesz tam siedział całą noc?

– Dlaczego nie?

– Przecież to ty masz prowadzić śledztwo. Powinieneś być wyspany.

– Jedną noc jakoś przeżyję – zakończył Kurt Wallander i rozłączył się.

Siedział zupełnie bez ruchu i patrzył przed siebie.

Czy my sobie z tym poradzimy? – myślał.

A może oni mają już zbyt wielką przewagę nad nami?

Włożył płaszcz, zgasił lampę na biurku i opuścił pokój. Korytarz prowadzący do recepcji był pusty. Kurt Wallander wsunął głowę do szklanej kabiny dyżurującej telefonistki, która przeglądała gazetę. Zdał sobie sprawę, że dziewczyna czyta

program wyścigów. Czy teraz wszyscy grają na wyścigach? – zdumiał się.

– Podobno Martinsson zostawił dla mnie meldunek? – spytał.

Telefonistka, imieniem Ebba, która pracowała w policji od ponad trzydziestu lat, uśmiechnęła się przyjaźnie i wskazała na ladę.

– Mamy tutaj jedną panienkę z pośredniaka dla młodzieży – wyjaśniła. – Ładna i miła, ale kompletnie niepojętna. Pewnie zapomniała ci to oddać.

Wallander skinął głową.

– Teraz wychodzę – powiedział. – Przypuszczam, że w domu będę za parę godzin. Jakby się coś stało, to dzwoń do mojego ojca.

– Chodzi ci o tę starą kobietę w szpitalu? – spytała Ebba. Wallander znowu skinął głową.

– Paskudna historia.

– Tak – przyznał. – Czasem się zastanawiam, co to się dzieje z tym krajem.

Gdy tylko przekroczył próg siedziby policji, lodowaty wiatr uderzył w niego z wielką siłą. Było przenikliwie zimno i musiał się mocno pochylać, kiedy biegł na parking do samochodu. Żeby tylko nie zaczął padać śnieg, myślał. Przynajmniej dopóki nie złapiemy tych drani z Lenarp.

Wsiadł do samochodu i długo grzebał w kasetach, które trzymał w podręcznym schowku. W końcu wybrał Requiem Verdiego i włożył kasetę do odtwarzacza. Kazał sobie zamontować w samochodzie kosztowne głośniki i teraz potężne tony zabrzmiały mu w uszach. Skręcił w prawo i pojechał Dragongatan w dół ku Österleden. Suche liście wirowały nad jezdnią, jakiś samotny cyklista pedałowal pod wiatr. Zegar w samochodzie wskazywał szóstą. Kurt Wallander znowu poczuł, że głód skręca mu kiszki, i skierował samochód w stronę baru przy stacji benzynowej OK. Zwyczajnie żywieniowe zaczął zmieniać od jutra, pomyślał. Bo jeśli przyjadę do ojca parę minut po siódmej, to usłyszę, że go zaniedbuję. Zjadł mnóstwo hamburgerów.

Pochłaniał je tak szybko, że dostał rozstroju jelit.

Siedząc w toalecie, stwierdził, że powinien zmienić kalesony.

Nagle poczuł ogromne zmęczenie.

Wstał dopiero, kiedy ktoś zaczął się gwałtownie dobijać do drzwi.

Nabrał benzyny i pojechał na wschód, przez Sandskogen, gdzie skręcił na drogę do Kasebergi. Jego ojciec mieszkał w małym domku, jakby porzuconym na polach między morzem a Löderup.

Była za cztery siódma, kiedy skręcił na podjazd przed domem.

Ten podjazd był przyczyną ostatnich i jak dotychczas najdłuższych nieporozumień Wallandera z ojcem. Dawniej podjazd był pięknie wybrukowany kocimi łbami i ów bruk znajdował się tu przynajmniej tak długo, jak dom należał do rodziny. Ale nieoczekiwanie pewnego dnia ojciec wbił sobie do głowy, żeby plac wysypać grubym żwirem. A gdy Kurt Wallander protestował, ojciec wpadał w furję.

– Nie potrzebuję tu żadnego zarządcy! – krzyczał.

– Dlaczego chcesz zniszczyć taki piękny kamienny bruk? – dopytywał się Kurt Wallander, po czym zaczęli się kłócić.

No i teraz bruk znajdował się pod warstwą grubego żwiru, który chrząścił pod kołami samochodu.

Zobaczył, że świeci się w gospodarczej przybudówce.

Następnym razem może to być mój ojciec, pomyślał nieoczekiwanie.

Ci, którzy mordują przy świetle księżyca, mogą go sobie upatrzeć jako ofiarę. I okraść. Albo zabić.

Nikt nie usłyszy jego wołania o pomoc. Nie przy tym wietrze. I nie w domu, z którego jest co najmniej pół kilometra do najbliższego sąsiada. Też zresztą sędziwego starca.

Wysłuchał do końca Dies irae, zanim wysiadł z samochodu i rozprostował plecy.

Otworzył drzwi i wszedł do przybudówki, która służyła ojcu za atelier. Tutaj malował swoje obrazy, którymi zajmował się przez całe życie.

Takie było jedno z najwcześniejszych wspomnień Kurta Wallandera. To, że jego ojciec zawsze pachniał farbami olejnymi i terpentyną. I że zawsze stał przed sztalugami

w granatowym kitlu i w gumowych butach z obciętymi cholewami.

Dopiero kiedy Kurt Wallander skończył sześć czy siedem lat, zauważył, że ojciec nie maluje ciągle tego samego obrazu.

Tylko że motyw jest wciąż ten sam i nigdy się nie zmienia.

Ojciec malował melancholijny jesienny pejzaż z gładkim jak lustro jeziorem, z pokrzywionym, pozbawionym liści drzewem w tle i majaczącym daleko nad horyzontem łańcuchem gór, otoczonych chmurami, mieniającymi się w nieprawdopodobnie jaskrawym blasku wieczornego słońca.

Od czasu do czasu dodawał głuszca, którego lokował na pieńku przy lewym brzegu obrazu.

W miarę regularnie ich dom odwiedzali panowie w eleganckich garniturach i z ciężkimi złotymi sygnetami na palcach. Przyjeżdżali zardzewiałymi furgonetkami albo wspaniałymi amerykańskimi limuzynami i kupowali obrazy, z głuszcami lub bez.

Tak więc ojciec malował przez całe życie jeden i ten sam motyw. Z jego obrazów, sprzedawanych na targach lub aukcjach, rodzina czerpała środki do życia.

Mieszkali w Klagshamn pod Malmö, w starej przebudowanej kuźni. Tam Kurt Wallander i jego siostra Kristina dorastali, a ich dzieciństwo było przesycone mdłym zapachem terpentyny.

Dopiero kiedy ojciec owdowiał, sprzedał kuźnię i przeprowadził się na wieś. Kurt Wallander nigdy właściwie nie zrozumiał dlaczego, ponieważ ojciec nieustannie skarżył się na samotność.

Kurt Wallander otworzył drzwi do przybudówki i zobaczył, że ojciec pracuje nad obrazem, na którym głuszca nie będzie. Właśnie teraz malował drzewo w tle. Wymamrotał jakieś pozdrowienie, nie przestając mazać pędzlem.

Kurt Wallander nalał sobie kawy z brudnego dzbanka stojącego na kopcącej maszynie spirytusowej.

Popatrzył na swojego ojca, który miał blisko osiemdziesiąt lat, był drobny i pochylony, ale zachował zdumiewająco dużo energii i siły woli.

Czy ja też będę tak wyglądał na starość? – pomyślał.

Jako dziecko byłem podobny do matki. Teraz jestem podobny do jej ojca. Może kiedy się zestarzeję, zacznę wyglądać jak własny ojciec?

– Weź sobie kawy – powiedział ojciec. – Ja zaraz skończę.

– Już wziąłem – odpowiedział Kurt Wallander.

– To sobie dolej – burknął ojciec.

Jest w złym humorze, pomyślał Kurt Wallander. To prawdziwy tyran z tymi swoimi humorami. Czego on właściwie ode mnie chce?

– Mam mnóstwo pracy – powiedział Kurt Wallander. – Szczerze mówiąc, będę pracował przez całą noc. Ale, jak rozumiem, ty czegoś ode mnie chciałeś?

– Dlaczego masz pracować całą noc?

– Muszę siedzieć w szpitalu.

– A to dlaczego? Ktoś jest chory?

Kurt Wallander westchnął. Chociaż sam przeprowadził setki przesłuchań, nigdy nie był w stanie przeciwstawić się tej stanowczości, z jaką odpytywał go własny ojciec. Zwłaszcza że ojciec nie był ani trochę zainteresowany jego pracą w policji. Wallander wiedział, że ojciec przeżył głębokie rozczarowanie, kiedy syn w osiemnastym roku życia postanowił zostać policjantem. Nigdy jednak nie zdołał się dowiedzieć, jakie nadzieje ojciec z nim wiązał.

Próbował o tym rozmawiać, ale nigdy mu się nie udało.

W tych rzadkich przypadkach, gdy miał okazję spotkać swoją siostrę Kristinę, która mieszkała w Sztokholmie i prowadziła zakład fryzjerski dla pań, próbował ją o to wypytywać, wiedział bowiem, że Kristina i ojciec mają dobry kontakt, ale i ona niewiele potrafiła wyjaśnić.

Pił letnią kawę i zastanawiał się, czy ojciec nie oczekiwał, że pewnego dnia on przejmie pędzel i przez kolejne pokolenie będzie malował ten sam pejzaż.

Nagle ojciec odłożył robotę i wytarł ręce w brudną szmatę. Kiedy zbliżył się, by sobie też nalać kawy, Kurt Wallander stwierdził, że bije od niego woń brudnego ubrania i niemytego ciała.

Jak się mówi własnemu ojcu, że od niego czuć? – zastanawiał się Kurt Wallander.

Może on tak się zestarzał, że sam już sobie nie radzi?

A co ja w takim razie mam zrobić?

Nie mogę wziąć go do siebie. To niemożliwe. Pozabijalibyśmy się nawzajem.

Obserwował ojca, który pocierał nos, siorbiąc równocześnie kawę.

– Nie odwiedzałeś mnie od bardzo dawna – powiedział starszy pan z wyrzutem.

– Jak to? Byłem tu przecież przedwczoraj!

– Pół godziny!

– Ale byłem.

– Dlaczego nie chcesz mnie widywać?

– Ależ chcę! Tyle że czasami naprawdę mam mnóstwo roboty.

Ojciec usiadł na starym zniszczonym taborecie, który zaskrzypiał pod jego ciężarem.

– Chciałem tylko porozmawiać o tym, że wczoraj odwiedziła mnie twoja córka.

Kurt Wallander jęknął.

– Linda tu była?

– Nie słyszałeś, co powiedziałem?

– Po co przyjechała?

– Chciała, żebym jej dał obraz.

– Obraz?

– W przeciwieństwie do ciebie ona ceni to, co robię. Kurt Wallander nie wierzył własnym uszom.

Linda nigdy nie okazywała zainteresowania dziadkowi. W każdym razie od czasu, kiedy dorosła.

– Naprawdę?

– Chciała obraz, przecież mówię. Ale ty mnie nie słuchasz!

– Słucham, słucham. Skąd do ciebie przyjechała? A może wiesz, dokąd pojechała? Jak się, do diabła, tutaj dostała? Czy wszystko muszę z ciebie wyciągać?

– Przyjechała samochodem – odparł ojciec. – Przywiózł ją młody mężczyzna o czarnej twarzy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Jak to o czarnej twarzy?

– Słyszałeś może o Murzynach? On był bardzo uprzejmy i świetnie mówił po szwedzku. Linda dostała obraz, a potem pojechali. Pomyślałem, że chciałbyś o tym wiedzieć, skoro macie ze sobą taki marny kontakt.

– Dokąd ona pojechała?

– Skąd mam to wiedzieć?

Kurt Wallander zdał sobie sprawę, że żaden z nich nie wie, gdzie Linda mieszka. Czasami nocowała u matki. Potem jednak znowu zniknęła gdzieś na swoich, nieznanym mu drogach.

Będę musiał porozmawiać z Moną, pomyślał. Rozwiedzeni czy nie, musimy ze sobą rozmawiać. Dłużej takiej sytuacji nie zniosę.

– Wypijesz kieliszek? – spytał ojciec.

Kurt Wallander najbardziej ze wszystkiego nie chciał alkoholu. Wiedział jednak, że odmowa na nic się nie zda.

– Chętnie, dziękuję – powiedział.

Przybudówka była połączona korytarzem z domem mieszkalnym, niskim i kiepsko umeblowanym. Kurt Wallander natychmiast zauważył, że w domu jest brudno, dawno nikt nie sprzątał.

On tego nie widzi, pomyślał. Ale dlaczego ja niczego nie widziałem?

W tej chwili zadzwonił telefon.

Ojciec odebrał.

– To do ciebie – oznajmił, nawet nie próbując ukrywać irytacji.

Linda, pomyślał Kurt Wallander. To na pewno Linda. Ale dzwonił Rydberg. Ze szpitala.

– Ona umarła – powiedział.

– Odzyskała przytomność?

– Odzyskała. Na dziesięć minut. Lekarze myśleli, że kryzys minął. Ale umarła.

– Powiedziała coś?

– Coś, co cię nie ucieszy.

– Przyjadę do szpitala.

– Lepiej od razu do siedziby policji. Mówię przecież, że ona umarła.

Kurt Wallander odłożył słuchawkę.

– Muszę iść – powiedział.

Ojciec spojrział na niego z wściekłością.

– Ty się w ogóle mną nie przejmujesz – syknął.

– Przyjadę znowu jutro – obiecał Kurt Wallander, zastanawiając się, co zrobi z tą ruiną, w której żyje jego ojciec.

– Na pewno przyjadę jutro. Posiedzimy sobie, pogadamy. Zrobimy coś do jedzenia. Możemy zagrać w pokera, jakbyś chciał.

Choć Kurt Wallander był kiepskim graczem, wiedział, że tą obietnicą udobrucha ojca.

– Będę u ciebie o siódmej – rzekł na pożegnanie. Potem pojechał z powrotem do Ystad.

Za pięć ósma wchodził przez te same szklane drzwi, które zamknął za sobą dwie godziny temu. Ebba skinęła mu na powitanie.

– Rydberg jest w pokoju jadalnym – poinformowała. Rzeczywiście, Rydberg siedział nad kubkiem kawy. Kiedy Kurt Wallander zobaczył jego twarz, wiedział, że czeka go coś nieprzyjemnego.

4

Kurt Wallander i Rydberg znajdowali się w pokoju jadalnym sami. Z oddali docierały do nich wrzaski jakiegoś pijaka, który głośno protestował przeciwko zamknięciu, poza tym panowała cisza. Słysząc było tylko lekki szum w kaloryferach.

Kurt Wallander usiadł naprzeciwko Rydberga.

– Zdejmij kurtkę – powiedział tamten. – Bo jak nie, to zmarzniesz, kiedy znowu wyjdiesz na tę wichurę.

– Najpierw chciałbym usłyszeć, co masz mi do powiedzenia. Potem zdecyduję, czy zdejmować kurtkę, czy nie.

Rydberg wzruszył ramionami.

– Ona umarła – rzekł.

– Tyle zdążyłem pojąć.

– Ale oprzytomniała na chwilę, zanim wydała ostatnie tchnienie.

– I mówiła coś?

– To chyba za dużo powiedziane. Szeptwała. Albo raczej charczała.

– Udało ci się nagrać to na taśmę? Rydberg potrząsnął głową.

– Nie mogłem. Właściwie bardzo trudno było zrozumieć, co mówi. Przeważnie było to tylko charczenie. Ale zapisałem to, co z pewnością zrozumiałem.

Rydberg wyjął z kieszeni notatnik bez okładki, opasany szeroką gumką, pod którą zatknięty był ołówek.

– Najpierw wypowiedziała imię męża – zaczął Rydberg.

– Myślę, że chciała zapytać, jak on się czuje. Potem mamrotała coś, czego żadną miarą nie mogłem pojąć. Wtedy próbowałem ją pytać: Kim byli ci, którzy przyszedli do was w nocy? Znaliście ich? Jak wyglądali? To były moje pytania. Powtarzałem je raz po raz, dopóki była przytomna. I myślę, że naprawdę dotarło do niej, co mówię.

– Co w takim razie odpowiedziała?

– Tylko jedno udało mi się zrozumieć. „Zagraniczny”.

– Zagraniczny?

– Właśnie tak. Zagraniczny.

– Czy miała na myśli to, że ludzie, którzy zamordowali ją i jej męża, byli cudzoziemcami?

Rydberg skinął głową.

– Jesteś pewien?

– A czy ja mówię, że jestem pewien, jak nie jestem?

– Nie.

– No to widzisz. Teraz przynajmniej wiemy, że jej ostatnim przesłaniem dla świata było słowo „zagraniczny”. I że wymówiła je w odpowiedzi na pytanie, kto dopuścił się tego obłąkanego czynu.

Wallander zdjął kurtkę i przyniósł sobie kubek kawy.

– Co ona, do diabła, mogła mieć na myśli?

– Też się nad tym zastanawiałem, czekając tu na ciebie – odparł Rydberg. – No więc oni mogli wyglądać jak nie-Szwedzi. Mogli rozmawiać w obcym języku. Mogli kaleczyć szwedzki. Jest wiele możliwości.

– A jak wygląda człowiek, który nie jest Szwedem? – zapytał

Wallander.

– Przecież wiesz, o co mi chodzi – burknął Rydberg. – Ściślej biorąc, można się domyślać, co jej się wydawało i co chciała przekazać.

– Ale też mogło to być tylko przywidzenie? Rydberg skinął głową.

– To jest najzupełniej możliwe.

– Chociaż niezbyt prawdopodobne?

– Dlaczego miałyby w ostatnim momencie życia mówić coś, co nie jest prawdą? Starzy ludzie na ogół nie kłamią.

Kurt Wallander napił się letniej kawy.

– To by znaczyło, że musimy zacząć szukać jednego lub więcej cudzoziemców – powiedział. – Wolałbym, żeby ona powiedziała co innego.

– Masz rację. To cholernie nieprzyjemna sprawa. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, każdy pogrążony we własnych myślach.

Krzyki pijaka na korytarzu ucichły. Było za dziewiętnaście dziewiąta.

– Wyobrażasz sobie – powiedział Kurt Wallander po chwili. – Wyobrażasz sobie taki tekst w gazecie: „Jedynie, co policja wie o sprawcach podwójnego morderstwa w Lenarp, to to, że prawdopodobnie są cudzoziemcami”?

– Ja mogę sobie wyobrazić coś o wiele gorszego – odparł Rydberg.

Kurt Wallander wiedział, co jego współpracownik ma na myśli.

Dwadzieścia kilometrów od Lenarp znajduje się duży ośrodek przejściowy dla uchodźców, który już wielokrotnie stawał się celem ataków ludzi nieprzyjaźnie usposobionych wobec obcych. Zdarzało się, że nocami palono na dziedzińcu ośrodka krzyże, rzucano kamieniami w okna, na fasadzie domu malowano sprayem wyzwiska. Ośrodek dla uchodźców w starym zamku Hageholm otwarto mimo gwałtownych protestów okolicznych mieszkańców. I protesty nadal się powtarzają.

Wrogość wobec uchodźców raz po raz rozpała się na nowo.

Poza tym Kurt Wallander i Rydberg wiedzieli coś, o czym miejscowa społeczność nie miała pojęcia. Otóż kilkoro spośród starających się o azyl mieszkańców Hageholm zostało przyłapanych na gorącym uczynku, kiedy próbowali się włamać do przedsiębiorstwa wypożyczającego maszyny rolnicze. Na szczęście właściciel firmy nie należy do wściekłych przeciwników przyjmowania w kraju uchodźców, udało się więc całą sprawę wyciszyć. Żadnego z mężczyzn, którzy dopuścili się przestępstwa, nie ma już w kraju, Szwecja odmówiła im azylu.

Ale Kurt Wallander i Rydberg wielokrotnie przy różnych okazjach rozmawiali o tym, co by się stało, gdyby sprawa wyszła na jaw.

– Trudno mi w to uwierzyć – powiedział Kurt Wallander – żeby jacyś starający się o azyl uchodźcy mogli popełnić morderstwo.

Rydberg patrzył na niego w zamyśleniu.

– Nie pamiętasz, co mówiłem na temat pętli?

– Coś o jakimś węźle?

– Nie rozpoznałem tego węzła. A wiem na ten temat sporo, w dzieciństwie wszystkie wakacje spędzałem pod żaglami.

Kurt Wallander z uwagą obserwował Rydberga.

– Do czego zmierzasz? – spytał.

– Otóż myślę, że ten węzeł nie został zawiązany przez kogoś, kto był członkiem szwedzkiego ruchu skautowskiego.

– Co, do cholery, chcesz przez to powiedzieć?

– Że węzeł zawiązała osoba pochodząca z zagranicy. Zanim Kurt Wallander zdążył zareagować, do pokoju jadalnego weszła Ebba, by nalać sobie kawy.

– Idźcie do domu i połóżcie się spać, jeśli będziecie w stanie zasnąć – poradziła im. – A poza tym nieustannie dzwonią dziennikarze i domagają się, żebyście im coś powiedzieli.

– O czym? – skrzywił się Kurt Wallander. – O pogodzie?

– Chyba się dowiedzieli, że kobieta umarła. Wallander popatrzył na Rydberga, który potrząsał głową.

– Dzisiaj wieczorem nie powiemy nic – oznajmił. – Poczekamy do rana.

Kurt Wallander wstał i podszedł do okna. Wiatr przybrał na sile, ale niebo nadal było bezchmurne. Zapowiada się jeszcze jedna mroźna noc.

– Raczej nam się nie uda ukryć prawdy, musimy powiedzieć, jak jest – westchnął. – Że ona przed śmiercią odzyskała przytomność i wykrztusiła parę słów. Jeśli jednak powiemy tyle, to musimy też ujawnić, co nam powiedziała. A wtedy wybuchnie awantura.

– Moglibyśmy spróbować zachować sprawę w tajemnicy – mruknął Rydberg, wstał z krzesła i włożył kapelusz. – Dla dobra śledztwa.

Kurt Wallander patrzył na niego zdumiony.

– I ryzykować, że się wyda, iż policja zataiła przed prasą ważną informację? Że osłanialiśmy cudzoziemskich przestępców?

– Ale wiele niewinnych osób może zostać poszkodowanych. Jak myślisz, co się będzie działo wokół ośrodka dla uchodźców, kiedy podamy, że policja poszukuje jakichś cudzoziemców?

Kurt Wallander wiedział, że Rydberg ma rację. Nagle ogarnęły go wątpliwości.

– Zostawmy to do jutra – powiedział. – Prześpijmy się i spotkajmy, tylko my dwaj, powiedzmy o ósmej. Wtedy zdecydujemy.

Rydberg skinął głową i pokuśtykał do drzwi. W progu przystanął i jeszcze raz odwrócił się do Wallandera.

– Istnieje możliwość, której nie powinniśmy lekceważyć – powiedział. – Że to rzeczywiście zrobili ludzie starający się o azyl.

Kurt Wallander wypłukał swój kubek po kawie i postawił go na suszarce.

Właściwie to mam taką nadzieję, pomyślał. Właściwie to mam nadzieję, że mordercy znajdują się w tym ośrodku dla uchodźców. Może w końcu coś by się zmieniło w tym litościwym, opiekuńczym stosunku do wszystkich, którzy z byle powodu chcą przekroczyć szwedzką granicę.

Ale tego, rzecz jasna, Rydbergowi powiedzieć nie mógł. Ten pogląd powinien zachować dla siebie.

Walcząc z wichurą, dotarł do samochodu.

Chociaż był bardzo zmęczony, nie miał ochoty wracać do domu.

Co wieczór samotność dawała mu się dotkliwie we znaki.

Włączył silnik i zmienił kasetę. Mroczne wnętrze samochodu wypełniły dźwięki uwertury do Fidelia.

Fakt, że żona opuściła go tak nagle, był dla niego kompletnym zaskoczeniem. Mimo że gdzieś w głębi duszy przyznawał, choć nie chciał tego zaakceptować, że już dawno odbierał ostrzeżenia zwiastujące nieszczęście. Były sygnały wskazujące, że żyje w małżeństwie, które powoli zaczyna się rozpadać. Pobrali się z Moną bardzo młodo i stanowczo za późno dostrzegli, że już nie mają ze sobą wiele wspólnego. Może było właśnie tak, że to Linda najwcześniej z nich trojga zareagowała na otaczającą wszystkich pustkę?

Kiedy Mona tamtego wieczora w październiku powiedziała, że chce rozwodu, poczuł się tak, jakby właściwie od dawna tego oczekiwał. Taka myśl oznaczała jednak zagrożenie, więc ją uparcie odsuwał i tłumaczył sobie, że ma teraz za dużo pracy, by się zajmować czym innym. Za późno zauważył, że Mona przygotowała zerwanie w najdrobniejszych szczegółach. W piątek wieczorem powiedziała, że chce się rozwieść, a już w niedzielę go zostawiła i przeprowadziła się do wynajętego zawczasu mieszkania w Malmö. To, że został porzucony, przepełniało go i wstydem, i złością. W tym piekle, bezsilny, gdy cały świat mu się zawałił, uderzył Monę w twarz.

Potem było już tylko milczenie. Żona zabrała większą część swoich rzeczy w ciągu dnia, kiedy nie było go w domu. Wiele jednak zostawiła i Kurt Wallander poczuł się głęboko zraniony tym, że Mona tak starannie zaplanowała swoje przyszłe życie, w którym nie będzie nawet miejsca na wspomnienie o byłym mężu.

Telefonował do niej. Późnym wieczorem ich głosy się spotykały. On, zżerany przez zazdrość, starał się dowiedzieć, czy żona rzuciła go dla innego mężczyzny.

– Dla innego życia – odpowiadała Mona. – Chcę zacząć inne życie, zanim będzie za późno.

Apelował do jej uczuć. To znowu zmieniał taktykę i starał się robić wrażenie mało zainteresowanego tym, co się stało. Prosił, by mu wybaczyła, że tak mało uwagi jej poświęcał, ale żadne jego zabiegi nie były w stanie zmienić jej decyzji.

Dwa dni przed Wigilią dostał pocztą papiery rozwodowe.

Kiedy otworzył kopertę i zobaczył, że jest po wszystkim, coś w nim pękło. Jakby w próbie ucieczki wziął na całe święta zwolnienie lekarskie i wybrał się w pozbawioną planu podróż, która zakończyła się w Danii. Nieoczekiwane śnieżyce odcięły go od świata w północnej części Zelandii i Wigilię spędził w nieogrzewanym pokoju pensjonatu w Gilleleje. Napisał wtedy do Mony bardzo długi list, który jednak potem podarł i wyrzucił do morza w symbolicznym geście świadczącym, że mimo wszystko zaczyna akceptować nową sytuację.

Dwa dni przed sylwestrem wrócił do Ystad i podjął służbę. Wieczór sylwestrowy spędził na wyjaśnianiu sprawy poważnego pobicia żony przez męża w Svarte i doznał przerażającego wrażenia, że i on mógłby tak potraktować Monę...

Muzyka Fidelia urwała się ze zgrzytem. Taśma musiała się zaciąć.

Automatycznie włączyło się radio, w którym akurat była transmisja meczu hokejowego.

Wyjechał z parkingu z postanowieniem, że wróci na Mariagatan, do domu. Mimo to pojechał w przeciwną stronę, drogą wzdłuż wybrzeża, prowadzącą w stronę Trelleborga i Skanör. Kiedy mijał stare więzienie, przyspieszył. Prowadzenie samochodu zawsze go uspokajało...

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że mimo wszystko jedzie w kierunku Trelleborga. Wielki prom właśnie wchodzi do portu i Kurt Wallander nieoczekiwanie postanawia się zatrzymać.

Pamiętał, że jacyś byli policjanci z Ystad pracują teraz w kontroli paszportowej na przejściu promowym w Trelleborgu. Przychodzi mu więc do głowy, że może któryś z nich ma służbę właśnie dziś wieczór.

Przechodzi przez teren portu skąpany w bladożółtym świetle. Ogromna ciężarówka z wielkim hukiem wyłania się z mroku

niczym upiorne przedpotopowe zwierzę.

Kiedy jednak mija drzwi, na których wisi tabliczka, że nieupoważnionym wstęp wzbroniony, okazuje się, że nie zna żadnego z dwóch dyżurujących policjantów...

Kurt Wallander ukłonił się i przedstawił. Starszy z policjantów miał szpakowate włosy i bliznę na czole.

– Przykra historia wam się trafiła – powiedział. – Złapaliście ich?

– Jeszcze nie – odparł Wallander.

Rozmowa się urwała, bo do kontroli zaczęli podchodzić pasażerowie promu. Przeważnie Szwedzi, którzy witali Nowy Rok w Berlinie. Było jednak również kilku Niemców ze wschodu, którzy korzystając ze świeżo odzyskanej wolności, przyjechali do Szwecji.

Po dwudziestu minutach zostało tylko dziewięcioro pasażerów, którzy na różne sposoby starali się wytłumaczyć, że zamierzają ubiegać się w Szwecji o azyl.

– Dzisiaj jest spokojnie – stwierdził młodszy z policjantów. – Czasami bywa, że na jednym promie przyjeżdża ze stu szukających azylu. Możesz sobie wyobrazić, co się wtedy dzieje.

Pięcioro z nowo przybyłych uchodźców należało do tej samej etiopskiej rodziny. Tylko jedno z nich miało paszport. Kurt Wallander nie mógł się nadziwić, jak zdołali odbyć taką długą podróż, przekroczyć tyle granic, mając tylko jeden paszport. Oprócz Etiopczyków na kontrolę oczekiwało dwóch Libańczyków i dwóch obywateli Iranu.

Kurt Wallander nie umiałby powiedzieć, czy wszyscy wyglądają na ludzi pełnych nadziei, czy raczej przerażonych.

– Co będzie z nimi dalej? – spytał.

– Przyjadą z Malmö, żeby ich zabrać – odparł starszy policjant. – Mają tam dyżur. Zawsze dostajemy informacje, ile osób bez paszportu płynie na konkretnym promie. Zdarza się, że musimy wzywać posiłki.

– A co się z nimi stanie w Malmö? – pytał dalej Wallander.

– Zostaną skierowani na jeden ze statków cumujących w Oljehamnen. Będą tam przebywać, dopóki nie wyślą ich gdzieś dalej. Jeśli oczywiście dostaną pozwolenie na pobyt

w kraju.

– A co myślisz o tych tutaj? Policjant wzruszył ramionami.

– Oni mogą dostać pozwolenie – odparł. – Napijesz się kawy?

Trochę potrwa, zanim przyplynie następny prom.

Kurt Wallander potrząsnął głową.

– Innym razem. Teraz muszę już wracać.

– Mam nadzieję, że ich złapiecie.

– Tak, ja też mam nadzieję – powiedział Wallander.

W drodze powrotnej do Ystad przejechał zająca. Kiedy zobaczył zwierzę w świetle reflektorów, przyhamował, ale zając rzucił się pod lewe przednie koło i padł z głuchym odgłosem. Nie zatrzymał się, by wysiąść i zobaczyć, czy zając jeszcze żyje. Nigdy tego nie robił.

Co się ze mną dzieje? – myślał.

W nocy spał niespokojnie. Tuż po piątej obudził się przerażony. Miał sucho w ustach, śniło mu się, że ktoś próbował go udusić. Kiedy zdał sobie sprawę, że już nie zaśnie, wstał i nastawił kawę.

Termometr za kuchennym oknem wskazywał minus sześć stopni. Uliczna latarnia kołysała się na wietrze. Usiadł w kuchni przy stole i rozmyślał o wczorajszej rozmowie z Rydbergiem. Stało się to, czego się najbardziej obawiał. Kobieta umarła, nie powiedziawszy niczego, co mogłoby ich naprowadzić na jakiś trop. Słowo „zagraniczny”, które padło z jej ust, było zbyt nieokreślone. Musiał uznać, że nie mają nic, za czym mogliby podążać.

Wpół do siódmej ubrał się; musiał długo szukać, zanim znalazł ciepły sweter, który zamierzał włożyć.

Kiedy wyszedł na ulicę, kąśliwy wiatr szarpał z wielką siłą. Kurt Wallander wyjechał na Österleden, a potem skręcił w główną drogę do Malmö. Przed spotkaniem z Rydbergiem o ósmej chciał ponownie odwiedzić sąsiadów zamordowanego małżeństwa. Nie mógł się pozbyć uczucia, że coś się w tym wszystkim nie zgadza. Napady na starych samotnych ludzi rzadko bywają przypadkowe. Zwykle poprzedzają je pogłoski o jakichś ukrytych pieniądzech. I nawet jeśli napady bywają brutalne, to raczej nie ma w nich piętna takiego metodycznego

zła, o jakim świadczy ostatnie miejsce zbrodni.

Ludzie na wsi wstają wcześniej, pomyślał, skręcając w wąską dróżkę prowadzącą do domu Nyströmów. Może zdążyli się już nad wszystkim dokładniej zastanowić?

Zatrzymał samochód i zgasił silnik. W tym samym momencie światło w kuchennym oknie zgasło.

Boją się, pomyślał. Może wyobrazili sobie, że to mordercy wracają?

Zostawił reflektory zapalone, wysiadł z samochodu i ruszył ku głównym drzwiom. Raczej przeczuł, niż zobaczył błysk od strony niewielkiego zagajnika obok domu. Ogłuszający huk sprawił, że rzucił się na ziemię. Jakiś kamień skaleczył go w policzek, przez moment miał wrażenie, że został trafiony.

– Policja! – krzyknął. – Nie strzelać! Nie strzelać, do cholery!

Tuż przy twarzy rozbłysło światło kieszonkowej latarki. Ręka trzymająca latarkę dygotała i światło kołysało się tam i z powrotem. Przed nim stał Nyström ze starą dubeltówką.

– To pan? – zdziwił się. Wallander wstał i otrzepał ubranie.

– W co pan celował? – spytał.

– Strzelałem w powietrze – odparł Nyström.

– Ma pan pozwolenie na broń? – pytał Wallander. – Bo jak nie, to będą nieprzyjemności.

– Trzymałem wartę w nocy – poinformował Nyström. Wallander słyszał w jego głosie, jak bardzo jest zdenerwowany.

– Zgaszę światła – powiedział Wallander. – A potem musimy pogadać. My obaj.

W kuchni na stole leżały dwa pudełka naboji do dubeltówki. Na kuchennej leżance Wallander zobaczył łom i wielki młot. Czarny kot siedział na parapecie i patrzył gniewnie, kiedy wchodzili. Gospodyni stała przy piecu, mieszając kawę w dzbanku.

– Skąd miałem wiedzieć, że to policja przyjechała – powiedział Nyström i roześmiał się przepraszająco. – Jeszcze bardzo wcześnie.

Kurt Wallander odsunął młot i usiadł.

– Ona umarła wczoraj wieczorem – rzekł. – Chciałem przyjechać i sam wam o tym powiedzieć.

Ilekróć Kurt Wallander był zmuszony przekazać wiadomość o śmierci, doznawał dziwnego uczucia nierzeczywistości. Mówić obcym ludziom, że ich dziecko lub ktoś bliski nie żyje, i robić to w godny sposób, nie, to niemożliwe. Dziecko, które wyszło na rower, zostało przejechane przez samochód w drodze z placu zabaw. Ktoś został pobity lub napadnięty, popełnił samobójstwo albo się utopił. Kiedy policjant staje w drzwiach, ludzie bronią się przed przyjęciem wiadomości.

Dwoje starych ludzi w kuchni milczało. Kobieta wciąż mieszała łyżką kawę w dzbanku. Mężczyzna gładził luźną dubeltówkę i Wallander usunął się dyskretnie z linii strzału.

– Ach tak, to Maria odeszła – rzekł mężczyzna przeciągle.

– Lekarze robili, co mogli.

– Może to i lepiej – powiedziała kobieta przy kuchni niespodziewanie gwałtownie. – Jak ona by żyła teraz, kiedy jego już nie ma?

Mężczyzna położył dubeltówkę na stole i wstał. Kurt Wallander zauważył, że boli go kolano.

– Pójdę dać koniowi siana – powiedział Nyström i włożył na głowę starą czapkę z daszkiem.

– Nie będzie panu przeszkadzało, jak pójdę z panem?

– spytał Kurt Wallander.

– Dlaczego miałoby mi przeszkadzać? – mruknął stary i otworzył drzwi.

Kobyła w stajni cicho zarżała, gdy weszli. Pachniało ciepłym nawozem, Nyström wprawna ręką wrzucił do żłobu naręcz siana.

– Później ci podścielę – powiedział, głaszcząc konia po grzywie.

– Dlaczego oni trzymali konia? – spytał Wallander.

– Pusta stajnia dla gospodarza, który przez całe życie miał konia, jest jak kostnica – odparł Nyström. – Ten koń to dla nich towarzystwo.

Kurt Wallander pomyślał, że równie dobrze może zacząć zadawać swoje pytania tutaj, w stajni.

– Powiedział pan, że trzymał wartę dziś w nocy. Boi się pan, i ja to mogę zrozumieć. Musiał się pan zastanawiać, dlaczego

właśnie oni zostali napadnięci. Musiał pan myśleć: Dlaczego oni? Dlaczego nie my?

– Oni nie mieli żadnych pieniędzy – powiedział Nyström.

– Ani niczego, co miałyby jakąś szczególną wartość. W każdym razie nic nie zginęło. Już to mówiłem temu policjantowi,

który przychodził tu wczoraj. Prosił, żebym się rozejrzył po domu. Jedyne, czego może brakuje, to stary zegar ścienny.

– Może?

– Bo mogło się zdarzyć, że wzięła go któraś z córek. Człowiek nie pamięta wszystkiego.

– Żadnych pieniędzy – mruknął Wallander. – I żadnych wrogów.

Nagle przysłała mu do głowy nowa myśl.

– A pan przechowuje pieniądze w domu? Czy można przypuszczać, że ci, którzy to zrobili, pomylili domy?

– Wszystko trzymamy w banku – odpowiedział Nyström.

– I my też nie mamy żadnych wrogów.

Wrócili do domu i napili się kawy. Kurt Wallander spostrzegł, że kobieta ma zaczerwienione oczy, jakby próbowała się wypłakać, kiedy oni byli w stajni.

– Nie zauważyliście w ostatnich dniach czegoś dziwnego?

– spytał. – Na przykład jakichś gości u Lövgrenów, których przedtem nie widzieliście?

Starzy spojrzeli po sobie i pokręcili głowami.

– A kiedy ostatnio z nimi rozmawialiście?

– Przedwczoraj byliśmy u nich na kawie – powiedziała Hanna. – Jak zwykle. Piliśmy u siebie nawzajem kawę codziennie. Raz u jednych, raz u drugich. Od ponad czterdziestu lat.

– Nie byli czymś przestraszeni? – pytał Wallander. – Ani zmartwieni?

– Johannes był przeziębiony – rzekła Hanna. – A poza tym wszystko wyglądało jak zawsze.

To beznadziejne. Kurt Wallander nie wiedział już, o co pytać. Każda odpowiedź, jakiej mu udzielano, była niczym kolejne zatraskujące się przed nim drzwi.

– Czy oni mieli jakichś znajomych z zagranicy, albo w ogóle cudzoziemców? – spytał.

Mężczyzna zdziwiony uniósł brwi.

– Cudzoziemców?

– No, jakichś nie-Szwedów – próbował tłumaczyć Wallander.

– Kilka lat temu jacyś Duńczycy w noc świętojańską rozbili namioty na ich łące.

Kurt Wallander spojrział na zegarek. Dochodziło wpół do ósmej. O ósmej miał się spotkać z Rydbergiem, a nie chciał się spóźnić.

– Postarajcie się – rzekł. – Przemyślcie wszystko jeszcze raz. Każdy szczegół, jaki wam przyjdzie do głowy, może nam pomóc.

Nyström odprowadził go do samochodu.

– Ja mam pozwolenie na broń – powiedział. – A poza tym nigdy do nikogo nie celowałem. Ja... bardziej na postrach.

– No to tym razem się panu udało – zażartował Wallander. – Myślę jednak, że w nocy powinien pan spać. Ci, którzy to zrobili, już nie wrócą.

– A pan mógłby spać? – spytał Nyström. – Mógłby pan spać, gdyby pańscy sąsiedzi zostali zaszlachtowani jak jakie zwierzęta?

Ponieważ Wallander nie znajdował rozsądnej odpowiedzi, wolał nie mówić nic.

– Dziękuję za kawę – mruknął tylko, wsiadł do samochodu i odjechał.

Na diabła to wszystko, myślał. Żadnego śladu, nic. Tylko ten dziwny węzeł Rydberga i słowo „zagraniczny”. Stare małżeństwo, żadnych pieniędzy pod materacem, żadnych antycznych mebli, a ludzie zamordowani w sposób, który mógłby wskazywać na inny niż rabunkowy motyw. Morderstwo z nienawiści albo z zemsty.

Coś przecież musi być, myślał. Coś, co nie byłoby normalne ani zwyczajne dla tych dwojga ludzi.

Żeby tak ich koń umiał mówić!

Coś w związku z tym koniem nie przestawało go niepokoić. Coś ledwo wyczuwalnego, jakiś cień przypuszczenia,

ale był zbyt doświadczonym policjantem, żeby lekceważyć własny niepokój. I wiedział, że to coś ma związek z koniem!

Za cztery minuty ósma hamował przed budynkiem policji w Ystad. Wiatr stawał się porywisty. Mimo to miał wrażenie, jakby się ocieplało.

Żeby tylko nie zaczął padać śnieg, pomyślał. Pomachał do Ebby, siedzącej na swoim miejscu w recepcji.

– Rydberg przyszedł? – zapytał.

– Jest w swoim pokoju – odparła Ebba. – Już wszyscy zaczęli od nowa telefonować. Telewizja, radio, gazety. Nawet komendant rejonowy.

– Powstrzymaj ich jeszcze chwilę – poprosił Kurt Wallander.

– Najpierw chciałbym porozmawiać z Rydbergiem.

Zanim poszedł do niego, wstał do siebie i zdjął kurtkę. Pokój Rydberga znajdował się nieco dalej przy tym samym korytarzu. Kiedy zapukał, odpowiedział mu niewyraźny pomruk.

Rydberg stał i wyglądał przez okno, nie sprawiał wrażenia wyspanego.

– Hej! – przywitał się Wallander. – Przynieść ci kawy?

– Chętnie. Ale bez cukru. Przestałem słodzić.

W pokoju jadalnym Wallander nalał kawy do dwóch plastikowych kubków i wrócił do pokoju Rydberga.

Przed drzwiami nagle stanął.

Ale co ja mam mu powiedzieć? – zastanawiał się. Czy to, że moim zdaniem powinniśmy trzymać w tajemnicy słowa Marii Lövgren, tłumacząc się dobrem śledztwa, czy raczej powinniśmy je ujawnić? Jaki właściwie jest mój pogląd w tej sprawie?

W ogóle nie mam żadnego poglądu, pomyślał zirytowany i czubkiem buta pchnął drzwi.

Rydberg siedział przy biurku i czesał swoje rzadkie włosy. Wallander opadł na fotel dla gości, który miał bardzo zniszczone obicie.

– Powinieneś się postarać o nowy fotel – powiedział.

– Przecież na to nigdy nie ma pieniędzy – burknął Rydberg i schował grzebień do szuflady.

Kurt Wallander postawił swoją kawę na podłodze, obok

fotela.

– Obudziłem się cholernie wcześniej dziś rano – poinformował. – Pojechałem więc jeszcze raz porozmawiać z Nyströmem. Stary zaczął się w krzakach i wygarnął do mnie z dubeltówki.

Rydberg wyciągnął palec w stronę jego policzka.

– To nie śrut – wyjaśnił Kurt Wallander. – Rzuciłem się na ziemię, jakiś kamień mnie drasnął. On twierdzi, że ma pozwolenie. Diabli wiedzą.

– Mieli coś nowego do powiedzenia?

– Nie. Nie było nic niezwykłego. Żadnych pieniędzy, nic. Jeśli nie kłamią, rzecz jasna.

– Dlaczego mieliby kłamać?

– No właśnie, dlaczego?

Rydberg przez chwilę siorbał kawę, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie.

– Czy wiesz, że policjanci są wyjątkowo narażeni na raka żołądka? – spytał.

– Nie słyszałem.

– Jeśli to prawda, to przyczyną jest ta okropna kawa, której tyle wypijamy.

– No tak, bo przecież właśnie nad kubkami kawy rozwiązujemy nasze problemy.

– Tak jak teraz? Wallander przekrzywił głowę.

– Na czym my właściwie moglibyśmy się oprzeć? Przecież nie mamy nic.

– Jesteś zbyt niecierpliwy, Kurt. – Rydberg spoglądał na niego, pocierając nos. – Wybacz mi, jeśli zachowuję się po mentorsku – powiedział. – Myślę jednak, że w tym przypadku powinniśmy się uzbroić w cierpliwość.

Ponownie podsumowali stan śledztwa. Technicy zebrali odciski palców na miejscu zbrodni i teraz porównywali je z odciskami w centralnym rejestrze policyjnym. Hansson ustalał, co się dzieje ze wszystkimi przestępcami, którzy napadli kiedykolwiek na starych ludzi, czy siedzą w więzieniu, a jeśli nie, to czy mają alibi. Rozmowy z mieszkańcami Lenarp i okolicznych terenów mają być kontynuowane, może coś

przyniosą ankiety, które rozdano ludziom. Zarówno Rydberg, jak i Wallander wiedzieli, że ystadzka policja wykonuje swoje zadania bardzo dokładnie i metodycznie. Prędzej czy później coś się pojawi. Jakiś trop, jakiś wątek, który poprowadzi ich dalej. Trzeba więc czekać. Metodycznie pracować i czekać.

– Motyw – powtarzał z uporem Wallander. – Jeśli motywem nie były pieniądze ani pogłoski o schowanych pieniądzech, to w takim razie co nim jest? Pętla? Musiałeś pomyśleć to samo co ja. Że takie podwójne morderstwo może oznaczać nienawiść albo zemstę. Albo i jedno, i drugie.

– Wyobraźmy sobie kilku zdesperowanych rabusiów – powiedział Rydberg. – Załóżmy, że byli absolutnie pewni, że Lövgrenowie mają gdzieś schowane pieniądze. Załóżmy, że byli naprawdę zdesperowani, a poza tym mieli w pogardzie ludzkie życie. W takiej sytuacji tortury nie są niczym niewyobrażalnym.

– Kto może być aż tak zdesperowany?

– Wiesz równie dobrze jak ja, że istnieje mnóstwo środków narkotycznych uzależniających w taki sposób, że człowiek gotów jest zrobić wszystko.

Kurt Wallander wiedział. Przyglądał się narastającej przemocy z bliska i prawie zawsze, przy każdym przestępstwie, w tle pojawiał się handel narkotykami. Nawet jeśli okręg ystadzki stosunkowo rzadko miał do czynienia z przybierającą na sile przemocą, to on nie żywił złudzeń i wiedział, że zło podpełza coraz bliżej.

W dzisiejszych czasach nie ma już żadnych stref wolnych, czystych, czy jak to nazwać. Mała, nikomu nieznaną miejscowość jak Lenarp jest tego znakomitym przykładem.

Poprawił się w niewygodnym fotelu.

– No to co robimy? – spytał.

– To ty jesteś tu szefem – odparł Rydberg.

– Chciałbym znać twój pogląd.

Rydberg wstał i podszedł do okna. Pomacał palcem ziemię w doniczce. Była sucha.

– Jeżeli chcesz wiedzieć, co ja myślę, to ci powiem. Pamiętaj jednak, że wcale nie będę się upierał przy swoim, wcale nie twierdzę, że mam rację. Myślę mianowicie, że cokolwiek

postanowimy, to i tak wybuchnie wrzawa. Ale może byłoby mimo wszystko rozsądnie poczekać parę dni. Jest przecież kilka spraw, które musimy zbadać.

– Co takiego?

– Czy Lövgrenowie mieli jakichś cudzoziemskich znajomych?

– Pytałem o to dzisiaj rano. Możliwe, że znali jakichś Duńczyków.

– No więc sam widzisz.

– To przecież chyba nie mogą być Duńczycy, którzy parę lat temu rozbili namiot na ich łące?

– Dlaczego nie? Cokolwiek to było, musimy sprawę zbadać. A poza tym oprócz sąsiadów są inni ludzie, których trzeba przesłuchać. Jeśli cię dobrze zrozumiałem wczoraj, to mówiłeś, że Lövgrenowie mieli liczną rodzinę.

Kurt Wallander uznał, że Rydberg ma rację. Dla dobra śledztwa nie należy wyjawiać, że policja szuka jednej czy więcej osób cudzoziemskiego pochodzenia.

– A co my właściwie wiemy o cudzoziemcach popełniających przestępstwa w Szwecji? – powiedział. – Czy Główny Zarząd Policji prowadzi w tej sprawie jakieś specjalne rejestry?

– Główny Zarząd ma rejestry w każdej sprawie – odparł Rydberg. – Posadź kogoś przy komputerze, niech się połączy z centralnym rejestrem przestępczości, a na pewno coś znajdziemy.

Kurt Wallander wstał. Rydberg spoglądał na niego zdumiony.

– Nie spytasz o węzeł? – wykrztusił.

– Zapomniałem.

– Podobno w Limhamn mieszka jakiś stary żaglomistrz, który wie wszystko o węzłach i supłach. Jakiś czas temu czytałem o nim w gazecie. Pomyślałem sobie, że może poświęciłbym trochę czasu i odszukał go. Nie żebym był pewien, że coś to da, ale w każdym razie...

– Chciałbym tylko, żebyś był na zebraniu – powiedział Kurt Wallander. – Potem możesz jechać do Limhamn.

O dziesiątej wszyscy zebrali się w pokoju Kurta Wallandera.

Wprowadzenie było bardzo krótkie. Wallander przekazał, co zmarła kobieta wykrztusiła z siebie, zanim skoła. Podkreślił,

że jest to wiadomość tajna, której nie wolno nikomu zdradzić. Nikt z zebranych najwyraźniej nie miał w tej sprawie obiekcji.

Martinssona posadzono przy komputerze, by przejrzał rejestry skazanych w Szwecji cudzoziemców. Policjanci, którzy mieli kontynuować przesłuchania w Lenarp, zbierali się do wyjścia. Wallander wyznaczył Svedberga, żeby się specjalnie zajął tą rodziną polską, która prawdopodobnie przebywa w kraju nielegalnie. Powinien się przede wszystkim dowiedzieć, dlaczego zamieszkali właśnie w Lenarp. Za piętnaście jedenasta Rydberg wyruszył do Limhamn, by szukać swojego zagłomistrza.

Kiedy Kurt Wallander został w pokoju sam, stał przez jakiś czas przed zawieszoną na ścianie mapą i uważnie ją studiował. Skąd przybyli mordercy? Z jakiej drogi korzystali potem?

Po chwili wrócił na miejsce przy biurku, zadzwonił do Ebby, żeby zaczęła łączyć te rozmowy, na które do tej pory nie miał czasu. Przez ponad godzinę rozmawiał z różnymi dziennikarzami. Dziewczyna z lokalnego radia się nie odezwała. Piętnaście po dwunastej do drzwi zapukał Noren.

– Nie powinienes być w Lenarp? – spytał Wallander zaskoczony.

– Powinienem – odparł policjant. – Ale jest taka sprawa, która nie daje mi spokoju.

Usiadł na brzeżku krzesła, ponieważ był przemoczony. Zaczęło padać, temperatura podskoczyła do kilku stopni powyżej zera.

– Możliwe, że to nic nie znaczy – powiedział Noren. – Tylko tak mi przyszło do głowy i...

– Większość rzeczy coś jednak znaczy – powiedział Wallander.

– Czy pamiętasz tego konia? – spytał Noren.

– Oczywiście, że pamiętam.

– Powiedziałeś, żebym dał mu siana.

– I wody!

– Tak, siana i wody. Ale ja tego nie zrobiłem. Kurt Wallander zmarszczył czoło.

– Dlaczego?

– Nie było potrzeby. Koń miał już siano. I wodę też. Wallander siedział przez chwilę w milczeniu i przyglądał się koledze.

– Mów dalej – powiedział w końcu. – Masz w związku z tym jakieś wnioski?

Noren wzruszył ramionami.

– Mielśmy konia, kiedy byłem chłopcem – powiedział. – Gdy stał w stajni i dostawał siano, to zjadał od razu wszystko, co mu włożono do żłobu. Więc ja po prostu myślę, że ktoś musiał dać temu koniowi siana i wody w nocy. Może jakąś godzinę przed naszym przybyciem.

Wallander wyciągnął rękę w stronę telefonu.

– Jeżeli masz zamiar dzwonić do Nyströma, to nie musisz – powiedział Noren.

Kurt Wallander opuścił rękę na biurko.

– Rozmawiałem z nim, zanim przyjechałem do ciebie. I on koniowi żadnego siana nie dawał.

– Umarli ludzie nie karmią swoich koni – powiedział Kurt Wallander. – Kto więc to zrobił?

Noren wstał.

– Wygląda to dziwnie – rzekł. – Najpierw morduje się jednego człowieka, potem zaciska się pętlę na szyi drugiego. A potem idzie się do stajni i daje koniowi siana. Kto, do diabła, robi coś tak dziwnego?

– No właśnie – rzekł Kurt Wallander. – Kto robi coś takiego?

– To pewnie nic nie znaczy – powtórzył jeszcze Noren.

– Albo wprost przeciwnie – odparł Wallander. – W każdym razie dobrze, że mi to powiedziałaś.

Noren pożegnał się i wyszedł.

Kurt Wallander siedział i rozmyślał o tym, co właśnie usłyszał.

To przecucie, które w sobie nosił, okazało się słuszne. Coś nie tak było z tym koniem.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu.

Znowu jakiś dziennikarz chciał z nim rozmawiać.

Za piętnaście pierwsza opuścił siedzibę policji. Chciał odwiedzić pewnego starego przyjaciela, którego nie widział od wielu lat.

Kurt Wallander skręcił z E-14 tam, gdzie specjalna tablica wskazywała drogę do ruin twierdzy Stjarnsund. Wkrótce potem przystanął, żeby się wysikać. Poprzez szum wiatru słyszał samoloty na lotnisku Sturup. Zanim ponownie wsiadł do samochodu, wytarł starannie glinę, która przylepiła mu się do butów. Zmiany pogody następowały bardzo szybko. Na termometrze wskazującym temperaturę na zewnątrz samochodu było teraz pięć stopni powyżej zera. Wiatr gnał po niebie poszarpane chmury.

Zaraz za ruinami twierdzy droga rozchodziła się w dwie strony i Wallander pojechał w lewo. Nigdy przedtem tu nie był, ale wiedział, że postąpił prawidłowo. Chociaż opisywano mu tę drogę ponad dziesięć lat temu, wciąż pamiętał każdy szczegół. Jego mózg był jak zaprogramowany, jeśli chodzi o drogi i w ogóle topografię.

Po mniej więcej kilometrze droga zrobiła się bardzo marna. Włókł się wolno naprzód i zastanawiał, jakim sposobem przedzierają się tędy większe pojazdy.

Droga kończyła się nagle stromym spadkiem, a oczom Wallandera ukazał się rozległy dwór z długim szeregiem stajni. Wjechał na dziedziniec i zatrzymał się. Stado wron wrzeszczało mu nad głową, kiedy wysiadał z samochodu.

Dziedziniec wydawał się okropnie zapuszczony. Otwarte drzwi jednej ze stajni łoskotały na wietrze. Przez moment Wallander zastanawiał się, czy mimo wszystko nie pomylił drogi.

Pustka, myślał. Zaniedbanie.

Skańska zima z wrzeszczącymi chmurami czarnych ptaków.

Glina lepiąca się do butów.

Nagle ze stajni wyszła młoda jasnowłosa dziewczyna. Przez chwilę zdawało mu się, że jest trochę podobna do Lindy. Takie same włosy, takie samo szczupłe ciało, te same energiczne ruchy przy chodzeniu. Przyglądał jej się uważnie.

Dziewczyna zaczęła ciągnąć drabinę, prowadzącą do

pomieszczenia nad stajnią.

Kiedy zobaczyła obcego, puściła drabinę i wytarła ręce o szare spodnie do konnej jazdy.

– Dzień dobry – powiedział Wallander. – Szukam Stena Widena. Dobrze trafiłem?

– Jest pan policjantem? – spytała dziewczyna.

– Jestem – potwierdził zdumiony Kurt Wallander. – A skąd wiesz?

– Można poznać po głosie – odparła dziewczyna i znowu zaczęła szarpać drabinę, która się chyba o coś na górze zaczepiła.

– Czy on jest w domu? – spytał Wallander.

– Niech mi pan pomoże z tym draństwem – powiedziała dziewczyna.

Teraz zauważył, że jeden ze szczebli drabiny zaklinował się między deskami, którymi były obłożone ściany stajni. Wziął drabinę i tak długo nią manewrował, aż uwolnił szczebel.

– Dziękuję – uśmiechnęła się dziewczyna. – Sten siedzi w biurze.

Pokazała czerwony budynek z cegły w pewnej odległości od stajni.

– Pracujesz tutaj? – spytał znowu Kurt Wallander.

– Tak – odparła, wspinając się szybko po drabinie. – A teraz proszę się odsunąć.

Zaskakująco silnymi ramionami zaczęła wyrzucać przez otwór bele siana. Kurt Wallander ruszył w stronę czerwonego budynku. Już miał zapukać do drzwi, kiedy zza narożnika domu wyszedł jakiś mężczyzna.

Po raz ostatni widział Stena Widena dziesięć lat temu. Mimo to nie miał wrażenia, by tamten jakoś specjalnie się zmienił. Te same zmierzwione włosy, ta sama szczupła twarz, nawet ta sama czerwona egzema nad górną wargą.

– Co za niespodzianka – rzekł mężczyzna z nerwowym śmiechem. – Myślałem, że to przyjechał kowal podkuć konie, a to ty. No, naprawdę, kopę lat...

– Jedenaście – uściślił Kurt Wallander. – Lato tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego.

– Lato, kiedy rozpadły się wszystkie marzenia – westchnął Sten Widen. – Napijesz się kawy?

Weszli do czerwonego budynku. Kurt Wallander stwierdził, że ściany czuć farbą olejną. W mrocznej hali stał nieduży zardzewiały kombajn zbożowy. Kiedy Sten Widen otworzył kolejne drzwi, wyskoczył przez nie duży kot, a Kurt Wallander wszedł do pokoju, będącego połączeniem biura i mieszkania. Pod jedną ścianą stało niezaścielone łóżko, obok telewizor i wideo, a na stole kuchenka mikrofalowa. Na starym fotelu stos niedbale rzuconych ubrań. Pozostałą część pokoju zajmowało wielkie biurko. Sten Widen nalał kawy z termosu stojącego obok telefonu na parapecie okiennym w głębokiej niszy.

Kurt Wallander myślał o tym, że Sten Widen musiał się pożegnać z marzeniami o karierze śpiewaka operowego. I o tym, jak obaj pod koniec lat siedemdziesiątych wyobrażali sobie swoją przyszłą karierę, której żaden z nich nie zdołał zrealizować. Kurt Wallander miał być impresariem, a Sten Widen tenorem, występującym na największych operowych scenach świata.

On sam był już wtedy policjantem. I jest nim nadal.

Kiedy Sten Widen zdał sobie sprawę, że ma za mały głos, by mogły się spełnić marzenia, przejął podupadłą stajnię swojego ojca i zajął się trenowaniem koni wyścigowych. Jego przyjaźń z Kurtem Wallanderem nie przetrwała tej próby, jaką było wspólne rozczarowanie. Dawniej widywali się codziennie, a teraz od ostatniego spotkania minęło jedenaście lat. Mimo że mieszkali nie dalej niż pięćdziesiąt kilometrów od siebie.

– Przytyłeś – powiedział Sten Widen, zdejmując z krzesła stos starych gazet.

– W przeciwieństwie do ciebie – burknął Kurt Wallander, lekko zirytowany.

– Ujeżdżanie koni nie sprzyja tyciu – zauważył Sten Widen i znowu roześmiał się tym swoim nerwowym śmiechem. – Chude kości i chude portfele. Z wyjątkiem wielkich trenerów, rzecz jasna. Taki Khan czy Strasser, ich stać na wiele.

– A tobie jak idzie? – spytał Kurt Wallander i usiadł na

krześle.

– Ani dobrze, ani źle – odparł Sten Widen. – Ani mi się specjalnie nie powodzi, ani też nie mam wyjątkowego pecha.

Zawsze jest w stajni jakiś koń, który sprawuje się, jak trzeba. Dobieram sobie parę młodych źrebaków i interes jakoś się kręci. Ale właściwie... – Przerwał, nie kończąc zdania.

Pochylił się i wyjął z biurka opróżnioną do połowy butelkę whisky.

– Napijesz się? – spytał.

Kurt Wallander potrząsnął głową.

– Nie wygląda dobrze, kiedy policjant prowadzi samochód po pijanemu. Nawet jeśli się to zdarza rzadko.

– W każdym razie na zdrowie – powiedział Sten Widen i pociągnął z butelki. Wyjął papierosa z pogniecionej paczki i szukał zapalniczki między papierami i programami wyścigów, zalegającymi biurko. – Jak się czuje Mona? – spytał. – I Linda? A twój ojciec? Jak to miała na imię twoja siostra? Kerstin?

– Kristina.

– A prawda, Kristina. Nigdy nie miałem dobrej pamięci, przecież wiesz.

– Nut nie zapomniałeś.

– Naprawdę?

Znowu napił się z butelki i Kurt Wallander zauważył, że Stena coś dręczy. Może nie powinien był tu przyjeżdżać? Może Sten nie chce, żeby mu przypominano o tym, co było kiedyś?

– Mona i ja... nasze małżeństwo się rozpadło. A Linda mieszka sama. Z ojcem wszystko w porządku. Wciąż maluje swój obraz. Myślę jednak, że zaczyna się skleroza, i szczerze mówiąc, nie wiem, co z nim pocznę.

– Wiedziałeś, że się ożeniłem? – spytał Sten Widen. Wallander miał wrażenie, że tamten wcale go nie słuchał.

– Nie, nie wiedziałem.

– Przejąłem to cholerne gospodarstwo. Kiedy ojciec w końcu uznał, że jest za stary, żeby się zajmować końmi, zaczął pić na poważnie. Dawniej miał jednak jakąś kontrolę nad tym, ile w siebie wlewa. Potem przestałem sobie radzić z nim i jego kolegami od kielicha. Ożeniłem się z jedną z dziewczyn, które

tu u nas pracowały. Głównie dlatego, że świetnie zajmowała się ojcem. Traktowała go tak, jak się traktuje stare konie. Nie wtrącała się w jego przyzwyczajenia, ale wyznaczała granice. Brała gumowy wąż i polewała go, kiedy był zbyt brudny. Ale kiedy ojciec zmarł, ona zaczęła cuchnąć tak jak przedtem on. Wtedy się rozwiodłem.

Łyknął znowu z butelki i Kurt Wallander zauważył, że Sten jest już trochę podchmielony.

– Codziennie myślę, że powinienem sprzedać tę stajnię – powiedział. – Jestem też właścicielem całej posesji i za wszystko razem mógłbym dostać jakiś milion. Po spłaceniu długów zostałoby mi może ze czterysta tysięcy. Wtedy kupię sobie dużą przyczepę kempingową i wyruszę w drogę.

– Dokąd?

– No, to jest właśnie problem. Nie wiem. Nie ma takiego miejsca, do którego chciałbym pojechać.

Kurt Wallander miał nieprzyjemne wrażenie, kiedy tego słuchał. Nawet jeśli na pierwszy rzut oka Sten Widen był tym samym człowiekiem co dziesięć lat temu, to w jego psychice zaszły chyba poważne zmiany. Przemawiał do dawnego przyjaciela głosem upiora, pękniętym i zrozpaczonym. Przed dziesięciu laty Sten Widen był radosny i prostolinijny, chętny do wspólnej zabawy. Dziś wyglądało na to, że cała jego radość życia gdzieś przepadła.

Dziewczyna, która pytała Kurta Wallandera, czy jest policjantem, jechała teraz konno przez podwórze.

– Kto to jest? – spytał Wallander. – Domyśliła się, że jestem policjantem.

– Ma na imię Louise – odparł Sten Widen. – Rzeczywiście mogła wyczuć w tobie glinę. Odkąd skończyła dwanaście lat, tułała się po różnych zakładach wychowawczych. Jestem jej kuratorem. Ma smykałkę do koni. Ale nienawidzi policjantów. Twierdzi, że została kiedyś przez jednego zgwałcona.

Znowu pociągnął solidny łyk z butelki i wskazał ręką na rozbebeszone łóżko.

– Sypia ze mną czasami – powiedział. – A przynajmniej tak to wygląda. Że to ona sypia ze mną, a nie odwrotnie. Bo to chyba

jest karalne?

– Dlaczego miałoby być? Przecież nie jest małoletnia?

– Ma dziewiętnaście lat. Ale czy kurator ma prawo sypiać ze swoimi podopiecznymi?

Kurt Wallander odniósł wrażenie, że Sten Widen zaczyna być agresywny.

Nagle pożałował, że tu przyjechał.

Nawet jeśli miał powód związany z prowadzonym śledztwem, żeby go odwiedzić, to teraz się zastanawiał, czy po prostu nie skorzystał z okazji. Czy nie spotkał się ze Stenem Widenem, żeby rozmawiać z nim o Monie? Czy nie szukał pociechy?

Sam już nie wiedział.

– Przyjechałem, bo chciałem porozmawiać z tobą o koniach – rzekł. – Być może czytałeś w gazetach o podwójnym morderstwie w Lenarp parę dni temu?

– Ja nie czytam żadnych gazet – odparł Sten Widen. – Czytam tylko programy wyścigów i listy startowe. To wszystko. Nie obchodzi mnie, co się dzieje na świecie.

– Zamordowano dwoje starych ludzi – ciągnął Kurt Wallander. – Ci ludzie mieli konia.

– Koń też został zamordowany?

– Nie. A nawet przeciwnie, zdaje się, że mordercy dali koniowi siana i wody, zanim uciekli. I o tym właśnie chciałem z tobą rozmawiać. He czasu koń potrzebuje na zjedzenie naręcza siana?

Sten Widen opróżnił flaszkę i zapalił kolejnego papierosa.

– Żartujesz sobie? – spytał. – Przyjeżdżasz tu, żeby mnie zapytać, ile czasu potrzebuje koń na zjedzenie garści siana?

– Szczerze powiedziawszy, to chciałem cię prosić, żebyś ze mną pojechał i obejrzał tego konia – powiedział Kurt Wallander, decydując się pospiesznie. Czuł, że ogarnia go złość.

– Nie mam czasu – uciął Sten Widen. – Kowal dzisiaj przyjeżdża, będzie kuł konie. Mam szesnaście takich, które potrzebują zimowych podków.

– A jutro?

Sten Widen patrzył na niego szklanym wzrokiem.

– Przewidziana jest jakaś zapłata? – spytał.

– Dostaniesz zapłatę.

Sten Widen zapisał na kawałku brudnego papieru numer swojego telefonu.

– No to może – powiedział. – Zadzwoń jutro z samego rana.

Kiedy wyszli na dziedziniec, Kurt Wallander zauważył, że wiatr znowu przybrał na sile.

Dziewczyna wciąż ujeżdżała wierzchowca.

– Piękny koń – powiedział.

– Masquerade Queen – poinformował Sten Widen. – Nigdy w życiu nie wygra ani jednej gonitwy. Jest własnością wdowy po burmistrzu Trelleborga. Szczerze jej powiedziałem, żeby sprzedała klacz do jakiejś szkółki jeździeckiej, ale ona wierzy, że zacznie wygrywać. A ja zarabiam swoje, trenując ją. Ale niech mnie diabli, jeśli ona kiedykolwiek coś wygra.

Pożegnali się przy samochodzie.

– Wiesz, jak umarł mój ojciec? – spytał nagle Sten Widen.

– Nie.

– Pewnej jesiennej nocy zabłąkał się w ruinach twierdzy. Zaszywał się tam od czasu do czasu z butelką, siedział i popijał. Potem stoczył się z wału do fosy i utonął. Fosa jest gęsto zarosnięta różnymi wodorostami, nic nie widać. Ale wypłynęła jego czapka z daszkiem. Na daszku był napis „Niech żyje życie”, to była reklamówka firmy organizującej seksturystykę do Bangkoku.

– Miło było cię zobaczyć – powiedział Kurt Wallander. – Zadzwonię jutro rano.

– Zrobisz, jak zechcesz – mruknął Sten Widen i odszedł w stronę stajni.

Kurt Wallander wyjechał z obejścia. W lusterku wstecznym widział jeszcze, że Sten Widen stoi i rozmawia z dziewczyną w siodle.

Po co ja tu przyjechałem? – pomyślał znowu.

Kiedyś, dawno temu, byliśmy przyjaciółmi. Mieliśmy wspólne, niemożliwe do spełnienia marzenie. Kiedy ono rozpadło się w proch, niczym troll w blasku słońca, nie zostało nic. Być może to prawda, że obaj kochaliśmy operę. Ale może i to było tylko wyobrażeniem?

Jechał szybko, jakby to jego wzburzenie naciskało pedał gazu. Zatrzymał się właśnie przy znaku stop, gdy zadzwonił telefon zamontowany w samochodzie. Połączenie było tak marne, że ledwo się domyślał, iż to Hansson do niego dzwoni.

– Najlepiej, żebyś przyjechał! – wrzeszczał Hansson. – Czy ty słyszysz, co ja mówię?!

– Co się stało? – krzyczał Kurt Wallander w odpowiedzi.

– Przyszedł tutaj jeden chłop z Hagestad i powiada, że on wie, kto zamordował tych dwoje! – wykrzykiwał Hansson.

Kurt Wallander poczuł, że serce bije mu szybciej.

– Kto?! – wołał. – Kto?

Połączenie zostało przerwane. W słuchawce słyhać było tylko trzaski i piski.

– Cholera jasna! – zaklął głośno sam do siebie. Pojechał z powrotem do Ystad. Stanowczo za szybko, myślał.

Gdyby Noren i Peters przeprowadzali dzisiaj kontrolę ruchu, tobym prowadził spokojnie.

Na wzniesieniu w centrum miasta silnik nagle zaczął parskać. Skończyła się benzyna.

Lampka kontrolna, która miała go o tym ostrzegać, przestała widocznie działać.

Zanim silnik ostatecznie zgasł, zdążył dojechać do stacji benzynowej nieopodal szpitala. Kiedy jednak włożył rękę do kieszeni po pieniądze do automatu, okazało się, że nie ma przy sobie nic. Na szczęście w budynku stacji benzynowej mieścił się zakład ślusarski, wymieniający zamki w drzwiach. Poznał jego właściciela parę lat temu przy jakimś włamaniu. Pożyczył teraz od niego dwadzieścia koron.

Ostro zahamował na parkingu i pospieszył do komendy. Ebba próbowała mu coś powiedzieć, ale machnął ręką, że teraz nie ma czasu.

Drzwi do pokoju Hanssona były otwarte, więc wszedł bez pukania.

Ale nikogo tam nie zastał.

Na korytarzu zderzył się z Martinssonem, który niósł plik wydruków komputerowych.

– Właśnie ciebie szukam – oznajmił Martinsson. – Wygrzebałem trochę materiału, który może się okazać interesujący. Diabli wiedzą, czy nie zrobili tego Finowie.

– Jak nie wiemy, kto popełnił przestępstwo, zawsze mówimy, że to pewnie Finowie – mruknął Kurt Wallander. – Ale teraz już nie zdążę na to popatrzeć. Wiesz może, gdzie się podział Hansson?

– O ile mi wiadomo, to nigdy ze swojego pokoju nie wychodzi.

– No to teraz wyszedł. Będziemy musieli go poszukać. Zajrzał do pokoju jadalnego, ale tam tylko któraś z sekretarek robiła sobie omlet.

Gdzie się podział ten cholerny Hansson? – myślał, otwierając drzwi do swojego pokoju.

Tam też go nie zastał. Zadzwoił do Ebby w centrali.

– Gdybyś tak nie pędził, tobym ci powiedziała, jak wchodziłeś – poinformowała Ebba. – Kazał ci przekazać, że idzie do banku. Konkretnie do Banku Związkowego.

– A co on tam ma do roboty? Szedł z kimś?

– Tak, ale nie wiem, kto to był. Kurt Wallander odłożył słuchawkę. Co ten Hansson kombinuje? Ponownie sięgnął po słuchawkę.

– Czy mogłabyś odszukać dla mnie Hanssona?

– W Banku Związkowym?

– No tak, skoro tam poszedł.

Bardzo rzadko prosił Ebbę o pomoc w szukaniu ludzi, z którymi chciał się skontaktować. Wciąż jeszcze nie zdążył się przyzwyczaić do myśli, że ma sekretarkę. Jeśli musiał coś załatwić, robił to sam. Dawniej sądził, że to nawyk wyniesiony z domu rodzinnego. Przekonanie, że tylko bogaci i wyniośli wysługują się innymi. Zlecenie komuś drugiemu szukania numeru w książce telefonicznej czy łączenia rozmowy uważał za niewybaczalne lenistwo...

Z rozmyślań wyrwał go dzwonek telefonu. To Hansson dzwonił z banku.

– Myślałem, że zdążę przed twoim powrotem – donosił. – Pewnie się zastanawiasz, co ja tu robię?

– Rany boskie, mów wreszcie!

- My chcieliśmy rzucić okiem na konto bankowe Lövgrenów.
- Jacy my?
- On się nazywa Herdin. Ale najlepiej będzie, jeśli sam z nim porozmawiasz. Wrócimy za pół godziny.

Minęła jednak godzina i kwadrans, zanim Kurt Wallander mógł nareszcie poznać człowieka nazwiskiem Herdin. Człowiek ten miał blisko dwa metry wzrostu, był chudy i żyłasty, a kiedy Kurt Wallander się z nim witał, miał wrażenie, jakby ścisnął dłoń olbrzyma.

– Trochę się nam zeszło – tłumaczył się Hansson. – Ale są rezultaty. Zaraz się dowiesz, co Herdin ma do powiedzenia. I co odkryliśmy w banku.

Wysoki Herdin siedział w milczeniu na krześle dla gości.

Kurt Wallander odnosił wrażenie, że z okazji wizyty na policji wystroił się w swoje najlepsze ubranie, choć był to tylko wyświechtany garnitur i koszula z postrzępionym kołnierzykiem.

– Myślę, że powinniśmy zacząć od początku – powiedział Kurt Wallander i wyjął notatnik.

Herdin patrzył przestraszony na Hanssona.

– Mam wszystko powtarzać? – spytał.

– Tak by chyba było najlepiej – stwierdził Hansson.

– To bardzo długa historia – zaczął Herdin niepewnie.

– Jak się pan nazywa? – spytał Kurt Wallander. – Myślę, że powinniśmy zacząć od tego.

– Lars Herdin. Mam gospodarstwo koło Hagestad. Czterdzieści mórg ziemi. Próbuje się utrzymywać z hodowli zwierząt rzeźnych. Ale idzie mi marnie.

– Mam jego datę urodzenia – wtrącił Hansson i Kurt Wallander domyślił się, że Hanssonowi spieszo do obstawiania gonitw.

– Jeśli dobrze rozumiem, to przyjechał pan do nas, by przekazać informacje dotyczące morderstwa małżonków Lövgren – powiedział Kurt Wallander, zły, że nie wyraża się prościej.

– Jasne, że to przez pieniądze – oznajmił Lars Herdin.

– Przez jakie pieniądze?

- Wszystkie, jakie mieli.
- Czy mógłby pan powiedzieć to jaśniej?
- No, przez niemieckie pieniądze.

Kurt Wallander spojrział na Hanssona, który dyskretnie wzruszył ramionami. Wallander wytłumaczył to sobie tak, że Hansson doradza mu cierpliwość.

– Powinniśmy pomówić o tym trochę dokładniej – powiedział. – Myśli pan, że mógłby nam pan podać nieco więcej szczegółów?

– Lövgren i jego ojciec dorobili się w czasie wojny – wyjaśnił Lars Herdin. – Trzymali bydło rzeźne na pastwiskach dzierzawionych gdzieś w Smalandii. Skupowali też konie nienadające się już do pracy. Potem szmuglowali je do Niemiec. Zarabiali na mięsie ciężkie pieniądze. Nikt nigdy ich na tym nie nakrył. Lövgren był chciwy i zarazem przebiegły. Pieniądze lokował w banku i z roku na rok mu przybywało.

- Ma pan na myśli ojca Lövgrena?
- Stary zmarł zaraz po wojnie. Ja mówię o Lövgrenie.
- Chce pan powiedzieć, że Lövgrenowie byli bogaci?
- Nie cała rodzina. Tylko Lövgren. Ona nic o tych pieniądzach nie wiedziała.

– Czyżby utrzymywał swój majątek w tajemnicy przed żoną?

Lars Herdin kiwał głową.

– Nikt nie był oszukiwany bardziej niż moja siostra – powiedział.

Wallander ze zdumienia uniósł brwi.

– Maria Lövgren była moją siostrą. Została zamordowana za to, że on ukrył swój majątek.

Kurt Wallander słyszał w jego głosie źle maskowane rozgoryczenie. A może to właśnie jest nienawiść, myślał.

- I te pieniądze były przechowywane w domu?
- Tylko czasami – odpowiedział Lars Herdin.
- Czasami?

– Kiedy Lövgren dokonywał swoich wielkich wypłat.

– Mógłby pan spróbować opowiedzieć mi o tym dokładniej?

Nagle jakby się coś otworzyło w tym chłopie ubranym w zniszczony garnitur.

– Johannes Lövgren był bydlakiem – oznajmił. – Lepiej, że go już nie ma. Ale że Maria musiała umrzeć, tego mu nigdy nie wybaczę...

Wybuch nastąpił tak nagle, że ani Kurt Wallander, ani Hansson nie byli w stanie zareagować. Lars Herdin chwycił ciężką szklaną popielniczkę, stojącą przed nim na stole, i z całej siły cisnął nią o ścianę, tuż obok głowy Wallandera. Kawalki szkła rozleciały się na wszystkie strony, jeden trafił Wallandera w górną wargę.

Zapadła przytłaczająca cisza.

Hansson wstał ze swojego krzesła, gotów w każdej chwili obezwładnić wielkiego Larsa Herdina. Ale Wallander dał mu znak ręką, żeby się nie ruszał, więc Hansson usiadł.

– Proszę o wybaczenie – powiedział Lars Herdin. – Jeśli macie tu szczotkę i śmietniczkę, to posprzątam. I pokryję szkody.

– Sprzątaczkę się tym zajmą – uspokoił go Kurt Wallander.

– Lepiej wróćmy do naszej rozmowy.

Lars Herdin znowu zdawał się całkiem spokojny.

– Johannes Lövgren był bydlakiem – powtórzył. – Udawał, że jest taki sam jak inni ludzie. Ale myślał tylko o pieniądzach, których on i tatuś nachapali się w czasie wojny. Potrafił narzekać, jaka to teraz drożyzna i jacy biedni są rolnicy. A miał pieniądze, których wciąż przybywało.

– I te pieniądze trzymał w banku? Lars Herdin wzruszył ramionami.

– W banku, w akcjach, w obligacjach, z tego, co wiem.

– Dlaczego czasami trzymał większe sumy w domu?

– Johannes Lövgren miał kochankę – oznajmił Lars Herdin.

– Miał babę w Kristianstad, która w latach pięćdziesiątych urodziła mu dziecko. O tym też Maria nie wiedziała. Ani o babie, ani o dziecku. A on tamtej dawał pewnie każdego roku więcej pieniędzy niż Marii przez całe jej życie.

– O jak duże pieniądze mogło chodzić?

– Dwadzieścia pięć, trzydzieści tysięcy. Dwa, trzy razy do roku. Brał pieniądze w gotówce. Potem znajdował jakąś wymówkę, by pojechać do Kristianstad.

Kurt Wallander zastanawiał się przez chwilę nad tym, co usłyszał.

Próbował ustalić, jakie pytania są teraz najważniejsze. Wyjaśnianie wszelkich szczegółów może potrwać wiele godzin.

– Co wam powiedzieli w banku? – spytał Hanssona.

– Jeśli się nie ma odpowiednich nakazów i innych papierów w porządku, to bank przeważnie nie udziela informacji – odparł Hansson. – Nie pozwolili mi zajrzeć do jego konta. Ale na jedno pytanie mimo wszystko dostałem odpowiedź. Czy mianowicie był w ostatnim czasie w banku.

– No i był? Hansson skinął głową.

– Był. W czwartek. Trzy dni przed tym, jak go zabili.

– Naprawdę?

– Jedna z kasjerek zapamiętała, jak wyglądał.

– I podjął jakąś większą sumę pieniędzy?

– Najpierw nie chcieli mi tak po prostu odpowiedzieć. Ale kiedy dyrektor się odwrócił, kasjerka skinęła głową.

– Musimy pogadać z prokuraturą, kiedy już spiszymy te zeznania – postanowił Kurt Wallander. – Wtedy będziemy mogli przejrzeć dokładnie jego konta.

– Pieniądze umazane krwią – syknął Lars Herdin. Wallander przestraszył się, że świadek znowu zacznie ciskać przedmiotami.

– Pozostaje nam jeszcze wiele pytań – powiedział. – Ale w tej chwili jedno jest ważniejsze od pozostałych. Jakim sposobem pan się o tym wszystkim dowiedział? O tym, co, jak pan twierdzi, Johannes Lövgren utrzymywał w tajemnicy przed swoją żoną. Chyba pan rozumie, że mnie to interesuje?

Lars Herdin nie odpowiadał na pytanie. W milczeniu wpatrywał się w podłogę. Kurt Wallander spoglądał na Hanssona, który potrząsał głową.

– Będzie pan nam to musiał powiedzieć – rzekł Wallander.

– Ja niczego nie muszę – burknął Lars Herdin. – To nie ja ich zamordowałem. Czy mógłbym zamordować własną siostrę?

Kurt Wallander próbował podejść do sprawy od innej strony.

– Ilu jeszcze ludzi wie o tym, co nam pan tu przed chwilą mówił?

Lars Herdin nie odpowiadał.

– Wszystko, co pan powie, zostanie w tych czterech ścianach – naciskał Wallander.

Lars Herdin wpatrywał się w podłogę. Kurt Wallander wyczuwał instynktownie, że powinien czekać.

– Mógłbyś nam przynieść trochę kawy? – powiedział do Hanssona. – I rozejrzyj się też za jakimś pieczywem.

Hansson zniknął za drzwiami.

Lars Herdin nie przestawał wpatrywać się w podłogę, a Kurt Wallander czekał.

Hansson wrócił z kawą i Lars Herdin zjadł suchą drożdżówkę.

Kurt Wallander uznał, że czas ponowić pytanie.

– Prędzej czy później będzie pan musiał powiedzieć – rzekł.

Lars Herdin uniósł głowę i spojrzał mu prosto w oczy.

– Już wtedy, kiedy brali ślub, czułem, że Johannes Lövgren jest kimś innym za tą fasadą przyjaznego i małomównego człowieka. Wyczuwałem w nim coś podstępnego. Maria to moja młodsza siostra. Chciałem, żeby było jej w życiu dobrze. Byłem podejrzliwy wobec Johanna Lövgrena od pierwszej chwili, kiedy zaczął się o nią starać i przychodzić do domu moich rodziców. Wyjaśnienie, kim naprawdę jest, zabrało mi trzydzieści lat. A jak do tego doszedłem, to już moja sprawa.

– Powiedział pan o wszystkim siostrze, kiedy pan zdobył pewność?

– Nigdy. Nawet słowem jej o tym nie wspomniałem.

– A komuś innemu? Na przykład swojej żonie?

– Nie jestem żonaty.

Kurt Wallander patrzył na człowieka, który siedział naprzeciwko. Było w nim coś twardego, zacieklego. Jakby jadał szare kamienie.

– Na dziś to ostatnie pytanie – powiedział Kurt Wallander.

– Wiemy już, że Johannes Lövgren miał mnóstwo pieniędzy. Może miał również dużą sumę w domu wtedy, kiedy został zamordowany. To będziemy musieli wyjaśnić. Ale kto mógł o tym wiedzieć? Kto oprócz pana?

Lars Herdin popatrzył na niego. Nagle Kurt Wallander dostrzegł w jego oczach błysk strachu.

– Ja o tym nie wiedziałem – wykrztusił Lars Herdin. Kurt Wallander skinął głową.

– Na tym teraz poprzestaniemy – rzekł i zamknął notatnik, w którym przez cały czas robił zapiski. – Jednak również w przyszłości będziemy potrzebowali pana pomocy.

– Mogę iść? – spytał Lars Herdin, wstając.

– Może pan – zgodził się Kurt Wallander. – Ale niech pan nigdzie nie wyjeżdża bez porozumienia się z nami. A gdyby chciał nam pan powiedzieć coś więcej, to po prostu proszę zadzwonić.

Przy drzwiach Lars Herdin przystanął, jakby rzeczywiście chciał coś jeszcze dodać, ale po chwili pchnął drzwi i wyszedł.

– Powiedz Martinssonowi, żeby go obserwował i niech prześwietli jego sprawy – rzucił Kurt Wallander. – Prawdopodobnie nic nie znajdziemy, ale lepiej mieć pewność.

– A co myślisz o tym, co on tu powiedział? Kurt Wallander zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Jest w nim coś przekonującego. Nie sędzę, by kłamał albo zmyślał, czy też puścił wodze fantazji. Wierzę, że odkrył podwójne życie swojego szwagra. I wierzę, że chciał oszczędzić siostrę.

– A nie myślisz, że on mógłby być zamieszany? Kurt Wallander nie miał żadnych wątpliwości:

– Lars Herdin ich nie zamordował. I nie sędzę też, by wiedział, kto to zrobił. Myślę, że przyszedł do nas z dwóch powodów. Chciał nam pomóc odnaleźć tego człowieka czy tych ludzi, którym by mógł jednocześnie podziękować i napluć w twarz. Tych, którzy zamordowali Johannesesa i jego zdaniem spełnili dobry uczynek. I tych, którzy zamordowali Marię i za to powinni zostać publicznie ścięci.

Hansson wstał.

– Powiem Martinssonowi. Chcesz coś jeszcze teraz? Kurt Wallander spojrzał na zegarek.

– Zrobimy zebranie, za godzinę u mnie. Spróbuj się skontaktować z Rydbergiem. Miał pojechać do Malmö szukać jakiegось żaglomistrza.

Hansson patrzył na niego, nic nie rozumiejąc.

– Pętla – rzekł Kurt Wallander. – Węzeł. Później zrozumiesz. Hansson wyszedł i Kurt Wallander został sam.

Mamy przełom, pomyślał. Każde udane śledztwo ma taki punkt, gdy przekraczamy ścianę. Nie wiemy dokładnie, co tam zastaniemy. Ale rozwiązanie znajduje się właśnie po tamtej stronie.

Podszedł do okna i patrzył, jak się zmierzcha. Chłód wdzierał się przez nieszczelne futryny, rozkołysana latarnia na ulicy świadczyła, że wiatr jeszcze się wzmógł.

Pomyślał o Nyströmie i jego żonie.

Przeżyli całe życie obok człowieka, który nie był tym, za kogo się podawał.

Jak zareagują, kiedy prawda wyjdzie na jaw?

Negacją? Rozgoryczeniem? Zdumieniem?

Wrócił do biurka i usiadł. Pierwsze uczucie ulgi na myśl, że oto dokonał się przełom, zwykle bardzo szybko mija.

Teraz istnieje jakiś prawdopodobny motyw, najpospolitszy ze wszystkich. Pieniądze. Ale wciąż jeszcze nie ukazał się palec, wskazujący we właściwą stronę.

Wciąż nie ma mordercy.

Kurt Wallander znowu spojrzął na zegarek. Jeśli się pospieszy, to zdąży dojechać do grilla na dworcu kolejowym i zjeść coś przed zebraniem. Niestety, musi odłożyć na później zmianę swoich nawyków żywieniowych.

Już miał wkładać kurtkę, kiedy zadzwonił telefon.

Równocześnie zapukano do drzwi.

Kurtka spadła na podłogę, kiedy podnosił słuchawkę, wołając przy tym:

– Proszę wejść!

W progu stanął Rydberg, trzymający w ręce dużą plastikową torbę, wyładowaną czymś po brzegi. W słuchawce odezwała się Ebba:

– Telewizja kategorycznie żąda kontaktu z tobą – oznajmiła.

Ale on już postanowił, że zanim znowu spotka się z mediami, najpierw musi porozmawiać z Rydbergiem.

– Powiedz, że jestem na zebraniu i kontakt ze mną będzie możliwy za pół godziny.

– To pewne? – Co?

– Że porozmawiasz z nimi za pół godziny? Telewizja nie lubi czekać. Uważają, że wszyscy powinni padać na kolana, kiedy tylko się odezwą.

– Ja nie padam na kolana przed ich kamerami. Ale mogę porozmawiać za pół godziny.

Odłożył słuchawkę.

Rydberg usiadł na krześle pod oknem. Papierową serwetką wycierał włosy.

– Mam dobre wiadomości – oznajmił Kurt Wallander. Rydberg nadal wycierał włosy.

– Myślę, że mamy motyw. Pieniądze. Myślę, że morderców należy szukać wśród ludzi, którzy w jakiś sposób znajdowali się w pobliżu Lövgrenów.

Rydberg wyrzucił mokrą serwetkę do kosza.

– Miałem cholerny dzień – powiedział. – Dobre wiadomości są mile widziane.

Kurt Wallander potrzebował pięciu minut, by zreferować Rydbergowi spotkanie z rolnikiem, Larsem Herdinem. Rydberg wpatrywał się ponuro w odłamki szkła na podłodze.

– Osobliwa historia – stwierdził, kiedy Wallander umilkł. – Wystarczająco osobliwa, by mogła być absolutnie prawdziwa.

– Spróbuję to jakoś podsumować – mówił dalej Kurt Wallander. – Otóż ktoś musiał wiedzieć, że Johannes Lövgren od czasu do czasu miewa w domu większą sumę pieniędzy. To nam daje motyw rabunkowy. A rabunek skończył się morderstwem. Jeśli to, co mówi o Johannesie Lövgrenie Lars Herdin, jest zgodne z prawdą, to był on człowiekiem niebywale skąpym, więc naturalnie nie chciał wyjawić napastnikom, gdzie schował pieniądze. Maria Lövgren, która niewiele rozumiała z tego, co działo się w domu w ostatnią noc jej życia, musiała towarzyszyć mężowi w zaświaty. Pytanie zatem, kto oprócz Larsa Herdina wiedział o tych nieregularnych, znacznych wypłatach pieniędzy. Znajdziemy odpowiedź na to, to będziemy mieć odpowiedź na wszystko.

Kiedy Wallander skończył, Rydberg siedział pogrążony w myślach.

– Czy o czymś zapomniałem? – spytał Wallander.

– Myślę o tym, co ona powiedziała przed śmiercią – rzekł Rydberg. – „Zagraniczny”. I myślę o tym, co mam w tej torbie.

Wstał i wysypał zawartość torby na biurko. Stos pociętych kawałków liny. A na każdym kunsztownie zawiązany węzeł.

– Spędziłem cztery godziny ze starym żaglomistrzem w mieszkaniu, które cuchnęło gorzej, niż można sobie wyobrazić – oznajmił Rydberg z ponurym grymasem. – Okazało się, że dziadek ma blisko dziewięćdziesiąt lat i bardzo zaawansowaną sklerozę. Zastanawiałem się, czy nie powiadomić jakichś służb socjalnych. Stary był taki otepiały, że wziął mnie za swojego syna. A sąsiadka powiedziała mi potem, że ten syn od trzydziestu lat nie żyje. Ale na supłach i węzłach to on się zna. Potrzebował czterech godzin, żeby mi wszystko wytłumaczyć. Te linki tutaj to prezent.

– Dowiedziałeś się tego, co cię interesowało?

– Stary popatrzył na pętlę i powiedział, że jego zdaniem węzeł jest niepoprawny. Potem straciłem mnóstwo czasu, próbując go skłonić, by powiedział coś więcej o tym niepoprawnym węźle. Raz po raz mi przysypiał. – Rydberg włożył linki z powrotem do plastikowej torby i mówił dalej: – Nagle zaczął opowiadać o czasach spędzonych na morzu. I wtedy powiedział, że taki węzeł widział w Argentynie. Podobno argentyńscy marynarze wiążą takie węzły na sznurowych obrożach swoich psów.

Kurt Wallander skinął głową.

– No to miałeś rację – westchnął. – To jest cudzoziemski węzeł. Pytanie tylko, jak to się ma do opowieści Larsa Herdina.

Wyszli na korytarz. Rydberg zniknął w swoim pokoju, natomiast Kurt Wallander poszedł do Martinssona, by przestudiować jego wydruki komputerowe. Okazało się, że istnieją zdumiewająco bogate statystyki dotyczące obywateli obcych państw, którzy popełnili bądź są podejrzewani o popełnienie przestępstwa w Szwecji. Martinsson zdążył sporządzić wykaz wcześniejszych napadów na starsze osoby. Co najmniej czterech przestępców, działając w pojedynkę lub jako członkowie bandy, dokonało w ostatnim roku w Skanii napadu

na starych, mieszkających na uboczu ludzi. Ale Martinsson ustalił także, iż wszyscy oni siedzą obecnie w różnych zakładach karnych. Czekał teraz na informację, czy któryś z nich nie był na przepustce w dniu morderstwa.

Zebranie grupy dochodzeniowej odbyło się w pokoju Rydberga, ponieważ jedna z urzędniczek zaoferowała się, że posprząta u Wallandera. Telefon dzwonił niemal bez przerwy, ale ona nie odbierała.

Zebranie trwało długo. Wszyscy byli zgodni co do tego, że zeznania Larsa Herdina oznaczają przełom. Teraz przynajmniej wiadomo, w jakim kierunku się posuwać. Przeanalizowali też ponownie wszystko, co zebrali podczas rozmów z mieszkańcami Lenarp, rozmów z ludźmi, którzy telefonowali na policję, oraz z odpowiedzi na rozesłaną ankietę. Szczególną uwagę zdawał się zwracać samochód, który późną nocą z niedzieli na poniedziałek minął wieś zaledwie kilka kilometrów od Lenarp. Kierowca ciężarówki, który wyruszał w drogę do Göteborga już o trzeciej nad ranem, spotkał ten samochód na wąskim zakręcie i omal nie doszło do zderzenia. Kiedy usłyszał o podwójnym morderstwie, zaczął się zastanawiać, a potem zadzwonił na policję. Długo oglądał zdjęcia różnych samochodów i w końcu powiedział, że mógł to być nissan, ale pewności nie miał.

– Nie zapominajcie o samochodach wypożyczanych – powiedział Kurt Wallander. – Dzisiaj ludzie są wygodni, zwłaszcza tacy, którym się spieszy. Włamywacze równie często pożyczają samochody, jak kradną.

Była już szósta, gdy zebranie dobiegło końca. Kurt Wallander stwierdził, że wszyscy jego współpracownicy są, można powiedzieć, w natarciu. Po wizycie Larsa Herdina w wydziale zapanował duch optymizmu.

Wrócił do swojego pokoju i przepisał na czysto notatki z rozmowy z Larsem Herdinem. Hansson zostawił mu też swoje, mógł więc porównywać. Natychmiast stwierdził, że Lars Herdin nie kręcił. Wszystko się zgadzało.

Tuż po siódmej odłożył papiery na bok. Nagle przypomniał sobie o telewizji, że ostatecznie się nie odezwali. Zadzwonił na

centrale, by zapytać, czy Ebba nie zostawiła dla niego jakiejś wiadomości, ale zastępująca ją dziewczyna powiedziała, że nie.

Tknięty jakimś przeczuciem, którego sam nie rozumiał, poszedł do pokoju jadalnego i włączył telewizor. Zaczynały się właśnie lokalne wiadomości. Oparty o blat stołu, w roztargnieniu oglądał materiał na temat złego zaopatrzenia sklepów w gminie Malmö.

Przyszędł mu na myśl Sten Widen.

I Johannes Lövgren, który w czasie wojny sprzedawał niemieckim nazistom mięso.

Myślał o sobie, o tym, że urósł mu stanowczo za duży brzuch.

Już miał wyłączyć aparat, kiedy kobieta na ekranie zaczęła mówić o podwójnym morderstwie w Lenarp.

Oslupiały słuchał, że policja w Ystad koncentruje się na poszukiwaniu jakichś, dotychczas nieznanych, obywateli obcego państwa. Policja jest przekonana, że przestępcy są cudzoziemcami. Nie można też wykluczyć, że chodzi o starających się o azyl uchodźców.

Na zakończenie reporterka mówiła też o nim.

O tym, że mimo wielokrotnie ponawianych prób niemożliwe okazało się spotkanie z kimś, kto mógłby skomentować informacje, uzyskane z anonimowego, lecz pewnego źródła.

Relacjonująca sprawę reporterka stała przed budynkiem policji w Ystad.

Po chwili zaczęła informować o pogodzie.

Od zachodu zbliża się sztorm, wiatr może się jeszcze wzmacniać. Nie ma natomiast obaw, że spadnie śnieg. Temperatura będzie się nadal utrzymywać na poziomie kilku stopni powyżej zera.

Kurt Wallander wyłączył telewizor.

Trudno mu było określić, czy jest wzburzony, czy tylko zmęczony. A może po prostu głodny.

A jednak informacje musiały wyciec z budynku policji.

Może teraz dostaje się zapłatę za przekazywanie poufnych wiadomości?

Czy nawet państwowa telewizja ma takie judaszowe pieniądze?

Kto? – zastanawiał się.

To może być każdy, z wyjątkiem mnie.

Ale dlaczego?

Czy istnieje jakieś inne wytłumaczenie oprócz pieniędzy?

Nienawiść rasowa? Lęk przed uchodźcami?

Wrócił do swojego pokoju, ale już na korytarzu słyszał dzwonek telefonu.

Dzień był długi. Najchętniej pojechałby do domu i zrobił sobie coś do jedzenia. Z westchnieniem usiadł jednak przy biurku i przysunął do siebie telefon.

Trudno, trzeba zacząć, pomyślał. Trzeba zacząć dementować podawane w telewizji wiadomości.

I mieć nadzieję, że w nadchodzących dniach żadne drewniane krzyże znowu nie zapłoną.

6

W nocy nad Skanią rozpełtał się sztorm. Kurt Wallander siedział w swoim nieposprzątanym mieszkaniu, a wichura szarpała pokryciem dachu. Pił whisky i słuchał niemieckiego nagrania Aidy, kiedy nagle zrobiło się wokół niego całkiem czarno i cicho. Podszedł do okna i wyjrzał w ciemność. Wiatr wył, gdzieś w pobliżu tłukł o ścianę blaszonym szyldem.

Na fosforyzującej tarczy zegarka zobaczył, że jest za dziesięć trzecia. Choć to dziwne, nie czuł się wcale zmęczony. Dopiero o wpół do dwunastej zdołał nareszcie wyjść z budynku policji. Jako ostatni zadzwonił mężczyzna, który nie chciał się przedstawić. Proponował, by policja połączyła siły z miejscowymi organizacjami nacjonalistycznymi i raz na zawsze przegoniła z kraju wszystkich cudzoziemców. Przez krótką chwilę próbował słuchać, co ów anonimowy mężczyzna ma do powiedzenia. Potem nacisnął na widełki i poinformował centralę, żeby nie łączyła już żadnych rozmów. Zgasił światło, przeszedł przez pogrążony w ciszy korytarz i prostą drogą pojechał do domu. Kiedy zamykał drzwi wejściowe, nagle postanowił, że spróbuje jednak ustalić, kto z policji przekazał telewizji poufne informacje. Właściwie to nie była jego sprawa.

W takich sytuacjach powinien interweniować szef, to jego obowiązek. Za kilka dni Björk wróci z zimowego urlopu. Wtedy się tym zajmie. Prawda musi wyjść na jaw.

Kiedy jednak Kurt Wallander wypił pierwszą szklaneczkę whisky, uznał, że Björk nie powinien nic robić. Chociaż każdy policjant jest zobowiązany do zachowania tajemnicy służbowej, to raczej nie należy traktować jak przestępstwa faktu, że któryś z nich zatelefonował do telewizji i wyjawiał, co rozważano na wewnętrznym zebraniu grupy dochodzeniowej. Z trudem też można by udowodnić, że telewizja zapłaciła swojemu tajnemu informatorowi. Kurt Wallander zastanawiał się przez chwilę, jak oni tam księgują tego rodzaju wydatki.

Potem pomyślał, że Björk chyba nie chciał roztrząsać kwestii wewnętrznej lojalności, kiedy ma na głowie śledztwo w sprawie morderstwa.

Po drugiej szklaneczce whisky znowu rozpatrywał, który to czy którzy z jego kolegów mogą stać za przeciekiem. Pominąwszy własną osobę, z całą pewnością mógłby wykluczyć z grona podejrzanych jedynie Rydberga. Ale dlaczego jest taki pewny Rydberga? Czy zna go lepiej niż któregokolwiek z pozostałych?

Burza pozbawiła miasto prądu, a on siedzi sam w ciemnościach. Myśli o zamordowanych małżonkach, o Larsie Herdinie i o dziwnym węźle na pętli mieszają się z myślami o bliskich. Pojawia się w nich Sten Widen i Mona, Linda i ojciec. A tuż obok w ciemnościach czai się kompletny brak sensu. Wykrzywiona grymasem twarz, która zawsze chichotała złośliwie i wyszydzała wszystkie próby zapanowania nad własnym życiem, jakie podejmował...

Ocknął się, kiedy włączyli prąd. Spojrzał na zegarek, spał ponad godzinę. Na adapterze kręciła się płyta. Dopił whisky i położył się na łóżku.

Muszę porozmawiać z Moną, myślał. Muszę porozmawiać z nią o tym, co się stało. I muszę porozmawiać z moją córką. Muszę odwiedzić ojca i zobaczyć, co mógłbym dla niego zrobić. A w środku tego wszystkiego powinienem też złapać i wsadzić do więzienia mordercę...

Znowu się zdrzemnął. Wydawało mu się, że jest w swoim biurze, kiedy zadzwonił telefon. Zaspany, poczłapał do kuchni i podniósł słuchawkę. Kto to dzwoni piętnaście po czwartej rano?

Zanim zdążył sobie odpowiedzieć, pomyślał, że najbardziej by chciał, żeby to była Mona.

Najpierw odniósł wrażenie, że mężczyzna mówi takim samym lekkim tonem jak Sten Widen.

– Teraz macie trzy dni, żeby to wszystko naprawić – zakomunikował mężczyzna.

– Kim pan jest? – spytał Kurt Wallander.

– Nie ma znaczenia, kim jestem – odpowiedział tamten.

– Jestem jednym z Dziesięciu Tysięcy Rycerzy.

– Nie mam zamiaru rozmawiać z kimś, kto nie chce się przedstawić – burknął Kurt Wallander, czując, że jest już całkiem rozbudzony.

– Tylko nie odkładaj słuchawki – powiedział mężczyzna.

– Teraz macie trzy dni, żeby naprawić to, że osłanialiście jakichś cudzoziemskich drani. Trzy dni, ani chwili dłużej.

– Nie rozumiem, o czym ty mówisz – odparł Kurt Wallander, w którym ów nieznamy głos wywoływał nieprzyjemne uczucia.

– Trzy dni na znalezienie morderców i pokazanie ich – powiedział tamten. – Bo jak nie, to my przejmujemy sprawę.

– Wy przejmiecie? Jacy wy?

– Trzy dni. Nie więcej. A potem zacnie się palić. Połączenie zostało przerwane.

Kurt Wallander zapalił kuchenną lampę i usiadł przy stole. Zapisał treść rozmowy w starym notatniku, którego Mona używała do robienia list zakupów. „Chleb” było napisane u samej góry. Nie potrafił odczytać, co zanotowała pod spodem.

Nie po raz pierwszy w ciągu swojej służby w policji Kurt Wallander odbierał anonimowe pogróżki. Kilka lat temu pewien mąż, który uważał, że został niesłusznie skazany za bicie żony, prześladował go, pisząc pełne insynuacji listy i wydzwanając po nocach. W końcu Mona zażądała, żeby zrobił z tym porządek. Kurt Wallander wysłał do niego Svedberga

z wiadomością, że wyląduje na parę lat w więzieniu, jeśli prześladowania się nie skończą. W innym przypadku ktoś porysował karoserię jego samochodu.

Jednak przesłanie tego mężczyzny było inne.

Powiedział, że będzie się palić. Kurt Wallander domyślał się, że palić może się wszystko, od ośrodków dla uchodźców, po restauracje i mieszkania, odwiedzane i zajmowane przez cudzoziemców.

Trzy dni. Może trzy doby. To oznacza czwartek, piątek, najpóźniej sobotę 13 stycznia.

Wrócił do sypialni, znowu położył się na łóżku i próbował zasnąć.

Wichura szarpała okiennicami i tłukła w ściany domu.

Jak miałby zasnąć, skoro wciąż czekał, że ten człowiek zadzwoni ponownie?

O wpół do siódmej był już znowu w budynku policji. Zamienił parę słów z dyżurnym i dowiedział się, że mimo sztormu noc minęła spokojnie. Jedna wielka ciężarówka przewróciła się przy wjeździe do Ystad, w Skarby wiatr zwałił rusztowanie na placu budowy. To wszystko.

Przyniósł sobie kawy i zamknął się w swoim pokoju. Starą maszynką do golenia, którą trzymał w szufladzie biurka, doprowadził do porządku zarost. Potem wyszedł po poranne gazety. Im dłużej je przeglądał, tym bardziej był rozczarowany. Bo choć wczoraj siedział przy telefonie do późnego wieczora i rozmawiał z mnóstwem dziennikarzy, to dementi w sprawie, że prowadzone przez policję śledztwo jakoby koncentruje się na jakichś cudzoziemcach, było zdecydowanie nieprzekonujące. Jakby gazety akceptowały prawdę wbrew własnej woli.

Postanowił zwołać na popołudnie kolejną konferencję prasową i przedstawić aktualny stan śledztwa. Poza tym chciał też poinformować o anonimowych pogrózkach, które odebrał w nocy.

Z półki za plecami zdjął segregator, w którym przechowywał informacje na temat wszystkich ośrodków przejściowych, znajdujących się w pobliżu. Oprócz wielkiego centrum dla

uchodźców w Ystad, w okręgu istniało wiele mniejszych ośrodków.

Tylko co właściwie wskazywało, że nienawiść skierowana będzie przeciwko placówkom dla uchodźców właśnie w okręgu Ystad? Nic. Poza tym mogła być równie dobrze skierowana przeciwko restauracjom czy zwykłym mieszkaniom. Ile na przykład znajduje się w okolicy punktów sprzedaży pizzy? Piętnaście? Więcej?

Co do jednej sprawy miał absolutną jasność. Nocne pogróżki należy traktować poważnie. W ostatnim roku miało miejsce zbyt wiele wydarzeń, które potwierdzały, że w kraju działają mniej lub bardziej zorganizowane siły, gotowe bez wahania zastosować przemoc wobec obywateli obcych państw oraz starających się o azyl uchodźców.

Popatrzył na zegar. Za piętnaście ósma. Podniósł słuchawkę i wykręcił domowy numer Rydberga. Po dziesięciu sygnałach zrezygnował. Rydberg jest w drodze.

Martinsson uchylił drzwi i wsunął głowę.

– Hej – powiedział. – O której dziś zebranie?

– O dziesiątej – odparł Kurt Wallander.

– Co za pogoda!

– Niech sobie wieje, byle tylko nie zaczął padać śnieg. Czekać na Rydberga, próbował odnaleźć kartkę, którą mu dał Sten Widen. Po wizycie Larsa Herdina uznał, że to może nie takie dziwne, iż ktoś dał koniowi siana w nocy. Gdyby przyjąć, że morderców należy szukać wśród znajomych Johanna i Marii Lövgrenów, a może nawet wśród ich krewnych, to musieliby oni znać również konia. Może też wiedzieli, że Johannes Lövgren ma zwyczaj chodzić nocą do stajni.

Chociaż trzeba przyznać, że miał jedynie niejasne wyobrażenie, co mógłby wnieść do śledztwa Sten Widen. Może chciał do niego zadzwonić przede wszystkim po to, by znowu nie stracić kontaktu na długie lata?

Nikt nie odpowiadał, choć czekał co najmniej minutę. Odłożył słuchawkę z postanowieniem, że za chwilę spróbuje jeszcze raz.

Pozostało kilka rozmów, które miał nadzieję załatwić, zanim przyjdzie Rydberg. Wykręcił więc kolejny numer i czekał.

– Prokuratura – odezwał się przyjemny kobiecy głos.
– Mówi Kurt Wallander. Czy jest tam gdzieś w pobliżu Akeson?

– Wziął urlop bezpłatny na cały rok. Zapomniałeś? Wallander zapomniał. Całkiem wypadło mu z głowy, że prokurator Per Akeson będzie się doksztalcał. Mimo że jedli razem obiad jeszcze w listopadzie, zapomniał o tym.

– Mogę cię połączyć z jego zastępcą.

– Bardzo cię proszę – powiedział Kurt Wallander. Ku jego wielkiemu zdziwieniu odezwała się kobieta:

– Anette Brolin.

– Chciałbym mówić z prokuratorem.

– To ja – odparła kobieta. – O co chodzi?

Kurt Wallander zdał sobie sprawę, że się nie przedstawił. Powiedział więc, jak się nazywa, i wyjaśnił:

– Chodzi o sprawę podwójnego morderstwa. Pomyślałem sobie, że pora już złożyć sprawozdanie urzędowi prokuratorskiemu z postępu śledztwa. Zapomniałem, że Per jest na urlopie.

– Gdyby pan teraz nie zadzwonił, to sama bym się odezwała po południu – powiedziała kobieta.

Kurt Wallander miał wrażenie, że słyszy w jej głosie wymówkę. Babsko, pomyślał. Nie ty będziesz mnie uczyć, jak policja ma współpracować z prokuraturą!

– Właściwie to mamy niewiele do przekazania – dodał, świadom, że w jego głosie brzmi rezerwa.

– Czy będziecie występować o nakaz zatrzymania kogoś?

– Nie. Chciałem tylko przekazać krótką informację.

– Dziękuję – powiedziała kobieta. – A zatem umawiamy się u mnie o jedenastej, dobrze? Piętnaście po dziesiątej mam sprawę o tymczasowe aresztowanie, do jedenastej powinnam wrócić.

– Dobrze, ale ja mogę się trochę spóźnić. O dziesiątej mamy zebranie grupy dochodzeniowej, więc gdyby się przeciągnęło, to...

– Niech się pan postara być o jedenastej.

Rozmowa się skończyła, a on siedział ze słuchawką w ręce.

Współpraca między policją a prokuratorami nie zawsze jest prosta. Mimo to Kurt Wallander zdołał zbudować oparte na zaufaniu, wolne od biurokratycznych obciążeń stosunki z Perem Akesonem. Często zwracali się do siebie nawzajem o radę. Rzadko się różnili, gdy w grę wchodziło tymczasowe aresztowanie lub zwolnienie warunkowe.

– Cholera – powiedział głośno sam do siebie. – Anette Brolin, kto to jest?

W tej samej chwili usłyszał z korytarza odgłos kuśtykania, którego nie mógłby z niczym pomylić. To Rydberg. Wystawił głowę przez drzwi i zaprosił go do siebie. Rydberg miał na sobie jakąś przedpotopową futrzaną kurtkę i beret. Kiedy siadał, krzywił się z bólu.

– Dokuczają? – spytał Kurt Wallander, wskazując na nogę.

– Deszcz znoszę dobrze – powiedział Rydberg. – I śnieg.

I mróz. Ale wiatru ta cholerna noga nie cierpi. Co u ciebie?

Kurt Wallander opowiedział o anonimowych pogroźkach, które odebrał w nocy.

– I co o tym myślisz? – spytał na koniec. – Twoim zdaniem to poważne czy nie?

– Poważne. W każdym razie musimy reagować tak, jakby było poważne.

– Pomyślałem, żeby zwołać dzisiaj po południu konferencję prasową. Przedstawimy stan śledztwa, skupimy się na opowieści Larsa Herdina. Nie wymieniając jego nazwiska, rzecz jasna. A potem ja powiem o pogroźkach. I podkreślę, że wszelkie pogłoski o cudzoziemcach są bezpodstawne.

– Chociaż to nieprawda – rzekł Rydberg w zamyśleniu.

– Co to znaczy?

– No, że kobieta powiedziała to, co powiedziała. A węzeł jest być może argentyński.

– A jak zamierzasz to wszystko połączyć z koncepcją, że rabunku mogli dokonać ludzie dobrze znający Johanna Lövgrena?

– Tego jeszcze nie wiem. Moim zdaniem jest za wcześnie na wnioski. A twoim nie?

– Wstępne wnioski – powiedział Kurt Wallander. – Cała

policyjna robota polega na wyciąganiu wniosków. Które się potem odrzuca lub opiera na nich dalsze śledztwo.

Rydberg zmienił pozycję chorej nogi.

– A jak zamierzasz postąpić w sprawie przecieku? – spytał.

– Zrobię awanturę na zebraniu – odparł Kurt Wallander. – Potem wróci Björk i niech się tym dalej zajmuje.

– A myślisz, że co on zrobi?

– Nic.

– No właśnie.

Kurt Wallander wyciągnął w górę obie ręce.

– Może najlepiej od początku przyjąć takie założenie i nic nie robić. Ten, który wszystko wypaplał, i tak nie spuści nosa na kwintę. A przy okazji, jak myślisz, ile telewizja płaci takiemu policjantowi, który wynosi poufne informacje?

– Prawdopodobnie zbyt dużo – rzekł Rydberg. – I dlatego nie ma pieniędzy, żeby robić dobre programy.

Rydberg wstał.

– Nie zapominaj o jednym – powiedział, kiedy już był przy drzwiach. – Policjant, który raz coś wypaplał, będzie paplał dalej.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ten ktoś będzie się upierał, że jeden z naszych tropów wskazuje na cudzoziemców. Co przecież jest prawdą.

– To nie jest żaden trop! – zawołał Kurt Wallander. – To jest ostatnie słowo zamroczonej, konającej kobiety.

Rydberg wzruszył ramionami.

– Zrobisz, jak zechcesz – powiedział. – Widzimy się za chwilę.

Zebranie potoczyło się tak źle, jak tylko może się potoczyć zebranie grupy dochodzeniowej. Kurt Wallander postanowił zacząć od przecieku i od tego, jakie konsekwencje może on za sobą pociągnąć. Potem chciał powiedzieć o anonimowych pogroźkach, które otrzymał przez telefon, i rozważyć różne warianty działania przed upływem terminu wyznaczonego przez jego nocnego rozmówcę. Kiedy jednak wyrzucał z siebie ze złością, że przypuszczalnie wśród obecnych jest ktoś nielojalny, kto przekazuje poufne informacje i może nawet bierze za to pieniądze, rozległy się równie gniewne protesty.

Wielu policjantów było zdania, że pogłoski mogły równie dobrze wyjść ze szpitala. Czyż nie było tam lekarzy i pielęgniarek, kiedy stara kobieta wypowiadała swoje ostatnie słowo?

Kurt Wallander starał się odpierać zarzuty, ale protesty nie ustawały. I gdy w końcu można było skierować dyskusję na stan śledztwa, w pokoju panowała nieprzyjemna, ciężka atmosfera. Wczorajszy optymizm ustąpił miejsca zniechęceniu i rozgoryczeniu, co nie było zbyt inspirujące. Kurt Wallander musiał uznać, że zaczął od złego końca.

Próby zidentyfikowania samochodu, z którym omal się nie zderzył kierowca ciężarówki, nie dały na razie rezultatów. By zwiększyć efektywność, do grupy przydzielono jeszcze jednego policjanta.

Badano przeszłość Larsa Herdina. Przy pierwszym podejściu nic godnego uwagi na jaw nie wyszło. Lars Herdin nie był karany, nie miał żadnych poważnych grzechów na sumieniu.

– Ale trzeba go bardzo dokładnie prześwietlić – podkreślał Kurt Wallander. – Musimy o nim wiedzieć wszystko, co można wiedzieć. Za chwilę mam się spotkać z prokuratorem. Zażądam odpowiednich papierów, byśmy mogli wejść do banku.

Tego dnia to Peters miał do przekazania najważniejszą informację.

– Johannes Lövgren miał dwa bankowe sejfy – oznajmił. – Jeden w Banku Związkowym, drugi w Handlowym. Doszedłem do tego, sprawdzając jego klucze.

– Bardzo dobrze – pochwalił Kurt Wallander. – Zajrzymy do nich po południu.

Nadal miało trwać ustalanie listy krewnych i znajomych Lövgrenów.

Postanowiono, że Rydberg zajmie się córką mieszkającą w Kanadzie, która miała właśnie tego dnia o trzeciej po południu przylecieć do Malmö.

– A co z drugą córką? – spytał Kurt Wallander. – Tą od piłki ręcznej.

– Już przyjechała – poinformował Svedberg. – Mieszka u krewnych.

– To ty z nią porozmawiasz – polecił Kurt Wallander. – Mamy jeszcze jakieś pomysły? A przy okazji, zapytajcie córki, czy któraś z nich dostała od rodziców zegar ścienny.

Martinsson miał pomysł, by wszystko, co dociera do policji, wpisywać do komputera. Później on zrobi selekcję, najbardziej niedorzeczne informacje odrzuci, a reszta będzie w każdej chwili dostępna.

– Dzwoniła Hulda Yngvesson z Vallby – poinformował na zakończenie. – Powiedziała, że to ręka niezadowolonego Boga wymierzyła cios.

– Ona zawsze dzwoni – westchnął Rydberg. – Nawet jak gdzieś chłopu zginie ciełe, to jest to kara niezadowolonego Boga.

– Umieściłem ją w pliku PW – wyjaśnił Martinsson. Atmosferę przygnębienia i zniechęcenia poprawił nieco śmiech, jaki tu i ówdzie dał się słyszeć, kiedy Martinsson rozszyfrował skrót PW jako pomyłeńcy i wariaci.

Innych interesujących propozycji na razie nie było. Ale wszystko musi być zrobione w swoim czasie.

Na koniec pozostała już tylko sprawa tajemnej kochanki Johannesy Lövgrena w Kristianstad i ich dziecka.

Kurt Wallander rozejrzał się po pokoju. Thomas Naslund, trzydziestoletni policjant, który nigdy nie robił wokół siebie zamieszania, za to był niezwykle skrupulatny w pracy, siedział teraz w kącie i słuchał, zagryzając dolną wargę.

– Thomas, ty pojedziesz tam ze mną – zwrócił się do niego Kurt Wallander. – Ale najpierw poczynisz pewne przygotowania. Zatelefonuj do Larsa Herdina i wypytaj o wszystko, co ma jakikolwiek związek z tą damą. I jej synem, oczywiście.

Konferencję prasową wyznaczono na godzinę czwartą. Do tej pory Kurt Wallander i Thomas Naslund powinni już wrócić z Kristianstad. Gdyby się spóźniali, Rydberg miał zacząć.

– Ja napiszę komunikat dla prasy – obiecał Kurt Wallander. – Jeśli nie ma innych spraw, to na tym byśmy skończyli.

Było za pięć wpół do dwunastej, kiedy pukał do drzwi prokuratora w drugiej części budynku policyjnego.

Kobieta, która otworzyła, była ładna i bardzo młoda. Kurt Wallander stał i gapił się na nią.

– Długo tak pan będzie stał? – spytała. – Już i tak spóźnił się pan pół godziny.

– Uprzedzałem, że zebranie może się przeciągnąć – odparł.

Prawie nie poznał pokoju, w którym teraz urzędowała Anette Brolin. Skąpo umeblowany, bezbarwny gabinet Pera Akesona zmienił się w przytulne pomieszczenie z kolorowymi firankami i mnóstwem roślin doniczkowych stojących wzdłuż ścian.

Obserwował ją, kiedy siadała za biurkiem. Pomyślał, że nie może mieć więcej niż jakieś trzydzieści lat. Miała na sobie rdzawobrazowy kostium, Wallander domyślał się, że dobrej marki i z pewnością bardzo drogi.

– Proszę, niech pan usiądzie – powiedziała. – Właściwie powinniśmy uścisnąć sobie ręce. Będę zastępować Akesona przez cały czas jego studiów, zanoszę zatem na długą współpracę.

Wyciągając rękę, zauważył, że kobieta nosi na palcu obrączkę. Ku własnemu zdziwieniu poczuł z tego powodu zawód.

Miała ciemnobrązowe włosy, krótko ostrzyżone.

– Witamy w Ystad – powiedział. – Muszę przyznać, że całkiem zapomniałem o tym urlopie Akesona.

– Chyba będziemy sobie mówić po imieniu, prawda? Jestem Anette.

– Kurt. Jak się czujesz w Ystad? Zbyła pytanie krótko:

– Jeszcze nie wiem. Ludziom ze Sztokholmu chyba na ogół trudno zrozumieć tę skańską powolność.

– Powolność?

– Spóźniłeś się pół godziny.

Kurt Wallander poczuł, że ogarnia go gniew. Czyżby robiła mu wymówki? Czy ona nie rozumie, że zebranie grupy dochodzeniowej może się przeciągnąć, i to znacznie? A może wszystkich mieszkańców Skanii ocenia jako ociężałych?

– Moim zdaniem nie wszyscy w Skanii są powolni. Tak jak chyba nie wszyscy w Sztokholmie są zadufani w sobie?

– Słucham?

– Nie, nic.

Odchyliła się na krześle. Wallander zdał sobie sprawę, że trudno jest mu patrzeć jej w oczy.

– No to może mógłbyś mnie najogólniej poinformować, jak się sprawy mają?

Kurt Wallander starał się mówić możliwie jak najzwężlej. Zauważył, że mimowolnie popada w ton usprawiedliwiania się.

O przecieku do telewizji nie wspomniał.

Potem ona zadała kilka krótkich pytań, na które odpowiedział. I stwierdził, że mimo młodego wieku jego rozmówczyni jest doświadczonym prokuratorem.

– Musimy mieć zezwolenie na wejście do banku i przejrzenie zawartości sejfów Lövgrena – powiedział na zakończenie. – Miał dwa sejfy – dodał. – Musimy otworzyć oba.

Podpisała papiery, o które prosił.

– Czy jakiś sędzia nie powinien tego zobaczyć? – spytał, kiedy mu je podsunęła.

– Załatwimy to później – odparła. – A poza tym będę wdzięczna za kopię krótkiej informacji o wynikach przeszukania.

Potwierdził skinieniem głowy i zaczął się zbierać do wyjścia.

– No a to, co piszą w gazetach? – spytała. – Że jacyś cudzoziemcy są jakoby zamieszani?

– Plotki – uciał Kurt Wallander. – Wiesz, jak to jest.

– Wiem? – spytała.

Kiedy już wyszedł z jej pokoju, stwierdził, że się spocił.

Ale laska, pomyślał. Jak, do diabła, ktoś taki jak ona może być prokuratorem? Poświęcać swoje życie na zamykanie drobnych złodziejasków i zaprowadzanie porządku na ulicach?

Stał w wielkiej policyjnej recepcji, nie bardzo wiedząc, co powinien dalej robić.

Jeść, postanowił. Jeśli teraz czegoś nie zjem, to potem nie będę miał czasu. Komunikat dla prasy mogę pisać przy jedzeniu.

Kiedy wyszedł na dwór, o mało go nie przewrócił gwałtowny podmuch wiatru.

Wichura nie zelżała.

Przyszło mu do głowy, że powinien pojechać do domu i zrobić

sobie jakąś lekką sałatkę. Choć prawie nic dzisiaj nie jadł, czuł w żołądku ciężki ucisk. Później jednak dał się skusić myśli, by raczej zjeść coś w barze niedaleko rynku. Również dzisiaj nie był jeszcze gotowy na radykalną zmianę diety.

Za kwadrans pierwsza znalazł się z powrotem w budynku policji. Ponieważ tym razem też jadł za szybko, znowu musiał pędzić do toalety. Kiedy żołądek się uspokoił, przekazał komunikat dla prasy jednej z urzędniczek, a sam poszedł do pokoju Naslunda.

– Nie mogę złapać Herdina – oznajmił tamten. – Podobno jest we Fyledalen na jakiejś zimowej wędrownicy z ludźmi z towarzystwa ochrony przyrody.

– W takim razie musimy tam jechać i go odszukać – stwierdził Kurt Wallander.

– Pomyślałem sobie, że równie dobrze mogę pojechać sam, a ty w tym czasie pójdziesz do banku obejrzeć sejfy. Skoro wszystko, co dotyczy tej kobiety i jej dziecka, było takie tajemnicze, to może znajdzie się jakaś informacja zamknięta w skrytce. W ten sposób oszczędzimy trochę czasu. Tak myślę.

Kurt Wallander przytaknął. Naslund miał rację. I parł do przodu niczym lokomotywa.

– Tak zrobimy – powiedział. – Jeżeli nie zdążymy dzisiaj, to do Kristianstad wybierzemy się jutro wcześniej rano.

Zanim wsiadł do samochodu, by pojechać do banku, próbował jeszcze połączyć się ze Stenem Widenem. Tym razem też nikt nie odebrał telefonu.

Kartkę z numerem zostawił Ebbie w recepcji.

– Spróbuj, może tobie się uda dodzwonić – powiedział. – I sprawdź, czy to dobry numer. Właścicielem jest Sten Widen, albo stajnia wyścigowa ma jakąś nazwę, której nie znam.

– Hansson będzie wiedział – uśmiechnęła się Ebba. – On obstawia wszystko, co się rusza.

– Gdyby było coś ważnego, to jestem w Banku Związkowym.

Zaparkował przy księgarni na rynku. Gwałtowny podmuch o mało mu nie wyrwał z ręki biletu z parkomatu. Miasto wyglądało jak opuszczone. Z powodu wichury ludzie nie wychodzili z domów.

Przystanął przed sklepem ze sprzętem radiowo-telewizyjnym. Zastanawiał się, czy nie kupić sobie wideo, żeby nie popadać wieczorami w przygnębienie. Patrzył na ceny i rozważał, czy w tym miesiącu stać go na taki wydatek. A może powinien raczej zainwestować w nową aparaturę muzyczną? Mimo wszystko to właśnie w muzyce szukał ukojenia, kiedy wiercił się nocą, nie mogąc zasnąć. Oderwał się jednak od wystawy i ruszył przed siebie, przechodząc obok chińskiej restauracji. Budynek Banku Związkowego znajdował się tuż obok. Kiedy wszedł przez oszklone drzwi, w niewielkim hallu stał tylko jeden klient, który głośno narzekał na strasznie wysokie odsetki od kredytu. Na lewo od kas znajdowały się drzwi do biura, teraz otwarte; widać było jakiegoś mężczyznę, studiującego wydruki komputerowe. Kurt Wallander uznał, że powinien się skierować właśnie tam. Zatrzymał się w drzwiach, a wtedy mężczyzna przy biurku zerwał się w takim popłochu, jakby zobaczył napastnika. Kurt Wallander wszedł dalej i przedstawił się.

– Nie bardzo nas to cieszy – powiedział mężczyzna, siadając ponownie za biurkiem. – Odkąd pracuję w tym banku, nigdy nie mieliśmy do czynienia z policją.

Opór urzędnika zezłościł Wallandera. Szwecja stała się krajem, w którym ludzie najbardziej się wściekają, kiedy czegoś się od nich chce. Nie ma nic bardziej świętego niż spokój i to, do czego przywykli.

– Takie jest życie – powiedział, wyjmując podpisane przez Anette Brolin papiery.

Mężczyzna przestudiował je uważnie.

– Czy to konieczne? – spytał w końcu. – Sens zakładania bankowych sejfów polega na tym, że ich zawartość ma być chroniona przed wzrokiem osób niepowołanych.

– To jest konieczne – odparł Kurt Wallander. – Nie mam, niestety, całego dnia do dyspozycji.

Urzędnik z głośnym westchnieniem wstał zza biurka. Kurt Wallander zauważył, że był mimo wszystko przygotowany na wizytę policji w banku.

Zeszli do podziemi, gdzie znajdował się skarbiec. Sejf

Johannesa Lövgrena ulokowano w narożniku, na samym dole. Kurt Wallander otworzył zamek, wyjął pojemnik i postawił go na specjalnie do tego przeznaczonym pulpicie. Następnie otworzył wieko i zaczął przeglądać zawartość. Było tam kilka listów zastawnych i wypisów z ksiąg hipotecznych, dotyczących gospodarstwa w Lenarp. Poza tym stare fotografie i pożółkła koperta z naklejonymi znaczkami pocztowymi. To wszystko.

Nic, po prostu nic, myślał Wallander. Nic z tego, na co miałem nadzieję.

Pracownik banku stał obok i obserwował jego ruchy. Kurt Wallander zanotował numer hipoteki oraz nazwiska widniejące na listach zastawnych. Potem zamknął sejf.

– To wszystko? – zdziwił się urzędnik.

– Na razie tak – odparł Kurt Wallander. – Teraz chętnie bym się przyjrzał stanowi jego konta w tutejszym banku.

Po drodze z podziemi przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

– Czy ktoś prócz Johannesa Lövgrena miał prawo dysponowania zawartością sejfu? – spytał.

– Nie – zaprzeczył urzędnik.

– A nie wiecie, czy on sam niedawno go otwierał?

– Sprawdzalem w książce wizyt – powiedział urzędnik. – Minęło wiele lat, od kiedy był tutaj po raz ostatni.

Rolnik wciąż jeszcze stał w hallu i pomstował na zbyt wysokie oprocentowanie kredytów. A teraz zaczął wykład na temat spadających cen zboża.

– Wszystkie informacje mam w swoim pokoju – powiedział urzędnik.

Kurt Wallander usiadł przy jego biurku i zaczął uważnie przeglądać dwa gęsto zapisane wydruki komputerowe. Johannes Lövgren miał cztery różne konta. W dwóch przypadkach Maria Lövgren była współwłaścicielką. Łączna suma na obu wynosiła dziewięćdziesiąt tysięcy koron. Trzecie pozostało z czasów, kiedy Johannes Lövgren prowadził jeszcze gospodarstwo. Było na nim sto trzydzieści dwie korony i dziewięćdziesiąt siedem öre. I wreszcie czwarte konto z wkładem wynoszącym blisko milion koron. Maria Lövgren nie została odnotowana jako współwłaścicielka. I stycznia

bieżącego roku zaksięgowano na nim prawie dziewięćdziesiąt tysięcy koron zysku z oprocentowania. 4 stycznia Johannes Lövgren podjął dwadzieścia siedem tysięcy koron.

Kurt Wallander spojrzął na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie biurka.

– Jak daleko wstecz możemy prześledzić operacje na tym koncie? – spytał.

– W zasadzie przez dziesięć ostatnich lat. Tylko że to, naturalnie, potrwa. Musimy poszukać w komputerach.

– Zaczniemy od ubiegłego roku. Chcę znać wszelkie ruchy na koncie w ciągu roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego.

Urzędnik wstał i wyszedł z pokoju. Kurt Wallander zaczął studiować drugi arkusz. Okazało się, że Johannes Lövgren miał blisko siedemset tysięcy koron ulokowanych w różnego rodzaju akcjach, którymi bank obracał.

Jak dotychczas opowieść Larsa Herdina potwierdza się co do joty, pomyślał.

Przypomniawszy sobie rozmowę z Nyströmem, który zapewniał, że jego sąsiad nie miał żadnych pieniędzy.

Jak mało człowiek wie o sąsiadach, westchnął.

Po niecałych pięciu minutach urzędnik wrócił. Podał Kurtowi Wallanderowi kolejny wydruk.

Wynikało z niego, że w ciągu ubiegłego roku Johannes Lövgren trzykrotnie podejmował pieniądze na łączną sumę siedemdziesiąt osiem tysięcy koron. Wypłat dokonano w styczniu, lipcu i wrześniu.

– Czy mogę zatrzymać te papiery? – spytał. Urzędnik skinął głową.

– Chciałbym porozmawiać z kasjerką, która ostatnio wypłacała Lövgrenowi pieniądze – poprosił.

– To Britta-Lena Boden – powiedział urzędnik. – Zaraz ją przyprowadzę.

Kobieta, która weszła do pokoju, była bardzo młoda. Kurt Wallander pomyślał, że ma nie więcej niż dwadzieścia lat.

– Ona wie, o co chodzi – poinformował urzędnik. Kurt Wallander przywitał się.

– No to proszę mówić – rzekł z uśmiechem.
– To było naprawdę bardzo dużo pieniędzy – zaczęła. – Inaczej nie pamiętałabym aż do dzisiaj.

– Czy on sprawiał wrażenie niespokojnego? Zdenerwowanego?

- O ile pamiętam, to nie.
- W jakich banknotach chciał wypłatę?
- Po tysiąc koron.
- Tylko po tysiąc?
- Dostał też kilka banknotów po pięćset koron.
- Gdzie je schował? Dziewczyna miała dobrą pamięć.
- Do brązowej teczki. Takiej starej, zapinanej na paski.
- Poznałabyś tę teczkę, gdybyś ją znowu zobaczyła?
- Możliwe. Miała zniszczony uchwyt.
- Jak zniszczony?
- Skóra popękała.

Kurt Wallander kiwał głową. Pamięć dziewczyny była imponująca.

- Pamiętasz coś jeszcze?
- Kiedy odebrał pieniądze, po prostu sobie poszedł.
- I był sam? – Tak.
- Nie widziałaś, czy ktoś na niego nie czekał przed bankiem?
- Tego z kasy nie można zobaczyć.
- A pamiętasz, która to była godzina? Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę.
- Niedługo potem poszłam na lunch. Musiało być koło dwunastej.

– Bardzo mi pomogłaś. Gdybyś sobie przypomniała coś jeszcze, to proszę zadzwonić.

Wallander wstał i wyszedł do hallu. Przystanął na moment i rozejrzał się. Dziewczyna miała rację. Z kasy nie można zobaczyć, czy ktoś nie stoi i nie czeka przed bankiem.

Hałaśliwy rolnik już sobie poszedł, zjawili się nowi klienci. Przy jednej z kas ludzie rozmawiający w jakimś obcym języku właśnie wymieniali pieniądze.

Kurt Wallander opuścił bank. Do gmachu Banku Handlowego przy Hamngatan było niedaleko.

Znacznie bardziej uprzejmy urzędnik zaprowadził go do podziemi. Kiedy Kurt Wallander otworzył tutejszy sejf, doznał głębokiego rozczarowania. Wewnątrz nie było absolutnie nic.

Także i tutaj sejf nie miał innego dysponenta oprócz Johannesesa Lövgrena, który wykupił go w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim.

– Kiedy on tu był ostatnio? – spytał Kurt Wallander. Odpowiedź, którą otrzymał, poderwała go z krzesła.

– Czwartego stycznia – oznajmił urzędnik, przestudiowawszy uważnie rejestr wizyt. – Dokładnie o trzynastej piętnaście. I zabawił dwadzieścia minut.

Mimo że Wallander przepytał cały personel, nie znalazł się nikt, kto by widział, czy Lövgren miał coś przy sobie, kiedy opuszczał bank. Nikt też nie mógł sobie przypomnieć jego teczki.

Dziewczyna z Banku Związkowego, pomyślał. Ktoś taki jak ona powinien zawsze być w każdym banku.

Kurt Wallander, walcząc z wiatrem, poszedł bocznymi uliczkami do cukierni u Fridolfa, gdzie wypił kawę i zjadł cynamonową bułeczkę.

Bardzo bym chciał wiedzieć, co Johannes Lövgren robił między godziną dwunastą a pierwszą piętnaście, myślał. Co robił między swoją pierwszą i drugą wizytą w banku. Chciałbym też wiedzieć, jak się dostał do Ystad? I czym stąd wyjechał? Samochodu przecież nie miał.

Wyjął notatnik i zgarnął ze stołu parę okruchów ciasta. Poświęcił pół godziny na sporządzenie listy pytań, na które jak najszybciej należało odpowiedzieć.

Wracając do samochodu, wstąpił do sklepu z męską odzieżą i kupił sobie parę skarpetek. Na widok ceny oniemiał, ale zapłacił bez protestu. Dawniej zawsze Mona kupowała mu ubrania. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio sam kupował skarpetki, ale nie potrafił.

Pod wycieraczką samochodu na przedniej szybie czekał na niego mandat za brak opłaty parkingowej.

Jeśli nie będę płacił, to w końcu zaczną mnie ścigać, pomyślał. A wtedy prokurator Anette Brolin będzie zmuszona pociągnąć

mnie do odpowiedzialności.

Wrzucił mandat do skrytki i ponownie stwierdził w duchu, że pani prokurator jest bardzo ładna. Ładna i pociągająca. Potem jednak musiał zacząć myśleć o cynamonowej bułeczce, którą przed chwilą zjadł.

Była trzecia, gdy Thomas Naslund nareszcie zatelefonował. Ale do tej pory Kurt Wallander zdążył już przesunąć wyjazd do Kristianstad na następną dzień.

– Jestem przemoczony do suchej nitki – raportował Naslund.

– Przez cały czas udeptywałem gliniaste pola w Fyledalen.

– Wyciśnij go porządnie – odpowiedział Kurt Wallander. – Nie ustępuj. Musimy wiedzieć wszystko, co on wie.

– Mam go przywieźć na policję? – spytał Naslund.

– Nie. Raczej ty jedź z nim do domu. Może łatwiej mu będzie mówić przy własnym kuchennym stole.

Konferencja prasowa rozpoczęła się o czwartej. Kurt Wallander szukał Rydberga, ale nikt nie wiedział, gdzie ten się podziwia.

Pokój był pełen dziennikarzy. Kurt Wallander spostrzegł, że reporterka z lokalnego radia też przyszła, i natychmiast postanowił, że po konferencji spróbuje wyjaśnić, co ona naprawdę wie o Lindzie.

Czuł bolesny skurcz w żołądku.

Przytłacza mnie to, myślał. A przecież ze wszystkim nie zdążę. Tropię ślady umarłych, a nie mam czasu zająć się żywymi.

Na ułamek sekundy jego świadomość wypełniło jedno jedyne pragnienie:

Skończyć z tym. Uciec. Zniknąć. Zacząć inne życie.

Po chwili jednak wszedł na niewielkie podwyższenie i powitał przybyłych na konferencję.

Wszystko trwało pięćdziesiąt siedem minut. Kurt Wallander miał wrażenie, że poradził sobie całkiem dobrze ze zdementowaniem wszelkich pogłosek, jakoby w związku z podwójnym morderstwem policja poszukiwała jakichś cudzoziemców.

Nie zadano mu żadnych pytań, na które odpowiedź nastęrczałaby trudności.

Kiedy schodził z podwyższenia, był z siebie dość zadowolony.

Dziewczyna z lokalnego radia czekała, aż Wallander skończy wypowiedź dla telewizji. Jak zawsze, kiedy kierowano na niego kamerę, denerwował się i zaczynał jąkać. Ale reporter nie miał zastrzeżeń i niczego nie chciał powtarzać.

– Powinniście się postarać o lepszych informatorów – powiedział, kiedy już skończyli.

– Możliwe – odparł reporter ze śmiechem.

Ekipa telewizyjna sobie poszła, a Wallander zaproponował dziennikarce z lokalnego radia, by przeszli do jego pokoju.

Przed mikrofonem denerwował się znacznie mniej niż przed kamerami.

Odpowiedział na wszystkie pytania i dziewczyna wyłączyła magnetofon. Kurt Wallander już miał ją zapytać o Lindę, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wkroczył Rydberg.

– Zaraz kończymy – rzekł Wallander.

– Już skończyliśmy – odparła dziennikarka, wstając. Kurt Wallander patrzył w ślad za nią, zaskoczony. Nie zdążył nawet napomknąć o Lindzie.

– Nowe zmartwienia – poinformował Rydberg. – Właśnie dzwoniли z ośrodka dla uchodźców tu, w Ystad. Nagle na dziedziniec wjechał bardzo szybko jakiś samochód, zawrócił i ktoś cisnął na głowę jakiegoś dziadka z Libanu worek zgniłych warzyw.

– Cholera jasna! – syknął Wallander. – I co z nim?

– Jest w szpitalu, opatrzyli go, ale kierownik bardzo się niepokoi.

– Udało im się zapisać numery rejestracyjne samochodu?

– Niestety, wszystko stało się zbyt szybko. Kurt Wallander zastanawiał się przez chwilę.

– Teraz nic specjalnego robić nie będziemy – powiedział.

– Jutro wszystkie gazety z całą stanowczością zdementują pogłoski o cudzoziemcach. Telewizja zrobi to jeszcze dzisiaj wieczorem. A później można mieć tylko nadzieję, że sytuacja się uspokoi. I trzeba poprosić nocne patrole, żeby zwróciły szczególną uwagę na uchodźców.

– Zaraz przekażę wiadomość – obiecał Rydberg.

– Ale potem tu wróc, to zrobimy krótkie podsumowanie – poprosił Kurt Wallander.

Było wpół do dziewiątej, kiedy skończyli pracę.

– No i co o tym wszystkim myślisz? – spytał Wallander, zbierając papiery.

Rydberg pocierał w zamyśleniu czoło.

– To jasne, że trop Herdina jest słuszny – stwierdził.

– Trzeba tylko odnaleźć tę tajemniczą damę i jej syna. Wiele wskazuje na to, że rozwiązanie być może znajduje się w zasięgu ręki. Tak blisko, że go nie dostrzegamy. Ale równocześnie...

Rydberg przerwał w pół zdania.

– Równocześnie?

– Nie wiem – zastanawiał się Rydberg. – Jest w tym coś dziwnego. Także w tej pętli. Naprawdę nie wiem, co, ale coś jest.

Wzruszył ramionami i wstał.

– Wrócimy do tego rano – powiedział.

– Pamiętasz może jakąś brązową starą teczkę w domu Lövgrenów? – spytał Kurt Wallander.

Rydberg pokręcił głową.

– Nie pamiętam – odparł. – Ale przecież tam z szaf wypadło mnóstwo wszelkiego śmiecia. Ciekawe, dlaczego starzy ludzie stają się jak wiewiórki?

– Poślij tam kogoś jutro wcześniej rano, żeby poszukał takiej teczki – poprosił Kurt Wallander. – Uchwyt jest zniszczony.

Rydberg poszedł. Wallander widział, że chora noga bardzo mu dokucza. Pomyślał, że powinien sprawdzić, czy Ebba dodzwoniła się do Widena, ale potem zmienił zdanie. Zamiast tego odszukał w służbowej książce telefonicznej domowy numer Anette Brolin. Ku swemu zdziwieniu odkrył, że mieszkają niemal po sąsiedzku.

Mógłbym zaprosić ją na obiad, pomyślał.

Zaraz jednak przypomniał sobie, że przecież ona nosi obrączkę.

Pojechał do domu przez targane wichurą miasto i wziął kąpiel. Potem położył się na łóżku i kartkował biografie Giuseppe Verdiego.

Ocknął się gwałtownie po paru godzinach, bo zmarzł.

Na ręcznym zegarku zobaczył, że jest kilka minut po północy. Był bardzo przygnębiony tym, że się obudził. Teraz znowu nie będzie mógł zasnąć.

Powodowany zniechęceniem postanowił się ubrać. Uznał, że równie dobrze może kilka nocnych godzin spędzić w biurze.

Kiedy wyszedł na ulicę, stwierdził, że wiatr ustał, ale znowu zrobiło się chłodniej.

Śnieg, pomyślał. Wkrótce spadnie śnieg.

Skreślił w Österleden. Samotna taksówka jechała w przeciwną stronę. Wallander sunął wolno pustymi ulicami.

Nagle postanowił przejechać obok ośrodka dla uchodźców, znajdującego się przy wyjeździe z miasta na zachód.

Ośrodek składał się z kilku długich baraków, ustawionych w rzędach na otwartej przestrzeni. Silne reflektory oświetlały pomalowane na zielono budynki.

Zatrzymał się na parkingu i wysiadł z samochodu. Obok szumiało morze.

Stał i patrzył na skupisko baraków.

Wystarczyłoby to porządnie ogrodzić i mielibyśmy więzienie, pomyślał.

Już miał zawrócić, gdy nieoczekiwanie usłyszał coś jakby cichy szcęk. Następnie rozległ się głuchy trzask.

Wysoki snop płomieni wystrzelił z jednego z baraków.

7

Jak długo stał sparaliżowany widokiem ognia, buchającego w ciemne zimowe niebo, nie wiedział. Może wiele minut, a może tylko parę sekund. Kiedy jednak udało mu się przełamać odrętwienie, miał tyle przytomności, by wyrwać z samochodu telefon i wcisnąć alarm.

Mężczyzna, który odebrał, z trudem przekrzykiwał trzaski w aparacie.

– Pali się w ośrodku dla uchodźców w Ystad! – krzyczał Wallander. – Musi przyjechać duża brygada, bo strasznie

wieje!

– A kto dzwoni? – spytał tamten w centrali.

– Kurt Wallander z policji w Ystad. Właśnie przejeżdżałem obok, kiedy zaczęło się palić.

– Możesz podać swój numer identyfikacyjny? – domagał się mężczyzna, dalej niewzruszony.

– Cholera jasna! Czteryśta siedemdziesiąt jeden sto dwadzieścia jeden! Pospieszcie się!

Odłożył słuchawkę, żeby nie odpowiadać na więcej pytań. Poza tym wiedział, że straż pożarna ma numery identyfikacyjne miejscowych policjantów.

Pobiegł przez ulicę do płonącego baraku. Ogień trzaskał na wietrze. Zamarł z przerażenia na myśl, co by się działo, gdyby ogień wybuchł poprzedniej nocy, podczas gwałtownego sztormu. Ale nawet teraz płomienie już zaczynały lizać sąsiedni budynek.

Dlaczego nikt nie wszczyna alarmu? – pomyślał. Zresztą nie wiedział, czy we wszystkich budynkach mieszkają uchodźcy. Czuł na twarzy gorąco, kiedy pukał do drzwi baraku, który jeszcze nie zajął się ogniem.

Tamten pierwszy, od którego pożar się zaczął, płonął teraz cały niczym pochodnia. Wallander próbował otworzyć drzwi, ale musiał cofnąć się przed ogniem. Obiegł dom dookoła i znalazł pojedyncze okno. Bębnił pięścią w szybę, starał się zajrzeć do środka, ale dym był tak gęsty, że widział przed sobą tylko biały tuman. Rozejrzał się za czymś ciężkim, ale niczego nie znalazł. Wobec tego zdjął kurtkę, owinał sobie nią jedną rękę i z całej siły uderzył w szybę. Wstrzymywał oddech, by nie wciągać dymu do płuc, kiedy starał się szarpnięciem otworzyć okno. Dwukrotnie musiał się cofnąć, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, zanim się nareszcie z tym uporał.

– Wychodzić! – krzyczał przez dym i ogień. – Wychodzić! Pali się!

We wnętrzu znajdowały się dwie podwójne prycze. Stał na parapecie i poczuł, że sterczący kawałek szkła przeciął mu udo. Górne prycze były puste, ale na jednej z dolnych leżał człowiek.

Znowu krzyknął, lecz nie usłyszał odpowiedzi. Postanowił

dostać się do środka. Wchodząc, boleśnie uderzył głową o framugę i wylądował na podłodze. O mało się nie udusił, zanim dotarł do łóżka. Początkowo sądził, że potrząsa trupem. Po chwili dopiero zdał sobie sprawę, że to, co brał za człowieka, jest zwiniętym materacem. Tymczasem jego kurtka zaczynała się już palić, rzucił się więc głową naprzód do okna i wydostał na dwór. W oddali słyszał wycie syren, a kiedy zataczając się, wyszedł ze strefy najbardziej zagrożonej, zobaczył na wpół ubranych ludzi, gromadzących się przed barakami. Ogień tymczasem zdążył ogarnąć kolejne dwa niskie budynki. Widział, że oba były zamieszkane, ale ludzie zdążyli z nich wyjść. Bolała go głowa i skaleczone udo, miał mdłości od dymu, którego się nałykał. Właśnie nadjeżdżał pierwszy wóz strażacki, a zaraz za nim karetka pogotowia. Zobaczył, że dowódcą ekipy jest Peter Edler,

trzydziestopięcioletni strażak, który w wolnym czasie zajmuje się puszczaniem latawców. Słyszał o nim same dobre rzeczy. To człowiek, który zawsze działa pewnie i fachowo. Począłapał w jego stronę i wtedy stwierdził, że ma poparzone jedno ramię.

– Baraki, które się palą, są puste – poinformował. – A co z innymi, nie wiem.

– Do licha, jak ty wyglądasz! – powiedział Peter Edler.

– Myślę, że poradzimy sobie z tamtymi budynkami.

Strażacy już polewali wodą baraki najbliższej ognia. Kurt Wallander słyszał, jak Peter Edler żąda przysłania spychacza, by zburzyć palące się budynki i w ten sposób odizolować centrum pożaru.

Przyjechał pierwszy samochód policyjny, na syrenie, z migoczącą niebieską lampą. Kurt Wallander od razu zauważył, że to Peters i Noren. Pokuśtykał do radiowozu.

– Jak idzie? – spytał Noren.

– Dadzą sobie radę – zapewnił Kurt Wallander. – Zaczynajcie zamykać teren i pytajcie Edlera, czy nie potrzebuje jakiejś pomocy.

Peters przyjrzał mu się uważniej.

– Do licha, jak ty wyglądasz! Jak się tu znalazłeś?

– Przejeżdżałem przypadkiem – odparł Kurt Wallander.

– Bierzcie się do roboty.

W ciągu najbliższej godziny w obrębie ośrodka utrzymywała się osobliwa mieszanina strasznego bałaganu i bardzo skutecznych działań strażaków. Roztrzęsiony kierownik placówki biegał w kółko i Kurt Wallander musiał na niego nakrzyczeć, żeby wydobyć informacje, ilu uchodźców znajdowało się w ośrodku, i policzyć, czy wszyscy są. Po chwili jednak, ku jego wielkiemu zdumieniu, okazało się, że sporządzone przez Urząd Imigracyjny spisy uchodźców umieszczonych w ośrodku w Ystad są niepełne i trudno się w nich połapać. Kompletnie ogłupiały kierownik żadnej pomocy udzielić mu nie mógł. Tymczasem strażacy, używając sypiacza, zburzyli płonące baraki i pożar znalazł się pod kontrolą. Pogotowie zabrało do szpitala jedynie kilku mieszkańców, zresztą większość z powodu szoku, a nie obrażeń fizycznych. Tylko jeden libański chłopiec, który się przewrócił, był ranny w głowę.

Peter Edler odciągnął Kurta Wallandera na stronę.

– Jedź i ty do szpitala, niech cię opatrzą.

On sam wiedział, że to konieczne. Poparzona ręka piekła, spodnie lepiły się do krwawiącej nogi.

– Aż się boję pomyśleć, co by się tu działo, gdybyś nie podniósł alarmu natychmiast, jak tylko pożar wybuchł – powiedział Peter Edler.

– Jak można stawiać baraki tak blisko siebie? – irytował się Kurt Wallander.

Peter Edler pokręcił głową.

– Stary szef zaczyna być zmęczony – powiedział. – Oczywiście, że masz rację, one stoją cholernie blisko jeden drugiego. To niebezpieczne.

Kurt Wallander poszedł do Norena, który właśnie skończył otaczać teren blokadą.

– Niech ten cały kierownik stawi się jutro rano w moim biurze – polecił.

Noren skinął głową.

– Widziałeś coś? – spytał.

– Słyszałem tylko jakiś szcęk i zaraz potem pierwszy barak

ekspłodował. Ale żadnego samochodu. Żadnych ludzi. Jeśli ktoś podłożył ładunek wybuchowy, to musiał użyć detonatora z opóźnionym zapłonem.

– Mam cię odwieźć do domu czy do szpitala?

– Nie musisz mnie odwozić, sam sobie poradzę, zaraz ruszam.

W szpitalnej izbie przyjęć zdał sobie sprawę, że jest bardziej poszkodowany, niż wcześniej przypuszczał. Na jednym przedramieniu miał rozległą ranę po oparzeniu, pachwinę i udo pokaleczone odłamkami szkła, nad prawym okiem sterczał wielki guz, poza tym kilka rozległych otarć. I najwyraźniej przygryzł sobie język, ale nie wiedział kiedy.

Dochodziła czwarta, gdy mógł nareszcie opuścić szpital. Bandaże go uwierały i nadal czuł się źle od dymu, którego się nałykał.

Zamykał drzwi szpitala, gdy nagle oślepiła go lampa błyskowa. Rozpoznał fotografa z największej gazety porannej w Skanii. Odprawił gestem ręki innego dziennikarza, który wyłonił się z ciemności i prosił o wywiad. Wkrótce znalazł się w domu.

Ku swemu wielkiemu zdziwieniu poczuł się senny. Zdjął więc pospiesznie ubranie i wsunął się pod kołdrę. Całe ciało pulsowało boleśnie, w głowie tańczyły płomienie ognia. Mimo to zasnął natychmiast.

O ósmej obudził się z wrażeniem, że ktoś stoi przy łóżku i stuka go w głowę. Otworzył oczy i stwierdził, że to krew pulsuje mu w skroniach. Także i tym razem śniła mu się ta czarna kobieta, która już wcześniej odwiedzała go w snach. Kiedy jednak wyciągnął ręce, natychmiast pojawił się przy niej Sten Widen z butelką whisky, dama odwróciła się plecami do Wallandera i poszła z tamtym.

Leżał bez ruchu i próbował ustalić, jak się czuje. Piekło go w gardle, bolała oparzona ręka, w głowie huczało. Przez chwilę walczył z pokusą, by odwrócić się do ściany i ponownie zasnąć. Zapomnieć o śledztwie w sprawie morderstwa i nawale ognia, z którą zmagał się w nocy.

Jakoś jednak nie umiał się zdecydować, a walkę z samym sobą przerwał mu dzwonek telefonu. Mam to gdzieś, nie odbieram,

pomyślał w pierwszej chwili.

Ale po chwili zerwał się z łóżka i chwiejnym krokiem ruszył do kuchni.

Telefonowała Mona.

– Kurt? – spytała. – Tu mówi Mona. Przepełniła go wszechogarniająca radość.

Mona, myślał. Boże drogi! Mona, jak ja za tobą tęskniłem!

– Widziałam cię w gazecie – powiedziała. – Jak się czujesz?

Przypomniał sobie fotografa w nocy przed szpitalem. Lampę, która rozbłysła tuż przy jego twarzy.

– Dobrze – odparł. – Tylko trochę boli.

– Mówisz prawdę?

Nagle poprzednia radość zgasła. Wrócił dotkliwy skurcz żołądka.

– A ty się naprawdę przejmujesz tym, jak ja się czuję?

– Dlaczego miałabym się nie przejmować?

– A dlaczego miałabyś to robić? Słyszał wyraźnie jej oddech.

– Uważam, że jesteś dzielny – powiedziała. – Jestem z Ciebie dumna. W gazecie napisali, że ratowałeś ludziom życie z narażeniem własnego.

– Nie uratowałem nikomu życia! Co to za głupstwa?

– Chciałam się tylko dowiedzieć, czy nie jesteś ranny.

– A co byś zrobiła, gdybym był?

– Co bym zrobiła?

– No, gdybym był ranny. Albo umierający. Co byś wtedy zrobiła?

– Dlaczego jesteś taki zły?

– Nie jestem zły. Tylko pytam. Chcę, żebyś wróciła do domu. Tutaj. Do mnie.

– Wiesz, że nie wrócę. Chciałabym natomiast, żebyśmy mogli ze sobą rozmawiać.

– Przecież się do mnie nigdy nie odzywasz, to jak możemy rozmawiać?

Usłyszał, że Mona wzdycha. To wywołało w nim złość. A może strach?

– Przecież możemy się spotkać – odparła. – Ale nie w domu, ani u mnie, ani u Ciebie.

I wtedy on się nagle zdecydował. To, co powiedział, nie było szczerą prawdą. Ale nie było też kłamstwem.

– Jest parę spraw, o których powinniśmy porozmawiać. Parę spraw praktycznych. Mógłbym przyjechać do Malmö, jeśli chcesz.

Minęła dłuższa chwila, zanim Mona odpowiedziała.

– Dzisiaj to nie – rzekła. – Ale jutro bym mogła.

– Gdzie? Może coś zjemy? Jedyne miejsca, jakie znam, to Savoy i Centralna.

– Savoy jest bardzo drogi.

– No to Centralna. O której?

– Może o ósmej?

– Będę o ósmej.

Rozmowa się skończyła. W przedpokoju zobaczył w lustrze swoją obitą twarz.

Ucieszyła go ta rozmowa? Czy może raczej wzbudziła w nim niepokój?

Nie mógł się zdecydować. Teraz myśli krążyły jeszcze szybciej w jego głowie. Zamiast wyobrażać sobie spotkanie z Moną, zobaczył nagle siebie w Savoyu z Anette Brolin. I chociaż nadal była prokuratorem w Ystad, zmieniła się w Murzynkę.

Ubrał się i nie pijąc kawy, wyszedł do samochodu. Wiatr prawie całkiem ustał. Znowu zrobiło się cieplej. Resztki wilgotnej mgły żeglowały znad morza ku miastu.

W budynku policji powitano go przyjaznymi okrzykami i poklepywaniem po plecach. Od Ebby dostał serdeczne uściski oraz słoik gruszkowych konfitur. Czuł się trochę zażenowany, ale i dumny z siebie.

Teraz powinien tu być Björk, pomyślał.

Tutaj, nie w żadnej Hiszpanii.

Bo przecież to on o czymś takim marzy. Bohaterscy policjanci...

O wpół do dziesiątej wszystko wróciło do normy. Zdążył tymczasem ostro wygarnąć kierownikowi ośrodka braki w ewidencji uchodźców. Kierownik, niewysoki, okrągły mężczyzna, który dosłownie promieniował niebywałym lenistwem i brakiem woli, bronił się energicznie, twierdząc, że

co do kropki wypełnia zalecenia i przepisy Urzędu Imigracyjnego.

– To policja ma nam gwarantować bezpieczeństwo – powtarzał, starając się zrzucić z siebie wszelką odpowiedzialność.

– Jak my wam możemy cokolwiek gwarantować, skoro wy nawet nie wiecie, ilu ludzi mieszka w tych przeklętych barakach ani kim oni są?

Kierownik opuszczał gabinet Wallandera czerwony ze złości.

– Złożę skargę – groził. – To policja ma obowiązek gwarantować uchodźcom bezpieczeństwo.

– Składaj pan skargę do samego króla! – krzyczał za nim Wallander. – Składaj do premiera, a nawet do Trybunału Europejskiego. Może się pan skarżyć, komu tylko chce, ale od tej chwili mają być prowadzone dokładne, zawsze aktualne listy osób przebywających w ośrodku, z podaniem nazwisk i rozlokowania w barakach!

Tuż przed rozpoczęciem zebrania grupy dochodzeniowej zadzwonił Peter Edler.

– Jak się czujesz? – spytał. – Bohater dnia.

– Pocałuj mnie gdzieś – syknął Kurt Wallander. – Znaleźliście coś?

– To nie było takie trudne – powiedział Peter Edler. – Nieduży przenośny detonator, ułożony na szmatach nasączonych benzyną.

– Jesteś pewien?

– Do licha, oczywiście, że jestem. Za parę godzin dostaniesz raport.

– Postaram się sprawę podpalenia prowadzić równolegle ze sprawą podwójnego morderstwa. Ale gdyby się wydarzyło coś jeszcze, będę musiał dostać posiłki z Malmö lub z Simrishamn.

– To w Simrishamn jest policja? Myślałem, że ich zlikwidowali.

– Jeszcze są, ale krążą pogłoski, że my mamy objąć tamten teren.

Na początek zebrania Kurt Wallander powtórzył, czego się dowiedział od Edlera. Następnie wywiązała się krótka dyskusja

na temat, kto może stać za wydarzeniami ostatniej nocy. Wszyscy byli zgodni, że najprawdopodobniej jest to sprawka mniej lub bardziej zorganizowanej grupy wyrostków.

– Ważne, byśmy ich złapali – powiedział Hansson. – Tak samo ważne jak wykrycie morderców z Lenarp.

– To pewno ci sami, którzy obrzucili zgniłymi jarzynami tego dziadka – rzekł Svedberg.

Kurt Wallander wyczuł w jego głosie trudną do przeoczenia nutę niechęci.

– Porozmawiaj z nim – powiedział. – Może zdoła sobie coś przypomnieć.

– Przecież ja nie mówię po arabsku – bronił się Svedberg.

– Sądzę, że w ośrodku mają jakichś tłumaczy! Najpóźniej po południu chcę wiedzieć, co on ma do powiedzenia.

Wallander stwierdził, że jest zły.

Zebranie było wyjątkowo krótkie. To jeden z tych dni, kiedy śledztwo znajduje się w bardzo intensywnej fazie i wszyscy policjanci są niezwykle zajęci. Wniosków natomiast wciąż jest niewiele.

– Zrezygnujemy dzisiaj z popołudniowego spotkania – zakończył Kurt Wallander. – Jeśli, oczywiście, nie zdarzy się nic nadzwyczajnego. Martinsson zajmie się ośrodkiem. Svedberg, jeśli Martinsson ma jakieś inne sprawy niecierpiące zwłoki, to ty je przejmiesz.

– Ja szukam tego samochodu, który widział szofer ciężarówki – poinformował Martinsson. – Zaraz ci dam wszystkie papiery.

Po zebraniu Naslund i Rydberg zostali w pokoju Wallandera.

– Będziemy musieli wprowadzić godziny nadliczbowe – stwierdził Kurt Wallander. – Kiedy Björk wraca z Hiszpanii?

Nikt nie wiedział.

– Czy on w ogóle ma pojęcie, co się stało? – zastanawiał się Rydberg.

– A myślisz, że by się tym przejmował? – odpowiedział mu pytaniem Wallander.

Zatelefonował do Ebby i natychmiast dostał odpowiedź. Ebba wiedziała nawet, samolotem jakich linii szef wraca.

– W sobotę wieczorem – powtórzył wiadomość kolegom.

– Ponieważ jednak na razie ja pełnię obowiązki szefa, zarządzam tyle godzin nadliczbowych, ile okaże się konieczne.

Rydberg złożył sprawozdanie z przeszukania miejsca zbrodni.

– Węszyłem naprawdę dokładnie. Jeszcze raz przewróciłem wszystko do góry nogami. Grzebałem nawet między belami siana w stajni, ale nigdzie nie znalazłem żadnej brązowej teczki.

Kurt Wallander wiedział, że to prawda. Rydberg nie ustępuje, dopóki nie jest w stu procentach pewien.

– No to teraz wiemy – powiedział. – Zniknęła brązowa teczka, zawierająca dwadzieścia siedem tysięcy koron.

– Ludzie tracili już życie za dużo mniejsze sumy – westchnął Rydberg.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu i rozważali sprawozdanie Rydberga.

– Dlaczego tak trudno znaleźć ten samochód? – zastanawiał się Kurt Wallander, pocierając bolący guz na czole.

– Przecież rozdałem jego opis dziennikarzom na konferencji prasowej i prosiłem, żeby szofer się do mnie zgłosił.

– Cierpliwości – upomniął go Rydberg.

– A co wynikło z rozmów z córkami? Jeśli są jakieś papiery, to mogę je przeczytać po drodze do Kristianstad, w samochodzie. I przy okazji, czy któryś z was uważa, że to podpalenie w nocy ma jakiś związek z pogrózkami, które odebrałem?

I Rydberg, i Naslund kręcili głowami.

– Ja też tak uważam – przyłączył się Kurt Wallander.

– Mimo wszystko musimy się zacząć przygotowywać, bo coś może się zdarzyć w piątek lub w sobotę. Pomyślałem sobie, że ty, Rydberg, mógłbyś po południu przedstawić propozycje jakichś kroków zaradczych.

Rydberg się skrzywił.

– W takich sprawach to ja dobry nie jestem.

– Jesteś dobrym policjantem. Dasz sobie świetnie radę. Rydberg przyglądał mu się krytycznie.

Potem wstał i wyszedł. Przy drzwiach jeszcze się odwrócił.

– Ta córka, z którą rozmawiałem, ta z Kanady, przyjechała z mężem. On jest z konnej policji. Bardzo się dziwił, dlaczego

my nie nosimy broni.

– Za kilka lat pewnie będziemy – odparł Kurt Wallander. Już zaczęli rozmawiać z Naslundem o jego spotkaniu z Herdinem, gdy zadzwonił telefon. Ebba zameldowała, że dzwoni szef Urzędu Imigracyjnego.

Kurt Wallander był bardzo zdziwiony, gdy stwierdził, że mówi z kobietą. Dyrektorzy generalni urzędów centralnych nadal byli w jego wyobrażeniu starszymi panami, pełnymi godności i okazującymi pewność siebie graniczącą z arogancją.

Kobieta miała miły głos. Ale to, co mówiła, do głębi go oburzyło. Przemknęła mu przez głowę myśl, że to może uchodzić za wykroczenie służbowe, żeby ktoś, kto pełni obowiązki szefa policji w prowincjonalnej komendzie, przeciwstawiał się najwyższej kapłance urzędu państwowego, ale postanowił się nie dawać.

– Jesteśmy bardzo niezadowoleni – oznajmiła kobieta. – Policja musi gwarantować bezpieczeństwo naszym uchodźcom.

Ona przemawia tak samo jak ten przekłety kierownik, pomyślał.

– Robimy, co możemy – powiedział, nawet nie starając się ukryć gniewu.

– Najwyraźniej to nie wystarcza.

– Byłoby znacznie prościej, gdybyśmy dostawali bieżącą informację na temat liczby uchodźców w poszczególnych ośrodkach.

– Urząd ma pełną kontrolę nad sprawami uchodźców.

– Ja nie odnoszę takiego wrażenia.

– Pani minister do spraw uchodźców jest bardzo zaniepokojona.

Kurt Wallander zobaczył w duchu rudowłosą damę, która regularnie się wypowiada w telewizji.

– Bardzo proszę, żeby osobiście zabrała głos w tej sprawie – rzekł Kurt Wallander i wykrzywił się do Naslunda, który przewracał jakieś papiery.

– Najwyraźniej sytuacja wygląda tak, że policja przeznaczona zbyt mało środków na ochronę uchodźców.

– Albo też ich jest zbyt wielu, a wy nie macie pojęcia, gdzie się

podziewają.

– Co pan chce przez to powiedzieć? Przyjazny głos zabrzmiał nagle lodowato. Kurt Wallander czuł, że gniew w nim narasta.

– Podczas pożaru dzisiejszej nocy okazało się, że w ośrodku panuje kolosalny bałagan. Oto co chcę powiedzieć. A w ogóle to trudno jest uzyskać z Urzędu Imigracyjnego jasne dyrektywy. Często policja otrzymuje na przykład polecenie wydalenia jakichś ludzi. Ale wy nie wiecie, gdzie się znajdują ci, którzy mają być wydaleny. Niekiedy potrzeba wielu tygodni, żeby ich odszukać.

To, co mówił, było prawdą. Wiedział to od swoich kolegów z Malmö, których do rozpacz doprowadzała niemoc Urzędu Imigracyjnego.

– To kłamstwo – powiedziała kobieta. – I nie zamierzam tracić czasu na tego rodzaju dyskusje.

Rozmowa została przerwana.

– Babsko! – warknął Wallander i rzucił słuchawkę.

– Kto to był? – spytał Naslund.

– Jakaś generalna dyrektorka, która pojęcia nie ma o rzeczywistości. Przyniesiesz kawy?

Rydberg przedstawił notatki z rozmów, które on i Svedberg przeprowadzili z córkami Lövgrenów. Kurt Wallander w wielkim podnieceniu streszczał mu rozmowę z panią dyrektor Urzędu Imigracyjnego.

– Za chwilę zadzwoni sama pani minister, by dać wyraz swojemu zaniepokojeniu – roześmiał się Rydberg złośliwie.

– Z nią ty będziesz rozmawiał – powiedział Kurt Wallander. – Spróbuję wrócić z Kristianstad przed czwartą.

Zanim Naslund przyszedł z dwoma plastikowymi kubkami, Wallander stracił ochotę na kawę. Teraz chciał jak najszybciej wyjść z budynku na świeże powietrze. Bandaże uwierały go coraz bardziej, głowa mu pękała. Może jazda samochodem dobrze mu zrobi.

– Opowiesz mi wszystko po drodze – powiedział, odsuwając kubek z kawą.

Naslund miał niepewną minę.

– Szczerze powiedziawszy, to nie wiem, dokąd mamy jechać.

O ile Lars Herdin jest gruntownie wprowadzony w sprawy finansowe Lövgrena, to o owej tajemniczej kobiecie wie bardzo mało.

– Coś przecież wie?

– Przepytowałem go na wszystkie możliwe sposoby, ale żaden krzyżowy ogień mi nie pomógł. Uważam, że on mówi prawdę. Ale jest pewien tylko tego, że ta kobieta istnieje.

– A jak się o tym dowiedział?

– Kiedyś był w Kristianstad i przypadkiem zobaczył Lövgrena i ją na ulicy.

– Kiedy to było?

Naslund pogrzebał w papierach.

– Jedenaście lat temu.

Kurt Wallander jednak napił się trochę kawy.

– To mi się nie zgadza – stwierdził. – On musi wiedzieć więcej. Dużo więcej. Jak inaczej mógłby być taki pewien, że mieli razem dziecko? Jak się dowiedział o wypłatach? Przycisnąłeś go trochę?

– Mówi, że ktoś do niego napisał i poinformował, jak się sprawy mają.

– Kto napisał?

– Tego nie chce powiedzieć.

Kurt Wallander zastanawiał się chwilę.

– Tak czy inaczej jedziemy do Kristianstad – postanowił. – Tamtejsi koledzy nam pomogą. A potem osobiście zajmę się Larsem Herdinem.

Wzięli jeden z policyjnych samochodów. Kurt Wallander umościł się na tylnym siedzeniu, kierownicę oddając Naslundowi. Kiedy wyjechali z miasta, zauważył, że Naslund prowadzi zbyt szybko.

– Nie ma pośpiechu – powiedział. – Nie pędź tak. Ja muszę przeczytać papiery i pomyśleć.

Naslund zwolnił.

Krajobraz był szary i zamglony. Kurt Wallander patrzył przez okno na smutną okolicę. O ile czuł się tu u siebie wiosną i latem, o tyle Skania w tej ponurej jesiennej i zimowej ciszy wydawała mu się kompletnie obca.

Oparł się wygodnie i zamknął oczy. Ciało miał obolale, ramię piekło dotkliwie. Poza tym raz po raz odczuwał kołatanie serca.

Rozwiedzeni mężczyźni narażeni są na ataki serca, pomyślał. Jemy za tłusto i cierpimy z powodu porzucenia. Albo angażujemy się w nowe związki z kobietami, aż udręczone serce nie wytrzyma.

Myśl o Monie budziła w nim i gniew, i smutek.

Otworzył oczy i znowu obserwował skański krajobraz.

Potem przeczytał raporty z rozmów, które policjanci przeprowadzili z obiema córkami Lövgrenów.

Nie wynikało z nich nic, co mogłoby wskazać policji drogę. Żadnych wrogów, żadnych skrywanych konfliktów.

Ani żadnych pieniędzy.

Johannes Lövgren nawet przed córkami ukrywał swoje ogromne zasoby finansowe.

Kurt Wallander próbował sobie wyobrazić tego człowieka. Jak on funkcjonował? Co nim powodowało? Co jego zdaniem miało się stać z pieniędzmi, kiedy go już zabraknie?

Nagle aż podskoczył na siedzeniu, bo przyszła mu do głowy nieoczekiwana, choć najzupełniej oczywista myśl.

Gdzieś powinien istnieć testament!

Skoro jednak nie został złożony w bankowym sejfie, to gdzie mógłby się znajdować?

Czy zamordowany mężczyzna miał jeszcze jeden sejf w kolejnym banku?

– Ile banków działa w Ystad? – spytał Naslunda. Naslund posiadał ogromną wiedzę o swoim mieście.

– Dziesięć – odpowiedział.

– Jutro sprawdzisz te, w których jeszcze nie byliśmy. Czy Johannes Lövgren miał też jakieś inne sejfy? A poza tym dowiesz się, w jaki sposób podróżował do Ystad i z powrotem. Taksówki, autobusy, wszystko.

Naslund skinął głową.

– Mógł korzystać z autobusu szkolnego – powiedział.

– Ktoś musiał go widzieć.

Jechali przez miasteczko Tomelilla. Przecięli krajową drogę prowadzącą stąd do Malmö i skierowali się na północ.

– A jak wygląda mieszkanie Larsa Herdina? – spytał Kurt Wallander.

– Staromodnie. Ale czysto i przyjemnie. A co dziwniejsze, on robi jedzenie w kuchence mikrofalowej. Poczęstował mnie bułeczkami domowego wypieku. I ma papugę w klatce. Ogród jest zadbane. Całe obejście wygląda bardzo porządnie, żadnych walących się płotów ani nic takiego.

– A jaki ma samochód?

– Mercedesa.

– Mercedesa?

– Tak, mercedesa.

– Zdawało mi się, że ledwo wiąże koniec z końcem, strasznie narzekał.

– Mercedes, którym jeździ, kosztował ponad trzysta tysięcy koron.

Kurt Wallander zastanawiał się przez chwilę.

– Musimy wiedzieć więcej o Larsie Herdinie – powiedział w końcu. – Nawet jeśli on nie ma pojęcia, kto odebrał życie tamtych, to może nam podpowiedzieć coś, z czego sam nie zdaje sobie sprawy.

– A co to ma wspólnego z mercedesem?

– Nic. Tylko przeczuwam, że Lars Herdin jest dla nas ważniejszy, niż sam myśli. A poza tym można się zastanawiać, jakim sposobem dzisiaj zwyczajny rolnik może kupić samochód za trzysta tysięcy koron. Pewnie dostał fakturę, na której stoi jak wół, że kupił traktor.

Wjechali do Kristianstad i zaparkowali przed budynkiem policji w chwili, gdy zaczął padać śnieg z deszczem. Kurt Wallander zauważył pierwsze słabe ukłucia w gardle, zapowiadające przeziębienie.

Cholera, pomyślał, nie mogę się rozchorować właśnie teraz. Nie mogę zakatarzony i z gorączką pójść na spotkanie z Moną.

Komendy w Ystad i Kristianstad nie miały ze sobą jakichś szczególnych powiązań, poza tym, że obie współpracowały, gdy sytuacja tego wymagała. Kurt Wallander znał jednak kilku tutejszych policjantów nieco bliżej po wspólnych szkoleniach na szczeblu okręgowym. Przede wszystkim miał nadzieję, że

akurat dzisiaj służbę pełni Goran Boman, z którym wypił sporo whisky w Tylösand. Spędzili tam razem cały dzień na bardzo nieciekawych wykładach, zorganizowanych przez Główny Zarząd Policji. Chodziło o to, by ich zachęcić do prowadzenia bardziej wydajnej polityki kadrowej w lokalnych komendach. Wieczorem oni dwaj spotkali się przy kieliszku i szybko zdali sobie sprawę, że mają ze sobą wiele wspólnego. Na przykład ojcowie obu byli bardzo niezadowoleni, że synowie wybrali karierę w policji.

Wallander i Naslund weszli do środka. Dziewczyna w recepcji, która ku ich zdziwieniu mówiła śpiewnym dialektem z Norrlandii, północnego regionu kraju, poinformowała, że owszem, Goran Boman ma dzisiaj służbę.

– Właśnie prowadzi przesłuchanie, ale to nie potrwa długo – zapewniła.

Kurt Wallander poszedł do toalety. Aż podskoczył, kiedy zobaczył własne odbicie w lustrze. Guzy i otarcia mocno się zaczerwieniły. Opłukał twarz zimną wodą. Z korytarza doleciał go głos Gorana Bomana.

Powitanie było serdeczne. Kurt Wallander stwierdził, że jest więcej niż rad z ponownego spotkania. Nalali sobie kawy i zasiedli w pokoju Bomana. Wallander zobaczył, że kolega ma dokładnie takie samo biurko jak on, ale pokój był lepiej umeblowany, bardziej przytulny. Pomyślał o Anette Brolin, która też odmieniła sterylny gabinet, przejęty po poprzedniku.

Goran Boman wiedział naturalnie o podwójnym morderstwie w Lenarp, o napadzie na ośrodek dla uchodźców, jak też o przesadnie rozdmuchanej przez gazety akcji ratunkowej Wallandera. Chwilę rozmawiali o uchodźcach. Goran Boman podzielał pogląd Wallandera, że przyjmuje się ich w sposób chaotyczny, i wszystko jest źle zorganizowane. Również policja w Kristianstad miała doświadczenie z kilkoma nakazami wydalenia z kraju, które udało się wykonać dopiero po długotrwałych mozolnych staraniach. Nie dalej jak parę tygodni przed Bożym Narodzeniem przyszło zawiadomienie, że należy wydalić z kraju kilku obywateli Bułgarii. Według Urzędu {migracyjnego mieli oni przebywać w ośrodku w Kristianstad.

Policja po wielu dniach poszukiwań ustaliła, że Bułgarzy znajdują się w Arjeplog, w Laponii.

Następnie przeszli do właściwego powodu wizyty. Kurt Wallander dokładnie przedstawił, o co chodzi.

– I chcesz, żebyśmy ci tę kobietę znaleźli? – spytał Goran Boman.

– No, nie byłoby to takie głupie. Naslund się do tej pory nie odzywał.

– Zastanawiałem się nad taką sprawą – powiedział teraz. – Jeżeli Johannes Lövgren miał z tą kobietą dziecko, a my zakładamy, że przyszło ono na świat właśnie tutaj, to może coś się znajdzie w rejestrach urzędu stanu cywilnego? Johannes Lövgren powinien być odnotowany jako ojciec dziecka.

Kurt Wallander skinął głową.

– No właśnie – zgodził się. – A poza tym mniej więcej wiemy, kiedy to dziecko się urodziło. Powinniśmy się skoncentrować na okresie dziesięciu lat, powiedzmy, od tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego. Jeżeli opowieść Larsa Herdina jest zgodna z prawdą. A myślę, że jest.

– Ile dzieci urodziło się w Kristianstad w ciągu dziesięciu lat? – zastanawiał się Goran Boman. – Prześledzenie tego w czasach sprzed komputerów zabrałoby mnóstwo czasu.

– Istnieje naturalnie możliwość, że Johannes Lövgren figuruje w rejestrze jako „ojciec nieznany” – rzekł Kurt Wallander. – Ale w takim razie wszystkimi tymi przypadkami zajmiemy się szczególnie uważnie.

– Dlaczego nie ogłosisz, że poszukujesz tej kobiety? – spytał Goran Boman. – Dlaczego nie poprosisz, żeby się sama zgłosiła?

– Dlatego, że jestem raczej pewien, iż ona tego nie zrobi – odparł Kurt Wallander. – Takie mam przeczucie. Może to niezbyt profesjonalne kierować się przeczuciami, ale wolałbym spróbować inną drogą.

– Znajdziemy ją – obiecał Goran Boman. – Żyjemy w takich czasach i w takim społeczeństwie, w którym zniknąć bez śladu jest bardzo trudno. Jeśli się tylko nie popełni morderstwa

w taki przemysłny sposób, że na znalezienie ciała nie ma szans. Mieliśmy tego rodzaju przypadek ubiegłego lata. Przynajmniej myślę, że tak się właśnie stało. Otóż pewien człowiek miał wszystkiego dosyć. Zniknął i żona zaczęła go szukać. Jego łódź też przepadła. Do tej pory go nie znaleźliśmy. I moim zdaniem nigdy nie znajdziemy. Uważam, że wypłynął na morze, po czym zatopił i łódź, i siebie. Ale jeżeli tylko ta kobieta i jej dziecko istnieją, to ich znajdziemy. Zaraz wyznaczę do tego człowieka.

Kurt Wallander czuł, że zaczyna się pocić. Drapało go w gardle.

Najchętniej siedziałby tak dalej w spokoju i rozmawiał z Goranem Bomanem o podwójnym morderstwie. Czuł, że Boman to utalentowany policjant. Jego sądy mogłyby być bardzo pomocne. Nagle jednak poczuł się zbyt zmęczony nawet na taką rozmowę.

Zaczęli się żegnać. Goran Boman odprowadził gości do samochodu.

– Znajdziemy ją – zapewnił raz jeszcze.

– A potem spotkamy się któregoś wieczora – powiedział Kurt Wallander. – W ciszy i spokoju. I napijemy się whisky.

Goran Boman pokiwał głową.

– Może nam się trafi jakiś nudny wykład – uśmiechnął się.

Mokry śnieg wciąż padał. Kurt Wallander czuł, jak wilgoć przenika do jego butów. W samochodzie znowu skulił się na tylnym siedzeniu. Wkrótce zasnął. Obudził się dopiero, kiedy Naslund hamował przed siedzibą policji w Ystad. Miał gorączkę, czuł się źle. I jeszcze ta chlapa. Poprosił Ebbę o tabletki od bólu głowy. Chociaż zdawał sobie sprawę, że powinien pójść do domu i położyć się do łóżka, nie mógł tego zrobić, dopóki się nie dowie, co wydarzyło się w ciągu dnia. Poza tym chciał wysłuchać, co Rydberg wymyślił w sprawie ochrony uchodźców.

Na jego biurku znajdowało się mnóstwo karteczek z centrali telefonicznej. Między innymi dzwoniła Anette Brolin.

I ojciec. Nie dzwoniła natomiast Linda. Ani Sten Widen. Przejrzał kartki i odłożył wszystkie z wyjątkiem tych dotyczących telefonów Anette Brolin i ojca. Potem zadzwonił

do Martinssona.

– Bingo! – zwołał tamten. – Zdaje mi się, że znaleźliśmy samochód. Ten, który odpowiada opisowi samochodu wypożyczonego w ubiegłym tygodniu w biurze Avis w Göteborgu. Nie został zwrócony na czas. Jest tylko jedna sprawa.

– Jaka?

– Samochód wynajęła kobieta.

– No i co w tym dziwnego?

– Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, żeby kobieta mogła dokonać podwójnego morderstwa.

– No i tu się mylisz. Musimy dostać ten samochód. I kierowcę, wszystko jedno, czy to kobieta, czy mężczyzna. Potem sprawdzimy, czy oni w ogóle mają z tym jakiś związek. Wykluczenie czegoś ze sprawy jest równie ważne, jak uzyskanie potwierdzenia. Ale podaj kierowcy ciężarówki numery rejestracyjne i zapytaj, czy przynajmniej kombinację cyfr rozpoznaje.

Zakończył rozmowę i poszedł do Rydberga.

– Jak idzie? – spytał.

– To nie jest specjalnie zabawne – odparł Rydberg ponuro.

– A kto powiedział, że praca w policji ma być zabawna? Ale oczywiście Rydberg wykonał bardzo solidną robotę, dokładnie tak, jak tego oczekiwał Wallander. Niektóre ośrodki były ogrodzone i o każdym z nich Rydberg sporządził szczegółową notatkę. Następnie zaproponował, jako działanie zaradcze, by nocne patrole kontrolowały poszczególne ośrodki według przemyślnie skomplikowanego planu, tak żeby osobom postronnym trudno było się w nim zorientować.

– Świetnie – ucieszył się Kurt Wallander. – Zadbaj tylko, by patrole uznały, że to naprawdę ważne.

Zdał jeszcze Rydbergowi relację z wyjazdu do Kristianstad i wstał.

– Idę do domu – poinformował.

– Wyglądasz marnie.

– Chyba jestem przeziębiony. Ale może teraz wszystko jakoś się potoczy?

Pojechał prosto do domu, zrobił sobie herbaty i położył się do łóżka. Ale kiedy się po paru godzinach ocknął, nietknięta herbata nadal stała na nocnym stoliku. Było za piętnaście siódma. Sen sprawił, że czuł się znacznie lepiej. Wylał zimną herbatę i zrobił sobie kawy. Potem zadzwonił do ojca.

Kurt Wallander szybko się zorientował, że ojciec nie słyszał o nocnym pożarze.

– Czy nie mieliśmy grać w karty? – spytał ojciec ze złością.

– Jestem chory – odpowiedział Kurt Wallander.

– Ty podobno nigdy nie chorujesz?

– Przeziębilem się.

– Ja tego nie nazywam chorobą.

– Nie wszyscy mają takie zdrowie jak ty.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Kurt Wallander westchnął.

Jeśli czegoś nie wymyśli, rozmowa z ojcem stanie się nieznośna.

– Przyjadę do ciebie jutro rano. Zaraz po ósmej – powiedział.

– Jeśli już wstaniesz.

– Nigdy nie śpiam dłużej niż do wpół do piątej.

– Ale ja śpiam.

Skończył i odłożył słuchawkę.

W tej samej chwili pożałował, że tak się umówił. Dzień zaczęty od spotkania z ojcem to zazwyczaj dzień pełen poczucia bezsilności i wyrzutów sumienia.

Rozejrzał się po mieszkaniu. Wszędzie gruba warstwa kurzu. Mimo że często wietrzył, w domu panowała duszna atmosfera. Sam, zamknięty...

Nagle zaczął myśleć o ciemnoskórej kobiecie, o której ostatnio tak często śnił. Ta kobieta, która tak chętnie towarzyszyła mu po nocach, skąd ona się wzięła? Gdzie ją widział? Czy na jakimś zdjęciu w gazecie, czy może mignęła mu gdzieś w telewizji?

Zastanawiał się, dlaczego jego sny mają całkiem inną erotyczną treść niż to, co przeżywał z Moną.

Te myśli go podnieciły. Znowu zaczął się zastanawiać, czy mógłby zadzwonić do Anette Brolin. Nie potrafił się jednak przemóc. Zły, usiadł na kwiecistej kanapie i włączył telewizor. Dochodziła siódma. Poszukał jednego z duńskich kanałów, na

którym właśnie miały się zacząć wieczorne wiadomości.

Najpierw lektor przekazał skrót. Jeszcze jedna klęska głodu. Terror w Rumunii narasta. Wielką ilość narkotyków wykryto w Odense.

Chwycił pilota i wyłączył aparat. Nie był w stanie słuchać żadnych wiadomości.

Myślał o Monie. Ale myśli przybierały nieoczekiwane formy. Nagle nie był już wcale pewien, czy rzeczywiście chce, żeby do niego wróciła. Na czym właściwie opierał przekonanie, że tak byłoby lepiej?

Na niczym. Takie myślenie to oszukiwanie samego siebie.

Niespokojny wyszedł do kuchni i wypił szklankę soku. Potem usiadł i zrobił szczegółowe podsumowanie dotychczasowego śledztwa. Kiedy skończył, rozłożył wszystkie notatki na stole i wpatrywał się w nie, jakby były elementami jakiegoś puzzla. Poczucie, że być może nie znajdują się wcale daleko od rozwiązania zagadki, stało się nagle bardzo silne. Bo nawet jeśli wiele tropów nie miało dalszego ciągu, to pewne szczegóły dokładnie do siebie pasują.

Człowieka, na którego można by wskazać, nie ma. Nie ma nawet żadnych podejrzanych. A mimo to nie mógł się pozbyć uczucia, że są blisko. To go cieszyło, ale też niepokoiło. Zbyt wiele razy bywał odpowiedzialny za skomplikowane śledztwo, które zaczynało się bardzo obiecująco, by po jakimś czasie utknąć na zawsze w martwym punkcie, tak że ostatecznie kończyło się klęską. W najgorszym razie, rzecz jasna, ale przecież nigdy nie wiadomo.

Cierpliwości, myślał. Cierpliwości.

Dochodziła dziewiąta. Jeszcze raz doznał pokusy, żeby zatelefonować do Anette Brolin. Stłumił ją jednak w sobie. Po prostu nie miał pojęcia, co mógłby jej powiedzieć. I może to jej mąż by odebrał?

Wrócił na kanapę i ponownie włączył telewizję.

Ku swemu niebotycznemu zdziwieniu stwierdził, że z ekranu patrzy nań jego własna twarz. Zza kadru docierał monotony kobiecy głos. Mowa była o tym, że policja w Ystad wykazuje niewybaczalnie nikłe zainteresowanie zagwarantowaniem

bezpieczeństwa niektórym ośrodkom dla uchodźców. Jego twarz zniknęła, ustępując miejsca kobiecie, z którą przeprowadzano wywiad przed jakimś wielkim biurowcem. Kiedy nazwisko tej pani pojawiło się na ekranie, zdziwił się, że jej nie rozpoznał. To owa dyrektor Urzędu Imigracyjnego, z którą rozmawiał tego samego dnia.

Nie można wykluczyć, że w tym braku zainteresowania policji są jakieś elementy rasistowskie, oznajmiła pani dyrektor.

Ogarnął go pełen rozgoryczenia gniew.

Ty babo, pomyślał. Wszystko, co mówisz, jest jednym wielkim kłamstwem. I dlaczego ci cholerni dziennikarze nie skontaktowali się ze mną? Ja bym im pokazał plan Rydberga w sprawie ochrony ośrodków.

Rasistowskie elementy? O co jej chodzi? Oburzenie mieszało się ze wstydem, że został tak niesprawiedliwie napiętnowany.

Wtedy zadzwonił telefon. Najpierw miał zamiar nie odbierać, potem jednak wyszedł do przedpokoju i podniósł słuchawkę.

Był to ten sam głos co poprzednio. Bardziej ochryply, stłumiony. Wallander domyślił się, że rozmówca zasłania mikrofon chusteczką do nosa.

– Oczekujemy rezultatów – powiedział dzwoniący.

– Idź do cholery! – wrzasnął Wallander.

– Najpóźniej w sobotę – nie dawał za wygraną tamten.

– Czy to wy, cholerne sukinsyny, podłożyliście ogień dzisiejszej nocy?! – krzyczał w słuchawkę Wallander.

Rozmowa została przerwana.

Kurt Wallander nagle poczuł się bardzo źle. Nie mógł się pozbyć ponurych przeczuc, które go dręczyły. To było jak ból rozprzestrzeniający się w całym ciele.

Teraz się boisz, pomyślał. Teraz Kurt Wallander się boi.

Wrócił do kuchni, stanął przy oknie i zaczął wyglądać na ulicę.

Nagle stwierdził, że wiatr całkiem ucichł. Latarnia wisiała bez ruchu.

Coś musi się stać, tego był najzupełniej pewien.

Ale co? I kiedy?

Rano wyjął z szafy swój najlepszy garnitur.

Bezradnie przyglądał się plamie na klapie marynarki.

Ebba, pomyślał. To zadanie dla niej. Kiedy usłyszy, że mam się spotkać z Moną, całym sercem zajmie się wywabianiem plamy. Ebba należy do tych kobiet, które uważają, że liczba rozwodów jest dużo większym zagrożeniem dla społeczeństwa niż rosnąca i coraz brutalniejsza przestępczość...

Piętnaście po siódmej położył garnitur na tylnym siedzeniu samochodu i wyruszył w drogę.

Nad miastem wisiała gęsta mgła.

Czy to śnieg? – zastanawiał się. Ten śnieg, którego tak bardzo nie chcę?

Jechał wolno na wschód, przez Sandskogen, minął opuszczony plac golfowy i pojechał w dół, do Kasebergi.

Po raz pierwszy od wielu dni czuł się wyspany. Ale też spał dziewięć godzin bez przerwy. Guz na czole zaczął się zmniejszać i oparzona ręka przestała go piec.

Jeszcze raz przemyślał podsumowanie, które sporządził wczoraj wieczorem. Decydująca sprawa teraz to znalezienie tajemniczej przyjaciółki Johanna Lövgrena. I jej syna. Gdzieś tam, w bliskim otoczeniu tych ludzi, muszą się znajdować złodzieje. Nie żywił najmniejszych wątpliwości, że podwójne morderstwo ma związek z zaginionymi pieniędzmi, aż dwudziestoma siedmioma tysiącami koron, i być może z pozostałymi pieniędzmi Johanna Lövgrena.

Ktoś, kto go znał, kto wiedział i kto miał czas dać koniowi siana, zanim zniknął. Człowiek lub kilku ludzi, którzy znali zwyczaj Johanna Lövgrena.

Wynajęty w Göteborgu samochód słabo pasuje do tego wzoru. Być może więc nie ma z tym nic wspólnego?

Spojrzał na zegarek. Za dwadzieścia ósma. Czwartek 11 stycznia.

Zamiast prostą drogą jechać do domu ojca, zrobił jeszcze kilka kilometrów i skręcił w wąską zwirowaną dróżkę, wijącą się między łagodnymi wzniesieniami i prowadzącą do Backakry.

Zostawił samochód na pustym parkingu i wszedł na wzgórze, skąd rozciągał się rozległy widok na morze.

Znajdował się tu kamienny krąg. Zastanawiający kamienny krąg, wymurowany kilka lat temu. Zapraszał do samotności i spokoju.

Wallander usiadł na kamieniu i wpatrywał się w morze.

Raczej nie miał filozoficznego usposobienia. I nigdy nie odczuwał potrzeby zagłębiania się w siebie. Dla niego życie było ciągle zmieniającą się grą rozmaitych praktycznych problemów, domagających się rozwiązania. Gdzieś poza tym znajdowało się to, co nieuniknione, czego nie da się zmienić, żeby nie wiem jak długo zastanawiać się nad sensem, który i tak nie istnieje.

Ale kilka minut samotności to zupełnie inna sprawa. Wielki spokój spływał na niego, kiedy mógł w ogóle nie myśleć. Tylko słuchać, patrzeć, nie ruszać się.

Niewielka łódź znajdowała się w drodze do jakiegoś celu. Ogromny morski ptak żeglował bezgłośnie na rozpostartych skrzydłach. Wszystko pogrążone było w zupełnej ciszy.

Po dziesięciu minutach zebrał się i wrócił do samochodu.

Kiedy wszedł do atelier, ojciec stał i malował. Tym razem miało to być płótno z głuszcem.

Starszy pan popatrzył na niego z niechęcią.

Kurt Wallander nie mógł nie dostrzegać, że jest brudny. I że brzydko pachnie.

– Po co tu przychodzisz? – spytał ojciec.

– A czy nie umawialiśmy się wczoraj?

– Powiedziałaś o ósmej.

– Rany boskie! Spóźniłem się jedenaście minut!

– Jak ty możesz być policjantem, skoro czas nie ma dla ciebie znaczenia?

Kurt Wallander nie odpowiedział. Natomiast znowu pomyślał o swojej siostrze Kristinie. Najwyższy czas do niej zadzwonić. Zapytać, czy zdaje sobie sprawę z postępującej degradacji umysłowej ojca. On sam zawsze wyobrażał sobie sklerozę jako długi proces. Teraz musiał przyznać, że to akurat nie jest ten przypadek. Ojciec mieszał pędzlem farby na palcu. Ręce nadal

miał pewne. Następnie zdecydowanymi ruchami nakładał kropki bladoczerwonej farby na pióra rozpostartego ogona głuszca.

Kurt Wallander usiadł na starym taborecie i obserwował pracę.

Zapach, który dolatywał od strony ojca, był cierpki. Kurt Wallander przypomniał sobie cuchnącego mężczyznę na ławce w paryskim metrze, kiedy on i Mona byli w stolicy Francji w podróży poślubnej.

Muszę coś powiedzieć, myślał. Nawet jeśli mój ojciec jest na najlepszej drodze, by wrócić do swojego dzieciństwa, to muszę z nim rozmawiać jak z dorosłym.

Ile razy malował ten motyw? – zastanawiał się.

Pospieszny i zdecydowanie niepełny rachunek w myślach wskazywał na coś około siedmiu tysięcy.

Siedem tysięcy zachodów słońca.

Wylał kawę z dzbanka i rozpalił kuchenkę spirytusową.

– Jak ci się wiedzie? – spytał.

– Człowiekowi, który jest taki stary jak ja, powodzi się zawsze tak samo – odparł ojciec niechętnie.

– Nie myślałeś o tym, żeby się przeprowadzić?

– Dokąd miałbym się przeprowadzić? I dlaczego miałbym to robić?

Pytania padały jak ciosy bicia.

– Do domu opieki.

Ojciec zamachnął się na niego pędzlem, jakby to była broń.

– Chcesz, żebym umarł?

– To oczywiście, że nie chcę! Chodzi mi jedynie o twoje dobro.

– A jak, twoim zdaniem, miałbym przeżyć w tłumie starych bab i dziadów? I tam pewnie nawet nie wolno malować w pokoju.

– W dzisiejszych czasach można w takim zakładzie mieć własne mieszkanie.

– Ja mam swój dom. Nie wiem, czy tego nie zauważyłeś. Chyba jesteś na to zbyt chory, co?

– Jestem tylko trochę przeziębiony.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że choroba się nie rozwinęła.

Ustąpiła równie szybko, jak się pojawiła. Bywało tak i przedtem. Kiedy miał mnóstwo roboty, nie pozwalał sobie na chorowanie. Ale wiedział, że kiedy tylko śledztwo zostanie zakończone, choroba natychmiast da o sobie znać.

– Mam się dzisiaj spotkać z Moną – powiedział. Dalsza rozmowa o domu starców lub o zorganizowaniu jakiejś opieki w domu nie miała sensu. Najpierw powinien się porozumieć z siostrą.

– Skoro ona od ciebie odeszła, to odeszła. Zapomnij o niej.

– Wcale nie mam ochoty o niej zapominać.

Ojciec malował dalej. Teraz zabrał się za różowawe chmury. Rozmowa kulała.

– Potrzebujesz czegoś? – spytał Kurt Wallander. Ojciec odpowiedział, nie patrząc na niego.

– Chcesz już iść?

W jego słowach czaił się wyrzut. Kurt Wallander uświadomił sobie, że nie zdoła stłumić wyrzutów sumienia, które ojciec w nim wzbudził.

– Przecież mam pracę – powiedział. – Zastępuję szefa policji. Próbujemy rozwikłać sprawę podwójnego morderstwa. I wytropić jakichś piromanów.

Ojciec pociągnął nosem i podrapał się w kroku.

– Szef policji? – zdziwił się. – To naprawdę ma być coś? Kurt Wallander wstał.

– Wrócę niedługo, tato – powiedział. – Pomogę ci posprzątać ten bałagan.

Był kompletnie nieprzygotowany na wybuch ojca. Ten cisnął pędzel na ziemię i stanął przed synem, wymachując pięścią.

– Będziesz tu przychodził i mówił mi, że mam bałagan?! – wrzeszczał. – Będziesz tu przychodził i wtrącał się w moje życie? Chcę ci powiedzieć, że mam i sprzątaczkę, i gospodynię. A w ogóle to wybieram się do Rimini na zimowy urlop. Będę tam miał wystawę. Dwadzieścia pięć tysięcy koron za obraz, oto cena, jaką wyznaczyłem. A ty mi tu przychodzisz i gadasz o domu starców? Ale nie uda ci się ściągnąć na mnie śmierci, możesz być pewien!

Wybiegł z atelier i zatrzasnął za sobą drzwi.

Ojciec zwariował, pomyślał Kurt Wallander. Muszę się z tym wszystkim rozprawić. Może on rzeczywiście sobie wyobraża, że ma i sprzątaczkę, i gosposię? I naprawdę wybiera się do Włoch na otwarcie wystawy?

Zastanawiał się, czy powinien pójść do ojca, który hałasował w kuchni. Brzmiało to tak, jakby rozrzucał wokół siebie garnki.

W końcu poszedł do samochodu. Najlepsze, co może zrobić, to jak najszybciej zatelefonować do siostry. Natychmiast. Może razem zdołają przekonać ojca, że dalej nie może tak żyć.

O dziewiątej przekroczył próg budynku policji i oddał garnitur Ebbie, która obiecała go do południa wyczyścić i wyprasować.

O dziesiątej zwołał obecnych w komendzie policjantów na zebranie w sprawie postępów śledztwa. Wszyscy, którzy oglądali telewizję poprzedniego wieczora, podzielali jego oburzenie. Po krótkiej dyskusji ustalono, że Wallander napisze oświadczenie, które rozpowszechni się przez TT, czyli szwedzką agencję prasową.

– Dlaczego krajowy szef policji nie reaguje? – dziwił się Martinsson.

Jego pytanie spotkało się z szyderczym śmiechem.

– On – powiedział Rydberg – reaguje tylko wtedy, kiedy widzi w tym osobistą korzyść. Ma gdzieś to, jak się wiedzie policjantom na prowincji.

Po tym komentarzu uwaga zebranych skupiła się na sprawie podwójnego morderstwa.

Nic szczególnego się ostatnio nie wydarzyło, śledztwo wciąż nie wyszło poza fazę wstępną.

Zbierano materiały, analizowano je, sprawdzano różne koncepcje, protokołowano.

Policjanci byli zgodni, że teraz najważniejszym tropem jest tajemnicza kobieta z Kristianstad i jej syn. Nikt też nie wątpił, że mają do czynienia z morderstwem na tle rabunkowym.

Kurt Wallander pytał, czy w ośrodkach dla uchodźców noc minęła spokojnie.

– Sprawdziłem raporty – powiedział Rydberg. – Wynika z nich, że było spokojnie. Najbardziej dramatyczne wydarzenia tej nocy wywołał pewien łoś, który biegał po E-14.

– Jutro mamy piątek – przypomniał Kurt Wallander.

– Wczoraj wieczorem znowu miałem anonimowy telefon. Ten sam rozmówca. Powtórzył groźbę, że coś może się stać jutro, to znaczy w piątek.

Rydberg zaproponował, żeby się skontaktować z Głównym Zarządem Policji, a następnie rozstrzygnąć, czy wystawić dodatkowe patrole i posterunki.

– Powinniśmy to zrobić – przekonywał Kurt Wallander.

– Naprawdę lepiej się zabezpieczyć. Wyznamy dodatkowy patrol, który skupi się wyłącznie na ośrodkach dla uchodźców.

– W takim razie musisz zarządzić godziny nadliczbowe – powiedział Hansson.

– Wiem – zgodził się Kurt Wallander. – Chciałbym, żeby to Peters i Noren pełnili tę specjalną nocną służbę. Chciałbym też, żeby ktoś skontaktował się telefonicznie z kierownikami ośrodków. Nie denerwujcie ich. Poproście tylko, żeby byli szczególnie czujni.

Po niecałej godzinie zebranie się skończyło. Kurt Wallander został w pokoju sam i przygotowywał się do napisania sprostowania dla telewizji. I wtedy zadzwonił telefon. To Goran Boman z Kristianstad.

– Oglądałem wczorajsze wiadomości – powiedział ze śmiechem.

– Czy to nie skandal?

– Owszem. Dziwię ci się, że nie protestujesz.

– Właśnie do nich piszę.

– Co sobie tacy dziennikarze właściwie myślą?

– Na pewno się nie zastanawiają, co jest prawdą, a co nie. Ich interesują tylko tytuły jeżące włos na głowie.

– Za to ja mam dla ciebie dobre wiadomości. Kurt Wallander czuł narastające napięcie.

– Znalazłeś ją?

– Być może. Wysłałam ci faksem parę dokumentów. Zdaje mi się, że znaleźliśmy dziewięć możliwych kandydatek. Rejestry urzędu stanu cywilnego to nie taka głupia sprawa. Pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć, na co natrafiliśmy. A potem do mnie zadzwoń i powiedz, czy masz jakieś specjalne życzenia, na

przykład, od której z nich powinniśmy zacząć.

– Świetnie, Goran. Zadzwoń – obiecał Kurt Wallander. Faks znajdował się w recepcji. Młoda zastępczyni Ebby, której nigdy wcześniej nie widział, właśnie zbierała papiery od Bomana.

– Kto to jest Kurt Wallander? – spytała.

– To ja – odparł. – Gdzie Ebba?

– Musiała iść do pralni chemicznej – poinformowała dziewczyna.

Kurt Wallander zawstydział się. Dlaczego pozwala, żeby Ebba biegła za jego sprawami?

Goran Boman przysłał cztery kartki. Kurt Wallander wrócił do siebie i rozłożył je na biurku. Studiował uważnie, nazwisko po nazwisku, daty urodzenia kobiet oraz daty urodzenia dzieci, mających nieznanego ojca. Szybko odrzucił cztery przypadki, pozostało mu zatem pięć kobiet, które urodziły synów w latach pięćdziesiątych.

Dwie z nich nadal mieszkały w Kristianstad, jedna w Gladsax, to pod Simrishamn. Z dwóch kolejnych jedna mieszkała w Strömsund, druga natomiast wyemigrowała do Australii. Roześmiał się na myśl o tym, że może należałoby dla dobra śledztwa wysłać kogoś na antypody.

Potem zadzwonił do Bomana.

– Świetnie – powtórzył. – To wygląda dosyć obiecująco. Jeśli jesteśmy na właściwym tropie, to mamy do wyboru pięć nazwisk.

– Czy mam te kobiety wezwać na rozmowę?

– Nie. Wolalbym sam się tym zająć. Szczerze mówiąc, myślałem, że zrobimy to razem, ty i ja, gdybyś miał czas.

– Znajdę czas. Zaczynamy dzisiaj? Kurt Wallander spojrzał na zegarek.

– Zaczekamy do jutra – powiedział. – Spróbuję być u ciebie koło dziewiątej. Jeśli dziś w nocy nie stanie się nic złego.

Opowiedział w skrócie o anonimowych pogróżkach.

– Znaleźliście tego, który tamtej nocy podłożył ogień?

– Jeszcze nie.

– No to ja przygotuję grunt na jutro. Sprawdzę, czy żadna

z nich nie wyjechała.

– Może spotkajmy się w Gladsax – zaproponował Kurt Wallander. – To połowa drogi.

– Zatem o dziewiątej w hotelu Svea w Simrishamn – powiedział Goran Boman. – Wypijemy filiżankę kawy na rozpoczęcie dnia.

– Dobry pomysł. Do zobaczenia. I dziękuję za pomoc. No, poczekajcie, dranie, pomyślał Kurt Wallander, odkładając słuchawkę.

Żarty się skończyły.

Potem napisał list do telewizji. Nie przebierał w słowach i postanowił wysłać jego kopie do Urzędu Imigracyjnego, do Ministerstwa do spraw Uchodźców oraz do szefów policji, rejonowego i krajowego.

Stojący na korytarzu Rydberg przeczytał, co Wallander napisał.

– Bardzo dobrze – pochwalił. – Ale nie łudź się, że oni coś w tej sprawie zrobią. Dziennikarze w tym kraju, a już zwłaszcza dziennikarze telewizyjni, nigdy nie popełniają błędów.

Wallander oddał list do przepisania i poszedł do pokoju jadalnego napić się kawy. O jedzeniu nie zdążył jeszcze pomyśleć. Zbliżała się pierwsza, postanowił więc, że zanim wyjdzie coś zjeść, uporządkuje na biurku informacje o telefonach, których nie odebrał.

Wczoraj wieczorem, po tych anonimowych pogróżkach, wpadł w przygnębienie. Teraz mógł odrzucić złe przeczucia. Jeżeli coś się stanie, to policja będzie przygotowana.

Wybrał numer Stena Widena. Ale po pierwszym sygnale pospiesznie odłożył słuchawkę. Sten Widen może poczekać. Wkrótce będą się mogli uspokoić, kiedy ustalą, ile czasu potrzebuje koń na zjedzenie porcji siana.

Zamiast tego wybrał numer do prokuratury.

Dziewczyna w centrali powiedziała, że Anette Brodin jest u siebie.

Wstał i poszedł do drugiego skrzydła budynku. W chwili, kiedy podniósł rękę, żeby zapukać, drzwi się otworzyły.

Pani prokurator była ubrana do wyjścia.

– Właśnie idę na lunch – powiedziała.

– To może pójdziemy razem?

Przez moment sprawiała wrażenie niezdecydowanej. Ale potem się uśmiechnęła.

– Dlaczego nie?

Kurt Wallander zaproponował Continental. Dostali stół przy oknie i oboje zamówili solonego łososia.

– Widziałam cię wczoraj w wiadomościach – zaczęła Anette Brolin. – Jak oni mogą nadawać takie powierzchowne i tendencyjne reportaże?

Wallander, który przygotował się na przyjęcie krytyki, odetchnął.

– Dziennikarze traktują policję jak kozła ofiarnego – powiedział. – Czy robimy dużo, czy mało, zawsze zasługujemy na krytykę. I za nic nie chcę zrozumieć, że czasami musimy niektóre wiadomości trzymać w tajemnicy dla dobra śledztwa.

I nie zastanawiając się, opowiedział jej o przecieku. Oraz o tym, jak bardzo go ubodło to, że informacje z zebrań grupy dochodzeniowej prostą drogą powędrowały do telewizji.

Zauważył, że ona słucha. Nagle jakby odkrył człowieka za fasadą prokuratora i pod osłoną eleganckiego ubrania.

Po jedzeniu zamówili kawę.

– Czy rodzina też się tu przeprowadziła? – spytał.

– Mąż został w Sztokholmie – wyjaśniła. – Więc w tej sytuacji dzieciom nie opłacało się zmieniać szkoły na rok.

Kurt Wallander poczuł się rozczarowany.

Gdzieś w głębi duszy miał nadzieję, że jej ślubna obrączka mimo wszystko nic nie znaczy.

Kelner przyniósł rachunek i Kurt Wallander wyciągnął rękę, by zapłacić.

– Zapłacimy po połowie – zaprotestowała. Kelner dołał im kawy.

– Opowiedz mi o tym mieście – poprosiła. – Przejrzałam kilka tutejszych spraw karnych z ostatnich lat. Różnica w porównaniu ze Sztokholmem jest ogromna.

– Ale się zmniejsza – zapewnił. – Niedługo cała szwedzka

provincia upodobni się do przedmieść wielkich miast. Dwadzieścia lat temu na przykład nie było tu problemu narkotyków. Dziesięć lat temu pojawiły się w miastach jak Ystad i Simrishamn. Nadal jednak mieliśmy pewną kontrolę nad tym, co się dzieje. Dzisiaj prochy są wszędzie. Kiedy mijam jakiś piękny stary skański dwór, zaczynam się zastanawiać: ciekawe, czy się tu nie ukrywa fabryka amfetaminy.

– Ale przypadki gwałtów są rzadsze – powiedziała. – I nie takie brutalne.

– I to się zmieni – odparł. – Niestety, powinienem chyba dodać. Tak czy inaczej, różnica między wielkimi miastami a prowincją wkrótce zostanie zniwelowana. W Malmö mamy do czynienia z zorganizowaną przestępczością na znaczną skalę. Otwarte granice i te wszystkie promy ze świata stanowią fantastyczne kąski dla wszelkiego draństwa. Mamy w wydziale kryminalnym policjanta, który kilka lat temu przyjechał do nas ze Sztokholmu. Svedberg się nazywa. Przeprowadził się tutaj, bo już nie wytrzymał w Sztokholmie. Kilka dni temu powiedział mi, że się zastanawia, czy tam nie wrócić.

– Ale i tak tutaj jest spokój – powiedziała w zamyśleniu. – Coś, co Sztokholm całkowicie już utracił.

Wyszli z Continentalu. Kurt Wallander zostawił swój samochód niedaleko, na Stickgatan.

– Czy naprawdę wolno ci tutaj parkować? – spytała.

– Nie – roześmiał się. – Ale jak mi wypiszą mandat, to przeważnie płacę. Chociaż może powinienem machać na to ręką.

Wrócili do budynku policji.

– Wpadłem na pomysł, żeby ci któregoś dnia zaprosić na obiad – powiedział. – Mógłbym ci przy okazji pokazać okolicę.

– Chętnie – uśmiechnęła się.

– Jak często jeździsz do domu? – spytał.

– Co drugi tydzień.

– A twój mąż? Dzieci?

– Mąż odwiedza mnie, jak ma czas. A dzieci, jak im przyjdzie ochota.

Kocham cię, pomyślał Kurt Wallander. Dziś wieczorem

spotkam się z Moną i powiem jej, że kocham inną kobietę.

Rozstali się w policyjnej recepcji.

– W poniedziałek dostaniesz sprawozdanie – obiecał Kurt Wallander. – Mamy teraz parę tropów, które zaczynamy badać.

– Będą jakieś zatrzymania?

– Nie. Jeszcze nie. Ale poszukiwania w bankach przyniosły pewne rezultaty.

Skinęła głową.

– Najlepiej przed dziesiątą – powiedziała. – Potem będę w sądzie.

Umówili się na dziewiątą.

Kurt Wallander długo patrzył w ślad za nią, zanim zniknęła mu z oczu za zakrętem korytarza.

Anette Brolin, myślał. Co się nie może przytrafić na tym świecie, na którym podobno wszystko jest możliwe?

Resztę dnia poświęcił na czytanie protokołów z różnych przesłuchań, które przedtem zdążył jedynie przejrzeć. Przyszły też ostateczne wyniki badań lekarzy medycyny sądowej. I znowu oniemiał, czytając o tej bezsensownej przemocy, której poddano dwoje starych ludzi. Przeczytał raporty z rozmów z obiema córkami Lövgrenów i sprawozdanie z przepytywania ludzi w Lenarp.

Wnioski uzupełniały się wzajemnie, nie było żadnych niezgodności.

Nikt nawet nie przeczuwał, że Johannes Lövgren był o wiele bardziej skomplikowaną osobowością, niż się na zewnątrz prezentował. Jak się okazuje, ów prosty rolnik miał drugą naturę, tyle że głęboko skrywaną.

Pewnego razu podczas wojny, dokładnie w 1943 roku, został oskarżony o pobicie. Stał przed sądem, ale go uniewinniono. Ktoś wygrzebał kopię protokołów sprawy i teraz Kurt Wallander mógł je uważnie przeczytać. Ale żaden wiarygodny motyw zemsty z tego nie wynikał. Wszystko wskazywało raczej na zwyczajną sprzeczkę w wiejskim domu ludowym w Erikslund, która przerodziła się w bójkę.

O wpół do czwartej Ebba przyniosła jego świeżo wyczyszczony garnitur.

– Jesteś aniołem – powiedział uradowany.
– Mam nadzieję, że będziesz się naprawdę dobrze bawił dziś wieczorem.

Kurt Wallander poczuł ucisk w gardle. Ona rzeczywiście mówi to, co myśli.

Do godziny piątej zajmował się różnymi drobiazgami. Wypełnił kupon Totalizatora Sportowego, zamówił termin oddania samochodu do przeglądu i przygotowywał się do rozmów, czekających go jutro. Potem, dla pamięci, zapisał sobie na kartce, że przed powrotem Björka musi sporządzić sprawozdanie z przebiegu dochodzenia.

Trzy minuty po piątej Naslund wsunął głowę przez drzwi.

– Jeszcze tu jesteś? – zdziwił się. – Myślałem, że poszedłeś do domu.

– Dlaczego miałbym pójść?

– Ebba tak powiedziała.

Ebba czuwa nade mną, pomyślał ciepło. Jutro, zanim wyjadę do Simrishamn, muszę dać jej kwiatek. Naslund wszedł do pokoju.

– Masz czas? – spytał.

– Nie za wiele.

– To nie potrwa długo. Chodzi o tego Klasa Mansona. Kurt Wallander musiał się chwilę zastanowić, zanim sobie przypomniał, kto to taki.

– Tego, który okradł nocny sklep?

– No właśnie. Mamy świadka, który go rozpoznał, mimo że miał na twarzy jakąś cholerną pończochę. Świadek rozpoznał tatuaż na nadgarstku. Nie ma wątpliwości, że to on. Ale ta nowa prokuratorka się z nami nie zgadza.

Kurt Wallander uniósł brwi.

– Jak to?

– Ona uważa, że śledztwo było powierzchowne.

– A było?

Naslund spoglądał na niego zdumiony.

– Nie bardziej niż inne. Sprawa jest przecież oczywista.

– I co ostatecznie powiedziała?

– Że jeśli nie przedstawimy bardziej wyczerpujących

dowodów, to nie ma mowy o tymczasowym zatrzymaniu.

To nie do wytrzymania, że jakaś baba ze Sztokholmu tu przyjeżdża i udaje ważną!

Kurt Wallander poczuł, że ogarnia go złość, ale starał się nad sobą panować.

– Pelle nie robiłby żadnych problemów – mówił dalej wzburzony Naslund. – To przecież jasne, że ten złodziej okradł sklep.

– Masz ten raport? – spytał Kurt Wallander.

– Prosiłem Svedberga, żeby go jeszcze raz przeczytał.

– Zostaw mi na biurku, to jutro rano go przejrzę. Naslund szykował się do wyjścia.

– Ktoś powinien tej babie nagadać – powiedział. Kurt Wallander kiwnął głową z uśmiechem.

– Sam to zrobię – obiecał. – To jasne, że nie możemy mieć prokuratora ze Sztokholmu, który będzie nam od nowa ustawiał pracę.

– Byłem pewien, że tak powiesz – ucieszył się Naslund i wyszedł.

Świetny pretekst do zaproszenia na obiad, pomyślał Kurt Wallander. Włożył kurtkę, przewiesił świeżo wyczyszczony garnitur przez ramię i zgasił światło.

W domu wziął szybki prysznic i tuż przed siódmą był w Malmö. Znalazł miejsce na parkingu przy Stortorget i zszedł po schodach do gospody Kocksa. Potrzebował paru drinków, zanim będzie gotowy na spotkanie z Moną w restauracji Centralnej.

Chociaż cena go wzburzyła, zamówił podwójną whisky. Zwykle pijał lepsze gatunki, tym razem jednak zadowolił się gorszą marką.

Już przy pierwszym łyku oblał sobie klapę marynarki.

Będzie plama. Niemal w tym samym miejscu co poprzednia.

Wracam do domu, pomyślał, pełen niechęci do samego siebie. Wracam do domu i kładę się do łóżka. Nie potrafię już utrzymać szklanki w ręce, żeby się nie ochlapać. W głębi duszy jednak wiedział, że to urażona próżność. Próżność i niewybaczalne zdenerwowanie przed spotkaniem z Moną.

Może najważniejsze spotkanie od tamtego dnia, kiedy zaproponował jej małżeństwo. A teraz postawił sobie za cel cofnięcie rozwodu, który już został orzeczoney.

Ale czego właściwie pragnął?

Wytał marynarkę papierową serwetką, opróżnił szklanekę i zamówił jeszcze jedną whisky.

Za dziesięć minut będzie musiał wyjść.

Do tego czasu powinien się zdecydować, co chciałby powiedzieć Monie?

A co ona mogłaby na to odpowiedzieć?

Dostał kolejnego drinka i wypił duszkiem. Alkohol palił go w ustach, stwierdził, że zaczyna się pocić.

Niczego nie postanowił.

W głębi duszy miał nadzieję, że to Mona wypowie rozstrzygające słowa.

To przecież ona chciała rozwodu.

Więc i ona powinna dążyć do jego unieważnienia.

Zapłacił i wyszedł. Wolno, by nie przyjść przed czasem.

Kiedy czekał na zielone światło przy Vallgatan, podjął dwie decyzje.

Musi poważnie porozmawiać z Moną o Lindzie. I poprosi ją o radę w sprawie postępowania z ojcem. Mimo że nigdy nie dogadywali się najlepiej, Mona miała doświadczenie ze zmiennymi humorami starszego pana.

Powiniennem był zadzwonić do Kristiny, myślał, przechodząc przez jezdnię.

Być może świadomie wyrzuciłem to z pamięci.

Przeszedł przez most nad kanałem i znalazł się w otoczeniu samochodów raggare w stylu lat pięćdziesiątych. Jakiś pijany młodzian wychylał się przez okno auta aż do pasa i wrzeszczał wniebogłosy.

Kurt Wallander pamiętał, jak chodził po tym moście przed dwudziestu laty. Akurat ta dzielnica miasta pozostała taka jak dawniej. Pracował tu jako młody policjant, często ze starszym kolegą, chodzili na dworzec, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Czasami wyprowadzali kogoś, bo był za bardzo pijany albo nie miał biletu. Rzadko, a właściwie nigdy nie

zdarzały się tu akty przemocy.

Tamten świat już nie istnieje, pomyślał.

Przepadł, jest stracony na wieki.

Wstąpił na dworzec. Wiele się zmieniło od czasu, gdy patrolował to miejsce. Ale kamienna posadzka jest ta sama. Taki sam jest też zgrzyt zderzaków wagonów i hamujących lokomotyw.

Nagle ujrzał swoją córkę.

Początkowo myślał, że to przywidzenie. Równie dobrze mogłaby to być dziewczyna przerzucająca bele siana na farmie Stena Widena. Później nabrał pewności. To Linda.

Stała razem z czarnym jak węgiel mężczyzną i próbowała kupić bilet w automacie. Afrykanin był od niej o jakieś pół metra wyższy. Miał bujne, mocno kręcone włosy i ubrany był w jasnofioletowy dres.

Kurt Wallander, jakby śledził potajemnie przestępcę, pospiesznie schował się za kolumnę.

Afrykanin coś powiedział i Linda się roześmiała.

Kurt Wallander zdał sobie sprawę, że minęło wiele lat od czasu, kiedy słyszał, że jego córka się śmieje.

To, co widział teraz, wprawilo go w rozpacz. Poczul, że Linda jest dla niego nieosiągalna. Znajdowała się bardzo daleko, choć stała tak blisko.

Moja rodzina, pomyślał. Sterczę oto na dworcu kolejowym i szpieguję własną córkę. Tymczasem jej matka, a moja żona, być może przyszła już do restauracji po to, byśmy się mogli spotkać, zjeść razem obiad, a nawet porozmawiać, nie kłócąc się ani nie krzycząc.

Nagle stwierdził, że niedowidzi. To łzy przesłaniały mu wzrok.

Afrykanin i Linda ruszyli w stronę wyjścia na perony. Chciał rzucić się za nimi, przyciągnąć ją do siebie.

Potem zniknęli mu z pola widzenia, a on kontynuował swoje naprędce wymyślane szpiegowanie córki. Skradał się po zacienionym peronie, gdzie wiał lodowaty wiatr znad Sundu. Widział tamtych dwoje, jak idą, trzymając się za ręce, i jak się śmieją. Ostatnie, co zobaczył, to zamykające się niebieskie drzwi pociągu do Landskrony albo Lund.

Próbował sobie wmawiać, że Linda wygląda na rozradowaną. Równie swobodnie zachowywała się ostatnio jako dziewczynka. Ale jedyne, co naprawdę zajmowało jego myśli, to żałosne położenie, w jakim on sam się znalazł.

Kurt Wallander. Patetyczny policjant i jego nieszczęsna rodzina!

No i zrobiło się późno. Może Mona zdążyła się już odwrócić na pięcie i odejść? Ona, która jest zawsze taka punktualna i nienawidzi czekania.

Zwłaszcza na niego.

Zaczął biec wzdłuż peronu. Elektryczna lokomotywa przejechała obok niego niczym rozgniewane, zgrzytające zębami dzikie zwierzę.

Tak mu się spieszyło, że potknął się na schodach do restauracji. Krótco ostrzyżony portier spoglądał na niego z niechęcią.

– Dokąd to tak pędzisz? – spytał.

Kurt Wallander oniemiał na to pytanie. Intencja była dla niego absolutnie jasna.

Portier myślał, że gość jest pijany, i nie zamierzał go wpuścić.

– Jestem tu umówiony na obiad z moją żoną – powiedział Wallander ugodowo.

– Nigdzie nie wejdiesz – oznajmił portier. – Byłoby najlepiej, gdybyś wrócił do domu.

Kurt Wallander poczuł, że gniew dławi go w gardle.

– Jestem policjantem! – krzyknął. – I nie jestem pijany, jeżeli o to ci chodzi. Wpuść mnie natychmiast, zanim stracę cierpliwość.

– Pocałuj mnie gdzieś! – warknął portier. – I wracaj do domu, bo inaczej wezwę patrol.

Przez moment Wallander miał wrażenie, że zaraz rzuci się na portiera. Mimo wszystko jednak się opanował. Z wewnętrznej kieszeni wyjął kartę identyfikacyjną.

– Ja naprawdę jestem policjantem – powiedział. – I wcale nie jestem pijany. Potknąłem się. Poza tym to prawda, że czeka tu na mnie żona.

Portier przyglądał się karcie podejrzliwie. Nagle się

rozpromienił.

– Ja ciebie znam! – zawołał. – Przedwczoraj widziałem cię w telewizji.

Nareszcie mam jakiś pożytek z telewizji, pomyślał Kurt Wallander.

– Ja ciebie popieram – zapewniał portier. – Popieram cię w całej rozciągłości.

– Ale w jakiej sprawie?

– No, że tych cholernych drani trzeba trzymać krótko. Co za gówno się wpuszcza do tego kraju? Takich, co to potem mordują starych ludzi? Ja cię popieram, że ich trzeba stąd wykopać. Wyszczuć psami!

Kurt Wallander uznał, że nie warto wdawać się z nim w dyskusję. Zamiast tego próbował się uśmiechać.

– Teraz chętnie bym coś zjadł – powiedział. Portier otworzył drzwi.

– Chyba sam rozumiesz, że człowiek musi być ostrożny, co?

– Jasne – zgodził się Wallander i wkroczył do ciepłego wnętrza restauracji.

Zdjął kurtkę i rozejrzał się dookoła.

Mona siedziała przy oknie z widokiem na kanał.

Może siedziała tam od dłuższego czasu i widziała, jak przyszedł?

Wciągnął brzuch, jak tylko się dało, przygładził dłonią włosy i podszedł do niej.

Od początku wszystko potoczyło się nie tak, jak trzeba.

Widział, że zauważyła płamę na klapie marynarki, i strasznie go to rozgniewało. Nawet nie był pewien, czy zdołał to ukryć.

– Cześć – powiedział i usiadł naprzeciwko niej.

– Jak zawsze spóźniony – odparła. – Jakiś ty się zrobił gruby!

Od razu z obraźliwymi określeniami, pomyślał. Ani śladu życzliwości, ani śladu uczucia.

– Za to ty nic się nie zmieniłaś. A jaka opalona!

– Byliśmy tydzień na Maderze.

Madera. Najpierw Paryż, potem Madera. Podróż poślubna. Hotel zawieszony wysoko na skałach, mała restauracyjka rybna na brzegu morza. I ona znowu tam była. Z kimś innym.

– Ach tak – westchnął. – Myślałem, że Madera to nasza wyspa.

– Nie bądź dziecinny!

– Ale ja naprawdę tak myślę.

– W takim razie jesteś naprawdę dziecinny.

– Oczywiście, że jestem. Czy to grzech? Rozmowa kulała.

Kiedy sympatyczna kelnerka podeszła do ich stolika, poczuli się jak uratowani z lodowatej przerębli.

Wino poprawiło nieco nastrój.

Kurt Wallander siedział, przyglądał się kobiecie, która była jego żoną, i myślał, że jest bardzo piękna. Przynajmniej dla niego. Starał się nie dopuszczać do siebie myśli, które przyprawiły go o skurcz żołądka z zazdrości.

Starał się sprawiać wrażenie bardzo spokojnego, choć tak nie było. Mimo to robił, co mógł.

Stuknęli się kieliszkami.

– Wróc – poprosił. – Zacznijmy jeszcze raz.

– Nie – odparła. – Musisz zrozumieć, że to koniec. Minęło.

– Czekaając na ciebie, poszedłem na dworzec – powiedział. – I tam widziałem naszą córkę.

– Lindę?

– Wyglądasz na zaskoczoną.

– Myślałam, że ona jest w Sztokholmie.

– Co miałyby robić w Sztokholmie?

– Chciała pojechać do jednego z uniwersytetów ludowych, żeby zobaczyć, czy nie mają tam czegoś odpowiedniego dla niej.

– To nie było przywidzenie. Widziałem Lindę.

– Rozmawiałeś z nią?

Kurt Wallander potrząsnął głową.

– Wsiadła do pociągu – powiedział. – Nie zdążyłem.

– Do jakiego pociągu?

– Do Lund albo Landskrony. Była w towarzystwie jakiegoś Afrykanina.

– No, to przecież bardzo dobrze.

– Dobrze? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że Herman to najlepsze, co spotkało Lindę od wielu lat.

- Herman?
- Herman Mboya. Pochodzi z Kenii.
- On miał na sobie fioletowy dres.
- Czasem rzeczywiście ubiera się trochę zabawnie.
- Co on robi w Szwecji?
- Studiuje medycynę. Wkrótce będzie lekarzem.

Kurt Wallander słuchał zdumiony. Czy ona żarty sobie z niego stroi?

- Lekarzem?
- Tak, lekarzem. Doktorem, czy jak chcesz to nazwać. Jest opiekuńczy, troskliwy, ma poczucie humoru.
- Mieszkają razem?
- On wynajmuje w Lund niewielkie mieszkanie studenckie.
- Pytałem, czy razem mieszkają?
- Myślę, że Linda w końcu się zdecydowała.
- Zdecydowała się na co?
- Żeby z nim zamieszkać.
- To jak wtedy będzie mogła chodzić na uniwersytet ludowy w Sztokholmie?
- Herman to zaproponował.

Kelnerka znowu nalała im wina. Kurt Wallander poczuł, że zaczyna być podchmielony.

- Ona do mnie dzwoniła któregoś dnia – powiedział. – Była w Ystad. Ale nie przyszła, nie odwiedziła mnie. Jeżeli ją zobaczysz, powiedz, że za nią tęsknię.
- Zrobi, co zechce.
- Proszę cię tylko, żebyś jej to powiedziała.
- Dobrze, powiem, ale nie krzycz!
- Ja nie krzyczę!

Właśnie przyniesiono befsztyki. Jedli w milczeniu. Kurt Wallander nie czuł żadnego smaku. Zamówił jeszcze jedną butelkę wina i zastanawiał się, jak wróci do domu.

– Wygląda na to, że tobie powodzi się nieźle – powiedział. Mona skinęła głową, zdecydowanie, ale też chyba trochę lekceważąco.

- A tobie?
- Mnie się cholernie nie wiedzie. A poza tym nic nowego.

– O czym chciałeś ze mną rozmawiać?

On jednak zapomniał. Zapomniał, że miał wymyślić jakiś pretekst do spotkania. Teraz nie miał zielonego pojęcia, co powiedzieć.

Prawdę, pomyślał z ironią. Dlaczego nie spróbować prawdy?

– Po prostu chciałem cię zobaczyć – rzekł. – Wszystko inne, co mówiłem, to kłamstwo.

Mona się roześmiała.

– Bardzo się cieszę, że mogliśmy się spotkać – rzekła. I nagle on się rozplakał.

– Tak strasznie za tobą tęsknię – chlpał.

Ona wyciągnęła rękę i położyła na jego dłoni. Ale nie odezwała się ani słowem. I to właśnie w tym momencie Kurt Wallander uświadomił sobie, że między nimi wszystko skończone. Rozvodu już nic nie cofnie. Mogą oczywiście jadać razem obiady. Ale ich życie nieodwołalnie toczyć się będzie w przeciwnych kierunkach. Jej milczenie nie kłamie.

Zaczął myśleć o Anette Brolin. I o tej czarnej kobiecie, która ostatnio odwiedzała go w snach.

Nie był przygotowany na samotność. Teraz będzie musiał się do niej przyzwyczaić i może z czasem odnajdzie nowe życie, za które nikt inny, tylko on weźmie odpowiedzialność.

– Powiedz mi tylko jedną rzecz – poprosił. – Dlaczego ode mnie odeszłaś?

– Gdybym cię nie zostawiła, życie odeszłoby ode mnie – oznajmiła. – Chciałabym, żebyś zrozumiał, że nie ma w tym twojej winy. To ja czułam, że zerwanie jest konieczne, to ja podjęłam decyzję. Pewnego dnia zrozumiesz, co mam na myśli.

– Wolałbym to rozumieć teraz.

Kiedy wychodzili, Mona chciała za siebie zapłacić. On się jednak upierał, że nie, więc ustąpiła.

– Jak wrócisz do domu? – spytała.

– Nocnym autobusem – skłamał. – A ty?

– Ja się przejdę.

– Odprowadzę cię kawałek. Potrząsnęła głową.

– Rozwiedliśmy się – powiedziała. – I tak jest najlepiej. Ale zadzwoń znowu, jak będziesz miał ochotę. Chciałabym

utrzymywać z tobą kontakt.

Pospiesznie pocałowała go w policzek. Patrzył, jak energicznym krokiem przechodzi przez most nad kanałem. Kiedy zniknęła między Savoyem a biurem podróży, ruszył za nią. Wczesnym wieczorem śledził swoją córkę, teraz szedł za żoną.

Przed sklepem ze sprzętem radiowym na Stortorget stał samochód. Mona usiadła obok kierowcy.

Kurt Wallander skrył się za jakimiś schodami, kiedy przejeżdżali obok niego. Na moment mignął mu mężczyzna za kierownicą.

Wrócił do swojego samochodu. Żadnych nocnych autobusów do Ystad przecież nie było. Po drodze wstąpił do budki telefonicznej i wykręcił domowy numer Anette Brolin. Kiedy usłyszał jej głos, szybko odłożył słuchawkę.

Wsiadł do samochodu, włączył kasetę z Marią Callas i zamknął oczy.

Ocknął się gwałtownie, bo zmarł. Spał prawie dwie godziny. Chociaż wciąż nie był trzeźwy, postanowił, że pojedzie do domu. Będzie jechał wolno, bocznymi drogami. Przez Svedalę i Svaneholm. Nie ma ryzyka, że natknie się tam na jakiś patrol policyjny.

Ale się przeliczył. Całkiem zapomniał, że tej nocy patrole z Ystad miały czuwać nad ośrodkami dla uchodźców. A przecież sam wydał im rozkaz.

Peters i Noren spostrzegli jadącego niepewnie kierowcę między Svaneholm a Slimminge, bo sprawdzali właśnie, czy w okolicach Hageholm jest spokojnie. Chociaż normalnie z daleka rozpoznawali samochód Wallandera, to teraz do głowy by im nie przyszło, że to on jeździ po nocy bocznymi drogami. Poza tym tablica rejestracyjna była tak zabłocona, że trudno ją było odczytać. Dopiero kiedy go zatrzymali i Kurt Wallander opuścił boczną szybę, zdali sobie sprawę, że to ich szef.

Żaden nie powiedział ani słowa. Latarka Norena świeciła prosto w przekrwione oczy Kurta Wallandera.

– Wszędzie spokój? – spytał Wallander. Noren i Peters popatrzyli po sobie.

– Tak – odparł Peters. – Wygląda na to, że spokój.
– To w porządku – rzekł Wallander i już miał zamknąć okno.
Wtedy Noren zrobił krok do przodu.
– Będzie najlepiej, jeśli wysiądziesz – powiedział. –
Natychmiast.

Kurt Wallander spoglądał pytająco w twarz, której rysy z trudem rozróżniał w świetle kieszonkowej latarki. Potem pochylił się i zrobił, co mu kazano. Wysiadł z samochodu. Noc była zimna. Poczul, że marznie. I że coś się skończyło.

9

Kiedy tuż po siódmej rano w piątek Kurt Wallander wchodził do hotelu Svea w Simrishamn, w żadnym razie nie mógłby powiedzieć o sobie, że jest śmiejącym się policjantem. Niemal nieprzerwanie w Skanii padał deszcz ze śniegiem. Po drodze z samochodu do hotelu Wallander przemoczył sobie buty.

Poza tym bolała go głowa.

Poprosił kelnerkę o kilka tabletek przeciwbólowych. Dziewczyna wróciła szybko ze szklanką wody, pieniącą się od rozpuszczonego w niej białego proszku.

Pijąc kawę, zauważył, że drży.

Pomyślał, że w tej samej mierze ze strachu, co z poczucia ulgi.

Kiedy przed paroma godzinami na wąskiej drodze między Svaneholm a Slimminge Noren kazał mu wysiąść z samochodu, pomyślał, że oto wszystko skończone. Już nie będzie policjantem. Jazda po pijanemu jest wystarczającym powodem natychmiastowego zwolnienia. A nawet gdyby mógł jeszcze kiedykolwiek wrócić do czynnej służby, po odsiedzeniu kary więzienia, to i tak nigdy nie będzie w stanie spojrzeć w oczy byłym kolegom. Pomyślał wtedy, że może z czasem mógłby zostać pracownikiem ochrony jakiegoś przedsiębiorstwa. W najlepszym razie może udałoby mu się przecisnąć przez kontrolę w jakiejś mniejszej firmie ochroniarskiej. Tak czy inaczej, jego dwudziestoletnia służba w policji dobiegła końca. A przecież to jego zawód.

Nigdy by mu nie przyszło do głowy, żeby próbować przekupić

Petersa i Norena. Wiedział, że to niemożliwe. Jedyne, co mógł zrobić, to odwoływać się. Do solidarności, koleżeństwa, przyjaźni, która w istocie nie istniała.

Nie musiał jednak tego robić.

– Pojedziesz z Petersem, a ja poprowadzę twój samochód – polecił Noren.

Kurt Wallander pamiętał uczucie ulgi, ale też wyraźną niechęć w głosie Norena.

Bez słowa usiadł na tylnym siedzeniu policyjnego wozu. Peters ponuro milczał przez całą drogę na Mariagatan w Ystad.

Noren przyjechał zaraz za nimi. Zaparkował samochód, oddał Wallanderowi kluczyki.

– Czy ktoś cię widział? – spytał.

– Nikt oprócz was.

– No to miałeś cholerne szczęście. Peters kiwał głową.

I wtedy Kurt Wallander zrozumiał, że nic się nie stanie, nikt się o niczym nie dowie. Peters i Noren dopuścili się poważnego służbowego wykroczenia z jego powodu. Dlaczego, nie miał pojęcia.

– Dziękuję – powiedział.

– Wszystko się ułoży – dodał jeszcze Noren. Potem pojechali.

Kurt Wallander poszedł na górę, do swojego mieszkania, i wypił resztkę whisky z butelki. Potem drzemał kilka godzin na łóżku. Bez snów, bez żadnych myśli. Piętnaście po szóstej znowu siedział w swoim samochodzie, zdążył się tylko byle jak ogolić.

Wiedział naturalnie, że wciąż nie jest całkiem trzeźwy. Tym razem jednak już nie ryzykował, że znowu spotka Petersa i Norena. Ci dwaj skończyli służbę o szóstej.

Próbował skupić się na czekającym go dniu. Niebawem przyjedzie Goran Boman i razem wyruszą na poszukiwanie brakującego ogniwa śledztwa w sprawie podwójnego morderstwa w Lenarp.

Wszystkie inne myśli na razie od siebie odsuwał. Zajmie się nimi, jak będzie w stanie. Kiedy już pozbędzie się tego okropnego kaca i popatrzy na wszystko z dystansu.

Był sam w hotelowej jadalni. Spoglądał na morze poprzez

zasłonę zmieszanego ze śniegiem deszczu. Jakaś łódź rybacka wychodziła z portu i Wallander próbował odczytać numer umieszczony na burcie.

Piwo, pomyślał. Stary dobry pilzner, oto czego mi trzeba właśnie teraz.

Pokusa była silna. Pomyślał też, że w ciągu dnia powinien wstąpić do sklepu monopolowego, by mieć coś do picia wieczorem w domu.

Zdawał sobie sprawę, że w najbliższym czasie nie będzie w stanie całkiem wytrzeźwieć.

Pieprzony gliniarz, oto kim jestem, myślał.

Kelnerka nalała mu kawy do filizanki. Wyobraził sobie, że wynajął pokój w hotelu i ona do niego przyszła. Za zaciągniętymi firankami mógłby zapomnieć, że istnieje, zapomnieć o wszystkim dookoła, zanurzyć się w krainę niemającą nic wspólnego z rzeczywistością.

Pijąc kawę, wyjął z teczki materiały. Miał jeszcze chwilę, żeby je przejrzeć.

Powodowany nagłym niepokojem wyszedł do recepcji i zadzwonił do komendy w Ystad. Odebrała Ebba.

– Miałaś miły wieczór? – spytała.

– Nie mogło być lepiej – odparł. – Jeszcze raz ci dziękuję za pomoc przy garniturze.

– W razie czego wystarczy poprosić – powiedziała z uśmiechem Ebba.

– Dzwonię z hotelu Svea w Simrishamn. Chciałem zapytać, czy nic się nie dzieje. Później będę jeździł z Goranem Bomanem z policji w Kristianstad, ale się odezwę.

– Wszystko w porządku. W ośrodkach dla uchodźców też nic się nie zdarzyło.

Zakończył rozmowę. Poszedł do toalety i umył twarz w zimnej wodzie. Swojego odbicia w lustrze unikał. Koniuszkami palców pomacał guz na czole. Bolało. Natomiast oparzone ramię już prawie przestało piec. Tylko kiedy się przeciągał, czuł ból w skaleczonym udzie.

Po powrocie do jadalni zamówił śniadanie. Jedząc, wciąż przeglądał swoje papiery.

Goran Boman był punktualny. Z wybicciem dziewiątej wkroczył do restauracji.

– Co za pogoda! – powiedział, otrząsając się jak pies.

– Ale to i tak lepsze niż śnieżyca – odparł Kurt Wallander. Goran Boman pił kawę i obaj się zastanawiali, co powinni zrobić w ciągu dnia.

– Chyba mamy szczęście – powiedział Goran Boman. – Wszystko wskazuje na to, że z kobietą z Gladsax i tymi dwoma z Kristianstad będziemy się mogli spotkać bez problemów.

Postanowili zacząć od Gladsax.

– Ona się nazywała Anita Hessler – wyjaśnił Goran Boman. – Ma pięćdziesiąt osiem lat. Parę lat temu powtórnie wyszła za mąż za właściciela agencji nieruchomości.

– Czy Hessler to jej panińskie nazwisko? – spytał Kurt Wallander.

– Teraz nosi nazwisko Johanson. Jej mężem jest niejaki Klas Johanson. Mieszkają w dzielnicy willowej tuż za miastem. Trochę wokół niej powęszyliśmy. O ile nam wiadomo, nie pracuje.

Sprawdził jeszcze w swoich papierach.

– Dziewiątego marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku w szpitalu położniczym w Kristianstad urodziła syna. O godzinie czwartej trzydzieści, jeśli mam być dokładny. Możemy przypuszczać, że to jej jedyne dziecko. Klas Johanson natomiast miał czworo własnych dzieci. Poza tym jest od niej o sześć lat młodszy.

– Zatem jej syn ma trzydzieści dziewięć lat – stwierdził Kurt Wallander.

– Na chrzcie dano mu imię Stefan – uzupełnił Goran Boman.

– Mieszka w Ahus i pracuje w Kristiantad jako inspektor podatkowy. Stabilna sytuacja finansowa, segment, żona, dwoje dzieci.

– Czy inspektorzy podatkowi mają zwyczaj popełniać podwójne morderstwa? – zastanawiał się Kurt Wallander.

– Chyba nie wszyscy – odparł Goran Boman.

Pojechali do Gladsax. Śnieg z deszczem przeszedł teraz w siąpiący deszcz. Przed wjazdem do miasta Goran Boman

skręcił w lewo.

Zabudowa dzielnicy willowej różniła się wyraźnie od niskich białych domów w centrum miasteczka. Kurt Wallander pomyślał, że równie dobrze mogłoby to być zamożne przedmieście stolicy czy innej większej aglomeracji.

Dom znajdował się na końcu osiedla i miał dużą werandę. Ogród był zadbane. Siedzieli kilka minut w samochodzie i obserwowali willę. Na podjeździe do garażu stał biały nissan.

– Męża raczej nie ma w domu – powiedział Goran Boman. – Ma biuro w Simrishamn. Podobno specjalizuje się w sprzedaży nieruchomości zamożnym Niemcom.

– A to jest dozwolone? – spytał Kurt Wallander, zaskoczony.

Goran Boman wzruszył ramionami.

– Korzysta z osób podstawionych – powiedział. – Niemcy dobrze płacą, a dokumenty wystawia się na obywateli szwedzkich. W Skanii sporo ludzi czerpie nielegalne zyski z handlu nieruchomościami.

Nagle zauważyli jakiś ruch za firanką. Był tak nieznaczny, że jedynie wytrenowane policyjne oko mogło to wychwycić.

– Ktoś jest w domu – powiedział Kurt Wallander. – Pójdziemy się przywitać?

Kobieta, która im otworzyła, była niezwykle pociągająca. Miała na sobie sportowy dres, ale to wcale nie umniejszało jej wspaniałej prezencji. Kurt Wallander pomyślał sobie, że nie jest to szwedzki typ urody.

Pomyślał również, że prezentacja może być równie ważna jak wszystkie pytania razem wzięte.

Jak ona zareaguje, kiedy powiedzą, że są z policji?

Ale jedyne, co zdołał zauważyć, to nieznaczne uniesienie brwi. Potem kobieta się uśmiechnęła, pokazując rząd równych białych zębów. Kurt Wallander zastanawiał się, czy Goran Boman nie popełnił błędu. Czy ta kobieta naprawdę ma pięćdziesiąt osiem lat? Gdyby nie wiedział, oceniłby ją najwyżej na czterdzieści pięć.

– A to niespodzianka – powiedziała. – Proszę wejść. Znaleźli się w urządzonym ze smakiem salonie. Ściany pokryte regałami pełnymi książek. W rogu jeden z najbardziej ekskluzywnych

telewizorów firmy Bang & Olufsen. W akwarium pływały rybki. Wallander z trudem łączył ten salon z Johannesem Lövgrenem. Nic tu nie wskazywało na jakikolwiek związek.

– Czy mogę panów czymś poczęstować? – spytała gospodyni. Grzecznie odmówili i usiedli.

– Przyjechaliśmy zadać pani kilka rutynowych pytań – zaczął Kurt Wallander. – To jest Goran Boman z policji w Kristianstad, a ja nazywam się Kurt Wallander.

– Wizyta policji to bardzo ekscytujące wydarzenie – powiedziała kobieta i znowu się uśmiechnęła. – Tu, w Gladsax, nigdy nie dzieje się nic nieoczekiwanego.

– Chcielibyśmy tylko zapytać, czy pani nie zna mężczyzny nazwiskiem Johannes Lövgren – ciągnął dalej Kurt Wallander. Gospodyni spoglądała na niego zaskoczona.

– Johannes Lövgren? Nie. A kto to taki?

– Jest pani pewna?

– Oczywiście, że jestem!

– Został przed paroma dniami zamordowany, razem ze swoją żoną, w małej wiosce Lenarp koło Ystad. Może pani widziała w gazetach?

Jej zdumienie wyglądało na szczere.

– Teraz to już naprawdę nic nie rozumiem – powiedziała.

– Pamiętam, że widziałam coś w gazetach. Ale co by to mogło mieć wspólnego ze mną?

To prawda, pomyślał Kurt Wallander i spojrzał na Gorana Bomana, który najwyraźniej podzielał jego wątpliwości. Co ona i Johannes Lövgren mogliby mieć wspólnego?

– W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku urodziła pani w Kristianstad syna, prawda? – pytał Boman. – We wszystkich dokumentach, we wszystkich rejestrach poleciła pani napisać, że ojciec dziecka jest nieznany. Czy nie jest przypadkiem tak, że to mężczyzna nazwiskiem Johannes Lövgren był tym nieznanym ojcem?

Przeglądała im się długo, zanim odpowiedziała.

– Nie rozumiem, dlaczego mnie o to pytacie – rzekła w końcu.

– I jeszcze mniej rozumiem, jaki by to mogło mieć związek z tym zamordowanym chłopem. Ale jeżeli to w czymś może

pomóc, to chciałabym powiedzieć, że ojciec Stefana nazywał się Runę Stierna. Był żonaty z inną. Od początku wiedziałam, w co się wdaję, i uznałam, że najlepiej podziękuję mu za dziecko, zachowując jego tożsamość w tajemnicy. On zmarł dwanaście lat temu, ale Stefan przez cały czas miał bardzo dobry kontakt ze swoim ojcem.

– Rozumiem, że pytania mogą się wydawać dziwne, ale my czasami musimy zadawać dziwne pytania.

Spytali jeszcze o różne, raczej drobne sprawy, zanotowali odpowiedzi i zaczęli się zbierać do wyjścia.

– Mam nadzieję, że bardzo pani nie przeszkodziliśmy – rzekł Kurt Wallander, wstając.

– Uważacie, że mówię prawdę? – spytała nagle kobieta.

– Tak – potwierdził Kurt Wallander. – Uważamy, że mówi pani prawdę. Ale jeśli jest inaczej, to my to ujawnimy. Prędeż czy później.

Znowu się uśmiechnęła.

– Mówię prawdę – zapewniła. – Ja nie umiem kłamać. Ale zapraszam ponownie, gdybyście mieli jeszcze jakieś dziwne pytania.

Opuścili willę i wrócili do samochodu.

– A zatem jedno załatwione – rzekł Goran Boman.

– Tak. To nie ona – zgodził się Kurt Wallander.

– Myślisz, że powinniśmy porozmawiać z jej synem z Ahus?

– Chyba damy sobie z nim spokój. Przynajmniej na razie.

Zabrali samochód Kurta Wallandera i nigdzie już nie zbaczając, pojechali do Kristianstad.

Kiedy byli na wysokości Brösarp, deszcz przestał padać i gęsta powłoka chmur zaczęła się rwać.

Przed siedzibą policji znowu zmienili samochód i dalej pojechali już wozem policyjnym.

– Margareta Velander – informował Goran Boman. – Czterdzieści dziewięć lat, prowadzi salon fryzjerski na Krokarpsgatan. Zakład nazywa się Die Welle. Troje dzieci, rozwiedziona, powtórnie zamężna i znowu rozwiedziona. Mieszka w segmencie przy Blekingehalle. W grudniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego urodziła syna. Syn ma na

imię Nils. Najwyraźniej żadna przygód natura. Krążył po okolicznych jarmarkach i sprzedawał jakieś importowane świecidełka. Figuruje poza tym jako właściciel agencji handlującej wymyślną damską bielizną. Osiedlił się w końcu w Shvesborgu. Kto kupuje szalową bieliznę, zamawiając ją w firmie wysyłkowej ulokowanej w takim miejscu?

– Wielu – uznał Kurt Wallander.

– Raz siedział za pobicie – kontynuował Goran Boman. – Nie widziałem wyroku, ale dostał rok, co by świadczyło, że pobicie było poważne.

– Chciałbym zobaczyć akta sprawy – powiedział Kurt Wallander. – Gdzie to było?

– Sądzony był w Kalmarze. W tamtejszym sądzie właśnie szukają akt.

– A kiedy to się stało?

– Jeżeli dobrze pamiętam, to w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym.

Jechali teraz w milczeniu, Boman prowadził samochód, Kurt Wallander rozważał w myślach to, co usłyszał.

– Znaczy, że ona miała siedemnaście lat, kiedy urodziła dziecko. I jeśli przyjmiemy, że ojcem był Johannes Lövgren, to by oznaczało poważną różnicę wieku.

– Zastanawiałem się nad tym. Ale to oczywiście niczego nie wyjaśnia.

Zakład fryzjerski znajdował się w zwyczajnej kamienicy na obrzeżach Kristianstad. W zaadaptowanej piwnicy.

– Może należałoby się ostrzyć przy okazji – powiedział Goran Boman. – Właśnie, a kto cię strzyże?

Kurt Wallander już miał powiedzieć, że zajmuje się tym jego żona, Mona.

– A, to bywa różnie – odparł wymijająco.

W salonie znajdowały się trzy fotele. Kiedy weszli, wszystkie były zajęte. Dwie klientki siedziały pod suszarkami, trzeciej myto włosy.

Kobieta, która wcierała szampon w głowę klientki, patrzyła na nich zdumiona.

– Trzeba sobie u mnie rezerwować czas na strzyżenie –

powiedziała. – Dzisiaj mam już komplet. Jutro też, jeśli panowie chcieliby zamówić wizytę dla swoich żon.

– Margareta Velander? – spytał Goran Boman. Pokazał swoją kartę identyfikacyjną.

– Chcielibyśmy z panią porozmawiać – rzekł. Kurt Wallander zauważył, że się przestraszyła.

– W tej chwili nie mogę odejść – powiedziała.

– Chętnie zaczekamy – zapewnił Boman.

– Proszę przejść do pokoiku na zapleczu. To nie potrwa długo.

Pokój był rzeczywiście bardzo mały. Stolik przykryty ceratą i kilka krzeseł stanowiły całe umeblowanie. Na półce obok filiżanek do kawy i brudnego ekspresu leżały jakieś czasopisma. Kurt Wallander przyglądał się czarno-białej fotografii przybitej gwoździem do ściany. Była wyblakła i pogięta, przedstawiała młodego mężczyznę w marynarskim mundurze. Na otoku czapki można było jeszcze odczytać napis „Halland”.

– „Halland” – powiedział głośno. – To był krążownik czy niszczyciel?

– Niszczyciel. Dawno temu poszedł na złom. Margareta Velander weszła do pokoju. Wycierała ręce we frotowy ręcznik.

– Teraz mam parę minut – powiedziała. – O co chodzi?

– Chcieliśmy się zapytać, czy pani zna mężczyznę nazwiskiem Johannes Lövgren – zaczął Kurt Wallander.

– Proszę mi mówić ty – zaproponowała, siadając. – Napijcie się kawy?

Obaj podziękowali, kręcąc przecząco głowami, a Kurta Wallandera zirytowało to, że kiedy zadawał pytanie, odwróciła się do niego plecami.

– Johannes Lövgren – powtórzył. – Rolnik z małej wioski pod Ystad. Znałaś go?

– Tego, który został zamordowany? – spytała, patrząc mu prosto w oczy.

– Tak – potwierdził. – Mężczyznę, który został zamordowany. Właśnie jego.

– Nie – odparła i naląła sobie kawy do kubka. – Dlaczego miałabym go znać?

Policjanci wymienili pospieszne spojrzenia. Było w jej głosie coś, co zdradzało, że kobieta znajduje się pod presją.

– W grudniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku urodziłaś syna, któremu dałaś imię Nils – powiedział Wallander. – W rubryce ojciec kazałaś napisać nieznanego.

Gdy tylko wymówił imię syna, kobieta zaczęła płakać. Plastikowy kubek się przewrócił, kawa pociekła na podłogę.

– Co on zrobił? – szlochała. – Co on znowu zrobił? Poczekali, aż się uspokoi, żeby móc dalej zadawać pytania.

– Nie przyszedł tu z informacją, że coś się stało – powiedział Kurt Wallander. – Bardzo byśmy natomiast chcieli się dowiedzieć, czy ojciec Nilsa nie nazywał się przypadkiem Johannes Lövgren.

– Nie. Nie nazywał się tak.

Odpowiedź nie brzmiała zbyt przekonująco.

– W takim razie chciałbym wiedzieć jak.

– Dlaczego o to pytacie?

– To ważne dla śledztwa.

– Powiedziałam już przecież, że nie znam nikogo nazwiskiem Lövgren.

– Jak się nazywał ojciec Nilsa?

– Nie powiem.

– Odpowiedź zostanie między nami. Tym razem długo zwlekała.

– Ja nie wiem, kto jest ojcem Nilsa.

– Takie rzeczy kobieta na ogół wie.

– W tamtych latach bywałam z wieloma. Nie wiem. To dlatego zgłosiłam, że ojciec jest nieznanego.

Energicznie wstała z krzesła.

– Muszę pracować – powiedziała. – Klientki mi się zagotują w suszarkach.

– Zaczekamy.

– Ale ja nie mam nic więcej do powiedzenia! Była strasznie zdenerwowana.

– Za to my mamy więcej pytań.

Po dziesięciu minutach wróciła. W ręce trzymała kilka banknotów, które włożyła do torebki, wiszącej na oparciu

krzesła. Teraz sprawiała wrażenie opanowanej i nastawionej bojowo.

– Nie znam nikogo, kto nosi nazwisko Lövgren – oznajmiła raz jeszcze.

– I potwierdzasz, że nie wiesz, kto jest ojcem syna, którego urodziłaś w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym?

– Tak jest.

– Zdajesz sobie sprawę, że być może będziesz musiała na to pytanie odpowiadać pod przysięgą?

– Ja nie kłamię.

– Gdzie można spotkać twojego syna Nilsa?

– On dużo podróżuje.

– Mamy informację, że jest zameldowany w Shvesborgu.

– No to tam jedźcie!

– Tak właśnie zrobimy.

– Ja nie mam nic więcej do powiedzenia.

Kurt Wallander wahał się przez chwilę. Potem, wskazując na pogięte, wyblakłe zdjęcie przybite do ściany, spytał:

– Czy to jest ojciec Nilsa?

Kobieta właśnie zapaliła papierosa. Teraz z sykiem wypuściła kłęb dymu.

– Ja nie znam żadnego Lövgrena. Nie rozumiem, dlaczego mnie o to pytacie.

– Już to mówiłaś – przerwał jej Goran Boman. – W takim razie idziemy. Ale na pewno się jeszcze odezwiemy.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia. Dlaczego nie zostawicie mnie w spokoju?

– Nikt nie może oczekiwać spokoju, kiedy policja szuka sprawców podwójnego morderstwa – rzekł Boman. – Tak już jest.

Kiedy wyszli na ulicę, świeciło słońce. Stali chwilę przy samochodzie.

– No i co o tym myślisz? – spytał Goran Boman.

– Sam nie wiem. Coś jednak w tym jest – Spróbujemy odszukać jej synalka, zanim pojedziemy do trzeciej z pań?

– Myślę, że powinniśmy tak zrobić.

Pojechali więc do Sölvesborga i z wielkim trudem odnaleźli

adres. Zrujnowany drewniany dom trochę poza centrum miasta, otoczony porozbijanymi samochodami i częściami jakichś maszyn. Duży owczarek alzacki wściekał się i szarpał na łańcuchu. Dom sprawiał wrażenie opuszczonego. Goran Boman pochylił się i uważnie badał niedbale napisaną wizytówkę, przybitą gwoździem do drzwi.

– Nils Velander – powiedział w końcu. – Zgadza się. Raz po raz pukał do drzwi, ale nikt nie odpowiadał. Potem obeszlą dom dookoła.

– Co za cholerna nora – jęknął Goran Boman.

Kiedy wrócili do punktu wyjścia, Kurt Wallander nacisnął klamkę.

Dom był otwarty.

Kurt Wallander popatrzył pytająco na kolegę, a ten wzruszył ramionami.

– Skoro otwarte – rzekł – to otwarte. Wchodzimy.

Weszli do cuchnącej stęchlizną sionki i nasłuchiwali. Panowała zupełna cisza, ale nagle obaj podskoczyli. Wielki kot wypadł z ciemnego kąta i jak szalony uciekł po schodach na piętro. Pokój po lewej stronie robił wrażenie biura. Stały tam dwie pękate szafy na dokumenty i zavalone biurko z telefonem i automatyczną sekretarką. Kurt Wallander uniósł wieko kartonowego pudła, stojącego na biurku. Była w nim bielizna z czarnej skóry i kartka z nazwiskiem.

– Zamówił to Frederik Aberg, mieszkający przy Dragongatan w Alingsas – powiedział z grymasem obrzydzenia. – Przepuszczalnie ma to być dyskretna przesyłka.

Przeszli do następnego pomieszczenia, które było najwyraźniej magazynem wymyślnej bielizny, którą handlował Nils Velander. Znaleźli też sporą ilość pejców i psich smyczy.

Wszystko to poniewierało się w magazynie bez ładu i składu.

Dalej znajdowała się kuchnia pełna brudnych naczyń. Na pół zjedzony kurczak walał się na podłodze. Wszędzie cuchnęło kocim moczem.

Kurt Wallander uchylił drzwi do spiżarni. Zobaczyli aparaturę do pędzenia bimbru i dwa wielkie gąsiory.

Goran Boman gwizdnął i pokręcił głową.

Weszli na piętro. Obejrzeni sypialnię z brudną pościelą i stosami ubrań. Firanki były zaciągnięte, policjanci naliczyli w pomieszczeniu siedem kotów, które na ich widok rozbiegły się przestraszone.

– Co za cholerna nora – powtórzył Goran Boman. – Jak można tak żyć?

Dom sprawiał wrażenie opuszczonego w wielkim pośpiechu.

– Lepiej będzie, jak sobie stąd pójdziemy – powiedział Kurt Wallander. – Musimy mieć nakaz przeszukania, zanim poważnie się za to weźmiemy.

Zeszli na dół. Goran Boman wstąpił do biura i włączył sekretarkę.

Nils Velander, jeśli to był jego głos, informował, że w tej chwili biuro firmy Raff-Set jest nieczynne, ale wystarczy zostawić zamówienie na automatycznej sekretarce.

Owczarek znowu zaczął się szarpać na łańcuchu, kiedy wyszli przed dom.

Przy lewym narożniku Kurt Wallander odkrył drzwi do piwnicy, niemal całkowicie ukryte pod stertą złomu.

One też nie były zamknięte na żaden zamek, więc Kurt Wallander otworzył i zszedł do mrocznego pomieszczenia. Po omacku szukał kontaktu. W kącie piwnicy stał stary kocioł olejowy do centralnego ogrzewania. Reszta pomieszczenia była zawałona pustymi klatkami dla ptaków.

– Skórzane kalesony i puste klatki dla ptaków – stwierdził Kurt Wallander. – Czyim właściwie się ten człowiek zajmuje?

– Moim zdaniem to właśnie powinniśmy wyjaśnić – rzekł Goran Boman.

Już mieli wychodzić, gdy z tyłu za kotłem Kurt Wallander odkrył niedużą stalową szafkę. Była niezamknięta, jak wszystko inne w tym domu. Wsunął rękę do środka i wyjął plastikowy worek. Otworzył go.

– Spójrz no na to – powiedział do Gorana Bomana.

W plastikowym worku był pakiet banknotów tysiąckoronowych.

Kurt Wallander przeliczył. Dwadzieścia trzy.

– Uważam, że powinniśmy pogadać z tym facetem – rzekł

Goran Boman.

Włożyli pieniądze z powrotem na miejsce i wyszli. Pies ujadł jak wściekły.

– Myślę, że najpierw musimy porozmawiać z naszymi kolegami tu, w Sölvesborgu – stwierdził Goran Boman. – Oni go nam znajdą.

Na posterunku spotkali policjanta, który Nilsa Velandera znał bardzo dobrze.

– On prowadzi mnóstwo lewych interesów – powiedział policjant. – Ale jedyne, co na niego mamy, to podejrzenie, że nielegalnie importuje egzotyczne ptaki z Tajlandii i że pędzi bimber.

– Był kiedyś skazany za ciężkie pobicie – wtrącił Goran Boman.

– On na ogół w bójkach nie bierze udziału – odparł policjant – Ale postaram się to dla was wyjaśnić. Czy naprawdę myślicie, że mógłby się posunąć do morderstwa?

– Tego nie wiemy – powiedział Kurt Wallander. – Ale chcemy go znaleźć.

Wrócili do Kristianstad. Znowu zaczął padać deszcz. Policjant w Sölvesborgu na obu zrobił bardzo dobre wrażenie, liczyli, że wkrótce znajdzie Nilsa Velandera.

Kurt Wallander miał jednak poważne wątpliwości.

– Nic przecież o nim nie wiemy – mówił. – A pieniądze w plastikowym worku niczego jeszcze nie dowodzą.

– No, ale coś w tym jest – przekonywał Goran Boman. To prawda, Kurt Wallander też się z nim zgadzał. Coś rzeczywiście jest nie tak z tą damską fryzjerką i jej synem.

Zatrzymali się i zjedli lunch w motelu przy wjeździe do Kristianstad.

Kurt Wallander uznał, że czas zadzwonić do komendy w Ystad, ale automat w motelu nie działał.

Było wpół do drugiej, kiedy dotarli do Kristianstad. Goran Boman chciał zobaczyć, co się dzieje w jego biurze, zanim zajmą się trzecią kobietą wytypowaną w sprawie Lövgrena.

Dziewczyna w recepcji na ich widok bardzo się ożywiła, zaczęła im dawać znaki.

– Dzwonili z Ystad – poinformowała. – Prosimy, żeby Kurt Wallander się odezwał.

– Zadzwoń z mojego pokoju – powiedział Goran Boman i poszedł po kawę.

Pełen jak najgorszych przeczuć, Kurt Wallander wybierał numer.

Ebba bez słowa połączyła go z Rydbergiem.

– Najlepiej będzie, jak wrócisz – oznajmił Rydberg. – Jakiś idiota zastrzelił w Hageholm somalijskiego uchodźcę.

– Co ty, do cholery, chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć dokładnie to, co mówię. Ten Somalijczyk wyszedł sobie na mały spacer. Ktoś wypalił do niego z dubeltówki. Od dłuższego czasu próbuję się z tobą skontaktować. Gdzie ty się podziewasz, do diabła?

– Czy on nie żyje?

– Ma kompletnie roztrzaskaną głowę.

Kurt Wallander poczuł, że robi mu się niedobrze.

– Niedługo wracam – obiecał.

Odłożył słuchawkę w tej samej chwili, gdy Goran Boman, balansując, wchodził do pokoju z dwoma kubkami gorącej kawy. Kurt Wallander przedstawił mu w skrócie, co się stało.

– Zaraz dostaniesz radiowóz – powiedział Goran Boman. – Twój samochód odeślę przez jednego z naszych ludzi.

Wszystko odbyło się bardzo szybko.

Po paru minutach Kurt Wallander pędził do Ystad na sygnale. Rydberg czekał na niego w budynku policji, skąd razem pojechali do Hageholm.

– Mamy jakieś ślady? – spytał Kurt Wallander.

– Żadnych. Ale w redakcji „Sydsvenska Dagbladet” parę minut po morderstwie odebrali telefon. Jakiś facet mówił, że to zemsta za zamordowane Johannes Lövgrena. I że następnym razem będzie kobieta. Za Marię Lövgren.

– To czyste szaleństwo – jęknął Kurt Wallander. – Przecież my już nie podejrzewamy żadnych cudzoziemców, no nie?

– Ktoś musi uważać inaczej. Że kryjemy cudzoziemców.

– Przecież dementowałem.

– Ci, którzy to zrobili, mają gdzieś twoje dementowanie. Oni

widzą znakomitą okazję, by wyciągnąć broń i zacząć strzelać do cudzoziemców.

– Ale to szaleństwo!

– Cholera jasna, pewnie, że szaleństwo. Ale to prawda!

– Nagrali w redakcji tę rozmowę? – Tak.

– Chcę to przesłuchać. Czy to nie ten sam, co do mnie wydzwania po nocach.

Samochód pędził przed siebie, skański krajobraz przesuwał się za oknami.

– Co teraz robimy? – spytał Kurt Wallander.

– Musimy złapać tych, którzy popełnili morderstwo w Lenarp – powiedział Rydberg. – I to tak szybko, jakby nam diabeł deptał po piętach.

W Hageholm panował chaos. Zdenerwowani, płaczący uchodźcy zebrali się w stołówce, dziennikarze prowadzili wywiady, telefon dzwonił. Wallander wysiadł z samochodu na gliniastej drodze, kilkaset metrów od zabudowań. Zaczęło wiać, musiał postawić kołnierz kurтки. Widział otoczone taśmą miejsce przy drodze. Martwe ciało leżało na brzuchu, z głową w gliniastej mazi.

Kurt Wallander ostrożnie uniósł prześcieradło, którym okryto zwłoki.

Rydberg nie przesadzał. Z głowy nie zostało prawie nic.

– Strzał z bliska – powiedział Hansson, który stanął za nim. – Ten, kto to zrobił, musiał wyjść z kryjówki i oddać strzały z odległości kilku metrów.

– Strzały? – zdziwił się Wallander.

– Kierowniczką ośrodka słyszała dwa strzały, jeden po drugim.

Kurt Wallander rozejrzał się dookoła.

– A ślady samochodu? – spytał. – Dokąd prowadzi ta droga?

– Dwa kilometry dalej łączy się z E-14.

– I nikt niczego nie widział?

– Trudno jest przesłuchiwać uchodźców, posługujących się piętnastoma różnymi językami. Ale pracujemy.

– Wiecie, kim jest zamordowany?

– Miał żonę i dziewięć dzieci.

Kurt Wallander patrzył na Hanssona z niedowierzaniem.

– Dziewięcioro dzieci?

– Wyobrażasz sobie tytuły w jutrzejszych gazetach? – spytał Hansson. – Niewinny uchodźca zamordowany podczas spaceru. Dziewięcioro dzieci bez ojca.

Od strony policyjnych samochodów przybiegł Svedberg.

– Szef przy telefonie! – zawołał. Wallander był zaskoczony.

– A czy on nie wraca z Hiszpanii dopiero jutro?

– Nie on. To szef krajowy.

Kurt Wallander wszedł do samochodu i uniósł słuchawkę.

Szef Głównego Zarządu Policji mówił trochę nienaturalnym głosem, a Kurt Wallander zirytował się natychmiast, jak tylko usłyszał pierwsze słowa.

– Wszystko to razem wygląda bardzo źle. Nie chcemy mieć w tym kraju żadnych morderstw na tle rasowym.

– Oczywiście – przytaknął Kurt Wallander.

– Dochodzenie w tej sprawie musi mieć absolutny priorytet.

– Tak, ale my już mamy na głowie podwójne morderstwo w Lenarp.

– Czynicie jakieś postępy?

– Myślę, że tak. Ale na wszystko trzeba czasu.

– Proszę o wszystkim meldować mnie osobiście. Dziś wieczorem wezmę udział w dyskusji telewizyjnej i potrzebne mi są wszelkie dostępne informacje.

– Zajmę się tym. Rozmowa była zakończona.

Kurt Wallander nadal siedział w samochodzie.

To będzie zadanie dla Naslunda, pomyślał. Już on zatka Sztokholm papierami.

Był zniechęcony. Kac ustąpił. Myślał teraz o tym, co wydarzyło się ostatniej nocy. Przypomniał mu to widok Petersa, który właśnie wysiadał z policyjnego samochodu.

Potem myślał o Monie i o mężczyźnie, który po nią przyjechał. I o Lindzie, która się śmiała. O czarnym mężczyźnie u jej boku.

O ojcu wiecznie malującym ten sam obraz.

Pomyślał też o sobie.

Jest czas życia i czas śmierci.

Potem niechętnie wysiadł z samochodu, by zająć się śledztwem.

Nie może się stać już nic więcej, myślał.

Bo nie damy sobie rady.

Było piętnaście po trzeciej. Znowu zaczęło padać.

10

Kurt Wallander stał w ulewnym deszczu i marzył. Zrobiła się już prawie piąta i policjanci rozstawili reflektory wokół miejsca, gdzie wciąż leżał zamordowany. Teraz zobaczył dwóch sanitariuszy z pogotowia ratunkowego, którzy brnąc w glinie, nieśli nosze. Nieżywy Somalijszyk zostanie stąd zabrany. Kiedy patrzył na gliniaste błoto, zastanawiał się, czy nawet taki dokładny policjant jak Rydberg będzie w stanie zabezpieczyć w nim jakieś ślady.

Mimo wszystko właśnie w tej chwili odczuwał ulgę. Jeszcze jakieś dziesięć minut temu policjanci byli otoczeni przez rozpaczającą rodzinę, żonę w hysterii i dziewięcioro głośno krzyczących dzieci. Żona zabitego rzuciła się w błoto, a jej zawrodozenie było tak przejmujące, że wielu policjantów nie wytrzymało i odeszło na bok. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu Kurt Wallander stwierdził, że jedynym, który potrafił się zająć krzyczącą kobietą i zapłakanymi dziećmi, był Martinsson. Najmłodszy z policjantów, który w swojej dotychczasowej karierze jeszcze nie był zmuszony przekazać niczym bliskim wiadomości o śmierci.

Podtrzymał kobietę, klęczał przy niej w błocie i wyglądało na to, że się w jakiś sposób oboje rozumieją mimo nieprzekraczalnych barier językowych. Ksiądz, który został sprowadzony w największym pośpiechu, niczego nie wskórał. Martinssonowi natomiast udało się zabrać kobietę i dzieci do głównego budynku, gdzie czekał lekarz, gotów się nimi zająć.

Rydberg biegł do nich po błocie. Był do pasa umazany w glinie.

– Co za cholerna mąż! – zaklął. – Ale Hansson i Svedberg pracują jak konie. Udało im się znaleźć dwóch uchodźców

i jednego tłumacza, którzy chyba coś widzieli.

– Co?

– Skąd mam wiedzieć? Przecież nie mówię ani po arabsku, ani w suahili. Ale oni właśnie jadą do Ystad. Urząd Imigracyjny obiecał nam tłumaczy. Pomyślałem, że najlepiej będzie, jak ty się zajmiesz przesłuchaniami.

Kurt Wallander skinął głową.

– Mamy coś, na czym można by się oprzeć? Rydberg wyciągnął swój poplamiony notatnik.

– On został zabity dokładnie o pierwszej – zaczął. – Kierowniczka słuchała wiadomości w radiu, kiedy rozległ się huk. To były dwa strzały, ale o tym wiesz. Ten człowiek skonał, zanim upadł na ziemię. Wygląda na to, że strzelano ze zwyczajnej dubeltówki. Przypuszczam, że to gytorp. Może nitrox 36. I to mniej więcej wszystko.

– Niewiele.

– Moim zdaniem absolutnie nic. Ale może świadkowie coś dodadzą?

– Załatwiłem godziny nadliczbowe dla wszystkich – powiedział Kurt Wallander. – Teraz, jeśli trzeba, będziemy pracować całą dobę na okrągło.

Pierwszy świadek, z którym się spotkał w budynku policji, omal nie doprowadził go do rozpacz. Tłumacz, podobno znający suahili, nie rozumiał dialektu, którym posługiwał się świadek. Był to młody mężczyzna z Malawi. Kurt Wallander stracił niemal pół godziny, żeby się zorientować, że tłumacz nie przekazuje mu tego, co mówi świadek. Potem minęło jeszcze dwadzieścia minut, zanim okazało się, że Malawijczyk z jakiegoś dziwnego powodu posługuje się luvale, językiem popularnym w niektórych regionach Zairu i Zambii. Tym razem jednak mieli szczęście. Ktoś z Urzędu Imigracyjnego znalazł starą misjonarkę, mówiącą płynnie w luvale. Zbliżająca się do dziewięćdziesiątki pani przebywa w domu opieki w Trelleborgu. Kurt Wallander zadzwonił do tamtejszej komendy i uzyskał obietnicę, że misjonarka jak najszybciej zostanie przywieziona do Ystad. Kurt Wallander obawiał się, że taka wiekowa osoba może nie być w najlepszej formie, ale się

mylił. Nagle na progu jego pokoju stanęła drobna, białowłosa dama o bystrym spojrzeniu i zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, wdała się w ożywioną rozmowę z młodym Afrykaninem.

Niestety, okazało się zaraz, że akurat on niczego nie widział.

– Proszę go zapytać, dlaczego w takim razie zgłosił się jako świadek – jęknął Kurt Wallander, zmęczony.

Misjonarka i młody człowiek znowu odbyli długą rozmowę.

– On po prostu uważał, że to będzie ciekawa przygoda – oznajmiła na koniec starsza pani. – I to chyba można zrozumieć.

– Można? – zdziwił się Kurt Wallander.

– Ty chyba też kiedyś byłeś młody – skwitowała sprawę. Malawijczyka odprawiono do Hageholm, a misjonarka wróciła do Trelleborga.

Następny świadek rzeczywiście miał coś do powiedzenia. Był to irański tłumacz i dobrze mówił po szwedzku. Podobnie jak zastrzelony Somalijszyk, spacerował w pobliżu Hageholm, kiedy padły strzały.

Kurt Wallander przyniósł odpowiedni fragment mapy sztabowej i pokazał okolice Hageholm, a tłumacz natychmiast potrafił wskazać, gdzie się znajdował w chwili, gdy usłyszał odgłos tych dwóch strzałów. Kurt Wallander oszacował odległość na mniej więcej trzysta metrów.

– A po strzałach usłyszałem samochód – powiedział tłumacz.

– Ale go nie widziałeś?

– Nie. Byłem w lesie. Drogi stamtąd nie widać. Tłumacz znowu pokazał. Na południe od ośrodka. Zaraz potem naprawdę zaskoczył Kurta Wallandera.

– To był citroen – oznajmił.

– Citroen?

– Taki, na który wy w Szwecji mówicie żaba.

– Na jakiej podstawie tak twierdzisz?

– Wychowywałem się w Teheranie. Kiedy byliśmy mali, bawiliśmy się w rozpoznawanie marek samochodów po dźwięku silnika. Citroen jest łatwy. Zwłaszcza żaba.

Kurt Wallander nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Chodźmy na dwór – powiedział. – Kiedy wyjdziemy, odwrócisz się i zamkniesz oczy.

W deszczu uruchomił swojego peugeota i zrobił rundkę po parkingu. Przez cały czas uważnie obserwował tłumacza.

– No? – spytał, kiedy do niego wrócił. – Co to było?

– Peugeot – odparł tłumacz z niezachwianą pewnością.

– Dobrze – ucieszył się Kurt Wallander. – Po prostu cholernie dobrze.

Odesłał świadka do domu i wydał rozkaz wszczęcia poszukiwań citroena, który mógł być widziany między Hageholm a drogą E-14. Agencja prasowa TT również otrzymała wiadomość, że policja poszukuje citroena, który może mieć związek z morderstwem.

Trzecim świadkiem była młoda Rumunka. W czasie przesłuchania siedziała w pokoju Wallandera i karmiła piersią dziecko. Tłumacz kiepsko mówił po szwedzku, ale Kurt Wallander zauważył natychmiast, że dobrze rozumie to, co kobieta zeznaje.

Rumunka szła tą samą trasą co Somalijczyk i nawet spotkała go w drodze powrotnej do ośrodka.

– Ile czasu minęło? – pytał Wallander. – Ile czasu minęło między waszym spotkaniem a strzałami?

– Może trzy minuty.

– Widziała pani jeszcze kogoś?

Kobieta skinęła głową i Kurt Wallander przechylił się zaciekawiony nad biurkiem.

– Gdzie? – pytał. – Proszę mi pokazać!

Tłumacz trzymał niemowlę, kiedy kobieta szukała na mapie.

– Tu – powiedziała, przyciskając palec do mapy.

Kurt Wallander widział, że to bardzo blisko miejsca zbrodni.

– Proszę opowiadać – rzekł. – Mamy dużo czasu. Niech się pani dobrze zastanowi.

Tłumacz przekazał polecenie i kobieta zaczęła się namyślać.

– To był mężczyzna w granatowym kombinezonie – powiedziała po chwili. – Stał na polu.

– Jak wyglądał?

– Miał mało włosów.

- Wysoki?
 - Normalnego wzrostu.
 - Czy ja jestem normalnego wzrostu? Kurt Wallander wstał z miejsca.
 - On był wyższy.
 - A ile mógł mieć lat?
 - Nie był młody. Ale stary też nie. Może czterdzieści pięć lat.
 - Widział panią?
 - Nie sędzę.
 - A co robił na tym polu?
 - Jadł.
 - Jadł?
 - Tak. Jadł jabłko.
- Kurt Wallander zastanawiał się chwilę.
- Mężczyzna w granatowym kombinezonie stał na polu przy drodze i jadł jabłko. Dobrze zrozumiałem?
 - Tak.
 - Czy był sam?
 - Nikogo więcej nie widziałam. Ale myślę, że nie był sam.
 - Dlaczego tak pani myśli?
 - Bo było tak, jakby na kogoś czekał.
 - Czy ten mężczyzna miał jakąś broń? Kobieta znowu zaczęła się zastanawiać.
 - Może przy jego nogach leżała brązowa paczka – powiedziała. – A może to była tylko glina?
 - Co stało się później, po tym jak pani zobaczyła tego człowieka?
 - Pobiegłam do domu, najszybciej jak mogłam.
 - Dlaczego się tak pani spieszyła?
 - To nie jest dobrze spotkać obcego mężczyznę w lesie. Kurt Wallander przytaknął.
 - Widziała pani jakiś samochód? – spytał.
 - Nie. Żadnego samochodu.
 - Czy mogłaby pani opisać tego człowieka jeszcze dokładniej? Długo myślała, zanim znowu zaczęła mówić. Dziecko spało w ramionach tłumacza.
 - Wyglądał na silnego – zaczęła. – Myślę, że miał duże ręce.

- Jakiego koloru miał włosy? Te, które mu jeszcze zostały.
- Szwedzkiego koloru.
- To znaczy jasne?
- Tak, jasne włosy i taką łysinę. Narysowała w powietrzu półksiężyc.

Potem młoda Rumunka wróciła do ośrodka. Wallander przyniósł sobie kubek kawy. Svedberg zapytał, czy nie chce pizzy. Powiedział, że chce.

Za piętnaście dziewiąta wieczorem policjanci zebrali się w pokoju jadalnym. Kurt Wallander stwierdził, że wszyscy oprócz Naslunda nadal wyglądają zdumiewająco dobrze. Naslund był zaziębiony i miał gorączkę, ale nie chciał wracać do domu.

Rozdzielili między sobą pizzę i kanapki, po czym Kurt Wallander przystąpił do omawiania stanu śledztwa. Zdjął z jednej ściany obraz i wyświetlił na niej mapę miejsca, w którym dokonano morderstwa. Postawił krzyżyk tam, gdzie zastrzelono Somalijczyka, i zakreślił pozycje obojga świadków oraz przebytą przez nich drogę.

– A zatem nie jesteśmy tak zupełnie pozbawieni punktu zaczepienia – zaczął swoje wystąpienie. – Znamy dokładny czas zbrodni i mamy dwoje wiarygodnych świadków. Kilka minut przed tym, jak padły strzały, kobieta widzi mężczyznę w granatowym kombinezonie, który stoi na polu, tuż przy drodze. Możemy przyjąć, że dokładnie tyle samo czasu potrzebowała ofiara, by dojść do tego punktu. Następnie wiemy, że morderca odjechał samochodem marki Citroen, kierując się na południowy zachód.

Wykład został przerwany, bo do sali jadalnej wkroczył Rydberg. Zgromadzeni policjanci wybuchnęli głośnym śmiechem. Rydberg był umazany w glinie po samą brodę. Pospiesznie zrzucił brudne i przemoczone buty i przyjął kanapki, którymi go częstowano.

– Przychodzisz w najodpowiedniejszym momencie – ucieszył się Kurt Wallander. – Co znalazłeś?

– Przez dwie godziny pełzałem po tym cholernym polu – odparł Rydberg. – Rumunka bardzo precyzyjnie pokazała,

gdzie stał mężczyzna. Znaleźliśmy tam odcisk stopy. W gumowym bucie. A ona powiedziała, że miał takie właśnie buty na nogach. Zwyczajne, zielone gumowe buty. A potem jeszcze znalazłem ogryzek jabłka.

Rydberg wyjął z kieszeni plastikowy woreczek.

– Przy odrobinie szczęścia możemy mieć odcisk palca.

– Można zdjąć odcisk palca z ogryzka? – zdumiał się Kurt Wallander.

– Odciski można zdjąć ze wszystkiego – powiedział Rydberg.

– Mogą to być włosy, trochę śliny, kawałek skóry.

Położył woreczek na stole, ostrożnie, jakby miał do czynienia z porcelanową figurką.

– Potem poszedłem za śladami stóp. I jeśli mordercą jest ten facet od jabłka, to myślę, że wypadki potoczyły się następująco.

– Rydberg wyjął ze swojego notatnika ołówek i stanął w świetle rzutnika. – Zobaczył, że drogą nadchodzi Somalińczyk. Wtedy odrzucił ogryzek i wyszedł na drogę tuż przed nim. Wydaje mi się, że z jego butów ściekło trochę gliniastego błota. Tam oddał dwa strzały z odległości mniej więcej czterech metrów. Potem się odwrócił i pobiegł jakieś pięćdziesiąt metrów wzdłuż drogi. W tym miejscu droga lekko zakręca, tworząc jakby zatoczkę, na której samochód może zawrócić. I rzeczywiście, są tam też ślady kół. Poza tym tam znalazłem dwa niedopałki papierosów.

– Wyjął z kieszeni kolejny plastikowy woreczek. – Tam facet wskoczył do samochodu i odjechał na południe. Tak to moim zdaniem się odbyło. A poza tym mam zamiar obciążyć policję kosztami czyszczenia mojego ubrania.

– Ja to zaopiniuję pozytywnie – obiecał Kurt Wallander. – Ale teraz musimy pomyśleć.

Rydberg podniósł rękę, jakby siedział w szkolnej klasie.

– Mam parę koncepcji – powiedział. – Przede wszystkim uważam, że ich było dwóch. Jeden, który czekał przy samochodzie, i drugi, który strzelał.

– Dlaczego tak myślisz? – spytał Kurt Wallander.

– Ludzie, którzy w napiętej sytuacji wolą zjeść jabłko, rzadko bywają palaczami. Myślę, że jedna osoba czekała przy samochodzie. To palacz. Ale była też druga, czyli morderca,

który jadł jabłko.

– To brzmi przekonująco.

– Poza tym mam poczucie, że wszystko zostało bardzo starannie zaplanowane. Nie trzeba wielkiej przebiegłości, żeby stwierdzić, że uchodźcy z Hageholm chodzą tą drogą na spacer. Najczęściej wychodzą grupami, niekiedy jednak ktoś idzie sam. Jeśli obca osoba ubierze się jak rolnik, to raczej nie wzbudzi podejrzeń. Miejsce zostało ponadto wybrane w sposób przemyślany, samochód mógł stać bardzo blisko, a nikt go nie widział. Tak więc ten z pozoru szaleńczy postępek był przedsięwzięciem przeprowadzonym z zimną krwią. Jedynym, czego mordercy nie wiedzieli, było to, kto mianowicie będzie sam przechodził drogą. Ale też tym się wcale nie przejmowali.

W pokoju jadalnym panowała cisza. Analiza Rydberga była tak klarowna, że nikt nie miał nic do dodania. Bezsensowne morderstwo wydawało się teraz całkiem oczywiste.

Milczenie przerwał Svedberg.

– Przyszedł posłaniec z kasetą z redakcji „Sydsvenska”. Ktoś przyniósł magnetofon.

Kurt Wallander natychmiast rozpoznał głos. To ten sam mężczyzna, który dwukrotnie dzwonił do niego z pogrózkami.

– Poślemy tę kasetę do Sztokholmu – postanowił. – Może im coś wyniknie z analizy?

– Myślę, że powinniśmy też sprawdzić, jakiego gatunku było jabłko, które ten człowiek jadł – powiedział Rydberg. – Przy odrobinie szczęścia może udałoby nam się odszukać sklep, w którym zostało kupione.

Potem zaczęli rozmawiać o motywach.

– Nienawiść rasowa – powiedział Kurt Wallander. – To może oznaczać cholernie dużo środowisk. Myślę jednak, że powinniśmy najpierw pogrzebać w tych tak zwanych nowoszwedzkich ruchach, które pienią się ostatnio. Najwyraźniej wkroczyliśmy w nową, poważniejszą fazę. Teraz już się nie wypisuje wyzwisk na murach. Teraz rzuca się bomby zapalające i morduje. Chociaż ja wcale nie myślę, że dzisiaj strzelała ta sama osoba, która podpaliła baraki tu, w Ystad. Nadal uważam, że te baraki to jakiś szczeniacki wybryk albo

wyglup pijanej bandy, skierowany przeciwko uchodźcom. Dzisiejsze morderstwo to coś całkiem innego. Albo są to ludzie działający na własną rękę, albo też należą do jakiegoś ruchu. I od tej strony również musimy zrobić porządne rozeznanie. Trzeba wyjść do ludzi i zbierać informacje. Zamierzam poprosić Sztokholm o pomoc w stworzeniu mapy owych ruchów nowoszwedzkich. Śledztwo w sprawie tego morderstwa otrzymało krajowy priorytet. A to znaczy, że mamy wszelkie środki do dyspozycji. Poza tym ktoś musiał przecież widzieć citroena...

– Jest klub właścicieli citroenów – powiedział Naslund ochryplym głosem. – Możemy porównać ich rejestry z rejestrami samochodowymi. Członkowie klubu wiedzą wszystko o każdziutkim citroenie, który jeździ po drogach naszego kraju.

Rozdzielono zadania. Było prawie wpół do jedenastej, kiedy zebranie dobiegło końca. Nikt jednak nie myślał o tym, by pójść do domu.

Kurt Wallander zorganizował improwizowaną konferencję prasową w policyjnej recepcji. Ponownie zwrócił się za pośrednictwem mediów do wszystkich, którzy mogli widzieć citroena na E-14, żeby się z nim skontaktowali. Poza tym podał przybliżony rysopis mordercy.

Kiedy skończył, pytania posypały się jak grad.

– Nie teraz – protestował. – Powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia.

Kiedy wracał do siebie, dogonił go Hansson z pytaniem, czy chciałby obejrzeć nagrany występ krajowego szefa policji w telewizji.

– Raczej nie – odparł. – Przynajmniej nie teraz.

Zrobił porządek na swoim biurku. Kartkę, na której zapisał, że powinien zadzwonić do siostry, przykleił do aparatu telefonicznego. Potem zadzwonił do Gorana Boman, na prywatny numer. Odebrał Boman.

– I jak idzie? – spytał.

– Mamy jakieś punkty zaczepienia – poinformował Kurt Wallander. – Będziemy nad tym pracować.

– Za to ja mam dla ciebie dobre nowiny.

– Liczyłem na to.

– Chłopaki z Sölvesborga znaleźli Nilsa Velandera. Wygląda na to, że ma w jakiejś stoczni łódź, którą od czasu do czasu ściga się w zawodach. Protokół z przesłuchania będzie jutro rano, ale ja dowiedziałem się najważniejszego. On twierdzi, że pieniądze z plastikowego worka zarobił na handlu tą swoją bielizną. I zgodził się zamienić banknoty na inne, żebyśmy mogli zbadać odciski palców.

– Bank Związkowy tutaj, w Ystad. Musimy sprawdzić, czy to nie są przypadkiem te numery.

– Pieniądze przyjdą jutro. Ale szczerze powiedziawszy, myślę, że to nie był on.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Chyba mówiłeś, że masz dobre wiadomości?

– No bo mam i takie. Teraz przejdę do tej trzeciej kobiety. Pomyślałem sobie, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym sam do niej pojechał.

– Naturalnie, że nie.

– Jak pamiętasz, ona się nazywa Ellen Magnuson. Ma sześćdziesiąt lat i pracuje w aptece tu, w Kristianstad. Już się kiedyś z nią zetknąłem, parę lat temu. Potrafiła wtedy samochodem robotnika drogowego i go zabiła. To było w pobliżu lotniska Everöds. Twierdziła, że oślepiło ją słońce, i tak z pewnością było. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym urodziła syna, ojciec nieznany. Ten syn ma na imię Erik i mieszka w Malmö, jest pracownikiem urzędu rejonowego. Pojechałem do niej do domu, sprawiała wrażenie przestraszonej i zdenerwowanej, ale jakby czekała na wizytę policji. Zaprzeczyła, jakoby Johannes Lövgren był ojcem chłopaka. Ja jednak miałem nieodparte wrażenie, że kłamie. Jeśli ufasz moim ocenom, to ci powiem, że naprawdę miałbym ochotę zająć się tą sprawą. Ale naturalnie nie zapomnę o handlarzu ptakami i jego mamusi.

– W ciągu najbliższej doby nie znajdę nawet chwili, żeby zająć się czymś więcej niż tym, co teraz robię – powiedział Kurt

Wallander. – Będę ci wdzięczny, jeżeli zechcesz poświęcić dla nas trochę swojego czasu.

– Wysyłam ci papiery – powiedział Goran Boman. – I banknoty. Przypuszczam, że będziesz musiał je pokwitować.

– Jak już to wszystko będziemy mieli za sobą, napijemy się whisky, ty i ja – powiedział Kurt Wallander.

– W marcu ma podobno być szkolenie w zamku Snogeholm na temat nowych dróg przerzutu narkotyków w krajach wschodnich – powiedział Goran Boman. – Może to by była okazja?

– Brzmi bardzo dobrze – odparł Kurt Wallander. Skończywszy rozmowę, poszedł do pokoju Martinssona, żeby zapytać, czy nie ma jakichś informacji w sprawie poszukiwanego Citroena.

Martinsson potrząsnął głową. Jak dotychczas nic.

Kurt Wallander wrócił do siebie, usiadł i położył nogi na biurku. Było wpół do dwunastej. Powoli porządkował myśli. Najpierw metodycznie rozważał kwestie związane z morderstwem niedaleko ośrodka dla uchodźców. Czy o niczym nie zapomniał? Czy w dokonanej przez Rydberga rekonstrukcji wydarzeń nie ma jakiejś luki? Może jest jeszcze coś, czym należałoby się natychmiast zająć?

Ocecił, że śledztwo toczy się jak nigdy. Trzeba tylko wykonać wszystkie analizy techniczne i mieć nadzieję, że trafi się na ślad samochodu.

Zmienił pozycję na krześle, rozwiązał krawat i zaczął się zastanawiać nad tym, co mu powiedział Goran Boman. W pełni polegał na ocenach kolegi.

Jeśli Boman ma wrażenie, że kobieta kłamie, to z pewnością tak jest.

Tylko dlaczego tak lekko traktuje sprawę Nilsa Velandera?

Zdjął nogi z biurka i wyjął czystą kartkę papieru, następnie sporządził listę spraw, z którymi trzeba się będzie uporać w najbliższych dniach. Postanowił też, że skłoni Bank Związkowy, by otworzył mu jutro drzwi, choć to niedziela.

Kiedy już to wszystko zrobił, wstał i przeciągnął się. Minęła północ. Słyszał, że na korytarzu Hansson rozmawia

z Martinssonem, ale o czym, tego nie był w stanie zrozumieć.

Za oknem kołysała się na wietrze uliczna latarnia. Poczł się spocony i brudny, postanowił, że zejdzie na dół, do szatni dla policjantów, i weźmie prysznic. Najpierw jednak otworzył okno i zaczerpnął wielki haust zimnego powietrza. Deszcz przestał padać.

Kurt Wallander odczuwał niepokój. Jak zdoła zapobiec temu, by morderca nie uderzył ponownie?

Następna miała być kobieta, jako odpowiedź na śmierć Marii Lövgren.

Znowu usiadł za biurkiem i przyciągnął do siebie segregator, w którym przechowywał informacje na temat ośrodków dla uchodźców w Skanii.

Do Hageholm morderca raczej nie wróci. Istnieje jednak mnóstwo innych możliwości. A jeśli morderca wybierze na swoją następną ofiarę kogoś równie przypadkowego jak w Hageholm, to policja może zrobić jeszcze mniej, żeby mu w tym przeszkodzić.

W końcu trudno żądać, żeby uchodźcy nie wychodzili z domu.

Odłożył segregator i wkręcił czysty papier w maszynę do pisania. Równie dobrze jak cokolwiek innego mógł przygotować sprawozdanie dla Björka.

Właśnie wtedy drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Svedberg.

– Wiadomości? – spytał Kurt Wallander.

– W jakimś sensie tak – powiedział Svedberg ze zbolalym wyrazem twarzy.

– Co się stało?

– Nie bardzo wiem, jak ci to powiedzieć, ale przed chwilą dzwonił pewien chłop z Löderup.

– Widział Citroena?

– Nie. Ale twierdzi, że twój ojciec chodzi po polu w pizamie. Z walizką w ręce.

Kurt Wallander skamieniał.

– Do diabła, co ty gadasz?

– Ten dzwoniący sprawiał wrażenie człowieka o zdrowych zmysłach. Właściwie to chciał rozmawiać z tobą, ale go źle

połączyli i trafił na mnie. Myślę, że to ty powinienes podjąć decyzję, co z tym zrobić.

Kurt Wallander siedział bez ruchu, pustym wzrokiem wpatrywał się przed siebie. Po chwili wstał.

– O jakie to pole chodzi?

– Odniosłem wrażenie, że on szedł w stronę szosy.

– Sam się nim zajmę. Wrócę tak szybko, jak to będzie możliwe. Załatw mi samochód z radiotelefonem, żebyście mogli mnie wezwać jakby co.

– Chcesz, żeby ktoś z tobą pojechał? Kurt Wallander zaprzeczył.

– Ojciec ma sklerozę – powiedział. – Muszę spróbować umieścić go w jakimś domu opieki.

Svedberg przyniósł mu po chwili kluczyki do radiowozu.

Kiedy Kurt Wallander wychodził z budynku, dostrzegł na dziedzińcu kryjącego się w cieniu mężczyznę. Rozpoznał w nim dziennikarza znanej popołudniówki.

– Nie chcę, żeby on za mną pojechał – powiedział do Svedberga.

Tamten skinął głową.

– Zaczekaj, dopóki nie zobaczysz, że wyłączyłem silnik w swoim samochodzie. Wtedy możesz ruszać.

Kurt Wallander wsiadł do samochodu i czekał.

Dziennikarz błyskawicznie pobiegł do swojego wozu. Trzydzieści sekund potem Svedberg wyjechał prywatnym autem. I zgasił silnik.

Zablokował wyjazd dziennikarzowi. Kurt Wallander miał wolną rękę.

Jechał szybko. Zbyt szybko. Ograniczenie prędkości w Sandskogen całkiem zlekceważył. Zresztą był na szosie właściwie sam. Przerażone zające zmykały po mokrym asfalcie.

Zbliżył się do wsi, w której mieszkał ojciec, i z daleka go zobaczył w świetle reflektorów. Bosy, brnął po błocie w piżamie w niebieskie paski. Na głowie miał swój stary kapelusz, w ręce dużą walizkę. Oślepiiony światłami, z irytacją przesłaniał ręką oczy. Zatrzymał się tylko na chwilę, a potem ruszył dalej. Energicznie, jakby zmierzał do z góry wyznaczonego celu.

Kurt Wallander wyłączył silnik, ale reflektorów nie zgasił.
Wyszedł na pole.

– Tato! – zawołał. – Co ty, do cholery, wyprawiasz? Ojciec nie odpowiedział, szedł dalej. Kurt Wallander ruszył za nim. Potknął się i przewrócił, umazał się w błocie po pas.

– Tato! – zawołał znowu. – Zatrzymaj się! Dokąd idziesz?

Żadnej reakcji. Starszy pan zdawał się nawet przyspieszać. Był już bardzo blisko szosy. Kurt Wallander pobiegł, znów się potknął, ale zdołał go złapać za ramię. Ojciec jednak wyszarpnął się i szedł dalej.

Wtedy Kurt Wallander wpadł w złość.

– Policja! – wrzasnął. – Stój, bo będę strzelał!

Ojciec zatrzymał się natychmiast, a potem powoli odwrócił. Kurt Wallander widział, że mruży oczy, bo razi go światło.

– Czy nie mówiłem? – odkrzyknął. – Ty chcesz mojej śmierci!

A potem cisnął walizkę w stronę syna. Wieko się otworzyło i odkryło zawartość: brudną bieliznę, pędzle i tuby z farbami.

Kurt Wallander poczuł, że ogarnia go wielki smutek. A więc ojciec w środku nocy wybrał się w tę swoją wymyśloną podróż do Włoch? Kompletnie mu się pomieszało w głowie.

– Uspokój się, tato – powiedział. – Chciałem cię tylko odwiedzić na stację. Żebyś nie musiał chodzić.

Ojciec przyglądał mu się z powątpiewaniem.

– Ja ci nie wierzę – odparł.

– To przecież normalne, że chcę odwiedzić mojego ojca na stację, kiedy wybiera się w podróż.

Kurt Wallander podniósł walizkę, zamknął wieko i ruszył w kierunku samochodu. Włożył walizkę do bagażnika i czekał. Ojciec wyglądał na tym polu jak ścigane zwierzę. Zwierzę, które dotarło już do końca drogi i teraz tylko czeka na śmiertelny strzał.

Po chwili on też ruszył w stronę samochodu. Kurt Wallander nie potrafił określić, czy to, co widzi, to wyraz godności czy upokorzenia. Otworzył tylne drzwi i ojciec wsiadł. Kocem, który zawsze leżał w bagażniku, otulił ramiona ojca.

Podskoczył, kiedy z mroku wyłonił się nagle mężczyzna. Starszy człowiek ubrany w brudny kombinezon.

– To ja dzwoniłem – powiedział. – Co z nim?
– Będzie dobrze – zapewnił Wallander. – Dziękuję, że pan zadzwonił.

– To czysty przypadek, że go zauważyłem.

– Rozumiem. Jeszcze raz dziękuję.

Usiadł za kierownicą. Kiedy odwrócił głowę, zauważył, że ojciec trzęsie się pod kocem z zimna.

– Teraz jadę prosto na stację, tato – powiedział. – To nie potrwa długo.

I ruszył do szpitala na ostry dyżur. Miał szczęście, bo spotkał lekarza, którego poznał przy łóżku Marii Lövgren. Wyjaśnił, co się stało.

– Zostawimy go na noc i będziemy obserwować – zdecydował lekarz. – Musiał porządnie zmarznąć. Jutro kurator spróbuje mu znaleźć jakieś miejsce.

– Dziękuję – powiedział Kurt Wallander. – Zostanę z nim jeszcze chwilę.

Ojciec został wytarty i ułożony na wózku.

– Wagon sypialny do Włoch – oznajmił. – Nareszcie tam pojedę.

Kurt Wallander usiadł przy nim na krześle.

– Oczywiście – zapewnił. – Teraz jedziesz do Włoch.

Było po drugiej, kiedy opuścił szpital. Wrócił do budynku policji. Wszyscy z wyjątkiem Hanssona poszli na noc do domu. On zaś oglądał nagraną na kasetę wideo dyskusję, w której uczestniczył krajowy szef policji.

– Działo się coś? – spytał Kurt Wallander.

– Nic – odparł Hansson. – Było oczywiście parę informacji, ale nic rozstrzygającego. Pozwoliłem sobie wysłać ludzi do domu, niech się prześpią parę godzin.

– Bardzo dobrze. Dziwne, że nie odzywa się nikt w sprawie samochodu.

– No właśnie, ja też o tym myślałem. A może on jechał E-14 tylko krótki odcinek, a potem znowu skręcił w którąś z tych bocznych drózek? Studiowałem mapy. W tej okolicy jest gęsta płatanina polnych dróg i ścieżek. Plus rozległe pustkowia, na które nikt się w zimie nie zapuszcza. Patrole kontrolujące

ośrodki dla cudzoziemców przeczeszą dziś w nocy te drogi.

Wallander kiwał głową.

– I wysłemy helikopter, jak tylko się rozwidni – powiedział. – Samochód pewnie stoi ukryty gdzieś na tych pustkowiach.

Nalał sobie kawy.

– Svedberg mówił mi o twoim ojcu – powiedział Hansson. – Co z nim?

– Nic groźnego. Dała o sobie znać skleroza. Teraz jest w szpitalu. Ale dotarłem w porę.

– Ty też idź do domu i prześpij się trochę. Wyglądasz na wykończonego.

– Mam jeszcze sporo papierkowej roboty. Hansson wyłączył wideo.

– A ja położę się tu na kanapie – powiedział.

Kurt Wallander wrócił do swojego pokoju i usiadł przy maszynie do pisania. Oczy go piekły ze zmęczenia.

Mimo wszystko zmęczenie dawało mu też nieoczekiwaną jasność rozumowania. Zostało popełnione podwójne morderstwo, myślał. A ściganie zabójcy spowodowało następny mord. Który musimy wyjaśnić natychmiast, by nie dopuścić, żeby jeszcze kolejny spadł nam na głowę.

To wszystko stało się w ciągu pięciu dni i nocy.

Potem napisał informację dla Björka. Postanowił zadbać, by ktoś wsunął to szefowi do ręki już na lotnisku.

Ziewnął i spojrzął na zegarek. Za piętnaście czwarta. Był zbyt zmęczony, żeby myśleć o swoim ojcu. Bał się tylko, że szpitalny kurator nie znajdzie dobrego rozwiązania.

Kartka z imieniem siostry wciąż była przyklejona do słuchawki telefonu. Za parę godzin, kiedy już będzie rano, musi do niej zadzwonić.

Ziewnął znowu i powąchał się pod pachami. Po prostu śmierdział. I właśnie w tym momencie w uchylonych drzwiach stanął Hansson.

Wallander natychmiast zrozumiał, że coś się stało.

– Co?

– Przed chwilą dzwonił jakiś facet z Malmö, że ukradziono mu samochód.

– Citroen?

Hansson kiwnął głową.

– Jak to się stało, że odkrył kradzież o czwartej nad ranem?

– Zamierzał jechać na jakieś targi do Göteborga.

– Zgłosił to na policji w Malmö?

Hansson znowu kiwnął głową. Kurt Wallander podniósł słuchawkę telefonu.

– No to zaczynamy – powiedział.

Policja w Malmö obiecała jak najszybciej przesłuchać tego człowieka. Informację o numerach ukradzionego samochodu, roku produkcji i kolorze należało natychmiast rozesłać po kraju.

– BBM 160 – powiedział Hansson. – Kolor niebieski, z białym dachem. Ile takich może się znajdować w naszym kraju? Sto?

– Jeżeli samochód nie został zakopany, to go znajdziemy – zapewnił Wallander. – O której wschodzi słońce?

– Za cztery, pięć godzin – powiedział Hansson.

– Jak tylko się rozwidni, wyślemy helikopter nad pustkowie. Ty się tym zajmiesz.

Hansson kiwnął głową. Już miał opuścić pokój, gdy przypomniało mu się coś, o czym ze zmęczenia zapomniał.

– Do diabła! Jeszcze jedno. – Tak?

– Ten, co dzwonił, że mu ukradli samochód. To był policjant.

Kurt Wallander patrzył na Hanssona zdumiony.

– Policjant? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że to był policjant. Jak ty i ja.

11

Kurt Wallander poszedł do policyjnego aresztu, żeby się trochę przespać. Z wielkim trudem udało mu się nastawić budzik w swoim zegarku. Dawał sobie na odpoczynek dwie godziny. Kiedy obudziło go pikanie, ból rozsadał mu głowę. Pierwsze, o czym pomyślał, to stan ojca. Z szafki na lekarstwa wyjął kilka tabletek przeciwbólowych i popił je kubkiem letniej kawy. Potem długo stał, niezdecydowany, czy najpierw wziąć prysznic, czy raczej zadzwonić do siostry w Sztokholmie.

W końcu jednak udał się do przebieralni i wszedł pod prysznic. Ból głowy z wolna ustępował, ale kiedy Wallander opadł na krzesło przy swoim biurku, czuł, że zmęczenie przytłacza go jak worek kamieni. Było kwadrans po siódmej. Wiedział, że jego siostra jest rannym ptaszkiem. Teraz też odpowiedziała niemal natychmiast, gdy przebrzmiał pierwszy sygnał. Najzwięźle jak to możliwe opowiedział jej, co się stało.

– Dlaczego nie dzwoniłeś wcześniej? – pytała wzburzona. – Musiałeś przecież zauważyć, że coś się zaczyna dziać.

– Chyba właśnie to zauważyłem za późno – odpowiedział wymijająco.

Umówili się, że trzeba poczekać, dopóki on nie rozmówi się ze szpitalnym kuratorem, a potem postanowią, kiedy siostra ma przyjechać do Skanii.

– A jak się czują Mona i Linda? – spytała.

Zdał sobie sprawę, że Kristina nie wie o ich rozstaniu.

– Dobrze – bąknął. – Zadzwonię później.

Potem pojechał do szpitala. Temperatura znowu spadła poniżej zera. Lodowaty wiatr przenikał miasto od południowego zachodu.

Ojciec spał w nocy niespokojnie, poinformowała go siostra oddziałowa, która właśnie odebrała meldunki od nocnej zmiany. Ale żadnych fizycznych obrażeń nie odniósł podczas swojego nocnego spaceru po polach.

Kurt Wallander wołał zobaczyć się z ojcem po rozmowie z kuratorem.

Co prawda on kuratorom nie dowierzał. Zbyt często, jego zdaniem, różni pracownicy socjalni, wzywani, kiedy policja schwytała młodocianych przestępców, prezentowali błędne wyobrażenie o tym, co należy robić. Kuratorzy byli ulegli i łagodni w sytuacji, gdy, jak sądził, powinni stawiać tym ludziom twarde wymagania. Nieraz złościł się na władze socjalne, które swoją powolnością i brakiem zdecydowania popychały młodych przestępców do kontynuowania działalności.

Ale może szpitalni kuratorzy są inni, myślał.

Po chwili oczekiwania został zaproszony na rozmowę

z kobietą mniej więcej pięćdziesięcioletnią. Kurt Wallander opisał nagle załamanie, którego nikt się nie spodziewał, i mówił, jaki on sam czuje się bezradny.

– Miejmy nadzieję, że to przejściowe – powiedziała kuratorka. – Niekiedy starsze osoby cierpią z powodu okresowych zaburzeń świadomości. – Jeżeli mu to przejdzie, to być może wystarczy jakaś stała pomoc domowa. Gdyby się jednak okazało, że skleroza jest chroniczna, będziemy musieli poszukać innego rozwiązania.

Postanowili, że ojciec zostanie w szpitalu do poniedziałku. Potem pani kurator naradzi się z lekarzami.

Kurt Wallander wstał. Kobieta naprzeciwko niego zdawała się wiedzieć, o czym mówi.

– Człowiek po prostu nie ma pojęcia, co należałoby zrobić – przyznał.

Kobieta skinęła głową.

– To bardzo trudna sytuacja, kiedy jesteśmy zmuszeni być jak rodzice dla naszych własnych rodziców – powiedziała. – Wiem coś na ten temat. Moja mama była pod koniec życia w takim stanie, że nie mogłam jej zatrzymać u siebie w domu.

Kurt Wallander poszedł do ojca, który leżał w sali z czterema łózkami. Wszystkie były zajęte. Ktoś miał nogę w gipsie, ktoś inny leżał skulony, jakby cierpiał na bóle brzucha. Ojciec Kurta Wallandera wpatrywał się w sufit.

– Jak się masz, staruszkule? – spytał syn. Minęło sporo czasu, zanim ojciec powiedział:

– Zostaw mnie w spokoju.

Głos brzmiał jakoś nisko, nie było w nim dawnej drażliwości. Kurt Wallander odniósł wrażenie, że w głosie ojca brzmi smutek.

Siedział przez chwilę na krawędzi łóżka. Potem zaczął zbierać się do wyjścia.

– Wróć niedługo, staruszkule – powiedział. – Pozdrowienia od Kristiny.

Szybko wyszedł ze szpitala z poczuciem wielkiej bezradności. Lodowaty wiatr szczypał go w twarz. Nie wrócił do budynku policji, zadzwonił tylko ze skrzeczącego telefonu

w samochodzie do Hanssona.

– Jadę do Malmö – poinformował. – Dostaliśmy jakiś helikopter?

– Tak, patroluje teren od pół godziny. Wysłaliśmy tam też dwa patrole z psami. Jeżeli ten przeklęty samochód stoi gdzieś na pustkowiu, to go znajdziemy.

Kurt Wallander jechał do Malmö. Poranny ruch był intensywny, kierowcy nieustępliwi. Wyprzedzające na siłę samochody nieustannie spychały go na pobocze.

Powinienem był wziąć oznakowany radiowóz, myślał. Ale teraz to może i tak nie ma znaczenia?

Było kwadrans po dziewiątej, kiedy wchodził do pokoju w budynku policji w Malmö, w którym czekał na niego właściciel skradzionego samochodu. Zanim tu dotarł, rozmawiał z policjantem, który przyjmował zgłoszenie o kradzieży.

– Czy to prawda, że on jest policjantem? – spytał.

– Był. Ale przeszedł na wcześniejszą emeryturę.

– Dlaczego?

Policjant wzruszył ramionami.

– Problemy z nerwami. Nie wiem dokładnie.

– Znasz go?

– On się trzymał trochę z boku. Chociaż pracowaliśmy razem dziesięć lat, nie mogę powiedzieć, że go znam. Szczerze mówiąc, to chyba nikt go nie znał.

– Ktoś jednak musi wiedzieć o nim coś więcej. Policjant znowu wzruszył ramionami.

– Popytam – obiecał. – Ale przecież chyba każdemu mogą ukraść samochód?

Kurt Wallander wszedł do pokoju i przywitał się z mężczyzną nazwiskiem Runę Bergman. Miał pięćdziesiąt trzy lata i cztery lata temu odszedł na emeryturę. Był szczupły, miał rozbiegane, niespokojne oczy. Po jednej stronie nosa widniała długa blizna, jak od cięcia nożem.

Kurt Wallander odniósł wrażenie, że człowiek naprzeciwko niego jest spięty i czujny, choć nie umiałby powiedzieć dlaczego. Ale wrażenie nie ustępowało, przeciwnie, umacniało

się podczas rozmowy.

– Opowiadaj – poprosił. – O godzinie czwartej nad ranem stwierdzasz, że twój samochód zniknął.

– Miałem jechać do Göteborga. Lubię wyjeżdżać o świcie, kiedy wybieram się daleko. Gdy wyszedłem z domu, samochodu nie było.

– Zniknął z garażu czy z parkingu?

– Z ulicy przed domem, w którym mieszkam. Mam garaż, ale trzymam tam mnóstwo rupieci i na samochód nie starcza miejsca.

– A gdzie mieszkasz?

– W osiedlu domków przy Jagersro. W segmencie.

– Myślisz, że ktoś z sąsiadów mógł coś widzieć?

– Pytałem. Nikt nic nie wie.

– Kiedy po raz ostatni widziałeś samochód?

– Cały dzień byłem w domu. Ale poprzedniego wieczora stał na swoim miejscu.

– Zamknięty?

– Jasne, że zamknięty.

– Miał blokadę kierownicy?

– Niestety, zepsuła się.

Odpowiedzi padały swobodnie. Mimo to Kurt Wallander nie pozbył się uczucia, że facet jest dziwnie spięty.

– Co to za targi, na które się wybieraleś? – spytał. Mężczyzna spojrzał zaskoczony.

– A co to ma wspólnego ze sprawą?

– Nic. Po prostu chciałem wiedzieć.

– To targi lotnicze, jeżeli już nalegasz.

– Lotnicze?

– Interesują mnie stare samoloty. Sam nawet buduję modele.

– Jeżeli dobrze zrozumiałem, to zostałeś przeniesiony na wcześniejszą emeryturę, prawda?

– A co to ma do kradzieży?

– Nic.

– Może byś zaczął szukać samochodu, zamiast grzebać w moim prywatnym życiu?

– Już go szukamy. Jak być może się domyśliłeś,

podejrzewamy, że ten, kto ukradł twój samochód, mógł popełnić morderstwo. Albo powinienem raczej powiedzieć: wykonać egzekucję.

Mężczyzna spojrział mu prosto w oczy. Bez tego poprzedniego rozbiegania.

– Słyszałem o tym – powiedział.

Kurt Wallander nie miał już więcej pytań.

– Uznałem, że powinniśmy pojechać do ciebie do domu – oznajmił. – Chciałbym zobaczyć, gdzie samochód był zaparkowany.

– Ale ja na kawę nie zapraszam – odparł tamten. – Mam w domu bałagan.

– Jesteś żonaty?

– Rozwiedziony.

Pojechali samochodem Wallandera. Osiedle było stare, położone na tyłach torów wyścigowych Jagersro. Zatrzymali się przed niskim domem z żółtej cegły, z maleńkim trawnikiem przed wejściem.

– Samochód stał tu, gdzie ty zaparkowałeś – powiedział mężczyzna. – Dokładnie w tym samym miejscu.

Kurt Wallander cofnął się kilka metrów i obaj wysiedli. Wtedy Wallander stwierdził, że samochód, który ukradziono, musiał być zaparkowany między ulicznymi latarniami.

– Czy wiele samochodów stoi tu nocą? – spytał.

– Właściwie przed każdym domem. Na ogół mieszkańcy mają po dwa samochody, a miejsce w garażu tylko na jeden.

Kurt Wallander wskazał na latarnie.

– Działają? – spytał.

– Tak. Jeśli któraś się przepali, zaraz widzę.

Kurt Wallander rozglądał się dookoła i myślał. Żadne dodatkowe pytania nie przychodziły mu do głowy.

– Przypuszczam, że się niebawem odezwiemy – powiedział.

– Ja chcę z powrotem swój samochód – odparł Rune Bergman.

Kurt Wallander uświadomił sobie nagle, że jednak ma jeszcze pytanie.

– Masz pozwolenie na broń? – spytał. – I broń? Człowiek

obok niego zeszywniał.

W tym samym momencie szalona myśl przeleciała Wallanderowi przez głowę.

Kradzież samochodu została zmyślona.

Mężczyzna stojący przed nim to jeden z tych dwóch, którzy poprzedniego dnia zastrzelili Somalijczyka.

– O co ci, do cholery, chodzi? – spytał ów mężczyzna.

– Jakie pozwolenie na broń? Nie jesteś chyba aż taki głupi, by myśleć, że ja miałem z tym coś wspólnego?

– Ty, jako policjant, powinienesz wiedzieć, że niekiedy trzeba zadawać różne pytania – powiedział Kurt Wallander.

– Masz w domu broń?

– Mam i broń, i pozwolenie.

– A jaka to broń?

– Poluję od czasu do czasu. Mam mauzera na łosie.

– I co jeszcze?

– Dubeltówkę. Lanber baron. Hiszpańska broń. Na zające.

– Przyślę tu kogoś po tę broń.

– A to dlaczego?

– Dlatego, że ten człowiek, którego wczoraj zamordowano, został zastrzelony z dubeltówki, z bardzo bliskiej odległości.

Mężczyzna patrzył na niego z pogardą.

– Masz nie po kolei w głowie – syknął. – Do cholery, naprawdę masz nie po kolei w głowie.

Kurt Wallander zostawił go i wrócił na komendę w Malmö. Stamtąd zadzwonił do Ystad. W dalszym ciągu nie znaleziono żadnego samochodu. Potem zażądał rozmowy z urzędującym szefem wydziału zabójstw w Malmö. Już go kiedyś spotkał i odniósł wrażenie, że to człowiek zadufany w sobie, któremu się wydaje, że wszystko może. To było na tym samym szkoleniu, kiedy poznał Gorana Bomana.

Kurt Wallander przedstawił swoją sprawę.

– Chcę, żebyście skontrolowali jego broń – powiedział. – I chcę, żebyście przeszukali dom. Muszę też wiedzieć, czy on nie ma jakichś kontaktów z organizacjami nacjonalistycznymi.

Policjant przyglądał mu się długo i uważnie.

– Czy masz jakiegokolwiek wiarygodne powody, by sądzić, że on

zmyślił tę kradzież samochodu? Że mógłby być zamieszany w morderstwo?

– Ma broń. A my musimy badać wszystko.

– W tym kraju są setki tysięcy dubeltówek. I na jakiej podstawie, twoim zdaniem, mam wydać polecenie przeszukania, kiedy sprawa dotyczy kradzieży samochodu?

– To śledztwo ma najwyższy priorytet – rzekł Kurt Wallander.

– Mogę zadzwonić do szefa okręgowego policji, do szefa krajowego, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Zrobię, co będę mógł – odparł policjant. – Ale grzebanie w prywatnym życiu kolegów nie przysparza popularności. A jak myślisz, co będzie, jeśli sprawa przedostanie się do gazet?

– Mam to gdzieś – syknął Kurt Wallander. – Ja mam na głowie trzy morderstwa. I jeszcze kogoś, kto obiecuje mi czwarte. Zamierzam temu zapobiec.

W drodze powrotnej do Ystad zatrzymał się w Hageholm. Technicy kończyli swoje badania. Na miejscu sprawdził, czy teoria Rydberga na temat przebiegu morderstwa jest wiarygodna, i musiał przyznać mu rację. Samochód z pewnością czekał zaparkowany w miejscu wskazanym przez Rydberga.

Nagle przypomniał sobie, że nie zapytał policjanta, któremu ukradziono samochód, czy pali. Ani czy lubi jabłka.

Pojechał do Ystad. Dochodziła dwunasta. Po drodze do biura spotkał sekretarkę, wybierającą się na lunch, i poprosił ją, by mu kupiła pizzę.

Wsunął głowę do pokoju Hanssona. Nadal żadnego samochodu.

– Zebranie u mnie za kwadrans – powiedział. – Postaraj się zebrać wszystkich. Tych, którzy są w terenie, łap telefonicznie.

Nie zdejmując kurtki, usiadł przy biurku i zadzwonił do siostry. Uzgodnili, że jutro o dziesiątej odbierze ją na lotnisku Sturup.

W zamyśleniu naciskał guz na czole, który mienił się wszelkimi kolorami, od żółci poprzez zieleń i czerwień do ciemnego granatu.

Po dwudziestu minutach przyszli wszyscy z wyjątkiem

Martinssona i Svedberga.

– Svedberg grzebie w jakiejś zwirowni – wyjaśnił Rydberg. – Był telefon, że widziano tam w okolicy tajemniczy samochód. Martinsson natomiast ściga członka klubu miłośników citroenów, który ma jakoby wiedzieć wszystko o każdym citroenie, jaki jeździ po drogach Skanii. Podobno jakiś dermatolog z Lund.

– Dermatolog z Lund? – spytał Kurt Wallander, zdumiony.

– Są panny lekkich obyczajów, zbierające znaczki pocztowe – powiedział Rydberg. – Dlaczego dermatolog nie miałby kochać citroenów?

Wallander zdał relację ze swojego spotkania z byłym policjantem z Malmö.

Sam teraz słyszał, jak pozbawione podstaw jest jego polecenie, by prześwietlono tego faceta.

– To nie brzmi zbyt prawdopodobnie – powiedział Hansson.

– Policjant, który zamierza popełnić morderstwo, nie jest chyba taki głupi, żeby zgłaszać kradzież swojego samochodu.

– Możliwe – zgodził się Wallander. – Ale nas nie stać na to, by wypuścić z rąk najmniejszy trop, żeby nie wiem jak niepewny się wydawał.

Następnie dyskusja koncentrowała się na sprawie zaginionego samochodu.

– Jest zdecydowanie za mało informacji od mieszkańców – stwierdził Hansson. – To mnie tylko utwierdza w przekonaniu, że samochód nie oddalił się od ośrodka.

Kurt Wallander rozłożył sztabową mapę i wszyscy pochylili się nad nią, jakby przygotowywali plan bitwy.

– Jeziora – powiedział Rydberg. – Krageholmssjön, Svaneholmssjön. Załóżmy, że pojechali do któregoś i wepchnęli samochód do wody. Wszędzie jest tyle bocznych dróg.

– Z drugiej strony bardzo by ryzykowali – wtrącił Kurt Wallander. – Ktoś mógł ich widzieć.

Mimo wszystko postanowili, że trzeba będzie przeczesać brzegi jezior, i na łądzie, i w wodzie. Postanowili też wysłać ludzi, żeby sprawdzili wszystkie opuszczone stodoły i inne zabudowania w okolicy.

Patrol z psami również nie natrafił na żaden ślad. Rezultatów nie dały poszukiwania prowadzone z helikoptera.

– Czy twój Arab mógł się pomylić? – spytał Hansson. Kurt Wallander zastanawiał się przez chwilę.

– Przywieziemy go jeszcze raz – powiedział. – I sprawdzimy jego umiejętności na co najmniej sześciu samochodach. W tej liczbie jeden citroen.

Hansson obiecał się tym zająć.

Potem przeszli do omówienia postępów śledztwa w sprawie morderstwa w Lenarp. Także tutaj straszyl nieodnaleziony samochód, ten, który widział podróżujący nad ranem kierowca ciężarówki.

Kurt Wallander zauważył, że policjanci są zmęczeni. Jest sobota, a wielu z nich pełniło służbę przez bardzo długi czas.

– Niech Lenarp zaczeka do poniedziałku rano – powiedział. – Teraz musimy się skoncentrować na Hegeholm. Ci, którzy tu nie są pilnie potrzebni, niech idą do domu i trochę odpoczną. Następny tydzień będzie prawdopodobnie równie pracowity jak ten.

Wtedy przypomniał sobie, że w poniedziałek Björk obejmie już swoje obowiązki.

– Dalej sprawę poprowadzi Björk – dodał. – Więc korzystając z okazji, chciałem wam podziękować za dotychczasowy wkład.

– Dostaniemy zaliczenie? – spytał Hansson ironicznie.

– Z oceną celującą – rzekł Kurt Wallander.

Po zebraniu poprosił Rydberga, żeby został z nim jeszcze chwilę. Czuł, że musi w spokoju omówić sytuację. A oceny i poglądy Rydberga zawsze cenił najbardziej. Przedstawił mu wyniki starań Gorana Bomana w Kristianstad. Rydberg w zamyśleniu kiwał głową. Kurt Wallander zauważył, że odnosi się do tego wszystkiego z wielką ostrożnością.

– To może być ślepy zaułek – powiedział w końcu. – Im więcej o tym myślę, tym bardziej mnie to podwójne morderstwo zbija z tropu.

– Jak to? – nie zrozumiał Kurt Wallander.

– Nie daje mi spokoju to, co ta kobieta powiedziała, zanim umarła. Wyobrażam sobie, że ona w najgłębszej głębi swojej

udręczonej i rozdartej świadomości musiała wiedzieć, że mąż nie żyje. I że ona sama wkrótce też umrze. Ja myślę, że to ludzki instynkt pragnie pomóc w rozwiązaniu zagadki, kiedy już nic innego nie pozostało. I wtedy wymówiła to jedno jedyne słowo. „Zagraniczny”. Powtarzała je. Cztery, pięć razy. To musi coś znaczyć. No, a potem ta pętla. Ten węzeł na sznurze. Sam przecież stwierdziłeś, że to morderstwo pachnie zemstą, nienawiścią. A my mimo wszystko szukamy w zupełnie innym kierunku.

– Svedberg zdokumentował rodzinę Lövgrenów – odparł Kurt Wallander. – Nie ma tam żadnych cudzoziemskich powiązań. Tylko szwedzcy rolnicy. I paru rzemieślników.

– Nie zapominaj o podwójnym życiu – powiedział Rydberg. – Nyström opisał sąsiada, którego znał przez czterdzieści lat, jako człowieka zwyczajnego. Bez specjalnych dochodów. A po dwóch dniach wiedzieliśmy, że prawda wygląda całkiem inaczej. Co właściwie miałoby wskazywać, że ta historia nie ma drugiego dna?

– No to co, twoim zdaniem, powinniśmy robić?

– Dokładnie to, co robimy. Ale musimy mieć oczy i uszy otwarte i przede wszystkim liczyć się z tym, że łatwo zabrnąć w ślepy zaułek.

Potem zaczęli rozmawiać o zamordowanym Somalijczyku.

Jeszcze podczas pobytu w Malmö Kurt Wallander wpadł na pewien pomysł, od którego nie mógł się uwolnić.

– Wytrzymałbyś jeszcze jedno zadanie? – spytał teraz.

– No pewnie – odparł Rydberg, w najwyższym stopniu zdumiony. – Oczywiście, że wytrzymam!

– Jest coś z tym policjantem – powiedział Kurt Wallander. – Wiem, że to bardziej przecucie niż cokolwiek innego. To raczej wątpliwa zaleta u policjanta, kierowanie się przecuciami. Ale pomyślałem sobie, że moglibyśmy pośledzić trochę tego faceta, ty i ja. W każdym razie przez weekend. A potem zobaczymy, czy brnąć w to dalej i włączać innych. Ale jeżeli jest tak, jak myślę, że on jest w to zamieszany i że nikt mu nigdy samochodu nie ukradł, to teraz powinien być zaniepokojony.

– Ja zgadzam się z Hanssonem, który uważa, że policjant

raczej nie byłby taki głupi, żeby zgłaszać kradzież samochodu, kiedy planuje morderstwo – wtrącił Rydberg.

– Według mnie to błędne rozumowanie – odparł Kurt Wallander. – Ale on też rozumował w ten sposób. Że już samo to, iż był policjantem, odsunie od niego wszelkie podejrzenia.

Rydberg rozcierał bolące kolano.

– Zrobimy, jak chcesz – powiedział. – To, co ja myślę albo nie myślę, nie ma tu najmniejszego znaczenia, skoro uważasz, że dzięki temu będziemy mogli posunąć się dalej.

– W takim razie chcę, żebyśmy go obserwowali – rzekł Kurt Wallander. – Będziemy się zmieniać co sześć godzin, do poniedziałku rano. Może być ciężko, ale to wykonalne. Jeśli chcesz, mogę wziąć noce.

Było wczesne popołudnie. Rydberg uznał, że równie dobrze może dyżurować do północy. Kurt Wallander dał mu adres.

W tym momencie weszła sekretarka z pizzą.

– Jadłeś coś? – spytał Rydberga.

– No, jadłem – odparł tamten bez przekonania.

– Nie wierzę ci. Zjedz tę, ja kupię sobie następną. Rydberg zasiadł do jedzenia przy biurku Wallandera.

Potem otarł wargi i wstał.

– Może masz rację – powiedział.

– Może – przytaknął Wallander.

Do końca dnia nic się nie zdarzyło.

Samochodu jak nie było, tak nie było. Strażacy sprawdzali jeziora, ale znaleźli tylko fragmenty starej żniwiarki.

Telefonów od mieszkańców nie przybywało.

Dziennikarze, radio, telewizja dzwonili nieustannie i domagali się bieżących raportów. Kurt Wallander powtarzał swoją prośbę w sprawie białoniebieskiego citroena. Niespokojni kierownicy ośrodków dla uchodźców żądali większego nadzoru policyjnego dla swoich placówek.

Kurt Wallander odpowiadał tak cierpliwie, jak tylko umiał.

O godzinie czwartej w Bjaresjö została przejechana przez samochód stara kobieta. Zginęła na miejscu. Svedberg, który wrócił ze zwirowni, zajął się tą sprawą, chociaż wcześniej Kurt Wallander obiecał mu wolne popołudnie.

Naslund zadzwonił o piątej i Kurt Wallander zorientował się, że jest pijany. Pytał, czy nic nowego się nie zdarzyło i czy w takim razie może jechać na przyjęcie do Skillinge. Kurt Wallander pozwolił mu jechać.

Dwa razy telefonował do szpitala, by zapytać, jak się czuje ojciec. Otrzymywał informacje, że jest zmęczony i zamknięty w sobie.

Zaraz po rozmowie z Naslundem zadzwonił do Stena Widena. W słuchawce odezwał się znajomy głos.

– To ja pomagałem ci niedawno ustawić drabinę – powiedział. – A ty zgadłaś, że jestem policjantem. Chciałbym rozmawiać ze Stenem, jeżeli tam jest.

– Sten jest w Danii, kupuje konie – odpowiedziała dziewczyna imieniem Louise.

– A kiedy wraca?

– Może jutro.

– Mogłabyś poprosić, żeby do mnie zadzwonił?

– Jasne.

Rozmowa się skończyła. Kurt Wallander miał nieprzeparte wrażenie, że Sten Widen wcale nie pojechał do Danii. Może stał obok dziewczyny i słuchał.

Może znajdowali się oboje w tym niezasłanym łóżku, kiedy zadzwonił?

Rydberg nie dawał znaku życia.

Wallander zostawił swoje sprawozdanie dla Björka jednemu z policjantów na patrolu, który obiecał dostarczyć go szefowi jeszcze tego wieczora, jak tylko Björk wysiądzie z samolotu na lotnisku Sturup.

Potem przejrzał swoje rachunki, których nie zapłacił na początku miesiąca. Wypełnił stos bankowych blankietów i razem z czekiem włożył do brązowej koperty. Stwierdził, że nie stać go w tym miesiącu ani na kupno wideo, ani aparatury muzycznej.

Na koniec odpowiedział na pytanie, czy zamierza pojechać w lutym do Królewskiej Opery w Kopenhadze. Postanowił, że pojedzie, bo Wozzeck należy do tych oper, których jeszcze nigdy nie widział na scenie.

O ósmej przeczytał raport Svedberga w sprawie wypadku w Bjaresjö. Stwierdził, że żadne zatrzymanie ani oskarżenie nie wchodzi w rachubę. Kobieta wybiegła na jezdnię prosto pod koła samochodu, jadącego z dozwoloną szybkością. Rolnik, który go prowadził, cieszy się nienaganną opinią. Świadkowie wypadku zeznawali zgodnie, że to nie jego wina. Podpisał raport i zaznaczył, że Anette Brolin powinna go przeczytać, kiedy będzie już gotowy protokół z sekcji zmarłej kobiety.

O wpół do dziewiątej dwóch mężczyzn zaczęło się bić w mieszkaniu na obrzeżach miasta. Peters i Noren szybko ich rozdzielili. To dwaj bracia bardzo dobrze znani policji. Wszczynają bójkę mniej więcej trzy razy do roku.

Z Marsvinsholm przyszło zgłoszenie, że uciekł chart. Ponieważ widziano go, jak biegnie na zachód, przesłał meldunek kolegom ze Skurup.

O dziesiątej opuścił budynek policji. Było zimno i wiał porywisty wiatr. Niebo wygwieżdżone. Wciąż nic nie zapowiadało śniegu. Pojechał do domu, włożył ciepłą zimową bieliznę, a na głowę naciągnął wełnianą czapkę. Podłóż przywiedle kwiatki na oknie w kuchni, po czym wyruszył do Malmö.

Tej nocy dyżur pełnił Noren. Kurt Wallander obiecał, że kilka razy do niego zadzwoni. Prawdopodobnie jednak Noren będzie miał na głowie Björka, który, gdy tylko wróci do domu, dowie się, że urlop definitywnie dobiegł końca.

Kurt Wallander zatrzymał się jeszcze w motelu w Svedali. Długo się wahał, w końcu jednak zamówił tylko sałatkę. Wątpił, czy to jest akurat właściwy moment na zmianę zwyczajów żywieniowych, gdyby się jednak za bardzo najadł przed nocną wartą, to mógłby się zrobić senny.

Po jedzeniu wypił parę filiżanek mocnej kawy. Jakaś starsza kobieta sprzedawała kolorowe magazyny. Kupił jeden, pomyślał, że to wystarczająco nudne, by starczyło mu czytania na całą noc.

Zaraz po jedenastej skręcił na E-14 i wolno pokonywał ostatni odcinek drogi do Malmö. Nagle ogarnęły go wątpliwości, czy zadanie, które narzucił Rydbergowi i sobie, w ogóle ma sens.

Jakie właściwie zaufanie może mieć do własnej intuicji? Czy zastrzeżenia Hanssona i Rydberga nie powinny wystarczyć, by porzucił myśl o nocnym czuwaniu?

Czuł się niezdecydowany. Chwiejny.

I po tej sałatce wcale nie był najedzony.

Było parę minut po wpół do dwunastej, kiedy skręcił w przecznicę prowadzącą do żółtego domu, w którym mieszkał Runę Bergman. Wyszedł na mroźne powietrze i naciągnął czapkę głęboko na uszy. Dookoła widział domy, w których pogaszono już światła. W oddali słyszał pisk opon samochodowych. Trzymając się w miarę możliwości miejsc zacienionych, dotarł do ulicy o nazwie Rosenallen.

Niemal natychmiast zauważył Rydberga, który stał za pnem wielkiego kasztanowca. Pień był tak potężny, że zasłaniał go całego. Kurt Wallander odkrył jego kryjówkę tylko dzięki temu, że było to jedyne miejsce w okolicy, skąd można było obserwować żółty segment.

Kurt Wallander wszedł w cień wielkiego drzewa.

Rydberg strasznie zmarzł. Rozcierał ręce i przytupywał.

– Coś się działo? – spytał Kurt Wallander.

– Niewiele, jak na blisko dwanaście godzin – odparł Rydberg.

– O czwartej wychodził do osiedlowego sklepiku po zakupy. Dwie godziny później wyszedł znowu, by zamknąć furtkę, którą wiatr otworzył. Ale rzeczywiście jest spięty i czujny. Zastanawiam się, czy mimo wszystko nie masz racji.

Rydberg wskazał na dom obok tego, w którym mieszkał Bergman.

– Ten jest pusty – powiedział. – Z jego ogródka jest widok i na ulicę, i na tylne drzwi. Gdyby mu przyszło do głowy, żeby zwiać tą drogą. Jest tam też ławka, na której można usiąść. Jeżeli masz wystarczająco ciepłe ubranie.

Niedaleko stąd Kurt Wallander widział budkę telefoniczną. Poprosił Rydberga, by zadzwonił do Norena. Jeżeli w Ystad nic się nie zdarzyło, to Rydberg może wziąć swój samochód i jechać do domu.

– Wróć koło siódmej – zapowiedział Rydberg. – Nie zamarznij na śmierć.

Zniknął bezszelestnie. Kurt Wallander stał przez jakiś czas i obserwował żółty budynek. Dwa okna były oświetlone, jedno na dole, jedno na piętrze. Zasłony zaciągnięto. Spojrzał na zegarek. Trzy minuty po północy. Rydberg nie wrócił. A zatem na policji w Ystad panuje spokój.

Pospiesznie przeszedł przez ulicę i otworzył furtkę do ogródka niezamieszkanego segmentu. Posuwał się w ciemnościach po omacku, aż znalazł ławkę, o której mówił Rydberg. Rzeczywiście, widok miał stąd dobry. By zatrzymać ciepło, zaczął chodzić, pięć kroków w przód i pięć z powrotem.

Kiedy następnym razem spojrzął na zegarek, było za dziesięć pierwsza. Noc zapowiadała się długa, a już teraz zaczynał marznąć. Dla zabicia czasu obserwował rozgwieżdżone niebo. Rozbolał go kark, więc znowu zaczął chodzić.

O wpół do drugiej światło na parterze zgasło. Kurt Wallander miał wrażenie, że słyszy na piętrze radio.

Runę Bergman to nocny marek, pomyślał.

Może tak jest, kiedy się idzie na wcześniejszą emeryturę?

Za pięć druga ulicą przejechał samochód. Chwilę później jeszcze jeden. Potem było już cicho.

Światło na piętrze wciąż się paliło. Kurt Wallander marzył.

Za pięć trzecia światło zgasło. Kurt Wallander nastawiał uszu, czy nie usłyszy radia. Ale nie, panowała kompletna cisza. Dla rozgrzewki zabijał ręce.

W duchu nucił sobie walca Straussa.

Dźwięk był taki cichuteńki, że ledwo go rozpoznał.

Zgrzytnięcie patentowego zamka. To wszystko. Kurt Wallander zamarł z uniesionymi w górę rękami i nasłuchiwał.

Potem mignął mu cień.

Tamten musiał się poruszać bezszelestnie, Kurt Wallander widział, jak Runę Bergman wolno znika w ogródku na tyłach żółtego domu. Kurt Wallander zaczekał parę sekund. Potem ostrożnie przeszedł przez płot. Trudno było się zorientować po ciemku, dostrzegł jednak, że jest wąskie przejście między małym budynkiem gospodarczym a tym ogródkiem, będącym jakby zwierciadlanym odbiciem ogródka Bergmana. Poruszał się szybko. Za szybko jak na człowieka, który prawie nic nie

widzi.

W końcu wyszedł na ulicę równoległą do Rosenallen.

Gdyby się tam zjawiał o sekundę później, nigdy by się nie dowiedział, że Runę Bergman skrzył w przecznice po prawej stronie i zniknął.

Przez moment się wahał. Jego samochód stał zaledwie jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Jeśli teraz do niego nie wsiądzie, a Runę Bergman ma samochód gdzieś w pobliżu, to straci na zawsze możliwość śledzenia go.

Jak szalony rzucił się do samochodu. Trzeszczało mu w przemarzniętych stawach, po paru metrach zaczęło mu brakować tchu, szarpnięciem otworzył drzwiczki. Kiedy niezdarnie wkładał kluczyk do stacyjki, zdał sobie sprawę, że najlepiej byłoby zajechać tamtemu drodze.

Skrzył w uliczkę, którą uznał za właściwą. Za późno się zorientował, że to ślepa uliczka. Zaklął i wrzucił wsteczny bieg. Runę Bergman miał prawdopodobnie wiele ulic do wyboru. Poza tym w pobliżu znajdował się plac parkingowy.

Zdecyduj się, myślał wściekły. Zdecyduj się, do cholery.

Podjechał do parkingu, między torami wyścigowymi Jagersro i dużym domem towarowym. Już miał dać za wygraną, kiedy nagle spostrzegł Runę Bergmana. Stał w budce telefonicznej przy nowym hotelu, na wprost wjazdu do stajni torów wyścigowych.

Kurt Wallander zatrzymał się, zgasił silnik i światła.

Człowiek w budce telefonicznej go nie zauważył.

Kilka minut później pod hotel podjechała taksówka. Runę Bergman wsiadł na tylne siedzenie, a Kurt Wallander włączył silnik.

Taksówka kierowała się ku autostradzie do Göteborga. Kurt Wallander przepuścił TIR-a, zanim sam ruszył.

Spojrzał na wskaźnik benzyny. Nie będzie mógł ich śledzić dalej niż do Halmstad.

Nagle spostrzegł, że kierowca taksówki sygnalizuje skręt w prawo. Zamierzał skrzyć przy zjeździe do Lund. Kurt Wallander jechał za nim.

Taksówka zatrzymała się przy dworcu kolejowym. Kiedy Kurt

Wallander przejechał obok, zauważył, że Runę Bergman płaci za kurs. Skręcił więc w pierwszą przecnicę i zaparkował byle jak przy przejściu dla pieszych.

Runę Bergman się spieszył. Wallander podążał za nim, kryjąc się w cieniu.

Rydberg miał rację, facet był czujny.

Nagle przystanął i rozejrzał się dookoła.

Kurt Wallander rzucił się na łeb na szyję do jakiejś bramy. Uderzył głową o występ schodów i poczuł, że guz nad czołem pękł. Krew spływała mu ciurkiem po twarzy. Ocierał się rękawiczką, policzył do dziesięciu i podjął śledzenie. Krew zalewała mu oko.

Runę Bergman zatrzymał się przed domem oplecionym gęsto rusztowaniami i osłoniętym plastikową siatką. Jeszcze raz rozejrzał się uważnie. Kurt Wallander zdążył ukucnąć za zaparkowanym samochodem.

Potem Bergman zniknął.

Kurt Wallander czekał, aż brama się za nim zatrzęśnie. Za moment na piętrze zapaliło się światło.

Przebiegł przez jezdnię i wcisnął się pod plastikową siatkę. Nie zastanawiając się wiele, wspiął się na pierwszy poziom rusztowania.

Przy każdym jego ruchu rusztowanie skrzypiało i trzeszczało. Nieustannie musiał ocierać krew, która zalepiała mu oko. Po chwili odważył się wspiąć na drugi poziom. Oświetlone okno znajdowało się teraz nie wyżej niż metr nad jego głową. Zdjął z szyi szalik i założył go jako prowizoryczny bandaż na rozbite czoło.

Potem wspiął się bardzo ostrożnie na jeszcze wyższy poziom rusztowania. Wysiłek tak go zmęczył, że leżał dobrą minutę i odpoczywał, zanim był w stanie kontynuować. Powoli czołgał się po zimnych deskach, pełnych zaschniętych grud tynku. Nie odważył się nawet pomyśleć, jak wysoko nad ziemią się znalazł, bo natychmiast dostałby zawrotu głowy.

Ostrożnie zajrzał przez okno do pierwszego oświetlonego pokoju. Przez cienkie firanki widział, że w podwójnym łóżku śpi kobieta. Po drugiej stronie kołdra była odrzucona, jakby

ktoś się zerwał w pośpiechu.

Pełzł dalej.

Kiedy zajrzał do mieszkania przez inne okno, zobaczył Runę Bergmana stojącego pośrodku pokoju i rozmawiającego z mężczyzną w brązowym szlafroku.

Kurt Wallander odniósł wrażenie, jakby widział tego człowieka już przedtem.

Tak dobrze młoda Rumunka opisała nieznanego, który stał na polu i jadł jabłko.

Serce waliło mu jak młotem.

A więc jednak miał rację. To nie mógł być nikt inny.

Mężczyźni po tamtej stronie okna rozmawiali ze sobą cicho. Kurt Wallander nie mógł dosłyszeć, co mówią. Nagłe ten w szlafroku zniknął za drzwiami. A Runę Bergman patrzył prosto na Kurta Wallandera.

On mnie widzi, przemknęło mu przez głowę.

Te cholerne dranie nie zawahają się ani chwili, by mnie zastrzelić.

Strach go sparaliżował.

Umrę, myślał zrozpaczony. Odstrzelą mi głowę.

Ale nikt mu w głowę nie strzelił. W końcu zebrał się na odwagę i znowu zajrzał przez okno.

Mężczyzna w szlafroku stał i jadł jabłko.

Runę Bergman trzymał w rękach dwie dubeltówki. Jedną odłożył na stół, a drugą wsunął sobie pod płaszcz. Kurt Wallander uznał, że zobaczył już wystarczająco dużo. Zawrócił i zaczął pełznąć tą samą drogą, którą się tu dostał.

Nigdy potem nie był w stanie pojąć, jak do tego doszło.

W ciemnościach musiał stracić oparcie. Wyciągnął rękę, by chwycić drążek rusztowania, i nieoczekiwanie natrafił na pustkę.

A potem spadł.

Stało się to tak szybko, że nawet nie zdążył pomyśleć, iż upadek oznacza śmierć.

Ale tuż nad ziemią jedna jego stopa zakleszczyła się między deskami. Ból był straszny, a on wisiał, głową w dół, niespełna metr nad asfaltem. Próbował wyszarpnąć stopę, ale tkwiła

nieruchomo, jak w imadle. Zwiślał z rusztowania i nie mógł zrobić nic. Krew pulsowała mu w skroniach.

Ból w stopie był tak potworny, że z oczu ciekły mu łzy.

I wtedy usłyszał, że brama się zatrzasnęła.

Runę Bergman opuścił dom.

Kurt Wallander zagryzał palce, żeby nie krzyżeć.

Przez plastikową siatkę spostrzegł, że tamten się nagle zatrzymał. Dokładnie na wprost niego.

Zobaczył błysk ognia.

Strzał, pomyślał. Teraz umrę.

I wtedy zrozumiał, że Runę Bergman zapalił papierosa.

Słyszał oddalające się kroki.

Krew spływała mu do głowy, był bliski utraty przytomności. Widział przesuającą się wolno przed oczyma twarz Lindy.

Ostatnim wysiłkiem woli wychylił się w przód i złapał jeden z pionowych słupków rusztowania. Na drugiej ręce podciągnął się tak wysoko, że mógł dosięgnąć do miejsca, w którym tkwiła jego stopa. Zebrał wszystkie siły i szarpnął. Stopa się wysunęła z pułapki, a on wylądował na plecach na kupie gruzu. Długo leżał niezwykle spokojnie i sprawdzał, czy niczego sobie nie złamał. Potem bardzo powoli wstał. Musiał się przytrzymać ściany domu, bo kręciło mu się w głowie.

Dojście do samochodu zabrało mu co najmniej dwadzieścia minut. Samochodowy zegar wskazywał wpół do piątej.

Opadł na przednie siedzenie i zamknął oczy.

Potem pojechał do Ystad, do domu.

Muszę się przespać, myślał. Jutro też będzie dzień. Wtedy zrobię to, co powinno być zrobione.

Kiedy zobaczył swoją twarz w łazienkowym lustrze, jęknął boleśnie. Ciepłą wodą przemył ranę.

Koło szóstej położył się do łóżka. Nastawił budzik na za piętnaście siódma. Dłużej nie miał odwagi spać.

Starał się znaleźć pozycję, w której będzie odczuwał najmniej bólu.

Już zaczął zasypiać, kiedy usłyszał plaśnięcie na podłodze przedpokoju przy drzwiach.

Poranna gazeta.

Znowu ułożył się wygodniej.
We śnie Anette Brolin szła mu na spotkanie.
Z oddali docierało rżenie konia.
Była niedziela 14 stycznia. Dzień zaczynał się coraz większym wiatrem z północnego wschodu.
Kurt Wallander spał.

12

Wydawało mu się, że spał dłużej. Ale kiedy się ocknął i spojrzął na zegarek na nocnym stoliku, stwierdził, że trwało to zaledwie siedem minut. Obudził go telefon.

Rydberg dzwonił z budki w Malmö.

– Wracaj tutaj – powiedział Kurt Wallander. – Nie musisz już tam marznąć. Przyjeżdżaj do mnie do domu.

– Ale co się stało?

– To on.

– Na pewno?

– Nie ma najmniejszych wątpliwości.

– Zaraz będę.

Kurt Wallander z trudem zwał się z łóżka. Ciało miał obolałe, krew pulsowała mu w skroniach. Nastawił kawę, a potem wyjął małe lustro i waciki. Z wielkim trudem udało mu się zamocować kompres na pękniętym guzie. Miał wrażenie, że cała jego twarz mieni się czerwienią i fioletem.

Czterdzieści trzy minuty później Rydberg stanął w drzwiach.

Pili kawę i Kurt Wallander opowiadał swoją historię.

– Znakomicie – ucieszył się Rydberg, gdy wiedział już wszystko. – Świetna robota. Teraz złapiemy tych skurczybyków. Jak nazywa się ten z Lund?

– Zapomniałem spojrzeć na tabliczkę przy bramie. I to nie my ich złapiemy. To będzie Björk.

– Już wrócił?

– A czy nie miał wrócić wczoraj wieczorem?

– W takim razie zaraz go wyciągniemy z łóżka.

– Panią prokurator też. I to chyba musi być zrobione we współpracy z kolegami z Lund i Malmö, nie sądzisz?

Kurt Wallander zaczął się ubierać, a Rydberg telefonował. Wallander słuchał z zadowoleniem, że Rydberg ze swej strony nie miał żadnych zastrzeżeń.

Zastanawiał się też, czy do Anette Brodin przypadkiem nie przyjechał mąż.

Rydberg stanął przy drzwiach do sypialni i patrzył, jak Wallander wiąże krawat.

– Wyglądasz jak bokser – roześmiał się. – Jak obity bokser.

– Rozmawiałeś z Björkiem?

– Sprawiał wrażenie, jakby cały wczorajszy wieczór poświęcił na zapoznanie się ze sprawami. Z wyraźną ulgą przyjął wiadomość, że przynajmniej jedno morderstwo udało nam się wyjaśnić.

– A prokurator?

– Ma zaraz przyjść.

– To ona odebrała telefon? Rydberg spojrział na niego zdumiony.

– A kto miałby odebrać?

– Na przykład mąż.

– I to by miało jakieś znaczenie?

Kurt Wallander nie zadał sobie trudu, by mu odpowiedzieć.

– Cholera, jak ja się czuję – jęknął zamiast tego. – No to idziemy.

Wyszli na pogrążoną w szarym brzasku ulicę. Wciąż wiał porywisty wiatr, a ciemne chmury przesłaniały niebo.

– Będzie śnieg? – spytał Wallander.

– Nie wcześniej niż w lutym – odparł Rydberg. – Czuję to w kościach. Za to wtedy przyjdzie zima jak diabli.

W budynku policji panowała niedzielna cisza. Noren zdał służbę i teraz dyżurnym był Svedberg. Rydberg przekazał mu krótkie sprawozdanie z wydarzeń nocnych.

– A niech to diabli! – brzmiał komentarz Svedberga. – Policjant?

– Były.

– Gdzie schował ten samochód?

– Tego jeszcze nie wiemy.

– Czy wóz jest wodoszczelny?

– Tak myślę.

Björk i Anette Brolin przyszli do budynku policji równocześnie. Björk, mężczyzna pięćdziesięcioczeroletni, pochodzący z Vastmanlandii, miał teraz bardzo ładną opaleniznę. Kurt Wallander zawsze uważał go za idealnego szefa policji w średniej wielkości okręgu Szwecji. Był uprzejmy, niespecjalnie inteligentny, a zarazem bardzo czuły na punkcie dobrego imienia i opinii policji.

Patrzył na Kurta Wallandera zdumiony.

– To okropne jak ty wyglądasz!

– Pobili mnie – odparł Kurt Wallander.

– Pobili? Kto?

– Policjanci. Tak to jest, jak się zostaje szefem. Obrywasz za to.

Björk się roześmiał.

Anette Brolin patrzyła na Wallandera z miną wyrażającą szczere współczucie.

– To musi boleć – powiedziała.

– Zagoi się – zapewnił.

Odwracał przy tym twarz, bo przypomniał sobie, że nie umył rano zębów.

Zebrali się w gabinecie Björka.

Ponieważ nie było żadnych materiałów pisemnych, Kurt Wallander złożył ustne sprawozdanie. I Björk, i Anette Brolin zadawali mnóstwo pytań.

– Gdyby to ktoś inny, nie ty, próbował mnie wyciągnąć z łóżka w niedzielę rano, opowiadając taką zbójcką historię, tobym mu nie uwierzył – oświadczył Björk.

Następnie zwrócił się do Anette Brolin.

– Możemy ich aresztować na tej podstawie? Czy tylko zatrzymać na przesłuchanie?

– Najpierw przesłuchanie, a potem, na jego podstawie, wydam nakaz ich aresztowania – powiedziała Anette Brolin. – Poza tym byłoby dobrze, gdyby ta młoda Rumunka mogła wskazać człowieka z Lund podczas konfrontacji.

– Na to musimy mieć postanowienie sądu – zastrzegł Björk.

– Tak – zgodziła się Anette Brolin. – Ale możemy przecież

zaaranżować prowizoryczną konfrontację.

Kurt Wallander i Rydberg spojrzeli na nią z zainteresowaniem.

– Możemy sprowadzić tę dziewczynę – mówiła dalej prokurator. – A potem tak wszystko zorganizować, żeby oni się przypadkiem minęli na korytarzu.

Kurt Wallander z uznaniem kiwał głową. Anette Brolin była prokuratorem nie gorszym niż Per Akeson, jeśli chodzi o twórcze podejście do obowiązujących zasad.

– W porządku – ucieszył się Björk. – W takim razie kontaktujemy się z kolegami w Malmö i Lund. Za dwie godziny dokonujemy zatrzymania. O dziesiątej.

– Kobieta w łóżku – przypomniał Kurt Wallander. – Ta z Lund.

– Ją też zatrzymujemy – postanowił Björk. – Jak się dzielimy przesłuchaniami?

– Ja chcę mieć Runę Bergmana – powiedział Kurt Wallander.

– Rydberg niech gada z tym miłośnikiem jabłek.

– Ustalamy, że o trzeciej zostaną aresztowani – zdecydowała Anette Brolin. – Do tej pory będę u siebie w domu.

Kurt Wallander odprowadził ją do recepcji.

– Chciałem cię wczoraj zaprosić na obiad – powiedział. – Ale coś mi przeszkodziło.

– Będzie jeszcze wiele okazji – uśmiechnęła się. – Uważam, że świetnie poradziłeś sobie z tą sprawą. Skąd właściwie wiedziałeś, że to on?

– Nie wiedziałem. To przecucie.

Patrzył za nią, jak szła w stronę miasta. Zdał sobie nagle sprawę, że nie pomyślał o Monie od tamtego wieczora, kiedy jedli razem obiad w Malmö.

Potem wszystko potoczyło się już bardzo szybko.

Hanssonowi zakłócono niedzielny odpoczynek i polecono mu przywiezienie rumuńskiej dziewczyny oraz tłumacza.

– Koledzy niespecjalnie się cieszą – powiedział Björk, zatroskany. – Wyciąganie kogoś z własnego grona nigdy nie jest dobrze widziane. Będziemy po tym wszystkim mieć ponurą zimę.

– Dlaczego ponurą? – spytał Kurt Wallander.
– Kolejne ataki na policję.
– On przecież jest na wcześniejszej emeryturze.
– Wszystko jedno. Gazety podniosą krzyk, że mordercą jest policjant. I zaczną się nowe prześladowania, obwinianie o wszystko.

O godzinie dziesiątej Kurt Wallander wrócił do budynku osłoniętego plastikową siatką i otoczonego rusztowaniami. Miał do pomocy czterech ubranych po cywilnemu policjantów z Lund.

– On ma broń – powiedział, kiedy jeszcze siedzieli w samochodzie. – I niedawno z zimną krwią wykonał egzekucję. Mimo wszystko powinniśmy zachować spokój. Prawdopodobnie nawet nie przypuszcza, że jesteśmy na jego tropie. Dwa odbezpieczone pistolety powinny wystarczyć.

Kurt Wallander wziął służbową broń, kiedy wyjeżdżał z Ystad.

W drodze do Lund próbował sobie przypomnieć, kiedy miał ją przy sobie po raz ostatni. W końcu uznał, że musiało to być trzy lata temu w związku z zatrzymaniem więźnia zbiegłego z zakładu w Kumli, który zabarykadował się w domku letniskowym koło kąpieliska Mossby.

Teraz siedzieli w samochodzie przed domem w Lund. Kurt Wallander stwierdził, że w nocy wspiał się wyżej, niż przypuszczał. Gdyby spadł bezpośrednio na asfalt, złamałby sobie kręgosłup.

Policja z Lund wysłała rano funkcjonariusza, przebranego za roznosiciela gazet, żeby dokładnie obejrzał posesję.

– No to powtórzmy jeszcze raz – powiedział Kurt Wallander.
– Żadnych schodów na zapleczu?

Policjant, który siedział obok niego na przednim fotelu, pokręcił głową.

– Żadnych rusztowań od podwórka?

– Żadnych.

Według ustaleń policjanta mieszkanie zajmował człowiek nazwiskiem Valfrid Ström.

Nie figurował w żadnych rejestrach policyjnych. Nikt też nie wiedział, z czego się utrzymuje.

Punktualnie o dziesiątej wysiedli z samochodu i przeszli na drugą stronę ulicy. Jeden z policjantów stanął przy głównych drzwiach. Był domofon, ale zepsuty. Kurt Wallander otworzył zamek śrubokrętem.

– Jeden z was zostanie na schodach – rozkazał. – Ty idziesz ze mną na górę. Jak się nazywasz?

– Enberg.

– Ale chyba masz jakieś imię?

– Kalle.

– No to ruszamy, Kalle.

Pod drzwiami nasłuchiwali w ciemnościach.

Kurt Wallander wyjął swój pistolet i dał znak Kallemu Enbergowi, by zrobił to samo.

Potem nacisnął dzwonek.

Drzwi otworzyła kobieta w szlafroku. Kurt Wallander poznał ją, to ona spała w podwójnym łóżku.

Pistolet trzymał za plecami.

– Policja – powiedział. – Szukamy mężczyzny nazwiskiem Valfrid Ström.

Kobieta, mniej więcej czterdziestoletnia, miała zniszczoną twarz, teraz wyglądała na przestraszoną.

Odsunęła się jednak i wpuściła policjantów do środka.

Nagle naprzeciwko nich stanął Valfrid Ström. Miał na sobie zielony dres.

– Policja – powtórzył Kurt Wallander. – Chciałbym prosić, żeby poszedł pan z nami.

Mężczyzna z łysiną w kształcie półksiężyca przyglądał mu się w napięciu.

– Po co?

– Na przesłuchanie.

– W jakiej sprawie?

– Tego się pan dowie na komendzie.

Potem Wallander zwrócił się do kobiety.

– Będzie najlepiej, jeśli pani też z nami pojedzie. Proszę się ubrać.

Mężczyzna stojący naprzeciwko niego był całkiem spokojny.

– Nigdzie nie pójdę – powiedział – dopóki się nie dowiem, po

co. Może powinniście zacząć od okazania swoich legitymacji.

Kurt Wallander włożył lewą rękę do wewnętrznej kieszeni, ale wtedy nie mógł już ukryć, że trzyma pistolet. Przełożył go więc do lewej i starał się wyjąć portfel, w którym była legitymacja.

W tym momencie Valfrid Ström rzucił się na niego. Kurt Wallander otrzymał cios w czoło, prosto w skaleczony i opuchnięty guz. Zatoczył się bezradnie i pistolet wypadł mu z ręki. Zanim Kalle Enberg zdążył zareagować, mężczyzna w zielonym dresie zniknął za drzwiami. Kobieta krzyczała, a Kurt Wallander podnosił z ziemi swój pistolet. Zaraz potem pomknął za uciekającym po schodach przestępcą, wykrzykując ostrzeżenia do stojących na dole policjantów.

Valfrid Ström był szybki. Wbił łokieć w podbródek policjanta pilnującego wejścia. Tego, który znajdował się na ulicy, uderzył z całej siły ciężkim skrzydłem drzwi i wybiegł. Kurt Wallander, który prawie nic nie widział, bo krew znowu zalewała mu oczy, potknął się o policjanta leżącego na schodach. Pociągnął za bezpiecznik pistoletu, który się zaciął.

Po chwili był na ulicy.

– W którą stronę uciekł?! – zawołał do oszołomionego policjanta, szamoczącego się z nylonową siatką.

– W lewo – usłyszał w odpowiedzi.

Biegł ile sił w nogach. Zobaczył zielony dres Valfrida Ströma w chwili, kiedy tamten zniknął pod wiaduktem. Ściągnął czapkę z głowy i otarł zakrwawioną twarz. Dwie starsze kobiety, najwyraźniej idące do kościoła, przerażone uskoczyły w bok. Kurt Wallander biegł pod wiaduktem, a nad jego głową przetaczał się z łoskotem pociąg.

Kiedy znowu znalazł się na ulicy, zobaczył, że Valfrid Ström zatrzymał jakiś samochód, wyciągnął z niego kierowcę, sam wskoczył na przednie siedzenie i ruszył przed siebie.

Jedyny pojazd, jaki znajdował się w pobliżu, to ciężarówka do przewożenia zwierząt. Szofer stał właśnie przy automacie i kupował prezerwatywy. Na widok Kurta Wallandera, pędzącego z pistoletem w dłoni i z zakrwawioną twarzą, rzucił paczkę z prezerwatywami i zaczął uciekać.

Kurt Wallander wdrapał się za kierownicę. Za sobą słyszał

ciche rzenie konia. Silnik pracował, więc wrzucił najniższy bieg.

Już myślał, że stracił z oczu samochód z Valfridem Strömem, kiedy nagle zobaczył go znowu. Samochód przejechał na czerwonym świetle i pędził dalej ciasną uliczką, prowadzącą do katedry. Kurt Wallander szarpał i przerzucał biegi, żeby go znów nie zgubić. Konie rżały za jego plecami, czuł ciepły zapach nawozu.

Na wąskim zakręcie omal nie stracił panowania nad pojazdem, zarzuciło go w stronę dwóch samochodów osobowych, zaparkowanych na chodniku, ale jakoś udało mu się znowu ustawić swoją pełną koni ciężarówkę prosto.

Pościg trwał aż do szpitala, a potem dalej, przez dzielnicę przemysłową.

Kurt Wallander nagle spostrzegł, że ciężarówka, którą prowadzi, jest wyposażona w telefon komórkowy. Jedną ręką próbował wybrać numer alarmowy, drugą starał się utrzymać ciężki samochód na jezdni.

Właśnie w chwili, kiedy się odezwała centrala, musiał pokonać ostry zakręt. Telefon wypadł mu z ręki i zdał sobie sprawę, że jeśli się nie zatrzyma, to go nie podniesie.

To po prostu szaleństwo, myślał zrozpaczony. To kompletne szaleństwo.

Nagle przypomniał sobie o swojej siostrze. Teraz powinien się znajdować na lotnisku Sturup, żeby ją odebrać.

Na rondzie przy zjeździe na Staffanstorp pościg się zakończył.

Autobus, który właśnie wjechał na rondo, zmusił Valfrida Ströma do gwałtownego hamowania. Ten stracił kontrolę nad kierownicą i wpadł prosto na betonowy słup. Kurt Wallander, który znajdował się dosłownie sto metrów za nim, zobaczył płomień ognia, strzelający z tamtego samochodu. Wcisnął hamulec z taką siłą, że ciężarówka ze zwierzętami zjechała do rowu i przewróciła się. Tylne drzwi odpadły, trzy konie wybiegły z samochodu i pogalopowały przez pola.

Valfrida Ströma wyrzuciło przy kolizji z samochodem. Widać było, że ma obciętą jedną stopę. Odlamki szkła poharatały twarz.

Kurt Wallander wiedział, że ten człowiek nie żyje, zanim do

niego dotarł.

Z pobliskiego domu biegli w ich stronę ludzie. Samochody hamowały na poboczu.

Nagle zauważył, że wciąż trzyma w ręce pistolet.

Kilka minut później przyjechał pierwszy wóz policyjny. Zaraz po nim karetka pogotowia. Kurt Wallander wylegitymował się i zatelefonował z radiowozu. Poprosił o połączenie z Björkiem.

– Wszystko dobrze? – spytał szef. – Runę Bergman został zgarnięty, właśnie go tutaj wiozą. Nie było żadnych problemów. I ta jugosłowiańska dziewczyna czeka ze swoim tłumaczem.

– To ich wyślij do kostnicy szpitala w Lund – powiedział Kurt Wallander. – Teraz będzie to konfrontacja z trupem. A poza tym ona jest Rumunką.

– Co ty, do diabła, mówisz? – spytał Björk.

– Dokładnie to, co słyszałeś – odparł Kurt Wallander i zakończył rozmowę.

W tym momencie zobaczył, jak jeden z koni biegnie galopem przez pole. Był to bardzo piękny, biały koń.

Pomyślał, że chyba nigdy jeszcze nie widział takiego pięknego konia.

Kiedy wrócił do Ystad, wiadomość o śmierci Valfrida Ströma już się rozeszła. Kobieta, która była jego żoną, dostała załamania nerwowego i lekarze zabronili policji kontaktu z nią, nie mówiąc już o przesłuchiowaniu.

Rydberg meldował, że Runę Bergman wszystkiemu zaprzecza. Nie ukradł własnego samochodu ani go nie ukrył. Nie był w Hageholm, nie odwiedzał Valfrida Ströma ostatniej nocy.

Domagał się, by go natychmiast odwieziono z powrotem do Malmö.

– Jaki to cholerny szczur – wściekał się Kurt Wallander. – Ja go złamię!

– Niczego się tu nie będzie łamać – odparł Björk. – Ten wariacki pościg po ulicach Lund i tak ściągnął na nas wystarczająco dużo kłopotów. Naprawdę nie mogę zrozumieć, że czterech doświadczonych policjantów nie potrafi dostarczyć na przesłuchanie jednego nieuzbrojonego człowieka. A czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, że jeden z koni został rozjechany?

To klacz, nazywała się Supernowa i właściciel wycenił ją na sto tysięcy koron.

Kurt Wallander poczuł, że zalewa go fala wściekłości. Dlaczego Björk nie rozumie, że on potrzebuje wsparcia, a nie wyrzutów i oskarżeń?

– Teraz czekamy, aż Rumunka zidentyfikuje Ströma. Nikt prócz mnie nie wypowiada się dla mediów.

– Za to akurat należą ci się podziękowania – warknął Kurt Wallander.

Poszedł w towarzystwie Rydberga do swojego pokoju i zamknął drzwi.

– Czy ty masz pojęcie, jak wyglądasz? – spytał Rydberg.

– Wolalbym nie.

– Dzwoniła twoja siostra. Poprosiłem Martinssona, żeby ją odebrał z lotniska. Domyśliłem się, że zapomniałeś o niej. Martinsson się nią zajmie, dopóki nie będziesz wolny.

Kurt Wallander skinął głową z wdzięcznością. Po kilku minutach do pokoju wpadł Björk.

– Identyfikacja wypadła pozytywnie! – zawołał. – Mamy upragnionego mordercę.

– Dziewczyna go rozpoznała?

– Bez wahania. To ten sam człowiek, który stał na polu i jadł jabłko.

– Kim on był? – spytał Rydberg.

– Valfrid Ström tytułował się biznesmenem – odpowiedział Björk. – Wiek czterdzieści siedem lat. Ale policja bezpieczeństwa nie potrzebowała dużo czasu, żeby odpowiedzieć na nasze pytania. Valfrid Ström jeszcze w latach sześćdziesiątych był zaangażowany w ruchy nacjonalistyczne. Najpierw jako członek czegoś, co nazywało się Sojusz Demokratyczny, później działał w ugrupowaniach paramilitarnych. Ale jak doszło do tego, że stał się mordercą, zabijającym z zimną krwią, dowiemy się pewnie od Runę Bergmana. Albo od pani Ström.

Kurt Wallander wstał.

– No to bierzemy się za Runę Bergmana – powiedział. Wszyscy trzej przeszli do pokoju, w którym siedział Runę

Bergman i palił papierosa.

Przesłuchanie prowadził Kurt Wallander. Od razu przeszedł do ataku.

– Czy wiesz, co ja robiłem dzisiejszej nocy? – spytał. Runę Bergman patrzył na niego z pogardą.

– Skąd miałbym to wiedzieć?

– Pojechałem za tobą do Lund.

Kurt Wallander odniósł wrażenie, że przez twarz tamtego przemknął cień.

– Pojechałem za tobą do Lund – powtórzył. – I wdrapałem się na rusztowanie domu, w którym mieszkał Valfrid Ström. Widziałem, jak zamieniałeś jedną dubeltówkę na drugą. Teraz Valfrid Ström nie żyje. Ale jeden świadek wskazał go jako mordercę z Hageholm. I co na to powiesz?

Runę Bergman nie powiedział zupełnie nic. Zapalił kolejnego papierosa i gapił się przed siebie.

– No to w takim razie zaczniemy od początku – powiedział Kurt Wallander. – My wiemy, jak to wszystko się stało. Nie wiemy jedynie dwóch rzeczy. Po pierwsze, co zrobiłeś ze swoim samochodem. I po drugie, dlaczego zastrzeliliście tego Somalijczyka?

Runę Bergman nadal zachowywał milczenie.

Tuż po godzinie trzeciej został formalnie aresztowany i przydzielono mu adwokata z urzędu. Postawiono mu zarzut morderstwa lub współdziałania w morderstwie.

O czwartej Kurt Wallander przeprowadził krótkie przesłuchanie żony Valfrida Ströma. Nadal była w szoku, ale odpowiedziała na jego pytania. Dowiedział się od niej, że Valfrid Ström zajmował się importem ekskluzywnych samochodów.

Poza tym kobieta powiedziała, że jej mąż nienawidził szwedzkiej polityki wobec uchodźców.

Była żoną Ströma niespełna rok.

Kurt Wallander nabrał przekonania, że szybko się pogodzi ze stratą.

Po przesłuchaniu znowu spotkał się z Björkiem i Rydbergiem. Kobieta została zwolniona i odwieziona z powrotem do Lund.

Bezpośrednio po tym Kurt Wallander podjął kolejną próbę skłonienia Runę Bergmana do zeznań. Adwokat byłego policjanta, człowiek młody i bardzo ambitny, uważał, że nie ma żadnych dowodów na poparcie oskarżenia, i utrzymywał, że aresztowanie jego klienta można określić jako preparowanie morderstwa sądowego.

W tej chwili Rydberg wpadł na pewien pomysł.

– A nie wiesz, dokąd to zamierzał uciec Valfrid Ström? – zapytał Kurta Wallandera.

Pokazał kierunek ucieczki na mapie.

– Podróż skończyła się w Staffanstorp. Może on miał w pobliżu jakiś magazyn? To niedaleko Hageholm, jeśli tylko ktoś zna boczne drogi.

Rozmowa z żoną Valfrida Ströma potwierdziła, że Rydberg rozumuje prawidłowo. Ström rzeczywiście miał magazyn gdzieś między Staffanstorp a Veberöd. Rydberg pojechał tam radiowozem i wkrótce telefonował do Kurta Wallandera.

– Bingo – powiedział. – Stoi tu niebiesko-biały citroen.

– Może powinniśmy uczyć nasze dzieci rozpoznawania marki samochodu po dźwięku silnika – westchnął Kurt Wallander.

Ponownie zaatakował Runę Bergmana, ale ten wciąż milczał.

Rydberg wrócił do Ystad, przedtem jednak przeszukał samochód. W podręcznym schowku znalazł pudełko nabojów do dubeltówki. Tymczasem policjanci z Lund i Malmö przeprowadzili rewizje w mieszkaniach Ströma i Bergmana.

– Wygląda na to, że panowie byli członkami czegoś w rodzaju szwedzkiego Ku-Klux-Klanu – powiedział Björk. – Podejrzewam, że będziemy teraz musieli rozwiązywać naprawdę zaplątane sprawy. Może zamieszanych jest więcej?

Runę Bergman wciąż milczał.

Kurt Wallander odczuwał wielką ulgę, że Björk wrócił i może się teraz kontaktować z mediami.

Twarz piekła go i paliła, był potwornie zmęczony. O szóstej mógł nareszcie zadzwonić do Martinssona i porozmawiać ze swoją siostrą. Potem pojechał, żeby ją zabrać.

Kristina aż podskoczyła na widok jego okaleczonej twarzy.

– Chyba lepiej, żeby mnie ojciec nie widział w tym stanie –

powiedział. – Poczekam na ciebie w samochodzie.

Siostra już wcześniej odwiedziła ojca w szpitalu. Wtedy nadal czuł się bardzo zmęczony. Rozjaśnił się jednak na widok córki.

– Moim zdaniem on niewiele pamięta z tamtej nocy – powiedziała Kristina, kiedy jechali do szpitala. – Może to i lepiej.

Kurt Wallander siedział w samochodzie i czekał na siostrę, która poszła zobaczyć się z ojcem po raz drugi. Zamknął oczy i słuchał muzyki Rossiniego. Kiedy siostra otworzyła drzwi, podskoczył. Okazało się, że spał.

Razem pojechali do domu ojca w Löderup.

Kurt Wallander spostrzegł, że siostra jest zaszokowana widokiem upadku, jaki tam zastali. Szybko posprząтали brudne ubrania i wyrzucili resztki jedzenia. Już te proste czynności bardzo zmieniły wygląd mieszkania.

– Jak mogło do tego dojść? – jęknęła siostra, a Kurt Wallander wyczuł w jej głosie wyrzut pod swoim adresem.

Może miała rację? Może powinien był robić więcej? A przynajmniej odkryć w porę stan ojca.

Kupili trochę jedzenia i pojechali na Mariagatan. Przy obiedzie zastanawiali się, jak teraz zorganizować ojcu życie.

– W domu opieki on umrze – powiedziała Kristina.

– A czy jest jakieś inne wyjście? – spytał Kurt Wallander. – Tutaj mieszkać nie może. U ciebie też nie. O Löderup nie ma mowy. Więc co pozostaje?

W końcu doszli do porozumienia, że mimo wszystko byłoby najlepiej, gdyby ojciec mógł zostać u siebie. Pod warunkiem że otrzyma stałą opiekę.

– On nigdy mnie nie lubił – stwierdził Kurt Wallander, kiedy pili kawę.

– Oczywiście, że cię lubił!

– Nic podobnego. Przynajmniej odkąd postanowiłem zostać policjantem.

– Może miał wobec ciebie inne oczekiwania?

– Ale jakie? Przecież on nigdy nic nie mówi. Kurt Wallander pościelił siostrze na kanapie.

Kiedy już omówili sprawy ojca, opowiedział jej o tym, co się

ostatnio działa. I nagle stwierdził, że z dawnej szczerości, jaka ich zawsze łączyła, nie pozostało nic.

Za rzadko się spotykaliśmy, myślał. Ona nie ma nawet odwagi zapytać, dlaczego drogi Mony i moje się rozeszły.

Wyjął na pół opróżnioną butelkę koniaku. Siostra potrząsnęła głową, że nie chce, więc nalał tylko do jednego kieliszka.

Wieczorne wiadomości telewizyjne zdominowała historia Yalfrida Ströma. Tożsamości drugiego mordercy na razie nie ujawniono. Kurt Wallander wiedział, że to dlatego, że Rune Bergman jest byłym policjantem. Domyślał się, że szef Głównego Zarządu Policji robi, co tylko może, żeby jego tożsamość zachować w tajemnicy, jak długo się da.

Ale prędzej czy później rzecz się, naturalnie, wyda.

Zaraz po wiadomościach zadzwonił telefon.

Kurt Wallander poprosił, by siostra odebrała.

– Dowiedz się, kto to, i powiedz, że sprawdzisz, czy jestem w domu.

– To kobieta nazwiskiem Brolin – oznajmiła, wróciwszy z przedpokoju.

Z wielkim wysiłkiem podniósł się z fotela i poszedł odebrać.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłam – powiedziała Anette Brolin.

– Nie, skąd – zapewnił. – Jest u mnie siostra ze Sztokholmu.

– Chciałam tylko powiedzieć, że wykonaliście nadzwyczajną robotę.

– Mieliśmy więcej szczęścia niż rozumu.

Dlaczego ona dzwoni? – zastanawiał się. I bardzo szybko podjął decyzję.

– Może drinka? – zaproponował.

– Chętnie. Ale gdzie? Wyczuł, że jest zaskoczona.

– Moja siostra zamierza się właśnie położyć – powiedział. – Może u ciebie?

– Świetnie.

Odłożył słuchawkę i wrócił do salonu.

– Wcale nie zamierzam się jeszcze kłaść – rzekła siostra z przekąsem.

– Ja na chwilę wyjdę. Nie siedź i nie czekaj na mnie. Sam nie

wiem, ile czasu tam zabawię.

Chłodne wieczorne powietrze ułatwiało oddychanie. Skręcił w Regementsgatan i nagle poczuł wielką ulgę. Rozwikłali sprawę brutalnego morderstwa w Hageholm w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Teraz będą się mogli znowu skoncentrować na podwójnym zabójstwie w Lenarp.

Wiedział, że wykonał dobrą robotę.

Ufał swojej intuicji, działał bez wahania i to przyniosło rezultaty.

Wspomnienie szaleńczego pościgu ciężarówką ze zwierzętami wywołało dreszcz grozy, mimo to poczucie ulgi go nie opuszczało.

Nacisnął dzwonek domofonu i odpowiedziała Anette Brolin. Mieszkała na pierwszym piętrze kamienicy z początku wieku. Mieszkanie było duże, ale umeblowane skąpo. Pod ścianami stały obrazy, czekając, by je ktoś powiesił.

– Dżin z tonikiem? – spytała. – Obawiam się, że mam bardzo ograniczony wybór.

– Chętnie – odpowiedział. – Akurat w tej chwili wszystko mi będzie smakować, byleby tylko było mocne.

Usiadła na kanapie naprzeciwko niego i podkurczyła nogi. Pomyślał, że jest bardzo ładna.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jak wyglądasz? – spytała ze śmiechem.

– Wszyscy zadają mi to pytanie – odparł.

Potem przypomniał sobie Klasa Mansona. Złodzieja, który obrabował sklep, a którego Anette Brolin nie chciała aresztować. Pomyślał, że właściwie nie ma ochoty rozmawiać o pracy. Mimo to nie potrafił się powstrzymać.

– Klas Manson – powiedział. – Pamiętasz to nazwisko? Przytaknęła.

– Hansson się skarżył, bo podobno uznałaś, że śledztwo zostało źle przeprowadzone. I nie chcesz się zgodzić na aresztowanie, jeżeli go nie uzupełnią.

– Śledztwo było niedokładne, raport napisany byle jak. Niedostateczne dowody, mało przekonujący świadek. Popęłniłabym błąd, gdybym zażądała aresztowania na

podstawie takiego materiału.

– Śledztwo nie było gorzej przeprowadzone niż wiele innych. Poza tym zapominasz o jednej sprawie.

– O jakiej?

– Że Klas Manson jest winny. On okradał sklepy już przedtem.

– W takim razie musicie przedstawić lepsze dowody.

– Ja nie uważam, że w tym raporcie są błędy. A jak wypuścimy tego przekłętęgo Mansona, to natychmiast popełni kolejne przestępstwo.

– Nie można aresztować ludzi bez poważnych powodów. Kurt Wallander wzruszył ramionami.

– Obiecujesz wydać nakaz, jeśli przyprowadzę bardziej wiarygodnego świadka?

– To zależy od tego, co ten świadek powie.

– Dlaczego jesteś taka uparta? Klas Manson jest winny. Wystarczy, że go trochę potrzymamy, a sam się przyzna. Ale jeśli poweźmie najmniejsze podejrzenie, że może się z tego wymigać, nie powie ani słowa.

– Prokuratorzy muszą być uparci. Bo inaczej co by się stało z praworządnością w tym kraju?

Kurt Wallander poczuł, że alkohol nastraja go wojowniczo.

– Takie pytanie mógłby również postawić pewien nic nieznaczący funkcjonariusz policji kryminalnej w kraju. Kiedyś myślałem, że siła policji polega na tym, iż jesteśmy obecni i chronimy mienie zwykłych ludzi, kiedy jest ono narażone. I chyba nadal tak myślę. Ale napatrzyłem się dość, jak praworządność kuleje. Widywałem, jak młodzi ludzie, którzy popełnili przestępstwo, są mniej lub bardziej zachęcani, by nadal tak postępować. Nikt się nie wtrąca. Nikt nie zajmuje się ofiarami wciąż rosnącej przestępczości. Będzie coraz gorzej.

– Teraz mówisz jak mój ojciec – powiedziała. – On jest emerytowanym sędzią. Prawdziwy stary, konserwatywny urzędnik.

– Możliwe. Możliwe, że jestem konserwatywny. Ale mówię to, co myślę. I rzeczywiście rozumiem, że ludzie czasem biorą sprawy w swoje ręce.

– Może mógłbyś nawet zrozumieć, że kilku opętańców decyduje się zastrzelić niewinnego uchodźcę, ubiegającego się o azyl?

– I tak, i nie. Niepewność w naszym kraju jest wielka. Ludzie zaczynają się bać. Zwłaszcza w takich wiejskich okolicach jak tutaj. Wkrótce zobaczysz, że w tym grajdole objawi się wielki bohater. Ktoś, kto po cichu przyklaskuje w swoim domu za zaciągniętymi firankami. Ktoś, kto zadbał o to, by w lokalnym referendum ludzie zagłosowali przeciwko przyjmowaniu uchodźców.

– A co będzie, jeśli zaczniemy lekceważyć rządowe decyzje? Mamy przecież w tym kraju określoną politykę wobec uchodźców i musimy ją realizować.

– Mylisz się. To właśnie brak takiej polityki powoduje chaos. I teraz żyjemy w kraju, w którym każdy, kto chce, niezależnie od motywów, może robić, co chce, kiedy chce, gdzie chce i jak chce. Kontrole graniczne zostały właściwie zawieszane. Urzędy celne są sparaliżowane. Istnieje mnóstwo niestrzeżonych, małych lotnisk, na których narkotyki i nielegalni imigranci lądują każdej nocy w wielkich ilościach.

Zauważył, że jest coraz bardziej wzburzony. Zabójstwo Somalijczyka było przestępstwem o wielu dnach.

– Runę Bergman zostanie naturalnie aresztowany i będziemy żądać możliwie najwyższej kary. Ale Urząd Imigracyjny i rząd też ponoszą część odpowiedzialności.

– Teraz mówisz głupstwa, mój drogi.

– Naprawdę? W ostatnim czasie na przykład osoby, które należały do faszystowskiej policji politycznej w Rumunii, zaczynają pojawiać się w Szwecji. Poszukują azylu. Czy powinny go otrzymać?

– Zasady muszą obowiązywać.

– Naprawdę muszą? Zawsze? Nawet jeśli to jest błąd? Anette wstała z kanapy i napełniła szklaneczkę. Ogarnęła go niechęć.

Zbyttno się od siebie różnimy, pomyślał.

Po dziesięciu minutach rozmowy otwiera się przepaść.

Alkohol spowodował, że stał się agresywny. Spojrzał na nią i poczuł, że jest podniecony.

Ile właściwie czasu minęło od tamtej pory, kiedy kochali się z Moną po raz ostatni?

Prawie rok. Rok bez życia erotycznego.

Jęknął na myśl o tym.

– Boli cię? – spytała.

Skinął głową, choć to wcale nie była prawda. Uległ jednak nieokreślonej potrzebie współczucia.

– Może lepiej, żebyś poszedł do domu? – spytała.

Ale tego akurat on pragnął najmniej ze wszystkiego. Odkąd Mona się wyprowadziła, uważał, że właściwie nie ma domu.

Wypił i wyciągnął szklaneczkę z prośbą o jeszcze. Był już teraz taki pijany, że hamulce zaczynały puszczać.

– Jeszcze jeden – powiedział. – Zasłużyłem sobie.

– Ale potem już pójdiesz – postawiła warunek.

Jej głos zabrzmiał nagle chłodno. Ale on nie zdążył się tym przejąć. Kiedy podeszła z drinkiem, objął ją i pociągnął ku sobie.

– Usiądź tu przy mnie – powiedział, kładąc jej rękę na udzie.

Wyrwała się i wymierzyła mu policzek. Uderzyła dłonią, na której nosiła pierścionek i poczuł, że skaleczyła mu skórę.

– Idź do domu! – rozkazała. Odstawił szklaneczkę na stół.

– Bo jak nie, to co zrobisz? – spytał. – Zadzwonisz po policję?

Nie odpowiedziała, ale widział, że jest wściekła. Potknął się, kiedy wstawał z miejsca. Nagle zdał sobie sprawę, co chciał zrobić.

– Wybacz – powiedział. – Jestem zmęczony.

– Zapomnijmy o tym. Ale teraz musisz już iść.

– Nie wiem, co mi się stało – rzekł i wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Zapomnijmy o tym – powtórzyła. – Dobranoc.

Próbował znaleźć jeszcze jakieś słowa. Gdzieś w jego zamroczonym mózgu kołatała się myśl, że zrobił coś, co jest i niewybaczalne, i niebezpieczne. Tak jak wtedy, kiedy po spotkaniu z Moną w Malmö prowadził po pijanemu samochód.

Wyszedł i słyszał jeszcze, jak drzwi się za nim zamknęły.

Muszę przestać pić, pomyślał wściekły. Źle to znoszę.

Na dole długo wciągał w płuca zimne powietrze.

Jak, do cholery, można się zachowywać aż tak głupio, myślał. Jak pijany szczeniak, który nie wie nic o sobie, o kobietach ani o świecie.

Poszedł do domu przy Mariagatan.

Następnego dnia będzie musiał na nowo podjąć pościg za mordercami z Lenarp.

13

Rano w poniedziałek 15 stycznia Kurt Wallander pojechał do zakładu ogrodniczego przy wjeździe do Malmö i kupił dwa bukiety kwiatów. Przypomniawszy sobie, że osiem dni temu jechał tą samą drogą do Lenarp, na miejsce przestępstwa, które nadal angażowało całą jego uwagę. Pomyślał, że tydzień, który minął, był najintensywniejszym tygodniem w całej jego dotychczasowej służbie w policji. Kiedy spoglądał na swoją twarz we wstecznym lusterku, wiedział, że każde zadrapanie, każdy guz, każda ciemniejsza plama na skórze jest właśnie pamiątką wydarzeń tego tygodnia.

Temperatura spadła do kilku stopni poniżej zera. Było cicho. Białe promy z Polski podążały w stronę portu.

Tuż po ósmej wszedł do budynku policji i wręczył Ebbie jedną wiązanekę. W pierwszej chwili nie chciała przyjąć, widział jednak, że bardzo ją ucieszyła jego pamięć. Drugą wiązanekę wziął do swojego pokoju. Wyjął z szuflady biurka ładną kartkę i zastanawiał się, co powinien napisać do prokurator Anette Brolin. Zastanawiał się bardzo długo. A kiedy w końcu zaczął pisać, już się nie starał, żeby to było perfekcyjne. Prosił tylko, by zechciała zapomnieć jego niewybaczalne zachowanie poprzedniego wieczora. Tłumaczył się zmęczeniem.

„Z natury jestem nieśmiały”, pisał. Ale to raczej nie była prawda.

Pomyślał jednak, że może skłoni w ten sposób Anette Brolin, by spojrziała na niego łaskawiej.

Już miał pójść do drugiej części budynku, gdzie mieściła się prokuratura, kiedy w drzwiach stanął Björk. Jak zawsze pukał

tak cicho, że Kurt Wallander nie usłyszał.

– Dostałeś kwiaty? – spytał Björk. – Szczerze mówiąc, zasłużyłeś. Zaimponowało mi, jak szybko rozwiązałeś sprawę morderstwa tego Murzyna.

Wallanderowi nie podobało się, kiedy Björk mówił o Somalijczyku jako o nieżywym Murzynie. To był po prostu nieżywy człowiek, który leżał w gliniastym błocie, przykryty plandeką. Ale oczywiście w żadną dyskusję się nie wdawał.

Björk miał na sobie kwiecistą koszulę, którą kupił w Hiszpanii. Usiadł na chwiejnym krześle pod oknem.

– Pomyślałem, że powinniśmy pogadać o morderstwie w Lenarp – zaczął. – Przestudiowałem materiały z dotychczasowego śledztwa. Widzę tam wiele luk. Chciałem zaproponować, żeby Rydberg przejął tę sprawę, a ty będziesz mógł się skupić na tym, by zmusić Runę Bergmana do mówienia. Co ty na to?

Kurt Wallander odpowiedział pytaniem:

– A co na to Rydberg?

– Jeszcze z nim nie rozmawiałem.

– No to ja bym zrobił odwrotnie. Rydberg ma chorą nogę, a przy tamtym śledztwie pozostaje jeszcze mnóstwo łażenia.

To, co mówił, było naturalnie prawdą. Tyle tylko, że to nie z troski o reumatyzm Rydberga zaproponował takie rozwiązanie.

Po prostu nie chciał, by ktoś inny przejął pościg za mordercami z Lenarp.

Chociaż praca w policji to działanie zespołowe, tym razem uważał, że mordercy są jego.

– Jest jeszcze trzecia możliwość – powiedział Björk. – Że Svedberg i Hansson zajmą się Bergmanem...

Kurt Wallander przytaknął. Zgadzał się z Björkiem. Szef wstał z niewygodnego krzesła.

– Przydałyby się nowe meble – rzekł.

– Przydałyby się etaty dla nowych policjantów – odparł Kurt Wallander.

Kiedy Björk wyszedł, Kurt Wallander usiadł przy maszynie do pisania i sporządził wyczerpujący raport na temat ujęcia Runę

Bergmana i Valfrida Ströma. Starał się napisać raport, do którego Anette Brolin nie miałyby zastrzeżeń. Zajął mu to ponad dwie godziny. Piętnaście po dziesiątej wyciągnął z maszyny ostatnią kartkę, podpisał i zaniósł raport Rydbergowi.

Ten siedział przy swoim biurku i robił wrażenie bardzo zmęczonego. Kiedy Kurt Wallander wchodził do pokoju, kończył właśnie rozmowę telefoniczną.

– Słyszałem, że Björk chce nas połączyć – rzekł. – Bardzo się cieszę, że uwolnił mnie od tego Bergmana.

Kurt Wallander położył mu na biurku swój raport.

– Przeczytaj to – poprosił. – I jeśli nie będziesz miał żadnych zastrzeżeń, oddaj Hanssonowi.

– Rano Svedberg podjął kolejną próbę z Bergmanem – powiedział Rydberg. – Ale on w dalszym ciągu nic nie mówi. Chociaż papierosy się zgadzają. Ta sama marka co pety w glinie przy samochodzie.

– Ciekawe, co się z tego wyłoni? – powiedział Kurt Wallander.

– Co się za tym kryje? Neonaziści? Rasiści z rozgałęzieniami w całej Europie? Do cholery, jak właściwie można zrobić coś takiego? Wyleźć z samochodu przy drodze i zastrzelić całkiem obcego człowieka? Tylko dlatego, że ten człowiek jest czarny.

– Nie wiem – odparł Rydberg. – Ale to jest coś, z czym musimy nauczyć się żyć.

Umówili się na spotkanie za pół godziny, kiedy już Rydberg przeczyta raport. Wtedy energicznie podejmą śledztwo w sprawie Lenarp.

Kurt Wallander poszedł do urzędu prokuratorskiego. Anette Brolin była w sądzie. Zostawił bukiet dziewczynie w recepcji.

– Czy ona ma urodziny? – zdziwiła się recepcjonistka.

– Coś w tym rodzaju – odparł i wrócił do siebie.

Tam czekała na niego siostra Kristina. Wyszła z domu wcześniej, zanim Kurt Wallander się obudził.

Powiedziała mu teraz, że rozmawiała i z lekarzem, i z kuratorem.

– Ojciec wygląda lepiej – mówiła. – Oni uważają, że to nie jest chroniczna postać sklerozy. Może to tylko takie jednorazowe

zamroczenie? Ustaliliśmy, że trzeba zobaczyć, jakie efekty przyniesie regularna pomoc w domu. Chciałam zapytać, czy będziesz mógł nas odebrać ze szpitala koło dwunastej. A jeśli nie, to może mogłabym pożyczyć twój samochód?

– Oczywiście, że po was przyjadę. Czy wiemy coś o tej pomocy domowej?

– Mam się spotkać z kobietą, która mieszka niedaleko taty.

Kurt Wallander skinął głową.

– Dobrze, że przyjechałaś – powiedział. – Sam nie dałbym sobie z tym rady.

Umówili się w szpitalu zaraz po dwunastej. Kiedy siostra wyszła, posprzątał na biurku i położył przed sobą grubą teczkę z materiałami w sprawie Johanna i Marii Lövgrenów. Czas najwyższy znowu się tym zająć.

Björk poinformował, że na razie będzie ich czterech w grupie dochodzeniowej. Ponieważ Naslund leżał w domu z grypą, spotkali się w pokoju Rydberga we trzech. Martinsson był milczący, wyglądało na to, że ma kaca. Kurt Wallander pamiętał jednak jego zdecydowane zaangażowanie, kiedy się zajmował histeryzującą wdową w Hageholm.

Zaczęli bardzo dokładnie przeglądać zebrane materiały.

Martinsson miał skompletować różne informacje, które pozyskał z centralnego rejestru przestępczości. Kurt Wallander żywił wielkie zaufanie do tego rodzaju metodycznego i powolnego dopasowywania rozmaitych szczegółów. Obserwatorowi z zewnątrz taka praca może się wydawać nieznośnie nudna, pozbawiona wrażeń. Ale dla tych trzech policjantów sprawa przedstawiała się zgoła odmiennie. Prawda i rozwiązanie mogą się kryć pod z pozoru niedostrzegalną kombinacją szczegółów.

Wyszukiwali te ślady, które przede wszystkim powinny zostać dokładnie zbadane.

– Ty zajmiesz się podróżą Johanna Lövgrena do Ystad – powiedział do Martinssona. – Musimy wiedzieć, jak się dostał do miasta i jak stamtąd wrócił do domu. Czy miał więcej sejfów bankowych, o których jeszcze nie wiemy? Co robił w ciągu tej godziny między wizytami w obu bankach? Może poszedł do

jakiegoś sklepu? Coś kupował? Kto go widział?

– Wydaje mi się, że Naslund już zaczął telefonować do banków – powiedział Martinsson.

– To zadzwoń do niego i zapytaj. Nie możemy czekać, aż wyzdrowieje.

Rydberg miał odwiedzić Larsa Herdina, a Kurt Wallander ponownie pojechać do Malmö, żeby porozmawiać z człowiekiem o nazwisku Erik Magnuson, który według Gorana Bomana mógłby być ukrywanym synem Johanna Lövgrena.

– Wszystkie inne szczegóły mogą na razie poczekać – powiedział Kurt Wallander. – Zaczniemy od tego i spotkamy się ponownie o piątej.

Zanim pojechał do szpitala, zadzwonił do Gorana Bomana w Kristianstad, żeby dowiedzieć się czegoś więcej na temat tego Erika Magnusona.

– Pracuje w urzędzie rejonowym – poinformował Goran Boman. – Ale niestety nie wiem, co tam robi. Mieliśmy tu wyjątkowo niespokojny weekend, bójkę i pijaństwa, nie zdążyłem zrobić nic więcej, bo wciąż musieliśmy przywoływać ludzi do porządku.

– Znajdę go na pewno – powiedział Kurt Wallander. – Odezwę się najpóźniej jutro rano.

Parę minut po dwunastej wyruszył do szpitala. Siostra czekała na niego w recepcji i razem pojechali windą na oddział, gdzie ojciec został przeniesiony po wstępnej obserwacji.

Kiedy przyszli, był już wypisany i czekał na korytarzu. Kapelusz miał na głowie, a walizka z brudną bielizną, pędzlami i farbami stała przy krześle obok niego. Kurt Wallander nie mógł poznać jego garnituru.

– Kupiłam mu – wyjaśniła siostra, kiedy ją spytał. – On chyba ze trzydzieści lat nie kupował sobie nowego garnituru.

– Jak się czujesz, staruszkule? – spytał Kurt Wallander, kiedy stanął przed ojcem.

Ten utkwiał w nim wzrok. Kurt Wallander zrozumiał, że zamroczenie ustąpiło.

– Dobrze będzie wrócić do domu – rzekł starszy pan, wstając.

Kurt Wallander wziął walizkę, a siostra podtrzymywała ojca. Po drodze do Löderup siedziała przy nim z tyłu.

Kurt Wallander, któremu spieszyło się do Malmö, obiecał, że wróci koło szóstej. Siostra zamierzała zostać z ojcem na noc, prosiła, żeby kupił coś na obiad.

Ojciec natychmiast przebrał się w swój malarski kombinezon. Stał przy sztalugach i wrócił do malowania niedokończonego obrazu.

– Myślisz, że on da sobie jakoś radę, że ta pomoc domowa wystarczy? – spytał Kurt Wallander siostrę.

– Poczekamy, zobaczymy – odparła.

Zbliżała się druga po południu, kiedy Kurt Wallander zahamował przed głównym budynkiem urzędu rejonowego w Malmö. Po drodze zatrzymał się na krótko w motelu w Svedali, gdzie zjadł szybki lunch. Teraz zaparkował i wszedł do recepcji.

– Szukam Erika Magnusona – powiedział do kobiety siedzącej za szklaną szybą.

– My tu mamy przynajmniej trzech Erików Magnusonów – odparła. – Którego z nich pan potrzebuje?

Kurt Wallander wyjął legitymację policyjną i pokazał recepcjonistce.

– Nie wiem – odpowiedział na jej pytanie. – Ale podobno urodził się pod koniec lat pięćdziesiątych.

Teraz recepcjonistka natychmiast wiedziała, o kogo może chodzić.

– W takim razie to musi być Erik Magnuson z centralnego magazynu. Dwaj pozostali, którzy noszą to nazwisko, są wyraźnie starsi. A co on narozrabiał?

Kurt Wallander przyjął z uśmiechem jej niepokonaną ciekawość.

– Nic – odparł. – Chciałbym mu tylko zadać parę rutynowych pytań.

Recepcjonistka opisała mu drogę do centralnego magazynu. Podziękował i wrócił do samochodu.

Magazyny urzędu rejonowego znajdowały się na północnych obrzeżach miasta, w pobliżu Oljehammen. Kurt Wallander

długo krążył, zanim wreszcie dotarł na miejsce.

Wszedł przez drzwi z napisem „Biuro”. Przez dużą szybę widział żółte wózki widłowe jeżdżące tam i z powrotem między niekończącymi się rzędami półek.

W biurze nie było nikogo. Zszedł więc po schodach do hali magazynu. Młody człowiek o włosach sięgających ramion układał w stos plastikowe worki z papierem toaletowym. Kurt Wallander podszedł do niego.

– Szukam Erika Magnusona – oznajmił.

Mężczyzna pokazał mu żółty wózek widłowy stojący na rampie, na której właśnie rozładowywano wielkiego TIR-a. Mężczyzna w kabinie wózka miał jasne włosy.

Kurt Wallander pomyślał, że Maria Lövgren nie mogłaby uznać go za cudzoziemca, gdyby ktoś taki zaciskał jej pętlę na szyi.

Z irytacją odepchnął od siebie tę myśl. Zdecydowanym krokiem ruszył przed siebie.

– Erik Magnuson?! – zawołał, starając się przekrzyczeć huk silnika.

Mężczyzna spojrział na niego pytająco, a potem wyłączył silnik i wyskoczył z kabiny.

– Erik Magnuson? – powtórzył Kurt Wallander.

– Tak?

– Jestem z policji. Chciałbym chwilę porozmawiać. Obserwowałem przy tym twarz mężczyzny.

W jego reakcjach nie dostrzegł nic niezwykłego. Sprawiał tylko wrażenie zdziwionego. Naturalnie zdziwionego.

– W jakiej sprawie? – spytał.

Kurt Wallander rozejrzał się wokół.

– Jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy usiąść?

Erik Magnuson poprowadził go do narożnika sali, gdzie znajdował się automat do kawy. Był tam też brudny stół z desek i kilka rozpadających się ławek. Kurt Wallander włożył do automatu dwie korony i dostał plastikowy kubek kawy. Erik Magnuson poprzestał na prymce tytoniu.

– Jestem z policji w Ystad – zaczął Kurt Wallander. – Mam kilka pytań, związanych z brutalnym morderstwem we wsi

Lenarp. Może czytał pan o tym w gazetach?

– Chyba tak. Ale co to ma wspólnego ze mną?

Kurt Wallander sam zaczął się nad tym zastanawiać. Ten mężczyzna nazwiskiem Erik Magnuson zdawał się absolutnie nieporuszony wizytą policjanta w jego miejscu pracy.

– Muszę pana zapytać o nazwisko pańskiego ojca. Mężczyzna zmarszczył czoło.

– Mojego ojca? – spytał. – Ja nie mam żadnego ojca.

– Każdy ma.

– Ale ja o swoim nic nie wiem.

– Jak to się stało?

– Matka była panną, kiedy mnie urodziła.

– I nigdy nie powiedziała, kto był pana ojcem?

– Nie.

– A pan nigdy nie pytał?

– Jasne, że pytałem. Jako chłopak wciąż jej się z tym naprzykrzałem. Potem dałem spokój.

– A co matka mówiła, kiedy pan pytał? Erik Magnuson wstał i wziął sobie kawę.

– Dlaczego się pan dopytuje o mojego ojca? – spytał. – Czy on miał coś wspólnego z tym morderstwem?

– Zaraz do tego dojdziemy – odparł Kurt Wallander. – Co panu matka odpowiadała, kiedy pan pytał o ojca?

– Różne rzeczy.

– Różne?

– Czasem, że sama nie jest pewna. Czasem, że to był ktoś, kto podróżował w interesach i że później już go nigdy więcej nie widziała. A czasem jeszcze coś innego.

– I panu to wystarczało?

– A co, do diabła, można na to poradzić? Skoro nie chciała powiedzieć, to nie chciała, i już.

Kurt Wallander zastanawiał się nad tą odpowiedzią. Czy naprawdę człowiek może być tak mało zainteresowany własnym ojcem?

– Ma pan z matką dobry kontakt? – spytał.

– O co panu chodzi?

– Spotykacie się często?

– Ona czasami dzwoni. Ja czasem jeżdżę do Kristianstad. Lepszy kontakt miałem z ojczymem.

Kurt Wallander podskoczył. Goran Boman o żadnym ojczymie nie wspominał.

– Mama wyszła za męża?

– Mieszkała z nim, jak dorastałem. Ale ślubu chyba nie mieli. Mimo wszystko mówiłem do niego tata i traktowałem jak ojca. Potem, jak miałem mniej więcej piętnaście lat, oni się rozeszli. W rok później przeprowadziłem się do Malmö.

– Jak on się nazywa?

– Nazywał. Bo umarł. Zginął w wypadku samochodowym.

– I jest pan pewien, że to nie był pana prawdziwy ojciec?

– Długo trzeba by szukać dwóch ludzi tak różnych jak on i ja.

Kurt Wallander zaczął od innej strony.

– Człowiek, który został zamordowany w Lenarp, nazywał się Johannes Lövgren. Czy on nie mógłby być pana ojcem?

Mężczyzna, który siedział naprzeciwko, spojrzał na niego zdumiony.

– Skąd, do cholery, miałbym to wiedzieć? Powinien pan zapytać moją matkę.

– Już pytaliśmy. Ale ona zaprzecza.

– To zapytajcie ją jeszcze raz. Ja bym się chętnie dowiedział, kto jest moim ojcem. Zamordowany czy nie.

Kurt Wallander mu wierzył. Zapisał sobie adres Erika Magnusona i jego numer osobowy, a potem wstał.

– Chyba jeszcze się do pana odezwiemy – rzekł. Tamten wdrapał się do kabiny wózka.

– Nie mam nic przeciwko temu – powiedział. – I niech pan pozdrowi moją mamę, jak ją pan spotka.

Kurt Wallander wrócił do Ystad. Zaparkował na rynku i w aptece kupił opatrunki. Sprzedawczyni ze współczuciem spoglądała na jego pokaleczoną twarz. W domu towarowym na rynku zrobił zakupy na obiad. W drodze do samochodu coś sobie jeszcze przypomniał. Zawrócił i tą samą drogą poszedł do sklepu monopolowego, gdzie kupił butelkę whisky. Mimo niewielkich zasobów finansowych pozwolił sobie na lepszy gatunek.

O wpół do piątej był już znowu w budynku policji. Ani Rydberga, ani Martinssona nie zastał, wobec czego poszedł do prokuratury.

Dziewczyna w recepcji uśmiechnęła się na jego widok.

– Ona się strasznie ucieszyła z tych kwiatów – poinformowała go.

– Jest teraz u siebie?

– Do piątej będzie w sądzie.

Kurt Wallander zawrócił. Na policyjnym korytarzu zderzył się ze Svedbergiem.

– Jak ci poszło z Runę Bergmanem? – spytał.

– Wciąż nie pisał słowa – odparł Svedberg. – Ale zmięknie, zobaczysz. Dowodów mamy coraz więcej. Technicy uważają, że można powiązać broń z morderstwem.

– Wiemy coś na temat tła zbrodni?

– Wygląda na to, że i Bergman, i Ström działali w jakichś grupach wrogo nastawionych do imigrantów. Ale czy zrobili to z własnej inicjatywy, czy też na zlecenie jakiejś organizacji, tego nie wiem.

– Innymi słowy, wszyscy są zadowoleni?

– Tego bym raczej nie powiedział. Björk gada, że mieliśmy upragnionego mordercę, ale że to w końcu okazało się pomyłką. Ja podejrzewam, że będą się starali pomniejszyć rolę Bergmana, a wszystko zwalić raczej na Valfrida Ströma. Który nic nie może powiedzieć. Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że Runę Bergman był w tym wszystkim bardzo aktywny.

– Zastanawiam się, czy to Ström wydzwaniał do mnie po nocach – powiedział Kurt Wallander. – Nigdy przy mnie nie powiedział tyle, żebym się zorientował, czy to on, czy nie.

Svedberg patrzył na niego badawczo.

– Co by znaczyło...?

– Że w najgorszym razie jest więcej osób gotowych za przykładem Bergmana i Ströma mordować uchodźców.

– Powiem Björkowi, że patrolowanie ośrodków należy kontynuować – oznajmił Svedberg. – Poza tym dostaliśmy od ludzi sporo informacji, które świadczą, że ogień tu, w Ystad, mogła podłożyć banda wyrostków.

– I nie zapominajcie o tym starym, któremu rzucono na głowę worek zgniłych warzyw – przypomniał Kurt Wallander.

– A jak wam idzie ze sprawą Lenarp? Kurt Wallander zwlekał z odpowiedzią.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Ale znowu zajmujemy się tym poważnie.

Dziesięć po piątej Martinsson i Rydberg zasiedli u niego w pokoju. Kurt Wallander nadal miał wrażenie, że Rydberg wygląda na wykończonego. Martinsson był niezadowolony.

– Pozostaje zagadką, jak Lövgren dostał się do Ystad w piątek, piątego stycznia, i jak wrócił do domu. Rozmawiałem z kierowcą autobusu, który kursuje na tej linii. Powiedział mi, że Johannes i Maria jeździli z nim, kiedy wybierali się do miasta. Czy razem, czy każde z osobna. I on jest absolutnie pewien, że Johannes Lövgren nie jechał autobusem po Nowym Roku. Ani żadna taksówka w Ystad też nie miała kursu do Lenarp. Zgodnie z tym, co mówi Nyström, Lövgrenowie, kiedy się gdzieś wybierali, jechali autobusem. A przy tym wiemy, że Lövgren był skąpy.

– Codziennie po południu pili razem kawę – przypomniał Kurt Wallander. – Nyströmowie musieliby wiedzieć, czy Lövgren wyjeżdżał do Ystad, czy nie.

– No i właśnie to jest dla mnie zagadka. Oboje twierdzą, że on tego dnia do miasta nie jeździł. Choć przecież wiemy, że odwiedził dwa banki między wpół do dwunastej a piętnaście po pierwszej. Musiał być poza domem jakieś trzy, cztery godziny.

– Osobliwe – westchnął Kurt Wallander. – Będziesz musiał jeszcze podrażnić tę sprawę.

Martinsson wrócił do swoich notatek.

– Przynajmniej się wyjaśniło, że w naszym mieście nie miał już więcej sejfów w żadnym banku.

– Świetnie – powiedział Kurt Wallander. – W tej kwestii mamy jasność.

– Ale przecież może je mieć w Simrishamn – dodał Martinsson. – Albo w Trelleborgu. Albo w Malmö.

– Skup się najpierw na jego podróży do Ystad – powiedział Kurt Wallander i zwrócił się do Rydberga.

– Lars Herdin podtrzymuje swoją historię – powiedział tamten, zerknąwszy do swojego zniszczonego notatnika. – Ze przypadkiem natknął się na Johanna Lövgrena i tę kobietę w Kristianstad wiosną tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku. Twierdzi, że ktoś w anonimowym liście poinformował go, że oni mają dziecko.

– Potrafił opisać kobietę?

– Słabo. W najgorszym razie moglibyśmy ustawić obok siebie te paniusie, to może by wskazał właściwą. Jeśli taka w ogóle istnieje.

– A ty w to wątpisz?

Zirytowany Rydberg z trzaskiem zamknął notatnik.

– Bo nic mi się nie składa! Dobrze o tym wiesz. Oczywiście, że musimy pociągać za te nici, które mamy. Ale wcale nie jestem taki pewien, że posuwamy się właściwą drogą. A najbardziej złości mnie to, że nie znajduję innej.

Kurt Wallander opowiedział o swoim spotkaniu z Erikiem Magnusonem.

– Dlaczego nie zapytałeś go o alibi w noc morderstwa? – spytał Martinsson zdziwiony, kiedy skończył.

Kurt Wallander poczuł, że zaczyna się czerwienić pod wszystkimi swoimi guzami i zadrapaniami. Zapomniał. Głośno jednak tego nie powiedział.

– Woląłem z tym zaczekać – skłamał. – I chciałem mieć powód, żeby jeszcze raz się z nim spotkać.

Sam słyszał, jak głupio to brzmi. Ale ani Rydberg, ani Martinsson zdawali się nie reagować na jego tłumaczenie.

Rozmowa się urwała. Każdy siedział pogrążony we własnych myślach.

Kurt Wallander zastanawiał się, ile razy już był w takiej sytuacji. Kiedy śledztwo nagle zatrzymuje się w martwym punkcie. Niczym koń, który nie chce iść dalej. Teraz powinni popychać i szarpać konia, dopóki znowu nie ruszy z miejsca.

– To co robimy dalej? – spytał, gdy cisza zaczynała ciążyć. I sam odpowiedział. – Jeśli chodzi o ciebie, Martinsson, to musisz się dowiedzieć, jakim sposobem Lövgren dostał się do miasta i z powrotem do domu, tak że nikt go nie zauważył.

Musimy to wiedzieć najszybciej, jak się da.

– W jednej z ich kuchennych szafek stoi słoik z kwitami – powiedział Rydberg. – Mógł przecież w ten piątek coś kupować w jakimś sklepie. Może jakaś ekspedientka go zapamiętała?

– A może miał latający dywanik? – westchnął Martinsson.

– Będę szukał dalej.

– Rodzina – przypomniał Kurt Wallander. – Musimy się przyjrzeć wszystkim po kolei.

Poszukał w swojej teczce notatnika z nazwiskami i adresami, wyjął go i podał Rydbergowi.

– W środe jest pogrzeb – powiedział tamten. – W kościele w Villie. Nie lubię pogrzebów, ale na ten chyba pójdę.

– Ja natomiast jutro znowu pojedę do Kristianstad – postanowił Kurt Wallander. – Goran Boman miał podejrzenia wobec Ellen Magnuson. Uważał, że ona nie mówi prawdy.

Dochodziła szósta, gdy skończyli zebranie. Umówili się na następne popołudnie.

– Jak Naslund wyzdrowieje, to niech się zajmie tym pożyczonym samochodem, który ukradziono – powiedział na zakończenie Wallander. – A przy okazji, czy już wiemy, co robi w Lenarp ta polska rodzina?

– On pracuje w cukrowni w Jordberga – poinformował Rydberg. – I ma wszystkie papiery w porządku, choć odniosłem wrażenie, że sam dobrze o tym nie wiedział.

Kurt Wallander został jeszcze w biurze, kiedy tamci już sobie poszli. Leżał przed nim stos papierów, które koniecznie musiał przejrzeć. Były to protokoły śledztwa w sprawie o pobicie, którą się zajmował w sylwestra. Poza tym mnóstwo raportów dotyczących wszystkiego, poczynając od cieląt, które pouciekały z ciężarówki przewróconej przez wiatr. Na samym spodzie znalazł papier informujący, że dostał podwyżkę. Policzył szybko i wyszło mu, że miesięcznie będzie zarabiał o trzydzieści dziewięć koron więcej.

Dochodziło wpół do ósmej, kiedy się z tym wszystkim uporał. Wtedy zadzwonił do Löderup i powiedział siostrze, że do nich jedzie.

– Jesteśmy głodni – mówiła z wymówką. – Czy ty zawsze

pracujesz wieczorami?

Wziął ze sobą kasetę z operą Pucciniego i poszedł do samochodu. Właściwie chętnie by się upewnił, czy Anette Brolin naprawdę zapomniała, co się zdarzyło poprzedniego wieczora, ale zrezygnował. Ta sprawa może poczekać.

Kristina miała dobre wiadomości. Kobieta, która będzie pomagać ich ojcu, jest osobą około pięćdziesięcioletnią i naprawdę sobie poradzi.

– Lepiej nie mógłby dostać – powiedziała na dziedzińcu przy samochodzie.

– Co robi teraz ojciec?

– Maluje – odparła.

Siostra przygotowywała obiad, a Kurt Wallander siedział w atelier na stolku i patrzył, jak wyłania się przed jego oczyma jesienny krajobraz. Ojciec zdawał się całkiem nie pamiętać o tym, co się wydarzyło zaledwie kilka dni temu.

Muszę odwiedzać go regularnie, myślał Kurt Wallander. Co najmniej trzy razy w tygodniu, najlepiej o stałej porze.

Po obiedzie przez kilka godzin grali we troje w karty. Była jedenasta, kiedy ojciec się w końcu położył.

– Wracam do domu jutro – poinformowała siostra. – Nie mogę tu dłużej zostać.

– Dziękuję, że przyjechałaś.

Postanowili, że przyjedzie po nią o ósmej rano i odwiezie na lotnisko.

– Polecę z Everöds. Ze Sturup nie było już biletów do Sztokholmu.

To nawet lepiej, bo on i tak miał potem jechać do Kristianstad.

Tuż po północy Kurt Wallander wszedł do swojego mieszkania przy Mariagatan.

Nalał sobie dużą szklanekę whisky i zabrał ze sobą do łazienki. Potem długo leżał w wannie i rozgrzewał zdrętwiałe członki w gorącej wodzie.

Chociaż starał się o tym nie myśleć, to Runę Bergman i Valfrid Ström nieustannie mu się przypominali. Starał się zrozumieć ich motywy, ale jedyne, co z tych rozmyślań

wynikało, już i przedtem wielokrotnie przychodziło mu do głowy: kształtuje się oto nowy świat, którego on w żadnej mierze nie pojmuje. Jako policjant żyje nadal w innym, starym świecie. Jak ma się nauczyć funkcjonować w tych nowych czasach? Jak sobie radzić z tą niepewnością, którą człowiek odczuwa wobec tak wielkich przemian, dokonujących się w dodatku tak szybko?

Zabójstwo Somalijczyka jest morderstwem całkiem nowego typu.

Podwójne morderstwo w Lenarp natomiast jest przestępstwem w staroświeckim stylu.

Czy naprawdę tak? Nabrał wątpliwości, kiedy pomyślał o brutalnej przemocy, o tej pętli.

Trudno powiedzieć coś pewnego.

Było już prawie wpół do drugiej, kiedy nareszcie wślizgnął się do chłodnej pościeli.

Samotność w łóżku była bardziej dojmująca niż kiedykolwiek przedtem.

W ciągu następnych trzech dni nic się nie zdarzyło.

Naslund wrócił do pracy i zdołał rozwiązać kwestię ukradzionego samochodu.

Pewien mężczyzna i pewna kobieta byli na gościnnych występach w okolicy, ukradli samochód, a potem porzucili go w Halmstad. W nocy, kiedy dokonano morderstwa, znajdowali się w pensjonacie w Bastad. Właściciel pensjonatu potwierdził ich alibi.

Kurt Wallander rozmawiał z Ellen Magnuson. Stanowczo zaprzeczała, jakoby Johannes Lövgren był ojcem jej syna Erika.

Odwiedził też ponownie Erika Magnusona i zażądał alibi, o które zapomniał zapytać podczas pierwszej wizyty.

Erik Magnuson spędził tę noc ze swoją narzeczoną. Nie było powodów, żeby podważać prawdziwość jego zeznania.

Martinsson nadal do niczego nie doszedł w sprawie podróży Johanna Lövgrena.

Nyströmowie byli pewni swego, podobnie kierowca autobusu

i właściciele taksówek.

Rydberg poszedł na pogrzeb i rozmawiał z co najmniej dziewiętnastoma krewnymi Lövgrenów.

Nie dowiedział się niczego, co pozwoliłoby im uczynić choć krok do przodu.

Temperatura utrzymywała się w okolicach zera. Jednego dnia było cicho, innego znów wiało.

Kurt Wallander spotkał na korytarzu Anette Brolin. Podziękowała za kwiaty. Ale on i tak nie był pewien, czy naprawdę wymazała z pamięci to, co się stało owej nocy.

Runę Bergman nadal milczał, chociaż dowody przeciwko niemu były przytłaczające. Różne szwedzkie organizacje paramilitarne próbowały przyznawać się do odpowiedzialności za przestępstwo popełnione przez niego i Ströma. W prasie i w pozostałych środkach masowego przekazu aż kipiało od namiętnych dyskusji wokół szwedzkiej polityki imigracyjnej. W Skanii panował spokój, a tymczasem w innych częściach kraju, w pobliżu ośrodków dla uchodźców, nocami płonęły krzyże.

Kurt Wallander i jego współpracownicy z grupy dochodzeniowej, zajmującej się podwójnym morderstwem w Lenarp, starali się od tego wszystkiego odgradzać. Bardzo rzadko się zdarzało, by któryś z nich wyraził swoje poglądy na temat niezwiązany ze śledztwem. Kurt Wallander domyślał się jednak, że nie on jeden odczuwa niepewność i dezorientację wobec kształtującego się nowego społeczeństwa.

Żyjemy, jakbyśmy żałowali rajy utraconego, myślał. Jakbyśmy tęsknili za dawnymi złodziejami samochodów i kasiarzami, którzy kłaniali się, kiedy policjanci przychodzili ich aresztować. Tylko że tamte czasy minęły bezpowrotnie, a zresztą pozostaje pytanie, czy rzeczywiście kiedykolwiek było tak sielankowo, jak byśmy chcieli pamiętać.

W piątek 16 stycznia wszystko wydarzyło się jakby naraz.

Dzień dla Kurta Wallandera zaczął się fatalnie. Zaprowadził swojego peugeota do przeglądu i z trudem udało mu się wymóc na pracownikach stacji dopuszczenie samochodu do dalszego użytku. Przeczytał uważnie protokół kontroli i stwierdził, że

czekają go naprawy za wiele tysięcy koron.

Przygnębiony pojechał do pracy.

Jeszcze nie zdążył zdjąć kurtki, gdy do pokoju wpadł Martinsson.

– No, niech mnie diabli! – krzyczał. – Nareszcie wiem, jak Johannes Lövgren dostał się do Ystad i z powrotem do domu!

Kurt Wallander zapomniał o zmartwieniu z samochodem i poczuł, że podniecenie udziela się również jemu.

– To nie był żaden latający dywanik – mówił Martinsson. – To kominiarz go woził.

Kurt Wallander opadł na krzesło przy biurku.

– Jaki kominiarz?

– Mistrz kominiarski Artur Lundin ze Slimminge. Nagle Hanna Nyström przypomniała sobie, że w piątek piątego stycznia był u nich kominiarz. Wyczyścił kominy na obu posesjach, po czym odjechał. Kiedy mu powiedziała, że kominy Lövgrenów czyścił na końcu i że odjechał koło wpół do jedenastej, dzwoneczki zaczęły mi dzwonić. Właśnie przed chwilą z nim rozmawiałem. Złapałem go, jak czyścił kominy w ośrodku zdrowia w Rydsgard. Okazało się, że to jest taki facet, który nigdy nie słucha radia, nie ogląda telewizji ani nie czyta gazet. Czyści te kominy, a przez resztę czasu popija wódeczkę i hoduje króliki. Nie miał zielonego pojęcia, że Lövgrenowie zostali zamordowani. Ale powiedział mi, że Johannes Lövgren z nim pojechał do Ystad. Ponieważ on jeździ furgonetką, a Johannes Lövgren siedział z tyłu, gdzie nie ma okien, to nic dziwnego, że nikt go nie widział.

– Nyströmowie musieli widzieć, że samochód wrócił?

– Nie widzieli! – zawołał Martinsson triumfująco. – O to właśnie chodzi, że nie widzieli. Lövgren poprosił Lundina, żeby się zatrzymał na Veberödsvagen. Jeśli się stamtąd idzie polną drogą, to można wyjść na tyłach domu Lövgrenów. I to jest mniej więcej kilometr. Jeśli nawet Nyströmowie siedzieli przy oknie, to mogli pomyśleć, że Lövgren wraca ze stajni.

Kurt Wallander zmarszczył czoło.

– To mimo wszystko dziwne.

– Lundin jest bardzo otwartym człowiekiem. Powiedział, że

Johannes Lövgren obiecał mu ćwiartkę wódki, jeżeli go zawiezie tam i z powrotem. Wysadził Lövgrena w Ystad, a sam odwiedził jeszcze kilka domów w północnej części miasta. Potem o umówionej godzinie po niego przyjechał, zawiózł na Veberödsvagen i odebrał swoją butelkę wódki.

– Bardzo dobrze – powiedział Kurt Wallander. – Czy godziny się zgadzają?

– Precyzyjnie.

– Pytałeś go o teczkę?

– Lundin sobie przypomina, że miał teczkę.

– A miał coś więcej?

– Lundin uważa, że nie.

– Lundin nie widział, czy Lövgren spotkał się z kimś w Ystad?

– Nie.

– Czy Lövgren mu powiedział, co zamierza robić w mieście?

– Nie powiedział.

– Trudno sobie wyobrazić, by kominiarz wiedział, że Lövgren ma w swojej teczce dwadzieścia siedem tysięcy koron?

– Chyba nie można. Zresztą on ani trochę nie wygląda na napastnika. Moim zdaniem to zwyczajny samodzielny kominiarz, który jest zadowolony z pracy, ze swoich królików i swojej wódki. Nic więcej.

Kurt Wallander zastanawiał się.

– Czy Lövgren mógł mieć umówione spotkanie z kimś na tej polnej drodze? Teczka przecież zniknęła.

– Możliwe. Mam zamiar wziąć patrol z psami i przeszukać to miejsce.

– Zrób to jak najszybciej – poprosił Kurt Wallander. – Może nareszcie ruszymy z miejsca.

Martinsson opuścił pokój. W drzwiach zderzył się z Hanssonem, który właśnie wchodził.

– Masz czas? – spytał. Kurt Wallander przytaknął.

– Jak wam idzie z Bergmanem?

– Milczy. Ale jest powiązany z morderstwem. Ta baba, Brolin, ma go dzisiaj aresztować.

Kurt Wallander zostawił bez komentarza mało uprzejmy stosunek Hanssona do Anette Brolin.

– Z czym do mnie przychodzisz?

Hansson z zakłopotaną miną usiadł na chwiejnym krześle przy oknie.

– Pewnie wiesz, że czasami grywam na wyścigach – zaczął. – A przy okazji, ten koń, którego wtedy typowałeś, okazał się słaby. Kto ci tak doradził?

Kurt Wallander jak przez mgłę przypominał sobie, że kiedyś w pokoju Hanssona, rzeczywiście rzucił jakąś propozycję.

– To był żart – wyjaśnił. – Mów dalej.

– Słyszałem, że ciebie interesuje niejaki Erik Magnuson, który pracuje w centralnym magazynie urzędu rejonowego w Malmö – zaczął. – No i tak się składa, że jest facet nazwiskiem Erik Magnuson, który się często pokazuje na Jagersro. Obstawia wysoko, przegrywa dużo, a ja się dowiedziałem, że pracuje w urzędzie.

Kurt Wallander natychmiast się tym bardzo zainteresował.

– Ile on ma lat? Jak wygląda?

Hansson opisał. Kurt Wallander nie miał najmniejszych wątpliwości, że to ten sam człowiek, z którym się już dwukrotnie spotkał.

– Chodzą słuchy, że on ma długi – dodał Hansson. – A długi gracza mogą być niebezpieczne.

– Świetnie – ucieszył się Kurt Wallander. – To są dokładnie te informacje, których potrzebujemy.

Hansson wstał.

– Nigdy nie wiadomo – powiedział. – Hazard i narkotyki mogą mieć podobne działanie. Jeśli ktoś nie gra tak jak ja, czasem, dla przyjemności.

Kurt Wallander pomyślał o czymś, co niedawno powiedział Rydberg. Że człowiek uzależniony od narkotyku gotów się posunąć do bezgranicznego okrucieństwa.

– Dobrze – pochwalił Hanssona. – Bardzo dobrze.

Hansson wyszedł. Kurt Wallander niemal bez zastanowienia zatelefonował do Gorana Bomana do Kristianstad. Na szczęście zastał go w biurze.

– Co chcesz, żebym dla ciebie zrobił? – spytał Boman, kiedy Wallander poinformował go o odkryciu Hanssona.

– Żebyś go przeświecił. I miej też na oku mamusię. Goran Boman obiecał poddać Ellen Magnuson dyskretnemu nadzorowi.

Kurt Wallander zdołał złapać Hanssona dosłownie w ostatniej chwili, kiedy ten był już w drodze do wyjścia.

– Te długie hazardowe – powiedział. – Komu jest winien pieniądze? A może wierzycieli jest wielu?

Hansson znał odpowiedź.

– Jest taki jeden kupiec żelazny w Tagarp, który pożycza pieniądze na procent – wyjaśnił. – Jeżeli Erik Magnuson jest komuś winien, to jemu. U tego lichwiarza siedzi w kieszeni większość wysoko grających na Jagersro. I o ile mi wiadomo, to zatrudnia on paru naprawdę nieprzyjemnych typów, których wysyła z przypomnieniem do tych, którzy się ociągają ze spłatami.

– Jak można go złapać?

– Ma sklep żelazny w Tagarp. Taki nieduży gruby facet pod sześćdziesiątkę.

– Jak się nazywa?

– Larson. Mówią na niego Główka.

Kurt Wallander wrócił do swojego pokoju. Próbował telefonicznie złapać Rydberga, ale bez rezultatu. W końcu Ebba z centrali powiedziała mu, że Rydberg wróci koło dziesiątej, bo pojechał do szpitala.

– Coś mu jest? – spytał Kurt Wallander.

– Pewnie ten reumatyzm – domyślała się Ebba. – Nie widzisz, jak on kuleje tej zimy?

Kurt Wallander postanowił nie czekać na Rydberga. Włożył kurtkę, poszedł do samochodu i pojechał do Tagarp.

Sklep żelazny znajdował się w centrum osiedla.

Właśnie teraz sprzedawano tu kosiarki po obniżonej cenie.

Mężczyzna, który na dźwięk dzwonka przy drzwiach wyszedł z zaplecza, był rzeczywiście nieduży i gruby. Kurt Wallander był w sklepie sam, postanowił więc od razu przystąpić do rzeczy. Wyjął policyjną legitymację i przedstawił się. Facet zwany Główką przestudiował ją uważnie, ale zdawał się niewzruszony.

– Ystad – powiedział. – Czego tamtejsza policja może ode

mnie chcieć?

– Znasz niejakiego Erika Magnusona?

Mężczyzna za ladą był zbyt doświadczony, by kłamać.

– Możliwe – powiedział. – Bo co?

– Kiedy go poznałeś?

Błąd, pomyślał Kurt Wallander. To daje mu możliwość wycofania się.

– Nie pamiętam.

– Ale go znasz?

– Mamy pewne wspólne interesy.

– Jak na przykład wyścigi i totalizator?

– Być może.

Zarozumiałstwo i pewność siebie tego człowieka drażniły Kurta Wallandera.

– No to teraz mnie posłuchaj – rzekł. – Ja wiem, że pożyczasz pieniądze ludziom, którzy nie bardzo sobie radzą z namiętnością do gry. Akurat w tym momencie nie zamierzam pytać, jaki procent od tego pobierasz. Nie obchodzi mnie, że prowadzisz nielegalną działalność lichwiarską. Teraz chcę wiedzieć coś zupełnie innego.

Mężczyzna zwany Główką patrzył na niego z zaciekawieniem.

– Teraz chcę wiedzieć, czy Erik Magnuson jest ci winien pieniądze – powiedział. – I chcę wiedzieć, ile.

– Nic – odparł mężczyzna.

– Nic?

– Ani korony.

Błąd, pomyślał Kurt Wallander. Trop Hanssona jest błędny.

Ale w sekundę później stwierdził, że jest dokładnie odwrotnie. W końcu trafili celnie.

– Ale jeżeli chcesz wiedzieć, to on był mi winien pieniądze – oznajmił sklepikarz.

– Ile?

– No, trochę. Ale spłacił dwadzieścia pięć tysięcy.

– Kiedy?

Sklepikarz intensywnie myślał.

– Niecały tydzień temu. W ubiegły czwartek. Czwartek jedenastego stycznia, pomyślał Kurt Wallander.

Trzy dni po morderstwie w Lenarp.

- Jak zapłacił?
- Przyszedł tutaj.
- W jakich banknotach?
- Po tysiąc koron. I po pięćset.
- Gdzie miał te pieniądze?
- Jak to gdzie je miał?
- No w torbie? Może w teczce?
- W plastikowej torbie. Z ICA czy innego sklepu.
- Spóźniał się ze zwrotem długu?
- Trochę.
- Co by się stało, gdyby nie zapłacił?
- Byłbym zmuszony mu przypomnieć.
- Nie wiesz, jak zdobył pieniądze?

Mężczyzna zwany Główką wzruszył ramionami. W tej chwili do sklepu wszedł klient.

- To nie moja sprawa – powiedział. – Czy coś jeszcze?
- Nie, dziękuję. Na razie nic więcej. Ale może się jeszcze odezwę.

Kurt Wallander poszedł do samochodu.

Znowu zaczęła wiać.

Teraz, pomyślał. Teraz go mamy.

Kto by przypuszczał, że wyniknie coś dobrego z tej nieszczęsnej namiętności Hanssona do koni?

Kurt Wallander pojechał z powrotem do Ystad i czuł się tak, jakby to on wygrał na loterii.

Przeczuwał, że rozstrzygnięcie jest blisko.

Erik Magnuson, myślał.

Już po ciebie idziemy.

Po intensywnej pracy, która trwała przez cały wieczór i długo w noc w piątek 19 stycznia, Kurt Wallander i jego współpracownicy byli przygotowani. Björk też uczestniczył w długim zebraniu grupy dochodzeniowej, a kiedy Kurt Wallander tego zażądał, zgodził się, żeby Hansson zostawił

morderstwo w Hageholm i przyłączył się do grupy Lenarp, jak teraz zaczęto o nich mówić. Naslund był nadal chory, ale zawiadomił telefonicznie, że następnego dnia już przyjdzie.

Praca miała trwać nieprzerwanie i w sobotę, i w niedzielę. Z tą samą intensywnością. Martinsson przeszukiwał trasę od Veberödsvagen aż do stajni Lövgrenów, ale chociaż użył psów, wrócił właściwie z niczym. Zbadał dokładnie liczący tysiąc dziewięćset dwanaście metrów odcinek polnej drogi, w kilku miejscach przecinającej zagajniki, w części oddzielającej od siebie dwa pola, a w części biegnącej równoległe do niemal całkiem wyschniętego potoku. Nie znalazł nic godnego uwagi, choć przytaszczył na policję plastikowy worek pełen różnych przedmiotów. Było tam między innymi zardzewiałe kółko od wózka dla lalek, inne zabawki i pusta paczka po papierosach zagranicznej marki. Wszystko trzeba oczywiście zbadać, ale Kurt Wallander raczej nie wierzył, by mogło to w jakiś sposób uzupełnić śledztwo.

Najważniejszym postanowieniem tego zebrania było podjęcie całodobowej obserwacji Erika Magnusona. Mieszkał w kamienicy w Rosengard, starej części miasta. Ponieważ Hansson zameldował, że w niedzielę będą na Jagersro wyścigi, to on miał obserwować Magnusona na torze.

– Ale zastrzegam, że żadnych kuponów totalizatora nie zaakceptuję – Björk podjął wątpliwą próbę rozładowania atmosfery żartem.

– Ja proponuję, żebyśmy wszyscy wspólnie coś obstawili – zaproponował Hansson. – To jedyna możliwość, żeby śledztwo mogło nam się opłacić.

Generalnie jednak grupa zebrana u Björka pracowała w nastroju powagi. Wszyscy mieli poczucie, że moment rozstrzygnięcia jest bliski. Najdłużej dyskutowano nad tym, czy Erik Magnuson ma się dowiedzieć, że ziemia pali mu się pod stopami. Björk i Rydberg mieli wątpliwości, Kurt Wallander natomiast uważał, że nic nie tracą, jeżeli Erik Magnuson odkryje, iż policja interesuje się jego osobą. Obserwacja powinna być, rzecz jasna, prowadzona dyskretnie. Poza tym jednak nie należy podejmować żadnych kroków w celu ukrycia

mobilizacji policji.

– Pozwólmy mu się zdenerwować – mówił Kurt Wallander. – Jeżeli ma powody do zdenerwowania, to mam nadzieję, że je poznamy.

Stracili trzy godziny na to, by przejrzeć cały materiał ze śledztwa i znaleźć wszystkie wątki, które można by bezpośrednio powiązać z Erikiem Magnusonem. Nic takiego nie znaleźli, ale też nic nie świadczyło przeciwko temu, że to Erik Magnuson znajdował się tamtej nocy w Lenarp. Mimo alibi potwierdzonego przez narzeczoną. Od czasu do czasu Kurta Wallandera przenikał niepokój, że być może znowu brną w ślepią uliczkę.

Przed wszystkim Rydberg okazywał powątpiewanie. Raz po raz pytał, czy to możliwe, by jeden człowiek dokonał podwójnego morderstwa.

– Istnieją poszlaki, że w tej rzeźni współpracowano – mówił. – Nie mogę przestać o tym myśleć.

– Nie można przecież wykluczyć, że Erik Magnuson miał pomocnika – powiedział Kurt Wallander. – Zajmiemy się wszystkim po kolei.

– Jeżeli on posunął się do morderstwa, żeby spłacić dług hazardowy, to raczej nie miał pomocnika – upierał się Rydberg.

– Wiem – przytakiwał Kurt Wallander. – Ale musimy iść dalej.

Dzięki aktywności Martinssona otrzymali fotografię Erika Magnusona, którą policjant znalazł w archiwum urzędu rejonowego. Wyciął zdjęcie z broszury, w której urząd prezentował swoją naprawdę szeroką działalność dla dobra społeczeństwa, o czym ono zdawało się nie mieć pojęcia. Björk, zwolennik poglądu, że każda instytucja państwowa bądź komunalna potrzebuje własnego wydziału obrony, który mógłby w razie potrzeby uświadomić ciemny naród, jak kolosalne znaczenie ta właśnie instytucja posiada, uważał, że broszura jest znakomita. Tak czy inaczej, Erik Magnuson stał tam obok swojego żółtego wózka widłowego, odziany w śnieżnobiały kombinezon, uśmiechnięty.

Policjanci przyjrzeni się jego twarzy i natychmiast zaczęli porównywać z czarno-białymi zdjęciami Johannesesa Lövgrena. Między innymi było tam zdjęcie, na którym Johannes Lövgren stoi obok swojego traktora na tle świeżo zaoranego pola.

Czy mogliby to być ojciec i syn? Każdy przy swoim pojeździe?

Kurt Wallander jakoś nie mógł nałożyć na siebie obu wizerunków, jego wyobraźnia nie potrafiła ich połączyć. Jedyne, co miał przed oczyma, to zmasakrowaną twarz starego człowieka z odciętym nosem.

Około jedenastej w piątek wieczorem ustalili coś w rodzaju planu przewidywanej operacji. Wtedy Björk już ich zostawił, by zająć przeznaczone dla niego miejsce na uroczystej kolacji w lokalnym klubie golfowym.

Kurt Wallander i Rydberg mieli w sobotę złożyć kolejną wizytę u Ellen Magnuson w Kristianstad. Martinsson, Naslund i Hansson powinni na zmianę obserwować Erika Magnusona, a ponadto skonfrontować go z narzeczoną w sprawie alibi. W niedzielę nadal obserwacja podejrzanego i ponowna analiza całego materiału ze śledztwa. W poniedziałek Martinsson, który bez większego entuzjazmu został ekspertem komputerowym, zbada interesy Erika Magnusona. Czy facet ma jeszcze jakieś długi? Czy był wcześniej zamieszany w jakieś przestępstwa?

Kurt Wallander prosił Rydberga, żeby on sam ponownie przejrzał wszystkie materiały. Chciał, żeby Rydberg zrobił coś, co nazywali krzyżowym obstrzałem. Miał połączyć ludzi i wydarzenia, pozornie niemające ze sobą nic wspólnego. Może mimo wszystko istnieją jakieś punkty styeczne, dotychczas niezauważone? To właśnie Rydberg miał zbadać.

Wychodzili z budynku policji razem. Kurt Wallander nagle zauważył zmęczenie Rydberga i przypomniał sobie, że ten przed południem był w szpitalu.

– Co się dzieje? – spytał.

Rydberg wzruszył ramionami i wymamrotał w odpowiedzi coś niezrozumiałego.

– Noga? – nie ustępował Kurt Wallander.

– Jest, jak jest – bąknął znowu Rydberg, dając do

zrozumienia, że nie chce rozmawiać o swoim samopoczuciu.

Kurt Wallander pojechał do domu i nalał sobie whisky. Zostawił ją jednak nietkniętą w salonie, poszedł do sypialni i położył się do łóżka. Zmęczenie wzięło górę. Zasnął i uwolnił się od wszystkich myśli, krążących w jego mózgu.

W nocy przyśnił mu się Sten Widen.

Byli na jakimś przedstawieniu operowym, gdzie artyści śpiewali w nieznanym mu języku.

Później, już na jawie, Kurt Wallander za nic nie mógł sobie przypomnieć, jaka to była opera.

Natomiast następnego ranka, kiedy tylko się obudził, natychmiast sobie przypomniał coś, o czym rozmawiali wieczorem.

Testament Johannesesa Lövgrena. Ten testament, którego nigdzie nie znaleziono.

Rydberg porozumiał się z prawnikiem, który na prośbę córek Lövgrenów dokonywał oszacowania majątku, adwokatem często zatrudnianym przez organizacje rolników w okręgu. Z całą pewnością żaden testament nigdy nie istniał. A to oznacza, że nieoczekiwanie ujawnioną fortunę Lövgrena odziedziczą jego córki.

Czy Erik Magnuson mógł wiedzieć, że Johannes Lövgren posiada takie ogromne zasoby? Czy też wobec niego Johannes Lövgren był tak samo tajemniczy jak wobec swojej żony?

Kurt Wallander wstał z łóżka z niezłomnym postanowieniem, że nie ustąpi, dopóki się ostatecznie nie dowie, czy tym nieznanym ojcem Erika, syna Ellen Magnuson, był Johannes Lövgren.

Zjadł byle jakie śniadanie i tuż po dziewiątej spotkał się w komendzie z Rydbergiem. Martinsson, który spędził noc w samochodzie przed domem Erika Magnusona w Rosengard i został teraz zastąpiony przez Naslunda, przekazał meldunek, że nie wydarzyło się absolutnie nic. Erik Magnuson nie opuszczał mieszkania. Noc minęła spokojnie.

Stycziowy dzień był zamglony. Bure pola pokrywał szron. Rydberg siedział zmęczony i zamknięty w sobie obok Kurta Wallandera. Dopiero koło Kristianstad zaczęli rozmawiać.

O wpół do jedenastej spotkali się w budynku policji z Goranem Bomanem. Razem przejrzeni protokoły z przesłuchań Ellen Magnuson, które przedtem prowadził Boman.

– Jeśli o nią chodzi, to nie ma nic – powiedział Goran Boman.
– Prześwietliliśmy i ją, i jej otoczenie. Naprawdę nie ma nic. Jej historia mieści się na jednej kartce papieru. Przez trzydzieści lat pracowała w tej samej aptece. Jakiś czas śpiewała w chórze, ale potem przestała. Pożycza mnóstwo książek z biblioteki. Urlopy spędza u siostry w Vemmenhög, nigdy nie jeździ za granicę, nigdy nie kupuje nowych ubrań. Jest osobą, która przynajmniej z pozoru prowadzi najzupełniej bezbarwne życie. Jej przyzwyczajenia są stabilne do granic monotonii.

– Najbardziej zdumiewające jest to, jak ona wytrzymuje takie życie.

Kurt Wallander podziękował mu za wykonaną pracę.

– Teraz my ją przejrzymy – powiedział. Pojechali do domu Ellen Magnuson.

Kiedy otworzyła, Kurt Wallander pomyślał, że Erik jest bardzo podobny do matki. Nie potrafił ocenić, czy spodziewała się ich przyjscia. Jej spojrzenie było dziwnie nieobecne, jakby znajdowała się całkiem gdzie indziej.

Kurt Wallander rozejrzał się po saloniku. Gospodyni zapytała, czy napiją się kawy. Rydberg podziękował, a Kurt Wallander przyjął zaproszenie.

Za każdym razem, kiedy wchodził do czyjegoś mieszkania, miał wrażenie, jakby oglądał okładki książki, którą właśnie dostał. Mieszkanie, meble, obrazy, zapach – to tytuł. Teraz mógł zaczynać czytanie. Ale mieszkanie Ellen Magnuson było pozbawione zapachów. Jakby się znalazł w pomieszczeniu od dawna niezamieszkanym. Wchłaniał woń czegoś beznadziejnego. Szarej rezygnacji. Na mdłym tle tapet wisiały jakieś abstrakcyjne grafiki, dość niewyraźne. Meble wypełniające pokój były staromodne i ciężkie. Na składanym stoliku z mahoni leżała starannie wyprasowana biała szydełkowa serwetka. Na małej ściennej półce stała fotografia dziecka na tle różanego krzewu. Kurt Wallander pomyślał, że

jedyne zdjęcie syna, jakie postawiła, przedstawia Erika z czasów dzieciństwa. Jako dorosły człowiek nie był w tym mieszkaniu obecny.

Obok pokoju dziennego znajdowała się nieduża jadalnia. Kurt Wallander popchnął stopą uchylone drzwi. Ku swemu najwyższemu zdumieniu zobaczył, że na jednej ze ścian wisi obraz jego ojca.

Jesienny krajobraz bez głuszcza.

Stał i wpatrywał się w obraz, dopóki nie usłyszał za sobą podzwaniania filiżanek.

Jakby po raz pierwszy w życiu zobaczył ten motyw.

Rydberg usiadł na krześle przy oknie. Kurt Wallander pomyślał, że musi kiedyś zapytać kolegę, dlaczego zawsze siada przy oknie.

Skąd się biorą nasze przyzwyczajenia, zastanawiał się. W jakiej to tajemnej fabryce są produkowane nasze przywary i zalety?

Ellen Magnuson podała mu kawę.

Uznał, że czas zaczynać.

– Goran Boman z policji w Kristianstad był tutaj i zadawał wiele pytań – powiedział. – Nie powinna pani być zaskoczona, jeśli my będziemy niekiedy zadawali takie same.

– A panowie nie powinni być zaskoczeni, jeśli ja będę na nie odpowiadać tak samo – odparła Ellen Magnuson.

I właśnie w tym momencie Kurt Wallander nabrał pewności, że siedząca przed nim osoba jest tą tajemniczą kobietą, z którą Johannes Lövgren miał dziecko.

Wiedział to, choć nie umiałby powiedzieć skąd.

Bez zastanowienia uznał, że powinien posłużyć się kłamstwem, by dojść do prawdy. Jeśli oceniał sytuację właściwie, to Ellen Magnuson nie miała wielkiego doświadczenia z policjantami. Być może uważała, że oni, szukając prawdy, sami się prawdą posługują. To ona może kłamać, nie oni.

– Pani Magnuson – powiedział Kurt Wallander. – My wiemy, że Johannes Lövgren jest ojcem pani syna, Erika. I zaprzeczanie na nic się nie zda.

Kobieta patrzyła na niego przerażona. Jej nieobecne spojrzenie nagle zniknęło. Była jak najbardziej obecna w tym pokoju.

– To nieprawda – wykrztusiła.

To kłamstwo, które błaga o łaskę. Ona się wkrótce załamie.

– Oczywiście, że to prawda – odparł. – My wiemy, i pani wie, że to prawda. I gdyby Johannes Lövgren nie został zamordowany, nic by to nas nie obchodziło, nie przyszłoby nam nawet do głowy zadawanie pani tego rodzaju pytań. Ale sytuacja jest taka, że musimy wiedzieć. Jeżeli nie dowiemy się teraz, to będzie pani odpowiadać na te pytania w sądzie.

Poszło szybciej, niż przypuszczał.

– Dlaczego chcecie to wiedzieć?! – zawołała. – Ja nie zrobiłam nic złego. Dlaczego człowiek nie może zachować swoich tajemnic?

– Nikt nie zakazuje tajemnic – odparł Kurt Wallander spokojnie. – Dopóki jednak ludzie są mordowani, my musimy szukać przestępców. A wobec tego musimy zadawać pytania. I musimy otrzymywać odpowiedzi.

Rydberg siedział nieporuszony przy oknie. Obserwował kobietę zmęczonymi oczyma.

A potem razem wysłuchali jej historii. Kurt Wallander uważał, że jest niewypowiedzianie smutna. Życie tej kobiety przesunęło się przed nim tak samo beznadziejne jak ten oszroniony krajobraz, który oglądali, jadąc tutaj.

Była dzieckiem podstarzałej już pary rodziców, rolników z Yngsjö. Wyrwała się z domu, uciekła od pracy na gliniastej roli i z czasem została sprzedawczynią w aptece. Johannes Lövgren wkroczył w jej życie jako klient tej apteki właśnie. Opowiadała, że spotkali się po raz pierwszy, kiedy przyszedł kupić węgiel leczniczy. Potem przychodził coraz częściej i zaczął na nią czekać, aż skończy pracę. Mówił, że jest samotnym rolnikiem. Dziecko było już na świecie, kiedy się dowiedziała, że ma żonę. Żywiła do niego urazę, nigdy nienawiść. A on kupił jej milczenie za pieniądze, które wypłacał kilka razy w roku.

Syn wychowywał się przy niej. Należał do niej.

– Co pani pomyślała, kiedy dotarło do pani, że został zamordowany? – spytał Kurt Wallander, gdy skończyła.

– Ja wierzę w Boga – odparła. – I wierzę w sprawiedliwą zemstę.

– Zemstę?

– A ilu ludzi Johannes oszukał? – spytała. – Oszukał mnie, swojego syna. Oszukał swoją żonę, córki. Zdradził wszystkich.

A teraz ona się wkrótce dowie, że jej syn jest mordercą, pomyślał Kurt Wallander. Czy wyobrazą go sobie jako archanioła, który wypełnił boski nakaz zemsty? Czy udźwignie ten ciężar?

Nadal zadawał pytania. Rydberg przy oknie zmienił pozycję. W kuchni tykał zegar.

Kiedy nareszcie skończyli, Kurt Wallander uważał, że otrzymał odpowiedzi na wszystkie wątpliwości, z którymi tu przyjechał.

Wiedział, kim jest owa tajemnicza kobieta. I jej tajemniczy syn. Wiedział, że czekała na kolejne pieniądze od Johanna Lövgrena. Ale Johannes Lövgren już nie przyszedł.

Na inne ze swoich pytań dostał zgoła nieoczekiwaną odpowiedź.

Ellen Magnuson nigdy nie dała synowi żadnych pieniędzy od Johanna Lövgrena. Składała je w banku. Syn odziedziczył wszystko dopiero po jej śmierci. Może się bała, że je po prostu przegra na wyścigach?

Ale Erik Magnuson wiedział, że Johannes Lövgren jest jego ojcem. W tej sprawie kłamał. Więc może wiedział również, że Johannes Lövgren, który jest jego ojcem, ma ogromny majątek?

Rydberg podczas całego przesłuchania milczał. Dopiero kiedy już mieli wychodzić, spytał, jak często Ellen Magnuson spotyka się z synem. Czy mają ze sobą dobry kontakt? Czy zna jego narzeczoną?

Odpowiedzi były wymijające.

– On jest już dorosły – mówiła. – Ma swoje życie. Ale jest miły i odwiedza mnie. Wiem naturalnie, że ma narzeczoną.

No i znowu kłamie, stwierdził Kurt Wallander. O narzeczonej

nie wiedziała.

Zatrzymali się w gospodzie Degerberga, żeby coś zjeść. Rydberg dopiero teraz się ożywił.

– Twoje przesłuchanie było perfekcyjne – pochwalił. – Powinno być przedstawiane jako przykładowe na zajęciach w szkole policyjnej.

– Ale kłamałem – powiedział Kurt Wallander. – A to jednak nie jest w porządku.

Podczas posiłku podjęli ważne decyzje. Obaj byli zgodni co do tego, że należy poczekać na rozpoznanie sytuacji Erika Magnusona. Dopiero kiedy będą znane pełne wyniki tego rozpoznania, można będzie zacząć go przesłuchiwać.

– Uważasz, że to on? – spytał Rydberg.

– Jasne, że on – odparł Kurt Wallander. – Sam albo z kimś jeszcze. A co ty myślisz?

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Piętnaście po trzeciej wrócili do Ystad. Naslund siedział w swoim pokoju i kichał. O dwunastej na posterunku przed domem Erika Magnusona zmienił go Hansson.

Erik Magnuson wykorzystał przedpołudnie na kupno nowych butów i złożenie w sklepiku z papierosami paru zakładów. Potem wrócił do domu.

– Czy on ma się w jakiś sposób na baczności?

– Nie wiem – powiedział Naslund. – Czasem wydaje mi się, że tak. A czasem mam wrażenie, że sobie to wmawiam.

Rydberg pojechał do domu, a Kurt Wallander zamknął się w swoim pokoju. W roztargnieniu grzebał w stosie papierów, które ktoś położył na jego biurku.

Trudno było się skoncentrować.

Rozmowa z Ellen Magnuson wzbudziła w nim niepokój.

Myślał, że on sam prowadzi życie niezbyt daleko odbiegające od jej codziennej rzeczywistości. Jego życie też jest wątpliwej jakości.

Kiedy to wszystko się skończy, wezmę sobie wolne, pomyślał. Po tych wszystkich nadgodzinach będę mógł nie przychodzić do pracy chyba z tydzień. Przez siedem dni będę się zajmował tylko sobą i wrócę tu jako całkiem inny człowiek.

Zastanawiał się, czy nie zwrócić się do jakiejś lecznicy, gdzie pomogliby mu trochę schudnąć. W końcu jednak uznał, że to bez sensu. Raczej powinien wziąć samochód i pojechać gdzieś na południe.

Może do Paryża lub do Amsterdamu. W holenderskim mieście Arnhem ma znajomego policjanta, którego spotkał na jakiejś konferencji w sprawie zapobiegania narkomanii. Może mógłby go odszukać?

Najpierw musimy rozwiązać sprawę morderstwa w Lenarp, pomyślał. Zrobimy to w przyszłym tygodniu.

A potem zdecyduje, dokąd by pojechać...

W czwartek 25 stycznia Erik Magnuson został zatrzymany na przesłuchanie. Zatrzymanie odbyło się przed domem, w którym podejrzany mieszka. Dokonali go Rydberg i Hansson, natomiast Kurt Wallander siedział w samochodzie i patrzył. Erik Magnuson szedł do radiowozu bez protestu. Akcja miała miejsce rano, kiedy podejrzany wybierał się do pracy. Ponieważ Kurt Wallander był bardzo wyczulony, by pierwsze przesłuchania nie budziły w środowisku osoby zatrzymanej niepotrzebnej sensacji, dał Erikowi Magnusonowi możliwość zatelefonowania do pracodawcy i wytłumaczenia swojej nieobecności.

Przy przesłuchaniu Erika Magnusona obecni byli Björk, Wallander i Rydberg. Björk i Rydberg trzymali się z boku, pytania zadawał Wallander.

Zanim jeszcze Erik Magnuson został przewieziony do Ystad, policjanci utwierdzili się w przekonaniu, że to on jest sprawcą podwójnego mordu w Lenarp. W wyniku rozpoznania ustalono, że Erik Magnuson wciąż miewa ogromne długi. W wielu przypadkach dosłownie w ostatniej chwili zdołał je spłacić i uniknąć zemsty wierzycieli. Hansson na własne oczy widział, że Magnuson stawia na Jagersro ogromne sumy. Sytuacja finansowa podejrzanego była katastrofalna.

Rok temu znajdował się przez jakiś czas w orbicie zainteresowań policji z Eslöv, która podejrzewała go o udział

w napadzie na bank. Nie udało się jednak udowodnić mu tego przestępstwa. Pozostawało natomiast prawdopodobne podejrzenie o jego związki z przemytem narkotyków. Narzeczona Magnusona, obecnie bezrobotna, była wielokrotnie karana za posiadanie i sprzedaż narkotyków, a raz również za napad na urząd pocztowy. Erik Magnuson miał, jako się rzekło, poważne długi. Ale od czasu do czasu dysponował też zdumiewająco dużymi sumami pieniędzy. Jego pensja w magazynie to w porównaniu z tym dosłownie grosze.

Ten czwartkowy ranek w styczniu miał przynieść ostateczny przełom w śledztwie. Teraz podwójne morderstwo w Lenarp zostanie nareszcie wyjaśnione. Kurt Wallander obudził się tego ranka wcześniej z poczuciem wielkiego napięcia.

W dzień później, 26 stycznia, musiał uznać, że popełnił błąd.

Założenie, że Erik Magnuson jest winnym lub przynajmniej jednym z winnych, zostało całkowicie rozbite. Trop, którym się posuwali, okazał się ślepym zaułkiem. W piątek po południu policjanci stwierdzili, że Magnusona nigdy nie uda się połączyć z podwójnym morderstwem z tego prostego powodu, że jest on niewinny.

Jego alibi na noc morderstwa zostało potwierdzone przez matkę narzeczonej, która właśnie była u nich z wizytą. Wiarygodność tej osoby nie mogła zostać zakwestionowana. To starsza pani, źle śpiąca w nocy. Potwierdziła, że Erik Magnuson przechrapał w swoim łóżku całą tę noc, kiedy Johannes i Maria Lövgrenowie zostali zamordowani.

Pieniądze na spłacenie długu wobec właściciela sklepu w Tagarp pochodziły ze sprzedaży samochodu. Magnuson posiadał pokwitowanie sprzedaży chryslera, a nabywca, pewien stolarz z Lommy, zaświadczył, że zapłacił gotówką, w banknotach po tysiąc i po pięćset koron.

Magnuson potrafił również wiarygodnie wytłumaczyć fakt, że kłamał, iż Johannes Lövgren nie jest jego ojcem. Czynił tak mianowicie ze względu na matkę. Myślał, że ona by tak wolała. Kiedy Kurt Wallander poinformował go, że Johannes Lövgren był bardzo bogaty, szczerze się zdziwił.

W końcu policji nie zostało już nic.

Kiedy Björk zapytał dla formalności, czy ktoś jest przeciwny zwolnieniu Erika Magnusona i skreślenia go z listy podejrzanych, nikt się nie odezwał. Kurt Wallander miał dojmujące poczucie winy, że błędnie pokierował śledztwem. Tylko Rydberg zdawał się nieporuszony. On bowiem od początku odnosił się do tej koncepcji najbardziej sceptycznie.

Śledztwo zakończyło się klęską. To, co jeszcze z niego zostało, rozsypało się w proch.

Równocześnie przyszedł śnieg.

W nocy z piątku na sobotę, 27 stycznia, od południa rozpętała się gwałtowna burza śnieżna. Po paru godzinach E-14 została kompletnie zablokowana. Śnieg sypał nieprzerwanie przez sześć godzin. Porywisty wiatr czynił pracę pługów śnieżnych całkowicie bezsensowną. Z taką samą szybkością, z jaką pługi odgarniały śnieg z drogi, wiatr usypywał nowe zaspę.

Przez całą dobę policja czyniła jedynie wysiłki, by zamieszanie na drogach nie zmieniło się w kompletny chaos. W końcu zadymka ucichła równie nagle, jak się zaczęła.

30 stycznia Kurt Wallander skończył czterdzieści trzy lata. Uczcił urodziny w ten sposób, że postanowił zmienić swoje nawyki żywieniowe i zaczął znowu palić. Ku jego wielkiej radości wieczorem zadzwoniła Linda. Była w Malmö, ale wkrótce zamierzała wyjechać i zacząć naukę w jednym z uniwersytetów ludowych pod Sztokholmem. Obiecała, że odwiedzi go przed wyjazdem.

Kurt Wallander tak zaplanował swój czas, że mógł przynajmniej trzy razy w tygodniu odwiedzać ojca. Napisał list do siostry, w którym informował, że domowa opiekunka dokonuje cudów. Zamroczenie, które doprowadziło starszego pana do nocnej wędrówki po polach, ustąpiło. Kobieta przychodząca regularnie do jego domu okazała się zbawieniem.

Pewnego wieczora, w kilka dni po urodzinach, Kurt Wallander zadzwonił do Anette Brolin i zaproponował, że pokaże jej Skanię w zimowej szacie. Jeszcze raz poprosił o wybaczenie za tamten wieczór w jej mieszkaniu. Ona podziękowała za zaproszenie i w niedzielę 4 lutego pokazał jej Ale Stenar i Glimmingehus. Obiad zjedli w gospodzie

w Hammenhög i Kurt Wallander zaczął wierzyć, że ona naprawdę wymazała już z pamięci to, że próbował posadzić ją sobie na kolanach.

Dni mijały, a oni nie dokonywali kolejnego przełomu w śledztwie. Martinsson i Naslund zostali skierowani do nowych zadań. Na podwójnym morderstwie mogli się na razie koncentrować jedynie Rydberg i Wallander.

Pewnego dnia, w środku lutego, do biura Kurta Wallandera przyszła córka Marii i Johannesesa Lövgrenów, ta mieszkająca w Göteborgu.

Przyjechała do Skanii, by dopilnować ustawienia marmurowego pomnika na grobie rodziców na cmentarzu w Villie. Kurt Wallander powiedział jej, jak wygląda sytuacja, czyli że policja nadal po omacku szuka jakichś rozstrzygających śladów. Następnego dnia pojechał na cmentarz i długo stał przed czarnym nagrobkiem ze złotymi napisami.

Luty minął mu na przygotowaniach do pogłębienia śledztwa.

Rydberg, zamknięty w sobie i milczący, bardzo cierpiał z powodu nogi, przeważnie pracował przez telefon, natomiast Kurt Wallander nieustannie był gdzieś w terenie.

Sprawdzili wszystkie banki w całej Skanii, ale żadnych więcej sejfów nie znaleźli. Wallander rozmawiał z ponad dwustu osobami, które albo były spokrewnione, albo znały Lövgrenów. Jeszcze raz przejrzał i dokładnie zbadał wszystkie zgromadzone podczas śledztwa materiały, powracał do wątków dawno już zamkniętych, wyciągał stare raporty i ponownie je analizował. Nigdzie jednak nie znajdował punktu zaczepienia.

W pewien mroźny i wietrzny lutowy dzień zabrał Stena Widena z jego posiadłości i obaj pojechali do Lenarp. Razem przyglądali się kobyle, która być może знаła tajemnicę, patrzyli, jak zjada siano, a stary Nyström deptał im po piętach, gdziekolwiek się ruszyli. Córki zamordowanych jemu oddały konia.

Posesja Lövgrenów natomiast leżała opuszczona, drzwi pozamykane, pośrednik ze Skurup szukał dla niej nabywcy. Kurt Wallander stał na wietrze i przyglądał się wybitemu kuchennemu oknu, w którym nikt nie wstawił szyby, zatkało

jedynie otwór płytą izolacyjną. Próbował ponownie nawiązać kontakt ze Stenem Widenem, odzyskać tych dziesięć straconych lat, ale trener koni i dawny przyjaciel nie sprawiał wrażenia zainteresowanego. Kurt Wallander odwiózł go do domu i musiał przyjąć do wiadomości, że znajomość została na zawsze zerwana.

Postępowanie przygotowawcze w sprawie zabójstwa somalijskiego uchodźcy zostało zakończone i Runę Bergman stanął przed sądem w Ystad. Budynek sądu przez wiele dni wypełniali przedstawiciele mediów. Dowiedziono, że śmiertelny strzał oddał Valfrid Ström, ale Runę Bergmana sądzono za współudział w morderstwie, a badania psychiatryczne wykazały, że był wtedy poczytalny.

Kurt Wallander uczestniczył w procesie jako świadek i wielokrotnie miał okazję słuchać wystąpień i przesłuchań prowadzonych przez Anette Brolin. Runę Bergman odzywał się rzadko, choć jego milczenie nie było już takie konsekwentne. Proces ujawnił zdumiewający obraz podziemnych organizacji faszystowskich, w których głoszone polityczne poglądy rodem z Ku-Klux-Klanu. Runę Bergman i Valfrid Ström działali na własną rękę, ale równocześnie byli też członkami różnych ugrupowań rasistowskich.

Kurt Wallander znowu miał wrażenie, że w Szwecji dojrzewa coś ważnego dla przyszłości kraju. Bywały momenty, że sam odczuwał jakby rodzaj sympatii dla pewnych argumentów wrogich wobec imigrantów, które przywoływano w dyskusjach i w prasie podczas trwania tego procesu. Czy rząd i Urząd Imigracyjny naprawdę mają kontrolę nad tym, kto przyjeżdża do Szwecji? Kto jest uchodźcą, a kto szuka szczęścia? I czy w ogóle można czynić jakieś rozróżnienia?

Jak długo można stosować zasady otwartej polityki imigracyjnej, nie wywołując chaosu? Czy w ogóle istnieje jakiś limit, ilu można ich przyjąć?

Kurt Wallander podejmował niepewne próby zgłębienia tych zagadnień. Stwierdził, że żywi ten sam niepokój i niechęć co większość ludzi. Niepokój przed nieznanym, przed obcymi.

Pod koniec lutego sąd wymierzył Runę Bergmanowi wysoką

karę więzienia. Ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich Bergman nie złożył apelacji i wkrótce potem wyrok się uprawomocnił.

Więcej śniegu już w Skanii tej zimy nie spadło. Pewnego wczesnego ranka na początku marca Anette Brolin i Kurt Wallander zrobili długi spacer wzdłuż przylądka Falsterbo. Razem oglądali długie klucze ptaków, powracających z odległych krajów pod Krzyżem Południa. W pewnej chwili Kurt Wallander ujął rękę swojej towarzyszki, a ona jej nie cofnęła, w każdym razie nie natychmiast.

Udało mu się schudnąć cztery kilogramy. Uznał przy tym, że nigdy nie odzyska takiej wagi, jaką miał, kiedy Mona nieoczekiwanie go opuściła.

Od czasu do czasu ich głosy spotykały się w telefonie. Kurt Wallander stwierdził, że zazdrość powoli się w nim wypala. Ciemnoskóra kobieta, która dawniej odwiedzała go w snach, też przestała się pokazywać.

Marzec zaczął się od tego, że Svedberg powtórzył swoje życzenie powrotu do Sztokholmu. Równocześnie Rydberg poszedł na dwutygodniowe zwolnienie lekarskie. Najpierw wszyscy myśleli, że to z powodu chorej nogi. Któregoś dnia jednak Ebba powiedziała Kurtowi Wallanderowi w zaufaniu, że Rydberg chyba ma raka. Jak się o tym dowiedziała ani co to za rak, nie chciała wyjawić. Kiedy zaś on sam odwiedził kolegę w szpitalu, Rydberg powiedział, że to rutynowa kontrola przewodu pokarmowego. Jakaś plama na zdjęciu rentgenowskim mogła świadczyć, że ma rankę na jelicie grubym.

Kurt Wallander czuł dojmujący ból w piersi na myśl o tym, że Rydberg jest być może ciężko chory. Z narastającym poczuciem zagubienia i bezradności popychał dalej swoje śledztwo. Któregoś dnia w głuchej złości cisnął o ścianę teczką z materiałami sprawy. Papiery rozleciały się po całej podłodze. Długo potem siedział i przyglądał się temu, co zrobił. W końcu, posuwając się na kolanach, pozbierał wszystko, posegregował i zaczął od początku.

Gdzieś jest coś, czego nie dostrzegam, myślał.

Jakieś powiązanie, jakiś detal jest tym kluczem, który

powiniennem przekreślić. Ale mam go przekreślić w lewo czy w prawo?

Często telefonował do Gorana Bomana do Kristianstad i skarżył się na swój los.

Goran Boman z własnej woli prowadził niebywale intensywne badania wokół osoby Nilsa Velandera i innych możliwych kandydatów. Ale na tej skale nigdzie nie powstała najmniejsza rysa. Przez dwa długie dni Kurt Wallander siedział z Larsem Herdinem, ale nie posunął się dzięki temu na swojej drodze ani o metr.

Wciąż jednak nie chciał przyjąć do wiadomości, że to przestępstwo miałyby pozostać zagadką.

W środku marca udało mu się namówić Anette Brolin, by wybrała się z nim do opery w Kopenhadze. W nocy po przedstawieniu zajęła się w końcu jego samotnością, ale kiedy powiedział, że ją kocha, nie podjęła tematu.

Trudno, jest, jak jest. Inaczej nie będzie.

W sobotę 17 i w niedzielę 18 marca córka była u niego z wizytą. Przyjechała sama, bez tego kenijskiego studenta medycyny, i Kurt Wallander wyszedł po nią na stację. Poprzedniego dnia Ebba przysłała swoją znajomą, by doprowadziła mieszkanie przy Mariagatan do porządku. I nareszcie uznał, że odzyskał swoją córkę. Zrobili długą wycieczkę wzdłuż brzegu na Österlen, lunch zjedli na Lilia Vik, a potem siedzieli do piątej nad ranem i gadali. Odwiedzili jego ojca, a jej dziadka, i oboje byli zdumieni, kiedy im zaczął opowiadać zabawne historie z dzieciństwa Kurta Wallandera.

W poniedziałek rano odprowadził Lindę na stację.

Był pewien, że zaufanie między nimi zostało częściowo odbudowane.

Kiedy później siedział w swoim pokoju, pochylony nad materiałami ze śledztwa, nieoczekiwanie wszedł Rydberg. Usiadł na krześle pod oknem i bez ogródek poinformował, że stwierdzono u niego raka prostaty. Teraz zostanie poddany chemioterapii i naświetlaniu, co może być zarówno długotrwałe, jak i bezskuteczne. Nie pozwalał na okazywanie mu żadnego współczucia. Przyszedł, jak mówił, tylko po to, by

przypomnieć Wallanderowi o ostatnim słowie konającej Marii Lövgren. I o pętli. Potem wstał, uściśnął Wallanderowi rękę i wyszedł.

Kurt Wallander został sam, ze swoim bólem i ze swoim śledztwem. Björk uznał bowiem, że może na razie pracować w pojedynkę, albowiem policja jest przeciążona obowiązkami.

W marcu nic się nie wydarzyło. W kwietniu też nie.

Doniesienia o stanie zdrowia Rydberga były zmienne. Ebba miała zawsze najświeższe informacje.

Jednego z pierwszych dni maja Kurt Wallander poszedł do Björka i zaproponował, żeby ktoś inny przejął jego śledztwo. Ale Björk się nie zgodził. Jego zdaniem Kurt Wallander powinien kontynuować pracę przynajmniej do lata i początku urlopów. Wtedy ponownie rozważy się sytuację.

Zaczynał więc wciąż i wciąż od początku. Cofał się, przewracał papiery i szukał, chciał zmusić materiały, by ożyły. Ale kamienie, po których stąpał, pozostawały zimne.

Na początku czerwca zamienił peugeota na nissana. 8 czerwca wziął urlop i pojechał do Sztokholmu, żeby odwiedzić córkę.

Udali się potem oboje samochodem aż na Przylądek Północny. Herman Mboya był znowu w Kenii, ale miał wrócić w sierpniu.

W poniedziałek 9 lipca Kurt Wallander był już na służbie.

W zostawionej mu przez Björka notatce przeczytał, że powinien podjąć zawieszone śledztwo i prowadzić je aż do powrotu szefa z urlopu na początku sierpnia. Wtedy ostatecznie zadecydują, co robić dalej.

Równocześnie Ebba przekazała mu informację, że Rydberg czuje się znacznie lepiej. Być może lekarzom mimo wszystko udało się opanować raka.

Wtorek 10 lipca był w Ystad pięknym dniem. Podczas przerwy na lunch Kurt Wallander spacerował po centrum miasta. Odwiedził sklep muzyczny na rynku i prawie się zdecydował na nową aparaturę.

Potem przypomniał sobie, że ma w portfelu kilka norweskich banknotów, które mu zostały z wyprawy na Przylądek Północny. Poszedł więc do Banku Związkowego i stanął

w kolejce do jedynej czynnej kasy.

Nie poznał kobiety w okienku. Nie była to ani Britta-Lena Boden, ani żadna z kasjerek, które widywał już dawniej. Pomyślał, że pewnie jakaś zastępczyni na lato.

Mężczyzna przed nim realizował nadspodziewanie dużą wypłatę gotówkową. Zdumiony Kurt Wallander zastanawiał się, do czego może być potrzebne aż tyle gotówki. Kiedy tamten liczył banknoty, Kurt Wallander mimo woli przeczytał jego nazwisko na prawie jazdy, które mężczyzna położył obok siebie na ladzie.

Potem była już jego kolej, wymienił swoje banknoty. Za nim stało jeszcze kilkoro letnich turystów, rozmawiających ze sobą po włosku czy może hiszpańsku.

Dopiero kiedy wyszedł na ulicę, wpadła mu do głowy pewna myśl.

Stanął jak wryty, jakby to podejrzenie zmieniło go w bryłę lodu.

Potem wrócił do banku i zaczekał, aż turyści załatwią swoje sprawy.

Pokazał kasjerce legitymację policyjną.

– Chciałem zapytać – zaczął. – Chciałem zapytać, czy Britta-Lena Boden jest na urlopie?

– Pewnie pojechała do swoich rodziców, do Simrishamn – powiedziała kasjerka. – Zostały jej jeszcze dwa tygodnie wolnego.

– Boden – zastanawiał się. – Czy jej rodzice noszą to samo nazwisko?

– Ojciec prowadzi stację benzynową w Simrishamn. Zdaje mi się, że to Statoil.

– Dziękuję – powiedział Kurt Wallander. – Mam do niej parę rutynowych pytań.

– Ja pana znam – powiedziała kasjerka. – To okropne, że nie udało wam się rozwikłać tej historii z morderstwem.

– Ma pani rację – przyznał Kurt Wallander. – To okropne. Prawie biegł z powrotem do budynku policji, wskoczył do samochodu i pojechał do Simrishamn. Od ojca Britty-Leny dowiedział się, że dziewczyna jest z przyjaciółmi na plaży

w pobliżu Sandhammaren. Musiał długo szukać, bo młodzi siedzieli schowani za wydumą. Wszyscy byli zdumieni, widząc, jak Kurt Wallander brnie po piaszczystej plaży.

– Nie chciałym przeszkadzać, ale to bardzo ważne – powiedział.

Britta-Lena zdawała się rozumieć powagę chwili, bo wstała natychmiast. Miała na sobie jedynie skąpy kostium i Kurt Wallander spuścił wzrok. Usiedli w pewnej odległości od reszty towarzystwa, żeby im nikt nie przeszkadzał.

– Chodzi o tamten dzień w styczniu – zaczął Kurt Wallander.

– Chciałym jeszcze raz o nim z tobą porozmawiać. A najbardziej bym chciał, żebyś spróbowała sobie przypomnieć, czy w banku był ktoś jeszcze, kiedy Johannes Lövgren odbierał swoją wielką wypłatę.

Pamięć dziewczyny była nadal tak samo dobra.

– Nie – odparła. – Był sam. Wiedział, że mówi prawdę.

– Pomyśl jeszcze – nalegał. – Johannes Lövgren wyszedł.

Drzwi trzasnęły. Co stało się później?

Jej odpowiedź była krótka i zdecydowana:

– Drzwi nigdy nie trzaskają.

– Wszedł nowy klient?

– Dwóch.

– Znałaś ich?

– Nie.

Następne pytanie było rozstrzygające.

– Dlatego, że to byli cudzoziemcy? Spojrzała na niego zdumiona.

– Tak. Skąd wiedziałeś?

– Nie wiedziałem aż do tej pory. Myśl dalej.

– To byli dwaj mężczyźni. Dość młodzi.

– Czego chcieli?

– Wymienić pieniądze.

– Pamiętasz, jaka to była waluta?

– Dolary.

– Mówili po angielsku? Czy to byli Amerykanie? Potrząsnęła głową.

– Nie po angielsku. Ja nie wiem, co to był za język.

– Co stało się potem? Spróbuj przywołać w pamięci tamtą scenę.

– Podeszli do kasy.

– Obaj?

Myślała intensywnie, zanim odpowiedziała. Ciepły wiatr rozwiewał jej włosy.

– Jeden podszedł do samej kasy i położył pieniądze na ladzie. Wydaje mi się, że to było sto dolarów. Spytałam, czy chce je wymienić, a on skinął głową.

– A co robił ten drugi?

Dziewczyna znowu długo się zastanawiała.

– Coś mu upadło na podłogę. Pochylił się, żeby podnieść. Myślę, że to chyba była rękawica.

Wallander cofnął się o krok w swoich pytaniach.

– Johannes Lövgren właśnie wyszedł – powiedział. – Dostał wielką sumę pieniędzy, które upchnął w teczce. Czy dostał coś jeszcze?

– Kopię pokwitowania wypłaty.

– Którą też włożył do teczki?

Pierwszy raz w czasie tej rozmowy dziewczyna była niezdecydowana.

– Tak sądzę.

– A jeśli nie włożył pokwitowania do teczki, to co mogło się stać?

Znowu zaczęła się zastanawiać.

– Na ladzie nic nie leżało. Tego jestem pewna. Gdyby leżało, tobym sprzątnęła.

– A czy pokwitowanie mogło upaść na podłogę?

– Możliwe.

– I ten mężczyzna, który się schylił po rękawicę, mógł przy okazji podnieść pokwitowanie?

– Mógł.

– Co jest na takim kwicie?

– Suma. Nazwisko. Adres. Kurt Wallander wstrzymał dech.

– Naprawdę to wszystko tam było? Pewna jesteś?

– On wypisał pokwitowanie takimi spiczastymi literami. Wiem, że adres też zapisał, chociaż to nie jest konieczne.

Kurt Wallander znowu się cofnął.

– Lövgren dostał swoje pieniądze i wychodzi. W drzwiach mija dwóch nieznanymych mężczyzn. Jeden z nich schyla się i podnosi z podłogi rękawicę i może także jego pokwitowanie wypłaty. A tam jest napisane, że Johannes Lövgren dostał właśnie dwadzieścia siedem tysięcy koron. Zgadza się?

Nagle dziewczyna pojęła.

– Czy to ci? Czy to oni zrobili?

– Nie wiem. Spróbuj sobie przypomnieć, co było dalej.

– Wymieniłam mu pieniądze. Włożył banknoty do kieszeni.

Obaj wyszli.

– Ile czasu to zabrało?

– Trzy, cztery minuty, nie więcej.

– Zapis tej wymiany musi się znajdować w banku? Skinęła głową.

– Dzisiaj wymieniałem pieniądze w banku. Musiałem podać nazwisko. Czy oni podali jakiś adres?

– Możliwe. Nie pamiętam. Kurt Wallander westchnął.

– Masz fenomenalną pamięć – powiedział. – Widziałas jeszcze potem tych dwóch mężczyzn?

Pokręciła przecząco głową.

– Nie. Nigdy.

– Rozpoznałabyś ich?

– Tak myślę. Chyba tak.

Kurt Wallander umilkł na chwilę.

– Chyba będziesz musiała przerwać na kilka dni urlop – rzekł w końcu.

– Ale my jutro mamy jechać na Olandię!

– Ty nie możesz – powiedział. – Może pojutrze, ale jutro nie.

Wstał i strzepał z siebie piasek.

– Mów zawsze rodzicom, gdzie można cię znaleźć – poprosił.

Ona też wstała, gotowa wrócić do przyjaciół.

– Mogę im powiedzieć? – spytała.

– Wymyśl coś innego. Na pewno dasz sobie radę. Zaraz po czwartej po południu w archiwum Banku Związkowego znaleziono pokwitowanie wymiany pieniędzy.

Podpis klienta był nieczytelny. Żaden adres nie został

zapisany.

Ku swemu zdziwieniu Kurt Wallander nie czuł się rozczarowany. Uważał, że to chyba dlatego, iż teraz już wie, jak ta cała tragedia się rozegrała.

Prosto z banku pojechał do domu Rydberga, który był rekonwalescentem.

Siedział na balkonie, kiedy Kurt Wallander zadzwonił do drzwi. Wychudł i zrobił się bardzo blady.

Razem długo jeszcze siedzieli na tym balkonie i Kurt Wallander opowiadał mu o swoim odkryciu.

Rydberg w zamyśleniu kiwał głową.

– Chyba masz rację – powiedział, kiedy Wallander skończył.
– Z pewnością tak to było.

– Pozostaje tylko pytanie, jak ich teraz znajdziemy – westchnął Kurt Wallander. – Dwóch turystów, którzy odwiedzili Szwecję przeszło pół roku temu.

– Oni chyba wciąż tu są – rzekł Rydberg. – Jako uchodźcy, starający się o azyl, imigranci.

– Od czego należałoby zacząć? – zastanawiał się Kurt Wallander.

– Nie wiem – odparł Rydberg. – Ale z pewnością coś wymyślisz.

Siedzieli jeszcze parę godzin na balkonie Rydberga. Tuż przed siódmą Kurt Wallander poszedł do swojego samochodu.

Kamienie, po których stapał, nie były już takie zimne.

15

Następne dni Kurt Wallander miał zapamiętać jako „czas, w którym powstawała mapa”. Punktem wyjścia były obrazy zapamiętane przez Britte-Lenę Boden oraz nieczytelny podpis. Na tym opierał się prawdopodobny scenariusz,

a ostatnie słowo konającej Marii Lövgren było pionkiem, który nareszcie znalazł się na właściwym miejscu. Ponadto przy tworzeniu obrazu miał jeszcze do dyspozycji ową osobliwie zawiązaną pętlę. Na tej podstawie zaczął rysować mapę. Jeszcze tego samego dnia, kiedy pośród nagranych wydm na

plaży w Simrishamn odbył rozmowę z Brittą-Leną Boden, pojechał do domu Björka, oderwał szefa od obiadu, otrzymał jednak natychmiast obietnicę, że może włączyć Hanssona i Martinssona w pełnym wymiarze czasu do śledztwa, które znowu dostaje priorytet i powinno nabrać tempa.

W środę 11 lipca, jeszcze przed otwarciem banku dla klientów, przeprowadzono w jego pomieszczeniach rekonstrukcję wydarzeń. Britta-Lena Boden zajęła miejsce w kasie, Hansson podjął się roli Johanna Lövgrena, a Martinsson i Björk odgrywali owych dwóch mężczyzn, którzy przyszli do banku wymienić dolary. Kurt Wallander upierał się, by wszystko do najdrobniejszych szczegółów było tak jak tamtego dnia ponad pół roku temu. Dyrektor banku pozwolił w końcu, by Britta-Lena Boden wypłaciła dwadzieścia siedem tysięcy w banknotach po tysiąc i pięćset koron Hanssonowi, który przyszedł z teczką pożyczoną od Ebby.

Kurt Wallander stał z boku i obserwował. Dwukrotnie nakazywał powtórzyć wszystko od początku, bowiem Britta-Lena Boden przypominała sobie, że jakiś szczegół wyglądał inaczej.

Całą tę rekonstrukcję Kurt Wallander przeprowadził właśnie po to, by odświeżyć jej wspomnienia. Miał nadzieję, że dzięki temu otworzą się jakieś kolejne, dotychczas zamknięte komórki w jej nadzwyczajnej pamięci.

W końcu dziewczyna potrząsnęła głową. Powiedziała już wszystko, co zapamiętała. Nie ma nic więcej do dodania. Kurt Wallander prosił, by jeszcze o parę dni przesunęła swój wyjazd na Olandię, a następnie posadził ją w pokoju, gdzie godzinami przeglądała fotografie cudzoziemskich przestępców, którzy przy jakiejś okazji wpadli w ręce szwedzkiej policji. Kiedy i to nie dało wyników, wsadził ją do samolotu do Norrköping, żeby tam przetrząsnęła bogate archiwa Urzędu Imigracyjnego.

Po osiemnastu godzinach pracy i przeglądania stosów fotografii dziewczyna wróciła na lotnisko Sturup, skąd Kurt Wallander osobiście ją odebrał. Także i tym razem rezultat był negatywny.

Następnym krokiem było powiadomienie Interpolu.

Informację o ewentualnym przebiegu przestępstwa wpisano do komputera, który wykonał analizy porównawcze z materiałami znajdującymi się w europejskiej kwaterze głównej. W dalszym ciągu jednak nie stało się nic, co by w zasadniczy sposób zmieniło sytuację.

W czasie kiedy Britta-Lena Boden pociła się nad stosami fotografii, Kurt Wallander przeprowadził trzy długie przesłuchania Artura Lundina, kominiarza ze Slimminge. Podróże między Ystad a Lenarp zrekonstruowano, ustalono dokładne terminy i raz jeszcze wszystko poddano analizie. Kurt Wallander nadal rysował swoją mapę. Od czasu do czasu odwiedzał Rydberga, który siedział błądy na balkonie, i razem z nim wnikliwie oceniał stan śledztwa. Rydberg protestował, kiedy Wallander przeproszał, że go męczy i przeszkadza mu odpoczywać. Mimo to Wallander za każdym razem odchodził z tego balkonu dręczony wyrzutami sumienia.

Anette Brolin wróciła z urlopu, który spędziła z mężem i dziećmi w letnim domku w Grebbestad na zachodnim wybrzeżu. Rodzina przyjechała z nią do Ystad i Kurt Wallander mówił najbardziej oficjalnym tonem, na jaki mógł się zdobyć, kiedy do niej zadzwonił, żeby opowiedzieć o nowym przełomie w tym na pół martwym śledztwie.

Ale po pierwszym intensywnym tygodniu znowu wszystko stanęło.

Kurt Wallander wpatrywał się w swoją mapę. Ponownie zaryli nosem w ziemię.

– Trzeba czekać – powtarzał Björk. – Ciasta w Interpolu długo garują.

Kurt Wallander skrzywił się na to wątpliwe porównanie. Chociaż przyznawał Björkowi rację.

Kiedy Britta-Lena Boden wróciła z Olandii i miała podjąć pracę w banku, Kurt Wallander wyprosił u dyrektora jeszcze kilka wolnych dni dla niej. A potem woził ją po wszystkich okolicznych ośrodkach dla uchodźców. Zrobili też krótką wycieczkę do pływającego ośrodka, ulokowanego na statku cumującym w Oljehamnen w Malmö. Nigdzie jednak nie rozpoznała żadnej twarzy.

Kurt Wallander zażądał, by ze Sztokholmu przyjechał rysownik.

Mimo wielokrotnych prób nie udało się stworzyć wizerunku, z którego Britta-Lena Boden byłaby zadowolona.

Kurt Wallander zaczynał tracić nadzieję. Björk zmusił go, by zwolnił Martinssona i zadowolili się Hanssonem jako najbliższym i jedynym kolegą w grupie dochodzeniowej.

W piątek 20 lipca Kurt Wallander był po raz kolejny na najlepszej drodze, by się poddać.

Późnym wieczorem napisał notatkę dla Björka, w której zaproponował, by śledztwo na razie zawiesić z braku materiału, mogącego w istotny sposób pomóc policji w rozwikłaniu zagadki.

Położył papiery na swoim biurku z postanowieniem, że w poniedziałek rano przekaze je Björkowi i Anette Brolin.

Sobotę i niedzielę spędził na Bornholmie. Padał deszcz i wiało, poza tym on cierpiał na żołądek, zatrul się chyba czymś, co zjadł na promie. W niedzielę wieczorem leżał w łóżku i w mniej więcej regularnych odstępach czasu biegał do łazienki, żeby zwymiotować.

W poniedziałek rano czuł się nieco lepiej, ale i tak nie był pewien, czy powinien wstać, czy nie.

W końcu jednak uznał, że trzeba się ruszyć, i tuż przed dziewiątą znalazł się w swoim gabinecie. Ebba miała urodziny i zaprosiła wszystkich na tort do pokoju jadalnego. Tak więc była prawie dziesiąta, kiedy Kurt Wallander mógł nareszcie przeczytać ponownie swoją notatkę dla Björka. Już miał mu ją zanieść, kiedy zadzwonił telefon.

To Britta-Lena Boden.

Mówiła cicho, prawie szeptem.

– Oni znowu tutaj przyszli. Pospieszcie się!

– Kto przyszedł? – zdziwił się Kurt Wallander.

– Ci, co wymieniali pieniądze. Nie rozumiesz?

Na korytarzu wpadł na Norena, który właśnie wrócił z patrolu.

– Chodź ze mną! – krzyknął Wallander.

– O rany! Dokąd? – wybełkotał Noren, przełykając kęs

kanapki.

– Nie pytaj, chodź!

Kiedy dotarli do banku, Noren wciąż trzymał w ręce niedojeżdżoną kanapkę. Kurt Wallander przejechał skrzyżowanie na czerwonym świetle, przeciął na skos trawnik. Zostawił samochód w pobliżu straganów koło ratusza. Mimo wszystko i tak przybiegli za późno. Mężczyźni zdążyli już zniknąć. Britta-Lena Boden była tak zszokowana ponownym spotkaniem z bandytami, że nie poprosiła nikogo, by za nimi poszedł.

Na szczęście miała dość przytomności umysłu, by uruchomić kamerę.

Kurt Wallander studiował podpis na pokwitowaniu. Ten też był zupełnie nieczytelny, ale bez wątpienia to ten sam podpis. Adresu tym razem także nie było.

– Świetnie – powiedział Kurt Wallander do Britty-Leny Boden, która wciąż nie mogła dojść do siebie. – A co im powiedziałaś, kiedy szłaś do mnie zatelefonować?

– Że muszę przynieść stempel.

– Myślisz, że ci dwaj mogli coś podejrzewać? Potrząsnęła głową.

– Świetnie – powtórzył Kurt Wallander. – Postąpiłaś dokładnie tak, jak trzeba.

– Myślisz, że teraz ich już złapiecie? – spytała.

– Tak – odparł Kurt Wallander. – Tym razem ich złapiemy.

Film wideo nakręcony bankową kamerą pokazywał dwóch mężczyzn o raczej mało południowym typie urody. Jeden miał krótkie włosy blond, drugi był łysy. W policyjnym żargonie natychmiast zostali ochrzczeni jako Lucia i Łysy.

Britta-Lena Boden wysłuchiwała próbek wielu różnych języków i ostatecznie uznała, że zamienili między sobą kilka słów po czesku lub bułgarsku. Pięćdziesięciodolarowy banknot, który przynieśli, został niezwłocznie przekazany do badań laboratoryjnych.

Björk zwołał zebranie w swoim gabinecie.

– Po pół roku ci dwaj znowu się pojawiają – powiedział Kurt Wallander. – Dlaczego idą do tego samego małego banku? Po

pierwsze, mieszkają gdzieś w pobliżu, to oczywiste. Po drugie, to już raz w tym właśnie banku nieźle się obłowili. Tym razem nie mieli szczęścia. Mężczyzna, który stał przed nimi, wpłacał pieniądze, a nie wypłacał. Ale to też był starszy człowiek, podobnie jak Johannes Lövgren. Może oni myślą, że starsi mężczyźni, wyglądający na rolników, zawsze dokonują wielkich wypłat?

– Czesi – powtarzał Björk. – Albo Bułgarzy?

– To nie jest takie pewne – zwrócił uwagę Kurt Wallander. – Dziewczyna mogła się pomylić. Ale z wyglądem to by się zgadzało.

Obejrzelili film jeszcze cztery razy i zdecydowali, które ujęcia powiększyć i skopiować.

– Musimy zbadać każdego wschodniego Europejczyka, który znajduje się w okolicy – zdecydował Björk. – To nieprzyjemne i pewnie zostaniemy posądzeni o dyskryminację, ale nie zamierzam się tym przejmować. Gdzieś przecież muszą być. Zaraz porozmawiam z szefami policji w Malmö i Kristianstad, dowiem się, co ich zdaniem można by zrobić na szczeblu rejonowym.

– Niech wszystkie patrole obejrzą film – powiedział Hansson.

– Ktoś może ich po prostu zobaczyć na ulicy.

Kurt Wallander przypomniał sobie masakrę w Lenarp.

– Po tym, co zrobili z Lövgrenami, powinni być uważani za niebezpiecznych – dodał.

– Jeżeli oni to zrobili – wtrącił Björk. – A tego na pewno nie wiemy.

– Nie wiemy, to prawda – zgodził się Wallander. – Ale mimo wszystko.

– Teraz pojedziemy na wysokich obrotach – rzekł Björk. – Kurt kieruje śledztwem i przydziela zadania, jak sam uzna. Wszystko, co absolutnie nie musi być zrobione natychmiast, odkładamy na później. Zadzwoń do prokuratora, na pewno się ucieszy, że coś się znowu dzieje.

Ale nic się nie działo.

Mimo zmasowanych akcji policyjnych i niewielkiego w końcu miasta obaj mężczyźni zapadli się jak kamień w wodę. Wtorek

i środa minęły bez żadnych rezultatów. Komendanci policji w położonych blisko Ystad miastach oddali podległe im zespoły do dyspozycji, gdyby zaszła taka potrzeba. Film wideo skopiowano w licznych egzemplarzach i rozprowadzono w całym regionie. Kurt Wallander do ostatniej chwili wahał się, czy należy zdjęcia poszukiwanych opublikować w prasie. Radził się Rydberga, ale ten był zdania, żeby jednak publikować.

– Lisa należy wykurzyć z jamy – powiedział. – Zaczekaj jeszcze kilka dni, ale potem przekaz zdjęcia gazetom.

Rydberg długo siedział i wpatrywał się w kopie, które przyniósł Wallander.

– Nie istnieje nic takiego jak Twarz Mordercy – powiedział. – Człowiek sobie coś wyobraża, profil, nasadę włosów, układ zębów. Ale to się nigdy nie zgadza.

Wtorek 24 lipca był w Skanii wietrzny. Postrzępione chmury gnały po niebie, a wiatr w porywach osiągał siłę sztormu. Kurt Wallander ocknął się o brzasku i długo leżał, wsłuchując się w szum wiatru. Kiedy stanął na wadze w łazience, stwierdził, że stracił kolejny kilogram, co dało mu takiego kopa, że parkując przed budynkiem policji, wcale już nie czuł zniechęcenia, które go w ostatnich dniach nie opuszczało.

To śledztwo zaczyna być moją osobistą porażką, myślał. Nieustannie gonię współpracowników, zmuszam ich do wysiłku, a w końcu i tak lądujemy w próżni.

Ale przecież ci dranie gdzieś muszą być, zezłościł się i zatrzasnął drzwi samochodu. Gdzieś. Tylko gdzie?

W recepcji zatrzymał się na chwilę i zamienił parę słów z Ebbą. Nagle zauważył, że obok centralki telefonicznej stoi staroświecka pozytywka.

– Są jeszcze takie? – zdziwił się. – Gdzie to kupiłaś?

– Na straganie na jarmarku w Sjöbo – odparła. – Czasami na takich jarmarkach wśród rozmaitych rupieci można znaleźć coś bardzo interesującego.

Kurt Wallander roześmiał się i poszedł dalej. Po drodze do siebie wsunął głowę do Hanssona i Martinssona i zaprosił obu na spotkanie.

W dalszym ciągu nie natrafili na żaden ślad Lucii ani Łysego.

– Jeszcze dwa dni – powiedział Kurt Wallander. – Jeżeli do czwartku nic nie znajdziemy, zwołujemy konferencję prasową i publikujemy zdjęcia.

– Powinniśmy byli od razu to zrobić – mruknął Hansson. Kurt Wallander nie odpowiedział.

Po raz kolejny przestudiowali mapę. Martinsson miał nadal przeglądać kempingi i pola namiotowe, gdzie obaj przestępcy mogliby się ukrywać.

– Schroniska turystyczne – dodał Kurt Wallander. – I pokoje prywatne, wynajmowane na lato turystom.

– Dawniej było łatwiej – westchnął Martinsson. – Ludzie latem też siedzieli na miejscu, a teraz to nic, tylko podróże, wyjazdy.

Hansson miał przeczesać różne firmy budowlane znane z tego, że zatrudniają na czarno robotników z krajów wschodnioeuropejskich.

Kurt Wallander miał się zająć zagłębiami truskawkowymi. Nie mógł zlekceważyć możliwości, że ci dwaj zaszyli się na jakiejś większej plantacji.

Ale i ten wysiłek okazał się bezowocny.

Kiedy wszyscy trzej spotkali się znowu po południu, nie mieli sobie nic pozytywnego do powiedzenia.

– Ja znalazłem jednego hydraulika z Algierii – powiedział Hansson. – Dwóch murarzy kurdyjskich i mnóstwo niewykwalifikowanych robotników z Polski. Mam ochotę napisać w tej sprawie notatkę dla Björka. Gdybyśmy nie mieli na karku tego przekłętego podwójnego morderstwa, to można by oczyścić tamto bagno. Ci robotnicy dostają taką samą zapłatę jak nieletni dorabiający latem. Nie mają żadnych ubezpieczeń. Jakby coś się stało, to właściciel mówi, że oni nie pracują, znajdowali się tam bez jego pozwolenia i tak dalej.

Martinsson też nie przyniósł dobrych wiadomości.

– Znalazłem jednego łysego Bułgara – opowiadał. – Przy odrobinie dobrej woli można by go wziąć za naszego Łysego. Ale on pracuje jako lekarz w szpitalu w Mariestad i ma solidne alibi.

W pokoju zrobiło się duszno. Kurt Wallander wstał i otworzył

okno.

Nagle przypomniał sobie pozytywkę Ebby. Mimo że nie słyszał jej melodii, to w podświadomości nucił ją przez cały dzień.

– Jarmarki – powiedział i odwrócił się znowu do kolegów. – Powinniśmy zbadać jarmarki. Gdzie będzie najbliższy?

Obaj koledzy znali odpowiedź.

– W Kivik.

– Zaczyna się dzisiaj – dodał Hansson. – I kończy jutro.

– No to pojedę tam jutro – zdecydował Kurt Wallander.

– To wielki jarmark – ostrzegł Hansson. – Powinieneś wziąć jeszcze kogoś.

– Ja bym mógł – zgłosił się Martinsson.

Hansson był najwyraźniej zadowolony, że nie musi jechać. Kurt Wallander pomyślał, że pewnie w środę wieczorem są jakieś gonitwy.

Zakończyli spotkanie, pożegnali się i rozeszli. Kurt Wallander nadal siedział przy biurku i próbował uporządkować stos kartek z centrali telefonicznej. Ułożył sobie spis rozmów na jutro rano i szykował się do wyjścia. Wtedy zauważył, że jedna kartka spadła na podłogę. Podniósł i przeczytał, że telefonował do niego kierownik jednego z ośrodków dla uchodźców.

Wybrał numer. Poczekał do dziesiątego sygnału i już miał zrezygnować, gdy po drugiej stronie ktoś jednak podniósł słuchawkę.

– Mówi Wallander z policji w Ystad. Szukam kogoś nazwiskiem Modin.

– To ja.

– Dzwonił pan do mnie?

– Zdaje mi się, że mam coś ważnego do powiedzenia. Kurt Wallander wstrzymał oddech.

– Chodzi o tych dwóch, których szukacie. Dzisiaj wróciłem z urlopu. Te fotografie, które przysłała policja, leżą na moim biurku. Ja znam tych facetów. Oni przez jakiś czas przebywali w naszym ośrodku.

– Już do pana jadę! – zawołał Kurt Wallander. – Niech pan na mnie czeka w biurze.

Ośrodek znajdował się niedaleko Skurup. Kurt Wallander potrzebował dziewiętnastu minut, żeby tam dotrzeć. Ośrodek mieścił się w starej zniszczonej plebanii i był czynny tylko w okresach, kiedy w innych brakowało miejsca.

Kierownik Modin był niewysokim mężczyzną koło sześćdziesiątki. Czekał na Wallandera przed domem.

– Akurat teraz ośrodek jest pusty – powiedział Modin. – Ale już w przyszłym tygodniu spodziewamy się większej grupy Rumunów.

Weszli do niewielkiego biura.

– Niech pan opowiada – polecił Kurt Wallander.

– Oni mieszkali tu od początku grudnia ubiegłego roku do połowy lutego – zaczął Modin, przeglądając jakieś papiery. – Potem zostali przeniesieni do Malmö, a ściśle biorąc, do Celsiusgarden.

Modin wskazał fotografię na biurku.

– Ten nazywa się Lothar Krafcik. Jest obywatelem Czechosłowacji i stara się o azyl polityczny, ponieważ uważa się za prześladowanego w swoim kraju z tego powodu, że należy do mniejszości narodowej.

– To w Czechosłowacji są jakieś mniejszości narodowe? – zdziwił się Kurt Wallander.

– Moim zdaniem on uważał, że jest Cyganem.

– Uważał?

Modin wzruszył ramionami.

– Ja mu nie wierzę – powiedział. – Uchodźcy, którzy wiedzą, że mają słabe argumenty, żeby uzyskać azyl w Szwecji, szybko się uczą, że aby zwiększyć swoje szanse, powinni mówić, że są Cyganami.

Modin wziął do ręki fotografię Lucii.

– Andreas Haas – powiedział. – Także Czech. Szczerze mówiąc, nie wiem, jakie on miał powody, by starać się o azyl. Papiery poszły za nimi do Celsiusgarden.

– Ale pan jest pewien, że fotografie przedstawiają właśnie ich?

– Tak. Tego jestem pewien.

– Proszę mówić dalej – powiedział Kurt Wallander.

– O czym?

– Jacy oni byli? Czy wydarzyło się coś nadzwyczajnego w czasie, kiedy u was mieszkali? Czy mieli dużo pieniędzy? Wszystko, co może pan sobie przypomnieć.

– Próbowałem – powiedział Modin. – Oni przeważnie trzymali się na uboczu. Powinien pan wiedzieć, że życie w takim ośrodku to najbardziej denerwująca sytuacja, na jaką człowiek może być narażony. Ci dwaj grali w szachy. Całymi dniami.

– Mieli pieniądze?

– O ile pamiętam, to nie.

– Jacy byli?

– Zamknięci. Pełni rezerwy. Ale żeby jakoś specjalnie nieżyczliwi, to nie.

– Coś jeszcze?

Kurt Wallander widział, że Modin zwleka z odpowiedzią.

– Nad czym się pan zastanawia? – spytał.

– To jest mały ośrodek – powiedział Modin. – Ani ja, ani nikt inny tutaj nie sypia. Czasami w dzień też nie ma żadnego personelu. Z wyjątkiem kucharki, która szykuje jedzenie. Nasz samochód zostawiamy tutaj na noc. Kluczyki są zamknięte w biurze. Ale czasami, kiedy przychodziłem rano, miałem wrażenie, że ktoś używał samochodu. Jakby ktoś wchodził do biura, brał kluczyki i wyjeżdżał.

– I podejrzewał pan tych dwóch? Modin skinął głową.

– Nie wiem dlaczego – powiedział. – To było tylko takie wrażenie.

Kurt Wallander zastanawiał się.

– Noce – rzekł. – W nocy nikogo tu nie było. W dzień też czasem nie. Zgadza się?

– Tak.

– Piątek piątego stycznia – powiedział Kurt Wallander. – To ponad pół roku temu. Mógłby pan sobie przypomnieć, czy tego dnia w ośrodku był ktoś z personelu?

Modin przeglądał kalendarz na biurku.

– Byłem na spotkaniu kryzysowym w Malmö. Wtedy mieliśmy taki napływ uchodźców, że trzeba było organizować

prowizoryczne ośrodki.

Kamienie zaczęły parzyć Kurta Wallandera w stopy. Mapa nabierała życia. Teraz do niego przemawiała.

– A zatem tego dnia nikogo tutaj nie było?

– Tylko kucharka. Ale kuchnia leży na tyłach obejścia. Kucharka mogła nie zauważyć, gdyby ktoś używał samochodu.

– Żaden z uchodźców nie doniósł?

– Uchodźcy nie donoszą. Oni się boją. Również siebie nawzajem.

Kurt Wallander wstał.

Nagle zaczęło mu się spieszyć.

– Niech pan zadzwoni do swojego kolegi z Celsiusgarden i powie, że do niego jadę – poprosił. – Ale niech pan nie wspomina o tych dwóch facetach. Proszę tylko powiedzieć, że muszę się widzieć z kierownikiem.

Modin popatrzył na niego.

– Dlaczego oni pana interesują? – spytał.

– Popelnili przestępstwo – wyjaśnił. – Straszne przestępstwo.

– To morderstwo w Lenarp? To pan ma na myśli? Kurt Wallander stwierdził, że nie ma żadnego powodu, by nie odpowiadać.

– Tak – potwierdził. – Uważamy, że to oni.

Tuż po siódmej wieczorem przyjechał do Celsiusgarden w centrum Malmö. Zaparkował w bocznej uliczce i poszedł do głównego budynku, przed którym stał ochroniarz. Po kilku minutach przyszedł po niego jakiś mężczyzna. Nazywał się Larson, dawniej był marynarzem, rozsiewał wokół siebie intensywny zapach pilznera.

– Krafcik i Haas – powiedział Kurt Wallander, kiedy usiedli w pokoju Larsona. – Dwaj Czesi ubiegający się o azyl.

Pachnący piwem mężczyzna odpowiedział natychmiast.

– Szachiści – rzekł. – Tak, mieszkają tutaj.

O cholera, zaklął w duchu Kurt Wallander. O, jasna cholera.

– Są tu w domu?

– Tak – oznajmił Larson. – To znaczy nie. – Nie?

– Mieszkają tutaj. Ale ich tu nie ma.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

- Że ich tu nie ma.
- To gdzie, do diabła, w takim razie są?
- Szczerze mówiąc, nie wiem.
- Ale przecież mieszkają tutaj?
- Oni uciekli.
- Uciekli?
- Dosyć często się zdarza, że ludzie stąd uciekają.
- Przecież starają się o azyl.
- Ale mimo to uciekają.
- I co wtedy robicie?
- Składamy oczywiście raport.
- I co się dzieje?
- Najczęściej nic.
- Nic? Ludzie, którzy oczekują na decyzję, czy będą mogli zostać w naszym kraju, czy też zostaną wydalenii, uciekają. I nikt się tym nie przejmuje?
- Policja chyba próbuje ich szukać.
- Przecież to kompletnie pozbawione sensu. Kiedy oni zniknęli?
- W maju. Chyba obaj zaczęli podejrzewać, że ich próśby o azyl zostaną odrzucone.
- I dokąd się udali? Larson wzruszył ramionami.
- Żeby pan wiedział, ilu ludzi bez zezwolenia na pobyt przebywa w tym kraju – powiedział. – Są ich tłumy. Mieszkają gdzie popadnie, fałszują dokumenty, wymieniają się nawzajem nazwiskami, pracują na czarno. Możesz przeżyć w Szwecji całe życie i nikt się o ciebie nie zapyta. Nikt w to nie wierzy, ale tak właśnie jest.
- Kurt Wallander słuchał oniemiały.
- Ale to straszne – powiedział w końcu. – Niech mnie diabli, jakie to straszne!
- Zgadza się. Ale jest, jak jest. Kurt Wallander jęknął.
- Potrzebne mi są wszystkie dokumenty tych dwóch ludzi.
- Nie mogę wydawać dokumentów ot tak, komukolwiek. Kurt Wallander wybuchnął.
- Ci ludzie popełnili morderstwo! – ryknął. – Podwójne morderstwo!

– Ale ja i tak nie mogę wydać dokumentów. Wallander wstał.
– Jutro wydasz te dokumenty, nawet gdybym miał po nie przysłać szefa Głównego Zarządu Policji.

– Jest, jak jest. Ja nie mogę zmieniać zasad.

Kurt Wallander wrócił do Ystad. Za piętnaście dziewiąta dzwonił do drzwi Björka. Pospiesznie zrelacjonował mu, co się stało.

– Jutro zaczynamy poszukiwania – powiedział na koniec. Björk skinął głową.

– Zwołam konferencję prasową na godzinę drugą. Przed południem mam zebranie z komendantami policji, ale postaram się, żeby wydano nam z tego ośrodka ich papiery.

Kurt Wallander pojechał do Rydberga. Ten, jak zawsze, siedział po ciemku na balkonie.

Nagle Kurt Wallander spostrzegł, że przyjaciel cierpi. Ale Rydberg, jakby czytał w jego myślach, rzekł:

– Ja się już z tego nie wygrzebię. Może dożyję do świąt Bożego Narodzenia, a może nie.

Kurt Wallander nie wiedział, co powiedzieć.

– Ale na razie można wytrzymać – dodał pośpiesznie Rydberg. – Powiedz lepiej, z czym przychodzisz.

Kurt Wallander zaczął opowiadać. Ledwo widział w mroku twarz Rydberga.

Gdy skończył, długo siedzieli w milczeniu.

Wieczór był chłodny, ale Rydberg zdawał się tego nie zauważać, choć miał na sobie tylko stary szlafrok i kapcie na nogach.

– Może oni wymknęli się z kraju? – zastanawiał się Kurt Wallander. – Może nigdy ich nie dopadniemy?

– No to zostanie nam przynajmniej przekonanie, że mimo wszystko poznaliśmy prawdę – odparł Rydberg. – Praworządność polega nie tylko na tym, żeby ludzie, którzy popełnili przestępstwo, ponieśli za to karę. W równej mierze polega też i na tym, żeby się nie poddawać, nigdy nie rezygnować z dochodzenia do prawdy.

Rydberg wstał z wysiłkiem i przyniósł butelkę koniaku. Drżącymi rękami nalał dwa kieliszki.

– Są tacy starzy policjanci, którzy umierając, jeszcze się zastanawiają nad nierozwiązanymi zagadkami – powiedział.

– Ja jestem jednym z nich.

– Czy kiedykolwiek żałowałeś, że zostałeś policjantem?

– spytał Kurt Wallander.

– Nigdy. Ani przez chwilę.

Pili koniak. Trochę rozmawiali albo siedzieli w milczeniu. Dochodziła północ, kiedy Kurt Wallander się pożegnał. Obiecał, że przyjdzie znowu następnego wieczora. Rydberg został na swoim balkonie.

W środę rano, 25 lipca, Kurt Wallander zdał relację Martinssonowi i Hanssonowi z tego, co się zdarzyło po ich wczorajszym zebraniu. Ponieważ do konferencji prasowej zostało jeszcze bardzo dużo czasu, zdecydowali, że mimo wszystko pojedą na jarmark w Kivik. Hansson ofiarował się, że razem z Björkiem napisze komunikat dla dziennikarzy. Kurt Wallander zakładał, że on i Martinsson wrócą najpóźniej koło dwunastej.

Minęli miejscowość Tomelilla i na południe od Kivik utknęli w długim rzędzie samochodów. Żeby nie tracić czasu, zaparkowali na polu, gdzie natychmiast pojawił się właściciel i zażądał dwudziestu koron opłaty.

Kiedy dochodzili do placu targowego, rozciągającego się ku wschodowi, z widokiem na morze, zaczęło padać. Bezradnie przyglądali się mrowisku straganów i ludzi. Z megafonów wydobywał się wrzask, pijani młodzieńcy krzyczeli i przepychali się tam i z powrotem w ciżbie.

– Spróbujmy za jakiś czas spotkać się gdzieś pośrodku – zaproponował Kurt Wallander.

– Powinniśmy byli zabrać walkie-talkie, na wypadek gdyby się coś stało – powiedział Martinsson.

– Nic się nie stanie – uspokoił go Kurt Wallander. – Spotkamy się za godzinę.

Patrzył jeszcze, jak Martinsson oddala się i znika w tłumie. On sam podniósł kołnierz i poszedł w przeciwną stronę.

Po blisko godzinie spotkali się ponownie. Obaj byli przemoczeni i w najwyższym stopniu zirytowani ścisiskiem

i nieustannym poszturchiwaniem.

– Pluńmy na to wszystko – powiedział Martinsson. – Jedźmy gdzieś na kawę.

Kurt Wallander wskazał namiot kabaretowy przed nimi.

– Byłeś w środku? Martinsson skrzywił się.

– Jakaś gruba baba się rozbiera, a publika wyje, jakby to było podniecające. Do diabła z takim kabaretem!

– Obejdziemy namiot dookoła – powiedział Kurt Wallander.

– Moim zdaniem na tyłach jest jeszcze parę straganów. I potem jedziemy.

Brnęli w gliniastej mazi, przeciskając się między barakowozem a zardzewiałymi podpórkami namiotu.

Rzeczywiście było tam jeszcze parę straganów. Wszystkie wyglądały tak samo, plandeki rozpięte na malowanych na czerwono metalowych drążkach.

Kurt Wallander i Martinsson równocześnie spostrzegli tamtych mężczyzn.

Stali przy straganie, którego lada zawalona była skórzanymi kurtkami. Kurt Wallander zobaczył cenę na tabliczce i zdążył pomyśleć, że kurtki są nieprawdopodobnie tanie.

A za ladą stali faceci, których poszukiwał.

I gapili się na nadchodzących policjantów.

Kurt Wallander zbyt późno zrozumiał, że go poznali. Tak często przecież jego twarz pojawiała się w gazetach i w telewizji. Wizerunek policjanta Kurta Wallandera został upowszechniony w całym kraju.

Potem wszystko potoczyło się z zawrotną szybkością.

Jeden z tamtych, ten, którego policjanci zaczęli nazywać Lucia, wsunął rękę pod stos skórzanych kurtek na ladzie i wyciągnął broń. I Martinsson, i Wallander odskoczyli w bok, każdy w swoją stronę. Martinsson zaplątał się w linki namiotu kabaretowego, a Wallander uderzył głową w barakowóz. Facet zza lady strzelił w stronę Wallandera. Wśród rumoru dochodzącego z namiotu, w którym „jeździec śmierci” szalał na motocyklu, strzału właściwie nie było słyhać. Kula utkwiała w ścianie barakowozu, zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od głowy Wallandera. Niemal równocześnie spostrzegł, że

Martinsson trzyma w ręce pistolet. On sam był nieuzbrojony, ale Martinsson przezornie wziął ze sobą służbową broń.

Martinsson strzelił. Kurt Wallander zobaczył, że Lucia gwałtownie drgnął i chwycił się za ramię. Wypuścił z ręki broń, która upadła w błoto po zewnętrznej stronie lady. Martinsson z rykiem wyszarpnął się z linek namiotu i całym ciężarem natarł na rannego przeciwnika. Lada się załamała i Martinsson wylądował na stosie skórzanych kurtek. Tymczasem Wallander zdążył się schylić i chwycić leżący w glinie pistolet. Równocześnie widział, jak Łysy rzucił się do ucieczki i zniknął w tłumie. Wyglądało na to, że nikt nie zauważył wymiany strażów. Sprzedawcy z pobliskich straganów z przerażenia wytrzeszczali oczy, kiedy Martinsson wykonywał swój tygrysi skok.

– Goń tamtego! – krzyknął Martinsson. – Ja sobie z tym poradzę.

Kurt Wallander pobiegł z pistoletem w dłoni. Gdzieś w tłumie musi krążyć Łysy. Ludzie uskakiwali na boki ze strachu, kiedy gnał przed siebie z twarzą umazaną gliną, z pistoletem w ręce. Już myślał, że stracił tamtego z oczu, gdy znowu go zobaczył, jak w panice ucieka między niepojmującymi niczego ludźmi. Starszą kobietę, która weszła mu w drogę, pchnął tak, że upadła na stragan z ciastkami. W zamieszaniu Kurt Wallander się potknął, przewrócił wózek ze słodyczami, ale biegł dalej.

Nagle tamten zniknął.

Cholera jasna, myślał Kurt Wallander. Cholera jasna.

Ale w następnej sekundzie dostrzegł go znowu. Przestępca biegł po obrzeżach placu targowego, a potem w dół, ku stromemu brzegowi morza. Wallander rzucił się w ślad za nim. Kilku porządkowych pędziło teraz w jego stronę, ale uskoczyli na bok, kiedy zamachał im bronią i wrzasnął, że mają się trzymać z daleka. Jeden z porządkowych zwałił się na stragan, w którym sprzedawano piwo, a drugi przewrócił stoisko z lichtarzami domowej roboty.

Kurt Wallander biegł. Serce pracowało ciężko niczym tłok.

Nagle ścigany zniknął za stromym brzegiem. Kurt Wallander znajdował się jakieś trzydzieści metrów za nim. Kiedy dopadł

do brzegu, stracił równowagę i runął na łeb na szyję w dół. W zamieszaniu upuścił broń. Przez ułamek sekundy chciał się zatrzymać, żeby ją podnieść, ale zobaczył, że Łysy ucieka wzdłuż brzegu morza, więc pobiegł za nim.

Pościg się zakończył, kiedy żaden z nich nie był już w stanie biec dalej. Łysy, pochylony mocno w przód, oparł się o wysmołowaną łódź, odwróconą na piasku do góry dnem. Kurt Wallander stał dziesięć metrów od niego i był tak zdyszany, że o mało nie zemdleł.

W pewnym momencie zauważył, że Łysy wyjął z kieszeni nóż i rusza ku niemu.

Tym nożem obciął nos Johannesowi Lövgrenowi, pomyślał. I to właśnie tym nożem zmusił go, by mu powiedział, gdzie są pieniądze.

Rozejrzał się za czymś ciężkim. Zobaczył tylko połamane wiosło.

Łysy zamachnął się nożem. Kurt Wallander odparował wiosłem.

Następnym razem, kiedy tamten doskoczył z nożem, Kurt Wallander uderzył. Wiosło trafiło w obojczyk. Usłyszał trzask złamanej kości. Mężczyzna się zatoczył, Kurt Wallander odrzucił wiosło i prawą pięścią wymierzył mu cios w szczękę. Poczul przejmujący ból w dłoni.

Ale przeciwnik padł.

Kurt Wallander osunął się na mokry piasek. Zaraz potem przybiegł Martinsson. Nagle lunął deszcz.

– No, to dopadliśmy ich – powiedział.

– Tak jest – przytaknął Kurt Wallander. – Zrobiliśmy to. Poszedł na skraj morza i opłukał twarz w wodzie. Daleko od brzegu widział kuter, który powoli zmierzał na południe.

Pomyślał, że dobrze będzie przynieść Rydbergowi pomyślną wiadomość, może go to pocieszy w jego nieszczęściu.

W dwa dni później człowiek nazwiskiem Andreas Haas przyznał się, że to on i jego kompan popełnili morderstwo w Lenarp. Przyznał się, ale odpowiedzialnością obciążył tamtego. Kiedy Lotharowi Krafcikowi odczytano przyznanie się do winy, on też przestał zaprzeczać. Ale całe okrucieństwo

przypisywał Haasowi.

Wtedy w styczniu wszystko odbyło się tak, jak to potem Kurt Wallander zrekonstruował. Obaj przestępcy chodzili do różnych banków, by wymienić pieniądze, próbując przy okazji wypatrzeć jakiegoś klienta, który dokonywał dużej wypłaty. Pojechali za kominiarzem Lundinem, kiedy ten odwoził Johannes Lövgrena do domu, potem szli za starym polną drogą, a w dwie noce później wrócili tam samochodem zabranym z ośrodka dla uchodźców.

– Jednej rzeczy wciąż nie rozumiem – powiedział Kurt Wallander, który przesłuchiwał Lothara Krafcika. – Dlaczego daliście koniowi siana?

Tamten patrzył na niego zaskoczony.

– Pieniądze były schowane w sianie – odparł. – Może rzuciliśmy koniowi wiązkę, kiedy szukaliśmy teczki?

Kurt Wallander pokiwał głową. A więc taka prosta była zagadka nakarmionego konia.

– I jeszcze jedno – powiedział. – Pętla?

Nie dostał odpowiedzi. Żaden z mężczyzn nie chciał się przyznać do tego bezsensownego bestialstwa. Powtarzał pytanie jeszcze wielokrotnie, ale bez powodzenia.

Czeska policja bardzo szybko przysłała informację, że Krafcik i Haas byli w swoim kraju karani za przestępstwa dokonywane ze szczególnym okrucieństwem.

Ostatnio, po ucieczce z ośrodka dla uchodźców, wynajęli rozpadający się dom w Höör. Skórzane kurtki, które sprzedawali na jarmarkach, pochodziły z obrabowanego sklepu w Tranas.

Sąd po dziesięciu minutach wydał nakaz aresztowania pod zarzutem morderstwa. Nikt nie wątpił w to, że dowody okażą się obciążające, choć obaj przestępcy nieustannie zrzucali winę jeden na drugiego.

Kurt Wallander siedział w sali sądowej i przyglądał się dwóm ludziom, których ścigał tak długo. Wspominał tamten wczesny ranek w styczniu, kiedy wszedł do domu w Lenarp. Choć sprawa została wyjaśniona i mordercy poniosą zasłużoną karę, czuł się zniechęcony. Dlaczego zacisnęli pętlę na szyi Marii

Lövgren? Skąd to okrucieństwo dla samego okrucieństwa?

Przeniknął go dreszcz. Nie znajdował odpowiedzi i to go niepokoiło.

Wieczorem 4 sierpnia Kurt Wallander wziął butelkę whisky i pojechał do mieszkania Rydberga. Następnego dnia Anette Brolin miała razem z nim odwiedzić jego ojca.

Kurt Wallander rozmyślał nad pytaniem, które jej zadał.

Zapytał mianowicie, czy wyobraża sobie, że mogłaby się rozwieść z jego powodu.

Ona naturalnie odpowiedziała, że nie.

Ale wiedział, że nie ma mu za złe tego pytania.

Jadąc do Rydberga, słuchał w samochodzie Marii Callas. W nadchodzącym tygodniu wziął wolne za wszystkie swoje nadgodziny. Miał zamiar wybrać się do Lund, żeby poznać Hermana Mboye, który wrócił z Kenii. Resztę czasu postanowił przeznaczyć na malowanie mieszkania.

Może nawet odzálja trochę pieniędzy i sprawi sobie nową aparaturę do odtwarzania muzyki.

Zaparkował przed domem Rydberga.

Żółty księżyc przebijał się przez chmury nad jego głową. Czuło było, że zbliża się jesień.

Rydberg jak zwykle siedział po ciemku na balkonie. Kurt Wallander nalał dwie szklaneczki whisky.

– Pamiętasz, jak siedzieliśmy przerażeni tym, co Maria Lövgren wyszeptwała przed śmiercią? – spytał Rydberg. – Jak się baliśmy, że będziemy musieli szukać jakichś cudzoziemców? A kiedy później w sprawie pojawił się Erik Magnuson, był najbardziej wytęsknionym mordercą, jakiego sobie można wyobrazić. Ale to nie był on. I mimo wszystko złapaliśmy tych cudzoziemców. A biedny Somalijczyk zginął całkiem niepotrzebnie.

– Ty przez cały czas wiedziałeś – powiedział Kurt Wallander.

– Wiedziałeś, prawda? Od początku byłeś pewien, że to cudzoziemcy?

– Nie wiedziałem – odparł Rydberg wymijająco. – Ale chyba w to wierzyłem.

Niespiesznie rozmawiali o śledztwie, jakby pozostało już tylko

wspomnieniem.

– Popełniliśmy mnóstwo błędów – stwierdził Kurt Wallander w zamyśleniu. – To znaczy ja popełniłem mnóstwo błędów.

– Jesteś dobrym policjantem – powiedział Rydberg z naciskiem. – Chyba nigdy ci tego nie mówiłem. Ale uważam, że jesteś cholernie dobrym policjantem.

– Popełniłem mnóstwo błędów – powtórzył Kurt Wallander.

– Ale pracowałeś. Nie rzuciłeś wszystkiego, nie poddałeś się. Za wszelką cenę chciałeś złapać tych, którzy popełnili morderstwo w Lenarp. I to jest ważne.

Rozmowa powoli przygasła.

Siedzę tu z umierającym człowiekiem, pomyślał Kurt Wallander niejasno. Jakoś dotychczas nie przyjąłem do wiadomości, że Rydberg naprawdę jest śmiertelnie chory.

Przypomniał sobie, jak to w latach młodości został pchnięty nożem. Przypomniał sobie też, że niespełna pół roku temu jechał pijany samochodem. Właściwie to powinien być teraz policjantem wydalonym ze służby.

Dlaczego nie powiem tego Rydbergowi? – pomyślał. Dlaczego nic nie mówię? A może to jest tak, że on wie?

Dawne zakłęcie znowu przemknęło mu przez głowę.

Jest czas życia i czas śmierci.

– Jak się czujesz? – spytał niepewnie. W mroku nie widział twarzy Rydberga.

– Akurat teraz nic mnie nie boli – odparł tamten. – Ale jutro ból wróci. Albo pojutrze.

Dochodziła już druga w nocy, gdy Kurt Wallander pożegnał Rydberga, który upierał się, że jeszcze posiedzi na balkonie.

Wallander zostawił samochód i poszedł do domu spacerem.

Księżyc zniknął za chmurami.

Raz po raz Wallander lekko się zataczał.

Nieustannie rozbrzmiewał mu w głowie głos Marii Callas.

Potem, w swoim mieszkaniu, zanim zasnął, leżał jeszcze przez jakiś czas z otwartymi oczyma.

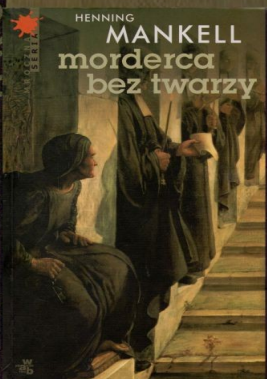
Znowu myślał o tym bezsensownym okrucieństwie. I o nowych czasach, w których być może potrzeba innego rodzaju policjantów.

Żyjemy w czasach pętli, stwierdził. Niepokój na świecie będzie narastał.

W końcu jednak odepchnął ponure wizje i zaczął szukać ciemnoskórej kobiety ze swoich snów.

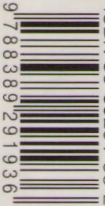
Śledztwo dobiegło końca.

Nareszcie będzie mógł odpocząć.



Kto był w stanie okrutnie zabić parę starych rolników w szwedzkiej wiosce, a potem pójść do stajni, aby nakarmić ich konia? Umierająca kobieta zdążyła wyszeptać tylko jedno słowo: "zagraniczny". Komisarz Wallander poświęciłby się sprawie bez reszty, gdyby nie kryzys wieku średniego i odejście żony; co gorsza, nieustannie wydzwania doń anonimowy rasista, grożąc podpaleniem obozu dla uchodźców, a w mieście zostaje zastrzelony Somalijczyk... Czy komisarzowi wystarczy energii, by zanurzyć się w ksenofobicznym piekle i wyjaśnić zagadkę zbrodni? "Morderca bez twarzy" otwiera serię powieści kryminalnych Henninga Mankella o Kurcie Wallandrze, komisarzu szwedzkiej policji, znanym już polskiemu czytelnikowi z książek "Fałszywy trop" (W.A.B. 2002) i "Piąta kobieta" (W.A.B. 2004).

ISBN 83-89291-93-2



9 788389 291936

Cena 29,90 zł